

ATENEUM.

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXIV.

ROK IX.

TOM II.—ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.

DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,

ulica Królewska, Nr. 23.

1884.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Kwietnia 1884 r.

ESTETYZM W ANGLII.

Kartka z dziejów współczesnéj cywilizacyi.

Nie dawne to jeszcze czasy gdy jeden z najznakomitszych krytyków zachodu wygłosił zdanie, że pomiędzy społeczeństwami powinien panować podział twórczości artystycznéj. Podczas kiedy jedne narody zdawały mu się powołane do dzierżenia berła w téj dziedzinie, drugie skazane były nieodwołalnie nie tylko na podrzędną rolę ale nawet na rodzaj stałego służalstwa.

Historya zaprzecza całkowicie téj teoryi. Jeżeli starożytna Grecya posiadała tę niezaprzeczoną hegemonią artystyczną, to wiemy że nie pochodziło to z żadnéj rasowéj wyższości i wyższego estetycznego uzdolnienia, ale że było to wypływem etnograficznych, politycznych i cywilizacyjnych warunków, które i pod innemi strefami, *mutatis mutandis*, na taki sam rezultat zdobyć by się potrafiły. Bliżéj nas, w nieporównanéj epoce Odrodzenia, Włochy wzięły wprawdzie inicyatywę w ruchu artystycznym ale wnet Hiszpania, Holandya, Francya stanęły na równi z Włochami i tu i owdzie wyprzedziły takowe.

Ale gdyby nawet to przodownictwo, to królowanie jednego społeczeństwa na polu sztuki było uzasadnioném w przeszłości, nie ma żadnego prawdopodobieństwa aby mogło istniéć i utrzymać się obecnie. Społeczeństwa dzisiejsze coraz bliżéj są z sobą pokumane. Rasowe i państwowe różnice z dniem każdym zacierają się coraz bardziéj. Federacya polityczna narodów jest, jeszcze wprawdzie utopią i prawdopodobnie zostanie nią długo, długo jeszcze, ale społeczeństwa cywilizowane stanowią już organiczną całość. Pomiędzy wykształconymi ludźmi wszystkich narodów istnieje rodzaj wolnomularstwa: wszyscy czytamy tych samych pisarzy, walczymy za te same idee, wszyscy grzejemy się u tego samego ogniska. Chciéć

wykluczyć pewien naród z tego grona, odmówić mu *a priori* twórczych zdolności w tym lub owym kierunku, jest obelgą uczynioną oświacie, jest dobrowolném zaślepieniem wobec téj wewnętrznéj siły, która popycha wszystkie społeczeństwa do wszechstronnéj twórczości i która układa je do jednakowego umysłowego poziomu.

Nie ma narodu pozbawionego zdolności twórczych na polu sztuki: uważamy to jako pewnik. Są jedynie narody zacofane gdzie mniejsze bogactwo, mniejszy zapas nagromadzonych arcydzieł sztuki, mniéj głębokie tradycye artystyczne, brak środków kształcenia dobrego smaku w masach i brak zakładów naukowych dla młodzieży zatrzymały rozwój estetyczny na czas jakiś, ale i u nich znajdują się *in latenti* żywioły twórcze. Przy zmianie kilku albo nawet jednego z tych czynników, ukażą się niewątpliwie rezultaty całkiem odmienne. Jesteśmy nawet skłonni do przypuszczenia, że ci ostatni przybysze przyniosą z sobą, obok gorącego zapału dążącego do nagrodzenia straconego czasu, pewną cechę osobistą, i tę nutę oryginalną, którą łatwo zatracić gdy się oddawna pogrążonym było we wszechogólnym prądzie. Nagły wykwit naszéj sztuki w taki sobie przynajmniéj tłómaczymy sposób.

Były wprawdzie narody, które do sztuk pięknych podrzędne tylko przywiązywały znaczenie i które, chętnie zostawiały ich pielęgnowanie i uprawianie niewolnikom i wyzwoleńcom. Jest to oznaką grubego materyalizmu i pokazuje istotne barbarzyństwo. Dopiero gdy się społeczeństwo otrząsa z przesądów i uprzedzeń przeciw sztukom pięknym, dopiero gdy uzna, że są one kwiatem cywilizacyi i że wywierają zbawienny wpływ na postęp mas, dopiero gdy dokłada wszelkich starań o krzewienie takowych, wtedy ma ono prawo uważać się za społeczeństwo oświecone—nie pierwéj.

Szczęk broni zagłuszał długo niemowlęce muz szepty. Od czasu gdy wojna przestała być normalnym objawem życia narodów a zeszła do roli wyjątków, nic nie stoi na zawadzie rozwojowi sztuk pięknych, a przynajmniéj przeszkody napotykane są tylko miejscowe i podrzędne. Do ich rzędu zaliczać było można niedawno jeszcze pewne prądy religijne i przemysł fabryczny. Posunięte do wysokiego stopnia oba te kierunki zajmują w obec sztuk pięknych stanowisko nieprzyjazne. Bigoterya religijna traktuje okazy sztuki plastycznéj jako dzieła szatana i dzięki im widzi towarzystwa grzęznące w kałuży bałwochwalczego epikureizmu. Surowy purytanizm protestancki nie krył się i nie kryje się dotąd ze swoją pogardliwą niechęcią do sztuki świeckiéj. Wincenty z Beauvai w średnich wiekach wypowiedział charakterystyczną maksymę: *philosophia—ancilla theologiae.* Sek-

ty protestanckie nie mogąc okiełznać swobodnego ducha sztuki wolą wykluczyć go z góry ze swego nieba.

Gwałtowny, gorączkowy rozwój przemysłu i handlu, kierując wszystkie żywotne siły społeczne do materyalnéj produkcyi, jest także nieprzyjacielem sztuk pięknych. Uważa je za stratę czasu i atłasu. Zdaje mu się że działalność ludzka ma przed sobą cele ważniejsze aniżeli malowanie płócien i kucie kamienia. Bawidełka te zawsze za gotowy pieniądz nabyć można.

Mamy, a raczéj mieliśmy w gronie społeczeństw europejskich jedno, które długi czas zostawało w tyle, za innemi pod względem estetycznym właśnie z tych dwóch wyżéj przytoczonych powodów. Mówimy tu o Anglii i społeczeństwie angielskiém. Ciasna bigoterya religijna powstrzymała tam rozwój malarstwa i rzeźby jako zbliżonych nastrojem ducha do papizmu; nadzwyczajny wzrost rękodzieł i handlu wyrobił w charakterze angielskim pewien nastrój *matter of fact*, który nie łatwo pogodzić się daje z uprawą estetycznéj niwy. Arystokracya i bogacze angielscy skupowali wprawdzie na wagę złota arcydzieła sztuki rozproszone po całym świecie, ale czynili to nie z zamiłowania, nie ze znawstwa, ale jako dowód namacalny swego bogactwa, dla przepychu, albo po prostu z naśladownictwa, z mody. W samém łonie narodu, wśród klas średnich nie było żadnego pohopu do artystycznéj działalności. Szczupła stosunkowo liczba genialnych artystów, jakich spłodziła ziemia Wielkiéj Brytanii, tłómaczy się w znacznéj części temi dwoma względami. Dodaćby tu jeszcze można jako trzeciego działacza geograficzne położenie, oderwane i wyspiarskie, nie dozwalające społeczeństwu angielskiemu przyswoić sobie zdobyczy stałego lądu i połączyć się z jego ogólnym prądem.

Nie można zaprzeczyć, iż jest ciekawém zbadać warunki i okoliczności w jakich Anglia zmieniła swoje pierwiastkowe zapatrywanie na sztuki piękne i poszła w ślady starszéj braci. Naród tak wysoce samoistny, oryginalny i na tém polu, z góry można być pewnym, wyrobić sobie musiał pewną odrębność, i naznaczył sztukę swoją pewném charakterystyczném piętnem. Badacz musi tu wziąć w rachubę pewne nowe żywioły, pewne samodzielne prądy. Lepsza czy gorsza, czystsza czy mętniejsza nie wchodzim w to chwilowo, ale bezwątpienia odrębną będzie artystyczna szkoła angielska od szkoły francuskiéj, włoskiéj, niemieckiéj, itd.

Nowy prąd artystyczny który owładnął społeczeństwem angielskiém nosi nazwę Estetyzmu. Zasłyszał o nim każdy kto choć przybliżenie zna dzisiejszą Anglią: esteci angielscy narobili już i robią wiele hałasu. Zdaleka niejednemu zdawać się mogło, że jest to

Odrodzenie świtające ludzkości i że tą razą istotnie z północy światło nam przychodzi. Zbliska nawet, zbadany u źródła, ruch ten który nie ogranicza się bynajmniéj do sztuk plastycznych ale sięga do literatury i widnieje w całéj sferze domowego i rodzinnego życia nie jest pozbawiony żywego interesu. Ci co z góry odmawiają Estetyzmowi racyi bytu i wszelkiéj zasługi tak samo się mylą jak ci co wskazują Anglią jako wzór dla innych narodów. Chwasty nie powinny nam zagłuszyć zdrowego ziarna.

Nie ma dotąd systematycznéj oceny tego artystycznego ruchu, nieustalonego i znajdującego się w organicznym fermencie. Najtrudniéj spodziewać się jéj można od Anglików, którzy w rozgwarze walki na objektywną bezstronność zdobyć się nie mogą. Obcy przychodzień co oddawna i bacznie różne fazy estetycznego odrodzenia Anglii śledził, da przynajmniéj czytelnikowi tę jedną rękojmię.

Ażeby zrozumiéć, w jakich stosunkach zrodził się w Anglii estetyzm, należy nam rzucić naprzód krótki, jak można najkrótszy, pogląd na rozwój ich narodowéj sztuki.

I.

Jednym krajem w Europie zachodniéj na którym cudowna epoka Odrodzenia XV i XVI-go wieku nie wywarła wpływu, była Anglia. Podczas gdy nowe społeczeństwa europejskie wychodząc z mrocznych krużganków średniowiecznych rzuciły się z zapałem ku pogańskiemu Olympowi, co im podawał zbawczą rękę do złamania pęt scholastyki i bizantynizmu, Anglia była całkiem pogrążona w ruchu reformacyjnym. Nie na Ateny spoglądała ona i nie na Rzym Michała Anioła, Leonarda, Rafaela ale na nadziemski dramat Góry Oliwnéj i Golgoty. Wobec tych odwiecznych problematów postawionych przed energiczną rasą anglo-saską, wszystkie kwestye artystyczne zdawały się maluczkiemi igraszkami.

Gdy katolicyzm na dworze Stuartów znowu do znaczenia i blasku dochodzi, przynosi sztukę w zwojach swego purpurowego płaszcza. Karol I jest mecenasem artystów. Van Dyck jest ozdobą jego dworu i geniusz jego opromienienia tę epokę i to panowanie z tylu innych względów sromotne. Sprzyjał on rozwojowi sztuki i nie należy zapominać, że dzięki orędownictwu jego powstało *Museum Minervae*, pierwszy zaczątek Akademii sztuk pięknych. Gdy tron Stuartów runął w krwistéj kałuży, reakcya polityczna uważała nieledwie za punkt honoru iść we wszystkich kierunkach wręcz przeciwną drogą. Jak Walpole powiada, należało wówczas do religii pogardzać

sztuką. Nic dziwnego że była ona całkiem w ręku cudzoziemców. Macaulay rzucając na wstępie do epoki historycznéj, któréj dzieje miał opowiedzieć, spojrzenie na stan społeczny kraju w drugiéj połowie XVII wieku, stwierdza ten fakt nie bez zdziwienia. Lely, Kneller, Vandeveldes, Varelet i ów Verrio, którego zbyt płodny pędzel do dziś dnia rozpościera się na sufitach Windsorskiego zamku: oto szereg cudzoziemskich imion, które reprezentują artystyczną twórczość Anglii w téj epoce. Krajowego artysty ani śladu.

Narodowa sztuka angielska powstała dopiero w XVIII wieku: zaledwie obchodzi swój stuletni jubileusz. Nie mamy prawa być surowymi dla niéj ze względu na jéj młodość, ale z drugiéj strony nie potrzebuje ona żądać wyrozumiałości, gdyż liczy w swych szeregach pierwszorzędnych artystów. Można ich policzyć na palcach, ale co za artyści!

Dwa wielkie imiona przewodniczą i nadają pierwiastkowy charakter temu rozbudzonemu życiu: Hogarth i Sir Joshua Reynolds. Obadwaj, rzecz zastanowienia godna, nie tylko odznaczali się jako pierwszorzędni artyści, ale jeszcze jako twórcy i organizatorowie pierwszych artystycznych instytucyj. Obecnie, za dni naszych, powstaje żywa opozycya przeciw Akademiom i szkołom sztuk pięknych, które mają zabijać oryginalność młodzieży i narzucać jéj niewolniczą modłę. W żadnym jednak razie zarzut ten nie może dosięgnąć pierwszych organicznych zawiązków sztuki: jéj prawo obywatelstwa datuje dopiero od ich utworzenia.

Istniała wprawdzie szkoła malarska w Londynie i przed Hogarthem. Była-to szkoła na St. Martin's Lane, do któréj on, uczeń złotniczego kunsztu, uczęszczał i gdzie się rysunku wyuczył. Ale szkoła ta była raczéj rzemieślniczym cechem aniżeli akademią w pedagogiczném słowa tego znaczeniu. Gdy doszedł do wpływu i znaczenia, Hogarth przekształcił ją i zorganizował, i z niéj to wyszła większa część malarzy epoki Jerzego II i Jerzego III. Wziął téż on żywy udział w utworzeniu owéj słynnéj *Dilletanti Society* (1734 r.), która była pierwszym symptomatem interesu wyższych klas społeczeństwa dla sztuki narodowéj, tak samo jak w urządzaniu pierwszych stałych wystaw w domu podrzutków. Od tych instytucyj do utworzenia Akademii, dzieła, któremu przewodniczył Reynolds, przestrzeń nie była już daleka.

William Hogarth sam jako malarz jest potęgą. Syn ludu, był on malarzem ludu. Przed nim malowano bogów i boginie, malowano wielkich panów i wielkie panie. Malarstwo było poważne, sztywne, wykrochmalone, konwencyonalne. Z życiem nie miało, nie chciało mieć nic wspólnego. Trzeba było natury energicznéj, zuchwałéj,

krnąbrnéj, aby stworzyć nowy ideał, aby malować nie to, czego się nie widziało, ale to, co stanowiło właśnie samę rdzeń życia. Hogarth był tym rewolucyonistą. Chwycił za ołówek, za rylec, za pędzel i odtworzył w tysiącu scenach obraz narodowego życia swego czasu i swego narodu. W téj saméj epoce gdy Richardson i satyryczny Fielding, jego przyjaciel, pisali pierwsze powieściowe utwory, on opowiada także na swój sposób swoje powieści. Nie potrzeba do nich komentarza. Każda serya obrazów z codziennego życia stanowi dramat całkowity. Satyra gorzka, krwawa, urągliwa, tryska z nich pełnym zdrojem. Miał duszę reformatora ten malarz, który jest Rabelezyuszem pędzla. Widząc rozwiązłość i upadek moralnego życia narodu rzuca się na nie z zajadłością. Ironia nie dochodzi wszelako u niego do karykatury i w jego *dumb show*, nowoczesny humorysta Karol Lamb słusznie dopatrzył się nuty serdecznéj. *Sunt lacrymae rerum* u Hogartha. *Racks progress*, *Election*, *Mariage à la mode* są bez najmniejszego wątpienia arcydziełami kompozycyi.

Popularność Hogartha była swego czasu tak wielka pomiędzy średniemi klasami narodu, jak była za dni naszych popularność Dickensa, z którym miał nie mało stron wspólnych. Rozkupywano tysiącami egzemplarzy jego ryciny. Wyższe klasy towarzyskie trzymały się jednak zdala od proletaryusza, nie przypuszczając ażeby z własnego kraju i z łona gminu mógł wystrzelić geniusz samodzielny, oryginalny. W malarstwie cenili ci utytułowani mecenasi jedynie portrety, a między malarzami przybyszów z obczyzny. W ich oczach Hogarth był po prostu płaskim i cynicznym bazgraczem. Nie umieli ocenić ani jego oryginalności satyrycznéj, ani nawet technicznych jego zalet. A zalety te są wielkie. Należy on niezaprzeczenie do flamandzkiego kierunku: Teniers, Van Ostade, Terburg są jego krewniaczemi duchy. Posiada on ich zastanawiającą precyzyą rysunku, grupuje po mistrzowsku i stawia na pierwszym planie charakterystyczne typy, wyraziste sceny; żaden drobiazg nie znajduje się trafem, każdy jest nutą w ogólnéj symfonii.

Ale byłoby nieusprawiedliwioną przesadą wysławiać w Hogarcie geniusza sztuki. Ażeby nim zostać potrzeba posiadać artystyczny ideał i wznieść się do jego wysokości. Tego brakowało mu całkowicie. Nie ma ani teoretycznéj nauki i ani nie marzy nawet o stylu. Idzie nieledwie na oślep, i nie forma, rdzeń sztuki, ale treść jego obrazów zaprząta jedynie jego praktyczny umysł. Ściśle biorąc nie jest on malarzem ale illustratorem. Nie tylko równie dobrze, ale lepiéj nawet wyglądają jego obrazy rytowane i sztychowane. Jedyną zaletą jego kolorytu jest jasność. Uczuwał on praw-

dziwy wstręt do zakopconych starych malowideł *the works of black masters*, i pod tym względem stawał w zupełnéj sprzeczności z ogólnie wówczas wyznawaną teoryą. Dobry obraz, podług definicyi Sir Jerzego Beaumont, powinien być tak jak skrzypce—ciemny.

Mimo swéj potężnéj oryginalności, Hogarth jest raczéj wyjątkową postacią, bez poprzednika i bez spadkobiercy w rozwoju sztuki angielskiéj, aniżeli jéj praojcem. Nie można nawet powiedzieć żeby stworzył rodzajowe malarstwo. Był-to satyryk, moralista, starający się wzbudzić odrazę do występku za pośrednictwem swych obrazów. Wynika z tego, że niepodobna go pominąć w całościowym obrazie ówczesnéj cywilizacyi angielskiéj, ale że łatwiéj możnaby go postawić po za sferą narodowego malarstwa.

Inaczéj rzecz się ma z Reynoldsem. Nie tylko jest on twórcą angielskiego malarstwa i najznakomitszą artystyczną gwiazdą tego horyzontu, ale zajmuje w pośród mistrzów wszech epok i wszech krajów miejsce poczesne. Nie ma reguły, nie ma prawa dla genezy geniuszu, i nigdzie nie pokazuje się to lepiéj jak na tym artyście, który powstał wśród społeczeństwa, wśród otoczenia najmniéj artystycznego, i który odrazu rzutką siłą twórczości wzniósł się na podniebne wyżyny.

Josuha Reynolds miał jak większa część artystów trudne początki, ale zatarły się one wobec późniejszéj jego sławy. Za młodu stosunkowo, doszedł do przodownictwa krajowemu artystycznemu ruchowi, i gdy w 1768 Jerzy III funduje królewską Akademią sztuk pięknych, artyści na jéj prezesa, wbrew oczekiwaniom króla, wybierają Reynoldsa. Sir Josuha Reynolds w przeciągu długiego swego życia—umarł w 1792 roku—wywierał rodzaj królewskiéj władzy w swéj ojczyźnie. Człowiek i artysta znajduje się w zupełnéj harmonii: obaj kochają się w blasku, okazałości, świetnym kolorycie, w purpurze. Reynolds żyje w pośród arystokracyi angielskiéj i unieśmiertelnia ją w szeregu kilkuset portretów. Samouczek prawie, po powrocie z trzechletniego pobytu we Włoszech odrazu pokazuje swe wysokie aspiracye. Chociaż Anglik, miał oczy dla piękna, dążył do ideału. A ideał to był skomplikowanéj natury: nadziemska wielkość Michała Anioła przemawiała do jego ducha, ale przedewszystkiém chciał odkraść weneckim mistrzom tajemnice ich w złocie kąpanéj palety. Nie można zaprzeczyć, że ilekroć probował sił swych w religijném albo historyczném malarstwie, tworzył istotne dziwolągi: brakowało mu tchu i natchnienia. W pojedynczéj za to figurze, w portrecie, w którym zamknął się nakoniec zupełnie, był nieporównanym. Portrety jego są téż obrazami w całém słowa tego znaczeniu. Umie się on wznieść w nich do szero-

kiego stylu: jest poważny, wspaniały, a zarazem posiada naturalność, swobodę, i powiedzielibyśmy prostotę o tyle, o ile ona da się pogodzić z pompą. Jest on namiętnie oddany swéj pracy, i chociaż nią przeładowany, chociaż nie ma czasu wykończać swych obrazów i często je tylko podmalowuje, nie traci nigdy z oczu swego celu: chce odkryć chemiczną kombinacyą kolorów, któraby mu pozwoliła dać im tę świetność, za którą gonił bezustannie. Łączy terpentynę, wosk i nie wiedzieć jakie czynniki do farb któremi się posługuje. Dochodzi chwilowo do nadzwyczajnych efektów, ale w krótkim czasie obrazy jego straciły swą świeżość, połupały się, popękały, zwiędły i obecnie mamy tylko ich ruiny. Nie podobna jednak, jakiekolwiek są one, oprzéć się ich porywającéj potędze. Chociaż dydaktyzm jego profesorski wytworzył sobie pewien jednostronny kierunek i pewne ciasne formułki, chociaż każdy ton, każdy szczegół, każdy rys jest obmyślany; chociaż sztuka posunięta do ostatnich granic staje na miejscu samorodnego natchnienia, chociaż tu i owdzie napuszoność i brak naturalności biją w oczy, mimo tego Reynolds był mistrzem pierwszorzędnym. Są niektóre jego portrety jak księżny Devonshire, albo Nelly O'Brien, albo pani Siddons jako muzy tragedyi, które raz na zawsze ryją się w pamięci i wywierają wrażenie jednego z tych skończonych utworów, nieposzlakowanych, od których się już niczego więcéj wymagać nie ma prawa, które zostawiają w duszy widza poczucie zupełnéj doskonałości.

Życie zawsze w przeciwieństwa zasobne stworzyło jednocześnie z Reynoldsem jego wielkiego współzawodnika Tomasza Gainsborough. I jako ludzie i jako artyści byli całkiem odrębni. Reynolds, uszlachcony, dworak, światowiec żyjący poufale z wielkimi panami; Gainsborough skromny, cichy, odludek, fantastyk, zamiłowany w muzyce, w prostocie, pędzący życie na łonie natury. Pierwszy dąży do silnych, dramatycznych efektów, drugi do delikatnéj gamy tonów; pierwszy jest niewyczerpanéj rozmaitości, drugi ciągle do jednych i tych samych form powraca; pierwszy śmiało patrzy słońcu w oko, drugi wzdycha przy srebrnym księżycu; pierwszy przypomina Tycyana albo Giorgione; Van Dyck był bogiem drugiego.

Na jednym punkcie Gainsborough jest stanowczo wyższym od Reynoldsa: przez poczucie natury. Ten poeta pędzla wszedł w ścisły związek z przyrodą. Nie tylko jak wielki jego rywal maluje genialne portrety, ale maluje krajobrazy swojskie, sielankowe, pełne niewysłowionego wdzięku i wewnętrznéj harmonii. Często są to tylko szkice, którym wykończenia brakuje, ale które mimo tego noszą znamię mistrza. Figury, a szczególniéj dzieci w krajobrazach

jego rozsiane są pełne życia; nie w atłasie i koronkach jak u Reynoldsa, ale w łachmanach: tryska z nich życie. Krajobrazy Tomasza Gainsborough zapowiadają już Turnera najgenialniejszego angielskiego malarza.

Nawet pod względem kolorytu Gainsborough może wytrzymać walkę z Reynoldsem. Jest to gama tonów całkiem odmienna, srebrzysta, niezaprzeczonéj potęgi. Ruskin, który stawia go obok Rubensa, przesadza podług swego zwyczaju. Oryginalność jego nie tylko pokazuje się w błękicie *blue-boy'a* i pani Siddons — kolor ten jak wiadomo był potępiony przez Reynoldsa — ale w śmiałych i niezwykłych kombinacyach. Nie był on dogmatycznym teoretykiem, nie stawiał aksyomatów kolorytu *à priori*, ale szedł za głosem natchnienia, które ukazywało mu w nieświadomy sposób prawdziwe piękno.

Gdyby sztuka angielska była rozwijała się po drodze wskazanéj przez tych dwóch genialnych artystów i kształciła na tak doskonałych wzorach, nie ma wątpienia, że w krótkim czasie nagrodziłaby czas stracony i stanęła odrazu na czele ruchu europejskiego. Niestety, te dwa geniusze stoją samotnie, o całe niebo wyżsi od swych bezimiennych poprzedników, osłaniają także swym cieniem to mrowisko, ten tłum drugorzędnych artystów, co po nich puścili się w tropy z naiwnością, która rozbrajać musi surowość krytyki, ale z tak zupełnym brakiem talentu, oryginalności, że długi czas zdawać się mogło, iż to wina społeczeństwa, do którego należeli. Dzika samodzielność Hogartha, potęga i blask Reynoldsa, idealny nastrój Gainsborough nieznalazły spadkobierców. Nie pisząc tu historyi sztuki angielskiéj, nie mamy potrzeby stawiać przed oczami czytelników tych zastraszających mierności. Akademia sztuk pięknych liczyła zawsze swoich czterdziestu niby nieśmiertelnych członków, byli artyści jak Benjamin West, którzy za życia dzięki protekcyi i modzie uchodzili za geniuszy, których obrazy płacono za życia po 3,000 funtów szterlingów, a po śmierci zaledwie 10 funtów, byli malarze płodni w każdym kierunku, ale nie ma ani jednéj istotnie potężnéj indywidualności. Nie zrobimy nawet całkowitego wyjątku dla Sir Tomasza Laurence, słynnego portrecisty w początkach i pierwszéj ćwierci naszego stulecia.

Bezwątpienia Sir Thomas Laurence jest dobrym malarzem portretów, ale nie ma w nim nawet skry geniuszu Reynoldsa. Przypatrując się zbiorowi jego arcydzieł w zamku Windsorskim, téj galeryi monarchów i ministrów, co zasiadali na kongresie wiedeńskim, nie można zaprzeczyć, że powierzchowne to tylko malowidła. Nie ma ciała pod ubiorem, nie ma kości i muskułów pod ciałem. Zawsze

to samo oświetlenie, żadnego połączenia głowy z tłem obrazu, pospolitość kolorytu, jednostajność akcesoryów. Wszystkie tryumfy jakich doznał, cała sława jaką był otoczony, nie jest w stanie zasłonić nam jego braków.

Ety, Northcote, Leslie, Collins, Wilkie Mulready malują rodzajowe obrazki nieraz udatne i pełne życia. Gdy porzucają swoję ciaśniejszą sferę, i po powrocie z obczyzny, po zbadaniu cudzoziemskich arcydzieł, gdy rzucają się do wielkiego stylu, tworzą jedynie poronione płody: tchu im do tego nie staje. Najsmutniejszy przykład tego zmarnowania oryginalności daje wyżéj wzmiankowany Wilkie, który w początkach miał z Hogarthem kilka stron wspólnych, którego sielski *humour* nie był bez powabu, a który przeszedł mimo tego bez wpływu istotnego na postęp sztuki. Oto wszystko co można powiedziéć o dotychczasowém malarstwie angielskiem: nic więcéj. Ani jednego wielkiego religijnego, ani jednego wielkiego historycznego malarza. Zupełna próżnia. Zdawaćby się mogło, że po za odtworzeniem jednostki w portrecie, i po za rodzajowemi obrazkami, mniéj lub więcéj anegdotycznemi, nie ma w dziedzinie niezmierzonéj sztuki żadnego obrębu, gdzieby się mógł ideał angielski osiedlić i rozgościć.

II.

Nie wolno jednak być niesprawiedliwym nawet dla Anglików. Jest jedno pole na którém okazali się znakomitymi pracownikami; mówimy tu o krajobrazie.

Wiele powodów złożyło się na ten kierunek specyalny. Jako jeden z główniejszych uważamy epokę w któréj zrodziło się malarstwo angielskie. Wiek XVIII był świadkiem rozbudzonego poczucia przyrody. Ani starożytni, ani wieki średnie, ani epoka Odrodzenia, ani klasyczny wiek XVII nie posiadały zmysłu dla natury. Dopiero wiek XVIII ze swoim humanitaryzmem, ze swym idealizmem sympatycznym spojrzał na przyrodę jako na matkę rodzicielkę—*alma parens*—i opiewać zaczął piórem i pędzlem jéj nieprzebrane piękności. W téj epoce zbliżenia się do natury, zagłębienia się w jéj tajniki, Anglicy malować zaczęli. Nic dziwnego, że prąd ogólny i ich porwał za sobą.

Byli lepiéj przygotowani do składania hołdu naturze niż inne społeczeństwa, raz dla tego że byli głęboko religijni, moralni i że brzydząc się rozwiązłością zbliżali się nastrojem ducha do sielskiéj prostoty, a potém dlatego że krajobraz angielski jest istotnie uroczy,

obfitujący na każdym kroku w malownicze widoki. Kto raz postawił nogę na ziemi angielskiéj, kto raz widział te pełne rozmaitości morskie wybrzeża, te szmaragdowe łąki, tę nieznaną gdzieindziéj głębię i obfitość wegetacyi, te drzewa rozłożyste szanowane z czcią dziecięcą, te parki bez końca, te wąwozy Nowéj Walii, te jeziora (*Loch'y*) szkockie, te rzeki igrające pod ciepłem słońcem albo gubiące się w mgle tajemniczéj, kto raz zapoznał się z urokiem téj przyrody, ten zrozumie, że malarze angielscy nie potrzebowali szukać pod obcém niebem popędu do jéj odtwarzania.

Nie schodząc do Ryszarda Wilsona, widzieliśmy już w Tomaszu Gainsborough wielkiego poetycznego pejzażystę, który nie uciekał się do efektów dramatycznych, i który w gamie umiarkowanéj tonów, prawie w półcieniach malował swojskie idylle chwytające widza za serce. Old Crome, jest chronologicznie rzeczy biorąc, drugim wielkim tłómaczem natury. Oddaje on jéj potęgę w sposób nieporównany. Jego rozłożyste konary dębów, jego wzgórza wrzosami zarosłe, jego podwórza folwarków, zerwały całkowicie i raz na zawsze z mdłym konwencyonalizmem, który chce przystrajać naturę nie będąc w stanie jéj zrozumiéć. Trzecim rozwojowym punktem w krajobrazie angielskim są utwory Johna Constable'a. Walczył on długo z trudnościami i dopiero po śmierci oddano mu w ojczyźnie hołd, na jaki zasługiwał. Należy on bez wątpienia do najznakomitszych pejzażystów i nie jest przesadą, gdy się go obok Ruysdaela i Hobbemy stawia na równi. Kochał on naturę namiętnie, gorączkowo, i malował bez żadnych osłon, zrywając zuchwale z tradycyą akademicką, która ani jaskrawych tonów wiosennych, ani purpury jesieni jako wyjątkowych chwil w życiu przyrody malować nie pozwalała. Jego nieba błękitne, jego obłoki pędzone wiatrem, jego łuki tęczowe, jego wody głębokie bądź szare, ołowiane jak Tamizy bądź przejrzyste i wilgotne, jego kompozycya niespodziana pozbawiona maniery, w któréj pejzażyści ugrzęzli do Claude Lorraine'a i Poussin'a włącznie: wszystko to trzeba widziéć, aby zrozumiéć siłę i rzutkość téj jasnéj, życiowéj palety.

Możnaby sądzić, że w Johnie Constable'u krajobraz angielski doszedł do szczytu i że daléj jużby iść nie można, gdyby nie stawała przed nami potężna osobistość Józefa Mallorda Williama Turnera. Jest to olbrzym, jest to chluba Anglii i powiedzielibyśmy, gdyby klasyfikacya ścisła nie zdawała się nam w dziedzinie sztuki z natury swéj arbitralną, powiedzielibyśmy, że jest to największy pejzażysta nie tylko Anglii i naszego stulecia, ale wszystkich krajów i wszystkich stuleci. Napisano o Turnerze kilkadziesiąt tomów, a Ruskin, ów estetyk i krytyk angielski, który od lat kilkudziesięciu jest wy-

rocznią w swym kraju w przedmiotach sztuki, poświęcił zbadaniu tego artysty niemal całe swe życie. On to po śmierci Turnera, która nastąpiła w 1851 r., uporządkował pozostałe po nim obrazy olejne, wodne, szkice i studya, które Turner zapisał swéj ojczyźnie. W *National Gallery* znajduje się sto piećdziesiąt obrazów i do 400 jego rysunków i szkiców. Trzeba je widziéć w oryginale, aby zrozumiéć wielkość tego artysty: żaden opis tego nie zastąpi.

Jako człowiek Turner nie jest bynajmniéj sympatyczny. Brzydki, niezgrabny, brudny, pospolity, szorstki, złośliwy, uszczypliwy, skąpiec. Odludek, żyje tylko dla sztuki i w duszy swéj pieści promienny ideał. Powoli rozbraja zawiść, przebojem zdobywa sobie miejsce i króluje sztuce swego kraju. Gdy umiera w biedném domostwie, gdzie się ukrywał pod przybraném nazwiskiem, Anglia dowiaduje się o jego śmierci z przerażeniem i grzebie uroczyście jego zwłoki w katedrze ś-go Pawła obok Reynoldsa i Laurence. Krajowi zostawił swoje zbiory, na które nie ma ceny, i kilkomilionową fortunę.

Jako artysta Turner stoi samodzielnie. Nie daje się porównać z żadnym z innych malarzy. Nie jednę stronę, nie jednę fizyonomią natury ale całą nieprzebraną jéj rozmaitość odtworzył. Nic go nie odstraszało, im większe materyalne trudności miał do złamania, tém energiczniéj na nie się ciskał. Krajobrazy jego są heroiczne jak Tycyana, klasyczne jak Poussin'a, pasterskie jak Cuypa, ale ileż w nich innych stron jeszcze! Przechodzi najrozmaitsze epoki i stadya rozwojowe. Naprzód naśladuje holenderskich mistrzów; potém rywalizuje z Claude Lorrainem. Malarz ten tak długo uważany był za najpierwszego z pejzażystów, że nic dziwnego że Turner chciał go zwalczyć na jego własném polu. Dwa klasyczne swoje krajobrazy podarował National Gallery z warunkiem aby były zawieszone obok dwóch najlepszych płócien Klaudyusza. Tamten zostawił swoje *Liber Veritatis*, Turner przeciwstawił mu *Liber studiorum*. Trzecia epoka mistrza jest dopiero zupełnie samodzielną: czuje się na siłach być sobą i tylko sobą. Od dawna już wprowadził do swéj palety jasne tony akwareli ale teraz śmiało dąży do światła, do słońca. Kolory pomarańczowe, karmazynowe, purpurowe, najzuchwalsze znajdują się teraz na jego usługi. Promienie biją z jego obrazów, płynne złoto leje się strugą, powietrze, niebo, woda, ziemia wszystkie żywioły zaprzęgnięte są do rydwanu słońca. Czar porywa widza. Czy na Wschodzie, czy we Włoszech, czy na swéj ziemi rodzinnéj wszędzie chwyta naturę w wielkich, charakterystycznych rysach. Pochwycić w lot światło: oto cel do którego zdąża. W pogoni za tym nieuchwytnym ideałem stracił nieraz ziemię z oczu, i nie ma w jego

płótnach tego realizmu, téj prozy, która tyle innych utworów malarskich szpeci. Fantazya jego stwarzała świat wyższy, piękniejszy od świata istniejącego. Pełen gorączki, nieregularności—tworzy, tworzy bez przerwy arcydzieła albo poronione straszydła: w przesadzonéj czci dzisiejsi Anglicy ubóstwiają nawet te ostatnie i rozwieszając je obok pierwszych czynią mu ujmę. Gdyby był fotografem życia a nie snuł ze swego ducha niebiańskich widziadeł, byłby zapewne równiejszym, ale nie byłby geniuszem oryginalnym, bez mistrza ale też bez ucznia, bez szkoły coby go naśladować i wyzyskiwać mogła.

Ażeby wyczerpać charakterystykę Turnera należy zauważyć, że malował nietylko olejno ale i wodnemi farbami, i że słynna akwarela angielska, do niedawna jeszcze najpierwsza w świecie, uważa go za swego ojca i kapłana. Obrawszy sobie jako cel, jako zadanie odtworzyć światło, Turner posługiwał się wodnemi farbami w sposób mistrzowski. Ich delikatność, harmonia, miękkość pozwalały mu wprowadzać do swéj palety niesłychaną rozmaitość tonów; zuchwały jego geniusz co się przed trudnością żadnego przedsięwzięcia nie zatrzymywał odrazu znajdował kolor właściwy. Gdy się jego obrazy olejne studyuje sumiennie, nabiera się przekonania, że tylko długie i wyczerpujące prace akwarelowe były w stanie dać mu klucz do tych nieporównanych kreacyj. Całą doniosłość tego spostrzeżenia zrozumie czytelnik w następstwie, gdy uwidoczni się spójnia jaka istnieje pomiędzy Turnerem a dzisiejszymi Estetami.

Powiedzieliśmy uprzednio że Anglia wszedłszy dopiero od stu lat w prąd artystycznéj twórczości nie posiada zastępów wielkich, genialnych malarzy. Mimo tego względnego ubóstwa mieliśmy jednak sposobność wymienić Hogartha, Reynolds'a, Gainsborough, Turnera i kilkunastu *dii minores*. Wypada nam jednak zamknąć tę nomenklaturę. Do tych czterech mistrzów nie śmiemy nawet dodać piątego Sir Edwina Landseer, chociaż mu ani tryumfów ani sławy nie brakło i chociaż istotnie jest nader przyjemnym, nader sympatycyzm malarzem. Popularność jego w Anglii i po za nią nie ustała od jego śmierci, która nastąpiła w 1852 roku. Jest to jeden z najznakomitszych malarzy świata zwierzęcego jacy kiedykolwiek istnieli. Jeżeli nie stawiamy go wpośród plejady oryginalnych i twórczych poprzedników i rodaków jego, to pochodzi to z jego eleganckiego konwencyonalizmu i z niezaprzeczouych usterek jego kolorytu. Zwierzęta które Landseer maluje, czy to jelenie i daniele w głębi książęcego parku, czy sfory psów albo rasowe konie na magnackich polowaniach, są zawsze obdarzone wysoką inteligencyą i nieledwie człowieczym wzrokiem. Indywidualność ich jest zawsze odda-

na znakomicie. Ale obok tego co za wyrafinowa konwencyonalność, jak zupełny brak życiowéj prawdy, jak tam wszystko zamieciono, uprzątnięto, wygłaskano, wycackano. W słynnym jego obrazie gdzie kowal kuje konia, nie ma potrzeby obawiać się aby rumak uderzył robotnika zadnią nogą; koń jest zanadto dobrze wychowany. Koloryt co się szczerych tonów obawia a do harmonii półtonów dojść nie może, zostawia wiele do życzenia. Ażeby zupełnie być zadowolonym z utworów Landseera, trzeba widzieć je w sztychu, w jednym z tych miękkich, jasnych, przedziwnych sztychów, które brat jego i S. Cousius wykonał. Stawiając Landseer'a na téj saméj linii co Constable'a nie uczynimy mu żadnéj ujmy.

Z krótkiego powyższego zarysu historyi artyzmu angielskiego od czasu, jak sztuka samodzielna w Anglii istnieje, aż do dnia onegdajszego, aż do epoki, która się kończy z upływem piątéj i szóstéj dziesiątki naszego stulecia, daje się wyprowadzić wniosek, że dotychczas byli tam sporadycznie, epizodycznie wielcy artyści, ale nie można twierdzić, żeby była istniala angielska szkoła malarstwa. Samodzielna szkoła opiera się na jednolitych tradycyach, wspólnym wykładzie mistrzów, na jednakowym sposobie zapatrywania się na naturę i człowieka; na pewnéj ustalonéj metodzie kompozycyi obrazów, układu, grupowania, drapowania, nawet na pewnych mechanicznych formułach i przepisach co do używania kolorów, etc. Kto się zna na malarstwie, ten nie pomyli się nigdy i nie wezmie szkoły bolońskiéj za medyolańską a jeszcze mniéj nie przypisze szkole hiszpańskiéj dzieł flamandzkich, itd. Indywidualność szkół jest niezaprzeczona. Nie ma niczego podobnego w Anglii, i być nawet nie może przy braku wszelkiego artystycznego organizmu. Podczas gdy u innych społeczeństw napotykamy szereg mistrzów, z których każdy gromadzi około siebie uczniów, zapoznaje ich ze swym estetycznym ideałem i uczy ich zwalczać pewne techniczne trudności, w Anglii nie było śladu takich pracowni. Akademia sztuk pięknych była jedyną instytucyą narodową, gdzie kształcono młodzież teoretycznie i praktycznie, ale wiadomo, że wykład sztuki *ex cathedra* jest zaledwie jedną i niewystarczającą częścią zadania, i że brakuje mu indywidualności. Przemaga tam zawsze jakaś modła konwencyonalna, zimna, sztywno-klasyczna, i między sztuką tak zwaną akademicką a oryginalną, odpowiednią narodowym prądom istnieje istotna przepaść.

Trudniéj jeszcze było zapełnić ją w Anglii. Każdy artysta angielski jak tylko nauczy się mięszać kolory na swéj palecie, chce iść samodzielnie i szuka swéj drogi niezależnie od tradycyi, od mistrzów, od szkół. Gdyby społeczeństwo posiadało wrodzony smak

do plastyki, możnaby wnosić, że ta oryginalność wsparta na wytwornym smaku może wytworzyć arcydzieła. Ponieważ rzecz ma się przeciwnie, nie dziwota, że istnieje w Anglii mnóstwo malarzy malujących potworne dziwolągi. Na jednego istotnie obdarowanego artystę istnieją setki ohydnych bazgraczy. W sztuce tak skomplikowanéj jak malarstwo nie wystarcza chciéć być oryginalnym i twórczym: trzeba umiéć wyrobić w sobie tę samodzielność, trzeba przygotować się do niéj przez szerokie i wyczerpujące studya.

Tak samo jak w politycznym ustroju angielskim brakuje jednolitego, logicznego organizmu a natomiast istnieje samorząd municypalny i prowincyonalny, tak samo jak w łonie społeczeństwa angielskiego przechowały się dotąd feodalne przywileje obok nowoczesnych zasad; tak téż i w dziedzinie sztuki panował tam prawdziwy chaos. Trudno było znaleść dwóch artystów idących pod jednym i tym samym sztandarem. Zdawało się każdemu, że jego obowiązkiem, jego zadaniem jest stworzyć nowy styl, nowy typ piękna.

Ta psychologiczna strona Anglików dążąca do niezależności, do wyzwolenia artystycznéj jednostki z oków tradycyi i więzów szkoły, nie powinna być upuszczana z uwagi. Wielki myśliciel John Stuart Mill, widział w wielkiéj ilości oryginałów, oryginalności swojéj świadomych, probierz wolności publicznéj. Nie można teoryi téj zastosować do estetyki. Są tu pewne prawa, których nie przekroczy ten kto rości pretensye do tworzenia piękna.

Zaledwie sztuka angielska wyszła z powijaków, zaledwie grunt pod nogami uczuła, zaledwie kilku wielkich gieniuszy pokazało im drogę i wystawiło słupy wiorstowe a natychmiast spotykamy się z rodzajem buntu przeciw ich teoryi i praktyce, z silną reakcyą artystyczną przeciw całemu dotychczasowemu rozwojowi sztuki. Ten ruch właśnie, znany pod ogólném mianem *estetyzmu*, będzie obecnie przedmiotem szczegółowszego rozbioru.

M. E. Trepka.

JAN OSTRORÓG

I KLASY NIŻSZE SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO W XV WIEKU.

PRZYCZYNEK DO HISTORYI SPOŁECZNÉJ W TYMŻE WIEKU.

Projekt reformy Rzeczypospolitéj Jana Ostroroga, skreślony przezeń w połowie XV wieku, za Kazimierza III Jagiellończyka, niejednokrotnie już zajmował naszych pisarzy i badaczy. W ostatnich czasach profesorowie Bobrzyński, Caro i Pawiński w krótkich przerwach 1877, 1883 i 1884 wystąpili ze specyalnemi rozprawami lub wydaniami samego pomnika, objaśniając jego genezę lub téż znaczenie w ogólnym rozwoju dziejów. Praca prof. Pawińskiego p. t. „Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie Rzpltéj, studyum z literatury politycznéj XV wieku"—dopiero opuściła prasę. Interes więc sprawozdawczy, potrzeba kontroli literackiéj, skłaniałaby już do wspomnienia o niéj. Obok tego, sam ów memoryał Ostrorogowy, jako próba zaradzenia wadom organizmu społecznego i politycznego, ma w wieku *elektrycznym* (jak go ktoś nazwał ze względu na niebywałe zastosowania téj siły) i *socyalnym* (na co zasługuje) szczególniejszą wartość. Jest-to bądź-co-bądź próba wydźwignięcia głazu Syzyfa — społeczeństwa ludzkiego, po nad ciężkie przeszkody, stawiane dla zdrowego i spokojnego rozwoju, z nizin sporów... krwawych często, szkodliwych nieraz, zwlekających zawsze, nieproporcyonalnych do zysku w wielu razach. Dla naszych dziejów próba to jest tém ciekawsza, że przypada na czasy do niedawna prawie-że lekceważone.

Nie mówię tego o badaczach, ale o ogóle czytającym.

Wiele reform XVIII wieku, pewne zjawiska epoki Sasów i Wazów, epoka złota—oto fakta i formuły najpowszechniéj znane, najczęściéj czytane lub... słyszane.

Mówiąc jeszcze ściśléj, dziś wiek XVIII stanowi kopalnią nieocenionéj rudy dla badaczów naszéj przeszłości. Dziś jesteśmy w okresie krytyki. Uwielbianie epoki saskiéj, idealizowanie jéj strony dekoracyjnéj przy wewnętrznym rozkładzie, obudziło wstręt nietylko do XVII wieku, ale często stronną niechęcią przejmuje do epok dawniejszych.

Wiek piętnasty dla ogółu — że nietknięty ręką Szajnochy, tego twórcy popularyzacyjnéj szkoły u nas—jest, bodaj czy nie mniéj znany w dziejach naszéj historyi, ogółowi, niż Congo lub Ogowe afrykańskie w geografii. Mimo poruszanych wielokrotnie czasów Kazimierza Jagiellończyka, mają one dla przeciętnego czytelnika barwę i perspektywę... archeologiczną wielce, niemal-że świata przedpotowego.

Jeszcze wiek XVI, XVII przyczynowo łączymy z wiekiem XVIII. Mówić o X-tym lub XV-tym, prawie że się znajdzie jedną obojętność. Nic tam wspólnego z nami— mówi ogół „szerszy.“ I rzeczywiście w pracy Wojciecha hr. Dzieduszyckiego „O honorze średniowiecznym“, obraz memoryału Ostroroga, robi na nas wrażenie tego braku spójności z naszemi pojęciami. Wedle hr. Dz. memoryał ów miał być niedościgłym „ideałem *urzędniczéj*, *uczonéj* duszy,“ „ideałem *uniwersyteckim.*“ „Królestwo całe miało się rozłożyć szematycznie, jak *systemat uczonego scholastyka*“ („Bibl. War.“ 1880, III, 27). Zato p. Kazimierz Jarochowski zdając sprawę z pracy prof. Caro o Ostrorogu („Niwa“ 1883, z 1 kwiet., zesz. 199), wykazał dla „szerszéj“ naszéj publiki w czém właśnie ten autor memoryału był niejako *stworzonym*, „by rzucić, jeżeli tak wolno powiedzieć, pomost *zgody i porozumienia* między Polską XV wieku a hołdującym dzisiejszym wyobrażeniom i prądom *obcym* historykom.“ Zdaniem referenta „Niwy“, Jan Ostroróg „najszczerszy patryota polski“ dla tego sobie zdobył uznanie dzisiejszych badaczy i polityków niemieckich, że schodzi się z ich ideałami. Sympatya profesora Caro dla *„postępowca* XV wieku“ leży w tegoż poglądzie, że państwo winno przewodzić kościołowi, czego tak zwana „walka cywilizacyjna“ domagała się natarczywie. Obok tego jednak prof. Caro, a za nim jego referent przyznają, że ów postępowiec występuje gorąco w obronie narodowości. Pan K. J. mówi nawet, że „niespożytym zaszczytem, nieprzedawnionym (w oczach teraźniejszości nawet jeszcze) myśliciela XV wieku zasługi tytułem jest, brzmiący we wszystkich szczegółach przez wszystkie postulaty jego traktatu, podstawny akord— niezawodzącéj się miłości *narodowego* żywiołu.“

Prof. Pawiński na inną tonacyą przełożył antykościelny kierunek reformy Ostroroga; na tęż samą transponuje narodowy ferwor

antygermański, co antykościelny, to jest znajduje dla obu kierunków źródło piętnastowieczne czyli husytyzm czeski. W humanistycznéj ogładzie Ostroroga dopatrzył podniety dla jednego a może i dla obu tych kierunków. Tym sposobem usunął podejrzenie, nastręczające się przy pracy prof. Caro, że *dzisiejsze* poglądy *zabarwiły* piętnastowieczny kontur reformatora polskiego. Tenże prof. Pawiński zbił wreszcie hypotezę, a raczéj tezę prof. Caro, że Ostroróg zapożyczył myśli a może form stylowych od niemieckiego Reisera (a względnie cesarza Zygmunta I), wykazując, że podobieństwa obu reformatorów płyną z tożsamości natchnień i wzorów (husytyzmu), nie zaś z wzajemnego naśladownictwa. Tym sposobem sympatye kulturkampfowe, nieistniejące dla polskiego czytelnika przeciętnego, zamieniają się na ogólniejszy objaw zajęcia, jakie budzi, zawsze, odwieczny spór *dwu mieczy* (cesarza i papieża),odwieczna kwestya granic między sprawami wiary i sumienia z jednéj, a wiedzy i życia z drugiéj strony (por. Paw. str. 68).

Z tego stanowiska patrząc na Ostroroga, mimowoli zapytać się musimy, czy i owa „ślepa i namiętna, do Niemców nienawiść"—jak się wyraża prof. Pawiński (str. 106)— czy i owa nienawiść etnograficzna na równi z kościołem i papieżem (por. str. 63) wyprowadzająca Ostroroga z tonu umiarkowania i spokoju poważnéj, piśmiennéj dyskusyi — jest istotnie „pomostem ułatwiającym dzisiejszéj publice zrozumienie Ostroroga?" Niechcemy przez to twierdzić, by kwestya narodowości przestała być nią dzisiaj. Ale stanowczo ośmielamy się wyrzec, że forma, którą téj kwestyi nadają badacze Ostroroga, nic dla XIX wieku nie wyraża; jest formą, z któréj duch uleciał.

Reformator XV-to-wieczny wybucha nienawiścią *nie przeciw* narodowi niemieckiemu (chciejmy o tém pamiętać), aczkolwiek prof. Pawiński to przypuszcza (str. 106), stawiąc dla niéj źródło w tradycyjnych (?) walkach Ostrorogów z Krzyżakami i we wpływie husytyzmu. Niemcy za Ostroroga są *stanem mieszczańskim* w Polsce i ferwor reformatorski Ostroroga w tym punkcie jest nienawiścią chyba stanową, ale nie narodową. Kwestya w takich ramach ujęta nie jest kwestyą narodową, względnie polityczną, ale społeczną.

I to jest właśnie kwestya czyniąca z projektu Ostroroga w XV wieku materyał niezmiernie ważny dla dziejów społecznych w naszym kraju, dla genezy rozwoju i upadku stanów w dawnéj Polsce. Jest-to cecha druga, dla nas dzisiaj *żywotna* owego projektu.

Ta zaś kwestya mieszczańska i chłopska prawie znika w opracowaniach powyżéj wzmiankowanych. Prof. Caro, a za nim szerzéj rozwijając jego skargę pisze Jarochowski: *O stanie najniższym* (t. j. chłopie) *niesłyszemy nic zgoła* w traktacie Ostroroga („Niwa" str. 487).

Jarochowski spostrzega nawet, że traktat ten pominął kwestyą społeczną, zamknął na nią oczy.

Prof. Pawiński spostrzega pewne pozostałości rutyniczne, zaśniedziałe w idejach Ostroroga o służbie wojennéj, li szlacheckiéj, widzi sprzeczność w jego poglądach na brak kmieci rzemieślników i brak uzbrojenia (85), znajduje rysy charakteryzujące *stanowisko społeczne* autora (86, 88); nieokazuje się jednak skłonnym do zajrzenia w oczy Ostrorogowi, jako reformatorowi socyalnemu, nie zbiera tych różnych faktów do jednego socyologicznego mianownika, który zastępuje piętno narodowości dotąd wyłącznie w projektach Ostroroga dopatrywane.

Prof. Bobrzyński („Przewod. Nauk. i Lit." 1877, str. 800) nastąpił dość wyraźnie na tę żmiję, pod wolnomyślnemi kwiatami memoryału Ostroroga ukrytą. Składa jednak co rychléj na ekscentryczność, na przesadę w zmyśle porządku reformatora treść §§ 47 i 19-go, które czytając „moglibyśmy mniemać, że Ostroróg pragnie zaostrzyć przedział istniejący między stanami"; co właśnie za charakterystykę reform socyalnych Ostroroga uważa Dzieduszycki.

Kunsztowną obronę tych paragrafów u prof. B., interpretacyą ich w duchu postępowym—więc równania wszech stanów w obliczu prawa z pomocą § 32 (mówiącego o jedności praw) — odrzucił prof. Pawiński (str. 83), słusznie dowodząc, że absolutyzm królewski u Ostroroga niema być taranem równo wszystkie przywileje łamiącym, lecz tylko murzynem, który złamawszy kościół, *hat seine Schuldigkeit gethan, und kann gehen.* Potém prof. P. wykazuje, że bądź-co-bądź utrzymał Ostroróg różnice stanowe (str. 93), mimo swéj romanistycznéj fantazyi, narzucenia Polsce jednego ogólnego prawa rzymskiego.

Lecz jak w własnych uwagach, tak w téj krytyce wciąż dotykanéj kwestyi socyalnéj nie poruszył, aczkolwiek byt jéj mimowoli zaznaczał.

Jak ta kwestya socyalna jest widoczną w pracy Ostroroga, a jak jéj niemogli czy niechcieli spostrzedz badacze i krytycy najnowsi, dość jeszcze zauważyć dziwną tę sprzeczność twierdzeń profesorów Caro (wzgl. Jaroch.) i Pawińskiego, że pierwszy biada, iż Ostroróg przemilczał o stanie najniższym, a ostatni cytuje paragrafy o nim mówiące (podobnie jak prof. Bobrzyński).

Zdaje się, że przemilczenie téj kwestyi leży:

1) W fałszywém postawieniu kwestyi niemieckiéj w barwach narodowych zamiast stanowych, a to wskutek niezważania na fakt, że mieszczaństwo w XV wieku u nas było niemieckie, i że napadając Ostroróg na narodowość, właściwie godził na resztki praw mieszczan.

2) Kwestya socyalna została zaćmioną do szczętu przez krytykę kościoła, przezco i ustępy mówiące o ludzie wiejskim i o mieszczanach uznano za ekspektoracye antykościelne Ostroroga.

Tym sposobem znikła i zasadnicza myśl reformy Ostroroga, żeby zgnieść kościół przez króla (na co prof. Pawiński położył słusznie nacisk), aby zostawiwszy go bez broni w stosunkach ze szlachtą, bezsilnym jak dawniéj (tenże badacz)—zgnieść téż i inne stany, o ile jeszcze samodzielności zachowały, wydrzéć im i te resztki, a na ruinach zdrowego organizmu społecznego zatknąć sztandar państwa kastowego, jakim Polska od XVI w. już się okazuje. Nie wiedzie nas do tego wniosku żadna myśl wsteczna lub chęć zabłyśnięcia czémś nowem.

Fakt ogólny walki szlachty z mieszczanami i ludem dokładnie wyjaśni, o ile nam się zdaje, znaczenie antygermanizmu Ostroroga.

To stanowi główną istotę naszéj pracy.

Poruszymy w niéj tę stronę Ostroroga projektu, któréj dotychczasowe studya nie wyjaśniły; skreślimy obraz dotąd ukryty społeczności Polskiéj w chwili walki społecznéj, któréj znamieniem jest projekt Ostroroga. Chwila Ostrorogowa téj walki jest głosem dzwonu pogrzebowego nad mogiłami dwu stanów niższych.

Głos Modrzewskiego, żądający równości kar dla zabójcy chłopa i szlachcica, jest głosem zacnym.... ale spóźnionym. Ostroróg tak potężnie przemówił do braci szlachty, tak dokładnym a głośnym był rzecznikiem ich tajnych myśli, uczuć i dążeń, że losy kraju potoczyły się drogą przezeń wytkniętą. Jego synami z ducha są ludzie z czasów Władysława IV, którzy kozaków (w części *także* chłopów polskich) uznają za takie członki Rzpltéj, jak włosy lub paznogcie, i którzy za przykładem swego ojca i proroka gotują mściwy nóż chłopa na szlacheckie swe gardło.

Projekt Ostroroga, jako projekt socyalny, wiodący potomność jego do zagłady po trupie dwu stanów, jako bezwiedny projekt samobójstwa społecznego, jako klucz zjawisk wieku XVII i XVIII jest do dziś dnia ciekawy, godny uwagi i badania. Byłby *nauczającym*... gdyby *historia esset magistra vitae*, jak ją obgadywano.

I.

Osobiste stosunki Ostroroga.

Z życia rodzinnego już wiele dali dotychczasowi badacze, co się odnosiło do chronologii. Mniéj może uwydatniono to, co jest tego życia skutkiem. Mamy niejako statykę, brak nam dynamiki

żywiołów oddziaływających i tworzących duchową atmosferę, w któréj urabiał się duch Ostroroga.

Pomijając Grocholę, właściciela zamku w Ostrorogu z 1383 roku, który grał pewną rolę w zamieszkach, po śmierci Ludwika węgierskiego w Polsce, zaszłych i który z tytułu swego zamku, przypuszczalnie należał do rodu Nałęczów Ostrorogów, pierwszym głośniejszym reprezentantem tegoż rodu był Sędziwój, ojciec naszego Jana. Do życiorysu Sędziwoja, skreślonego ręką prof. Pawińskiego, można dodać kilka charakterystycznych szczegółów.

Pierwszy, o ile się zdaje, występ historyczny tego Nałęcza miał miejsce w powszechno-dziejowéj wyprawie Witołda przeciw Tatarom i jego rozgromie nad Worsklą 1399 r. „Witołd—jak się wyraża Stryjkowski — z Dobrogostem z Szamotuł i z Sędziwojem z Ostroroga, którzy byli *strażą boku jego* i z Świdrygielem zbiegli, konie przemieniając.“ W porównaniu z bohaterską śmiercią małopolskiego Spytka Leliwity z Melsztyna, wielkopolscy Nałęcze, Sędziwój i Dobrogost niezbyt świetnie spisali się. Może ich tłómaczy honorowy obowiązek (1) przy osobie książąt. Wszyscy razem tedy okazują się dbałymi o zachowanie swego życia na przyszłość do dalszych posług krajowi.

W 1403 r. piastuje nasz Sędziwój urząd chorążego poznańskiego (Raczyński, *Cod. Pol. Mai* 147), mając swych imienników spółcześnie: Sędziwoja Świdwę i Sędziwoja z Szubina, wojewodami: poznańskim i kaliskim (*Akta Grodzkie i Ziemskie* albo *A. G. Z.* IX, 14). 1407 r. jest Jarosław chorążym poznańskim (Rzysz. i Muczk. *Cod. Pol.* I, 281), co świadczy o promocyi naszego Sędziwoja na jakiś wyższy stopień. Ponieważ „Maciéj“ jest wymieniony tegoż 1407 roku, a wiemy, że istotnie Maciéj z Wąsosza po swym stryju Sędziwoju z Szubina już 1404 oniemiałym (Rzysz. i Muczk. *C. Pol.* I, 365), piastował godność wojewody kaliskiego, lecz „Sędziwój“ wojewodą poznańskim jest wymieniony tylko z imienia; niepodobna tedy na pewno rozstrzygnąć, czy to już koło 1407 roku Sędziwój Ostroróg z chorążego odrazu podskoczył na województwo poznańskie, prawie spółcześnie z kaliskiem wakujące. Piastował godność wojewódzką na pewno 18 lipca 1409 (*Akta G. i Z.* VI, 17) i znamy go w niéj jeszcze 1441 r. we środę przed ś. Małgorzatą w Budzie (2). Umarł w ciągu 1441.

---

(1) Długosz X, 528 (ed. Przeźdz.) o tym obowiązku milczy. Paprocki za Kromerem (Herby ed. Turow. 211), że „był zabit od Tatar.“

(2) Ks. Gacki: „Benedyktyński klasztor ś. Krzyża na Łyséj górze.“ 1873, str. 207. Łukasz Górka, wojewoda poznański, 1 stycznia 1442 r. — „Itinerarium Warneńczyka“ przez Kwiatkowskiego (w *Albumie młodzieży* dla Kraszewskiego). Lwów 1879, str. 470.

Z szybkiego awansu Ostroroga, który wygląda na silny skok hierarchiczny, nic o jego zdolnościach niemożna wnosić. Podobnie bowiem było i z następcą jego na województwie, Łukaszem Górką (1). Inaczéj autor Monumentu, tu nas zajmującego, który choć zasłużony i zdolny, osiadał na urzędach „jak okręt na mieliznie" (Paw. 40).

Z dowodów faktycznéj działalności żaden nie określa wybitniéj ducha pomysłowości, inicyatywy w Sędziwoju do tego stopnia, by wyrażenie Długosza *plurimum*, stosowane tylko do roli ważnego doradcy przez tegoż Ostroroga i biskupa Oleśnickiego w Kiezmarku (od 23 kwietnia do 3 maja) 1440 r. odgrywanéj, godziło się z prof. Pawińskim rozciągać na cały czas rządów Jagiełły i Warneńczyka.

Wedle Długosza, był on jednym z 8 doradców, kierujących w bitwie pod Grunwaldem 1410 r. Zważywszy, że do téj rady wchodzili najwyżsi dygnitarze kraju (z wyjątkiem Szafrańca), byłoby co najmniéj dziwném, gdyby w ich liczbie pominięto wojewodę poznańskiego. Wniosek ztąd o zdolnościach, szczególniéj go do rady wojennéj zalecających, byłby jednak za pośpiesznym. Boć ucieczkę 1399 r. ciężko za rekomendacyą poczytać!

Trudno zato zaprzeczyć, że dwaj zbiegowie z nad Worskli stanęli Jagielle na ochotnika ku pomocy ze swemi oddziałami 1410 r. pod Koronowem, a w liczbie tryumfatorów w stoczonéj tam bitwie Długosz na pierwszém miejscu (znów gwoli hierarchii) zapisał Ostroroga, który téż zostaje nie dlaczego innego dowódcą armii wielkopolskiéj, przeznaczonéj do łupieży Pomorza t. s. r. 1412 figuruje na akcie ugody przemyskiéj przyjmującéj od Zakonu w zastaw 39,400 kóp gr. cz. Nową Marchią, jak i na akcie horodelskim 1413. O inicyatywie Ostroroga dopiero można mówić pod Christburgiem 1414, gdy skłonił Witolda, by nie wracał na Litwę, lecz daléj wojnę prowadził, oraz 1417 gdy wystąpił przeciw ślubowi króla z Granowsko-Pilecką. Pomijając wskazówki działań dyplomatycznych Ostroroga, może przez urząd wysoki nakazanych, ale nie wynikających ze zdolności, podniesiemy fakt pośrednictwa tego męża w sprawie, która niejako pokątnie na jego ręce przyszła, istotnie więc już od godności jest niezależną. Jan Czarnkowski, Jan Suszka z Wojszewa i kilku innych „braci i krewniaków" dostało się pod Tongermundem, wśród walk książąt Szczecińskich z Fryderykiem I brandeburskim, w ręce tego ostatniego. Ostroróg pojechał do Fryderyka ich wyzwolić i naraz usłyszał propozycyą, by Jadwiga, jedynaczka Ja-

---

(1) Górka 1432 jeszcze bez tytułu, 1438 podczaszy poznański, 1441 starosta kościański (*Cod. M. P.* Racz. 203, Muczk. i Rzyszcz. II, 875), wojewodą już jest 1-go stycznia 1442.

giełły poślubiła Fryderykowego syna (Dług. XI, 270). Ślub doszedł do skutku a z nią ekspektatywa na tron polski, w razie braku syna po Jagielle. Nietylko Ostroróg z tytułu pośrednictwa mógł być za tém. Krystyn z Ostrowa 1421, a Jan z Tęczyna 1446, kasztelani krakowscy, widzieli użyteczność wielką tego następstwa.

Pokój melneński 1422 roku, rozgraniczenie Litwy z Zakonem 1423 (1), czatowanie na posłów Zygmunta wiozących koronę dla Witolda 1430 r., wyprawa na Krzyżaków 1433. poselstwo do Świdrygiełły 1430 i 1431 r. by wypuścił Jagiełłę, i 1432 do Parczowa dla zakończenia z tymże Świdrygiełłą układów, zjazd w Kezmarku 1436 co do Spiża, 1438 poparcie elekcyi Kazimierza Jagiellończyka, na króla Czech przez poselstwo Sędziwoja i Jana z Tęczyna, poselstwo 1440 do Elżbiety, wdowy po Albercie, niedopełnione przez Sędziwoja i Jana z Koniecpola kanclerza, na wieść o zerwaniu poprzednich układów, wypełniają rejestr mniéj więcéj samodzielnych funkcyj. Ostatnie poselstwo jest może najważniejsze. Chodziło o ślub Elżbiety z Warneńczykiem, późniéj zerwany przez nią. Zdaniem zaś wielu (Długosz XII, 619), byłaby Elżbieta dała się przekonać racyom przez Warneńczykowych posłów mającym się przytoczyć. Kto z dwu posłów niechciał jechać do Elżbiety, czyli na kim ciąży przebieg dalszy dziejów Warneńczyka, łatwo można odgadnąć, skoro wiadomo, że Ostroróg z Oleśnickim najwięcéj znaczyli w radzie króla, idącego już wbrew Elżbiecie na Węgry.

Oczywiście Sędziwój nie jest świadomym dalszych wypadków sprawcą, choć, widzieliśmy, mógłby im był może bezwiednie niedać się spełnić. Godna w każdym razie uwagi, że przez tę wyprawę króla na Węgry, doradzaną późniéj przez Ostroroga, i sprowadzającą na długie lata rządy oligarchów—namiestników, jak Czyżowski, Malski w osierociałéj Polsce,— ciż oligarchowie przywykli obchodzić się bez króla, ośmielili się stawić téż czoło i Kazimierzowi III. Jak powtarzamy tedy, bezwiednie, ale charakterystycznie dla rodowych tradycyj naszego Ostroroga, jego protoplasta skierował nawę państwową w kierunku oligarchicznym.

Już prof. Pawiński (str. 18) widząc szczupłość faktów biograficznych, zauważył konieczność uwzględnienia w studyum o Ostrorogu, metody rozpatrującéj otoczenie, wpływy zewnętrzne. W tym duchu podnieśliśmy niektóre dane z życia Sędziwoja, pewne mimowolne—że się tak wyrazimy—tradycye, przechodzące potém na dzieci.

---

(1) 1423 r. Sędziwoj był bardzo chory na nogi (*Cod. M. P.* Raczyński 265, 157).

Z tych samych racyj, zatrzymamy się przy stosunkach rodzinnych Sędziwoja, które, dzięki nieużytym dotąd zapiskom sądowym krakowskim Helcla, bardzo się ciekawie uzupełniają w duchu teoryi „otoczenia,“ tradycyi, itp.

Prof. Pawiński z zapisków sądowych poznańskich okazał, że Sędziwój Ostroróg zmarły 1441 wojewoda poznański, miał dwu synów Stanisława i Dobrogosta. Zapiski Helcla to potwierdzają i uzupełniają. Widzimy z nich, że Sędziwój prócz tych synów miał córkę Sandkę wydaną za Scibora z Borysławic Jastrzębca, przez co spokrewnił się z całym rodem tych Jastrzębców. Po kądzieli, jest i autor Monumentu krewnym tego rodu. (1).

A tradycye rodowe Rytwiańskich nietchną ani duchem pokoju ani wiernością poddańczą i pokorą. Dersław, syn Marcina, a synowiec Scibora, w 1438 czyni awanturniczą wyprawę na Węgry i Szląsk. Jedni mówili że w pomoc cesarzowéj wdowie, Barbarze Cyllejskiéj słynnéj Messalinie XV wieku, może licząc na jéj temperament, ślub z nią i widoki cesarstwa po kądzieli. Drudzy twierdzili, że to był prosty napad, poszukiwanie szczęścia. W istocie zyskał chwilowo Zator i Oświecim. Należy do konfederacyi husyckiéj, którą zawiązał syn bohatera z nad Worskli, 1439 i do opozycyi przy obiorze Warneńczyka. Wreszcie rozsławia się zalotami o rękę Eufemii córki Bolesława IV, księcia Mazowsza, pretendenta i elekta polskiego, przeciw Kazimierzowi III. Te konkury czynią prawdopodobnemi zamysły na Barbarę.

Mimo takich butnych projektów i czynów, Dersław smutną rolę odgrywa w pamiętnéj klęsce Chojnickiéj Polaków 1454 roku. Gdy po pogromie, polscy wojownicy (wedle Stryjkowskiego):

---

(1) *Starodaw. Pomn. Prawa Pol.* II NN. 2759 i 2700. Ród Rytwiańskich Jastrzębców miał w XV w. 4 przedstawicieli. Najprzód Wojciech Jastrzębiec z Lubnicy, syn Dzierżka i Krystyny, nieurodzony 1362 r. bo już 1370, 1372 kantor włocławski, kanonik krakowski (do 1382?) 1385 kanonik sandomirski do 1386, scholastyk gnieznieński 1396, schol. krakowski 1397 i 1398, biskup poznański 1398—1399, kanclerz 1412, biskup krakowski 1413, arcyb. gnieznieński 1423, 1436. (Dat początkowych niemają ani R. Maurer 1877 ani ks. Korytkowski 1881). Drugim jest Marcisz ożeniony z Dorotą, wojewoda łęczycki zmarły przed 1439 (Helcel II N. 2768) ojciec Dersława z Rytwian i in. Scibor z Borysławic także wojewoda łęczycki zmarł między 1434 i 1436 (II N. 3193 i 3302a), może syn Mikołaja Jastrzębca z Lubnicy (1394—1408) w końcu podkomorzego łęczyckiego, i wójta w Połańcu sandomirskim. Ten Ścibor żeni się z Sandką i ma z niéj Mikołaja oraz Małgorzatę i Annę zamężną za Mężykiem z Dąbrowy wojewodą ruskim lub lwowskim (N. 2759, 2720). Mikołaj Ściborski dla Dersława Marciszowica jest *frater patruelis*, a (N. 2700) Sędziwój Ostroróg dla Mikołaja jest *avus*; synowie Ostroroga Sędziwoja, Stanisław i Dobrogost są dla tegoż Mikołaja *avunculi germani*, tak że Sandka matka Mikołaja musi być ich siostrą a córką Sędziwoja. Marcisz zaś jest bratem Scibora.

Do Nieszawy przybiegli, dysząc z onéj kaźni
A Rytwiański jął witać króla, *idąc z łaźni...*
Król rzekł: tyś się w łaźni mył, a rycerze mili,
Polacy z Litwą, przy mnie, krwią się własną myli.

Rys ten, dbałość o wygodę osobistą przy klęsce publicznéj, dobrze charakteryzuje ród Jastrzębców, co, jak go słusznie zwano na Podlasiu, *Bujny* jest. Herbowy Jastrząb ten rzuca się pod obłoki pyszną dumą, buja bogdaj czy nie wyżéj nad orly królewskie, państwowe.

Jan Rytwiański 1459, starosta sandomierski, a poźniéj marszałek, przemawia do króla, który lękając, się detronizacyi, przybył na zjazd w orszaku zbrojnych; przemawia, jako delegat samotrzeci małopolan, również zbrojny: „nie jak brat (wedle Długosza) lecz jako wróg i obcy."

„Nic ci niedamy z naszych mień prywatnych, i bądź pewien, że bez donatywy (opłaty statutowéj za wyprawy) na wojnę niepójdziemy.“ Brzmi to jaskrawo u Długosza; istny handel o obowiązek bronienia ojczyzny (tak wynoszony przez autora Monumentu jako specyalny przywiléj szlachty), bezwstydny targ o krew! U Bielskiego brzmi to jakoś ambitniéj.

„Co jeśli wszystko u Ciebie uprosiemy, a chutliwego Cię ku sobie poznamy, żadny nakład, żadna nędza nam niebędzie ciężką, ani gardeł swych litować będziem ku wszelkiéj potrzebie Twojéj. Jeśli téż inaczéj uczynisz, niespodziewaj się nic od nas takiego, czegoby się po wiernych i życzliwych poddanych spodziewać należało."

Zuchwałość ta opłaciła się Rytwiańskim. Jan 1479 miał nawet trzy urzędy dzierżyć, wbrew prawom: wojewody krakowskiego, kasztelana sandomirskiego i marszałka koronnego. Czerń szlachecka obruszała się na te *incompatibilia*. Dersław był jednocześnie mianowany kasztelanem krakowskim, co okazuje że dobrze się działo warchołom rodowym za Kazimierza III! A pamiętajmy, że to blizcy krewni Ostrorogów. Sandka Sciborowa jest stryjenką Dersława a ciotką autora Monumentu. Niebrak mu wzorów w rodzinie!

Pod tym względem i pokrewieństwo, po kądzieli, z Czyżowskimi, których „puścina“ spadła na naszego Ostroroga, musiało się przyczynić do spotęgowania w nim pewnych narowów magnackich.

Jakie są to węzły pokrewieństwa, wyrazy *frater i consanguineus* znane z aktów (u pr. Paw.) niewyjaśniają bliżéj, choć do tyla

są wymowne, że na ich zasadzie koligacyą wypadnie odnieść do stosunkowo dawnéj epoki (1).

Koligacya ta daje w każdym razie nowe wzory rodzinne. Wydżga protoplasta rodu Czyżowskich ma 3 synów: I) Michała który pisząc się z Jeżowa, Bogumiłowic, Czyżowa, Chmielowa, umiera w końcu jako kasztelan sandomirski, mając dwu synów: a) Jana, namiestnika, zwanego Czechamiel (zamiast Michalicz?) kasztelana sandomirskiego, jak ojciec, i z nim splątanego przez p. R. Maurera (w A. G. Z. III)—b) Michała z Broniszewa. II) Drugim synem daje się jest Paweł v. Pasko z Bogumiłowic v. Maciejowic, sędzia krakowski, żonaty z Jadwigą, pono bezdzietny. III) Trzecim jest Jan kasztelan czehowski.

Kto rodzi namiestnika Warneńczykowego, niewiemy, jak i niewiemy kto rodzi doktora Jana Ostroroga, a tu pono zadzierżga się węzeł pokrewieństwa Półkoziców małopolskich i Nałęczów wielkopolskich, oraz tradycye jednych drugim się udzielają.

Już Michał z Czyżowa miał czem za przykład służyć, jako dzierżawca (tenutarius) Zawichosta. W tém mieście, od zburzenia Sandomierza (jak opiewa Długosz u *Liber beneficior*) w 1260, odbudowywał się z cegły kłasztor i kościół klarysek do 1412 r. W owéj dacie pan Michał budował sobie zamek w Czyżowie. Zburzył tedy, co było gotowego w Zawichoście na chwałę Bożą, kamień i cegłę zwiózł do Czyżowa i za materyał do swego zamku magnackiego użył. Jagiełło pogniewał się, nasrożył... i zapomniał.

Jan Michalicz (Czehamiel) jako namiestnik, zastępca króla w Małopolsce, daje innego rodzaju przykład. Duch nieprawowierny Czyżowskich odbił się wybitnie na Stanisławie, synu Sędziwoja (2),

---

(1) Temi wyrazami oznaczony ostatni Jan z Czyżowa umarł bezdzietnie 1475 (Paw. str. 41 n. 3 popraw w Paprockim *Herby* ed. Tur. w nagrobku przy *unicus filius* datę 1415 na 1475). O nim Helcel II N. 2011, 2153, 3618, 3908, 3923, 3929. Urodził się koło 1444, bo 1459 był niepełnoletni to jest niemiał lat 15-tu. Matką była Barbara Sprowska, może córka Piotra ze Sprowy wojewody lwowskiego, który 1443 wrócił z Węgier i społem z Janem z Czyżowa namiestnikiem urządzał sprawy Rusi (por. Maurer o Odrowąsach Sprowskich w 2 zeszycie *Przeglądu Archeologicznego* Lwów 1883 str. 109). Stosunki te urzędowe mogły sprowadzić małżeństwo namiestnika z Piotrówną, majątkowo nienajgorsze. Porównanie wykazu majątku Czyżowskich z 1475 i Piotra ze Sprowy kwestyą mogłoby wyjaśnić. W każdym razie wiadomo, że ten Jan z Czyżowa namiestnik 1436 trzymał Stobnicę i puścił ją zastawem Dersławowi z Włostowic (Helcel II N. 2638), i ta Stobnica, po synu jednoimiennym namiestnika spada na Ostroroga, jako „zastaw." Córka jedyna namiestnika wyszła za Zaklikę, którego potomek 1475 idzie z Ostrorogiem do działów, chyba jednak Ostroróg ma stopień pokrewieństwa wyższy od Zakliki.

(2) Prof. Pawiński czyni go podstolim brzeskim a późniéj kaliskim 1432 r. Akt z 23 czerwca 1422 (Rzyszcz. *C. P.* II 846) zowie Stanisława podstolim kaliskim i starostą

którego pierwszy raz Długosz wymienia 1440, jako pozbawionego starostwa W-polski na rzecz Krzesława z Kurożwęk Poraity kasztelana Wiślickiego (XII 626, Helcel II N. 2881 z 27 września 1440), a drugi raz dopiero 1454, gdy z innymi jako już wojewoda kaliski witał Elżbietę rakuską, nową królowę.

W czasie wojen pruskich, Stanisław był bardzo czynny co w oczach ortodoksów zaletą być nie mogło. Długosz wymieniwszy go w liczbie czterech kierujących wyprawą 1454 (w téj liczbie był i jego synowiec Dersław z Rytwian już kasztelan rozpirski)—taką o tym wyborze robi uwagę. Obrano ich „pominąwszy doświadczonych i biegłych.“ Chciwi byli hetmaństwa „dla rozsławienia imienia swego,“ a niezdatni do wojaczki „z przyrodzenia, obyczajów i sił.“ Swarzyli się tylko, rady lekceważyli, stąd „słusznie“ ich o klęskę winowano. Opieszałości dowodzi w każdym razie... kąpiel Dersława. Że byli pyszni, maluje nam to także i Stanisława. Że i w języku nie ustępował Rytwiańskim, a w nieprawowierności Czyżowskim, świadczy odezwa do Hieronima arcybis. Krety, legata papieskiego w 1463 r. „Panie pośle! (cytuje Bielski). Nieprzyjechałeś nas tu jednać, ale raczéj zwodzić, jako to po tobie dobrze znamy i z listów twych dobrze wiemy, któreśmy na drodze przejęli, coś pisał do pruskiego mistrza. *Zaczem, raczéj jedź precz.*“

Nie wchodzimy w słuszność przymówki. Zaznaczamy jéj koloryt, stanowiący niejakie *pendant* do operacyi budowlanéj Michała z Czyżowa. Są to dwa antecedensa wolnomyślne w rodzie Jana

---

brzeskim, co stwierdza w części dokument z 1439 (*nono tricesimo* Raczyń *C. M. P.* 166—167) tytulujący Stanisława podstolim kaliskim i starostą wielkopolskim (ojciec jego nabył wówczas zamianą Amichy i Milostowo za Koźmin w kościańskiem). Data 1439 musi być mylną, ze względu na fakt, że 1438 Stanisław jest podkomorzym poznańskim (Helcel II N. 2759. AGZ V94). Tak uzupełniwszy wykaz awansów Stanisława u prof. Pawińskiego, dodajemy, że do kontroli awansu jego na kasztelanią międzyrzecką służy urzędowanie Wincentego z Szamotuł w tej godności jeszcze 3 lipca 1443 (AGZ V120, nieżył przed 1458 AGZ IV166) i osiądzenie w Międzyrzeczu Jana z Bnina (1450 u Rzysz. C. P. II 893). Kasztelanem w Gnieźnie i starostą Wpolski jest Stanisław po Wojciechu Malskim staroście i Piotrze z Bnina kasztelanie jeszcze 17 lipca 1446 (Rzysz I 329); na pewno 1450 r. 25 lutego (Helcel II N. 3409), jest nim jeszcze 1451 (*Jus Polon* Bandtke 260, *Vol. leg.* ed. Ohr. I 77). Wojewodą kaliskim ma być 1452, jest nim jeszcze 1472 w maju (AGZ VI 160, Helcel II N. 4157, 4128, 4122, str. 624), podobno do 1473 lub 1474 (Paw.) potém wojewodą poznańskim. Datę śmierci 1477 (Paw.) stwierdza urzędowanie w godności wojewody kaliskiego Macieja z Bnina na sejmie kwietniowym 1477, gdy w rok na sejmie kwietniowym 1478 jest wojewodą poznańskim (*Kod. Mazow.* wyd. Lubomirs. 284—5. *Vol. leg.* I str. 107)

Ostroroga, syna jedynego Stanisława, godne równie pilnéj uwagi, jak antecedensa buty magnackiéj (1).

Panegiryk w urzędowym dokumencie 1562 r. Ostrorogów rodowi wysmarzony (Racz. *C. M. P.* 240) podniósł zaslugi wszechstronne w pokoju i wojnie i wysokie urzędy, piastowane z wielką sławą i korzyścią dla kraju. Głośność ich imienia miała nawet przekroczyć obręb kraju, w którego granicach niemogła się zmieścić.

Jan syn Stanisława, sięgnął po laury literackie, przyczém i w nich okazał nieodrodny duch przodków i gonienie za chlubą rodu magnackiego i nieugiętość względem kościoła.

Studentem był w Erfurcie od 1453 do 1455 r. do jesieni, przyczém i husyckich poglądów sporo zachwycił, czego ślady pr. Pawiński wykrywa w Monumencie, 1465 kasztelani w Międzyrzecu, od 1472 niewiadomo gdzie; 1479 w Poznaniu, w końcu 1500 lub na początku 1051 jest wojewodą poznańskim, żyje jeszcze 8 lutego 1501 (AGZ IX 189) nieżyje w lipcu t. r. (2).

By skończyć z pokrewieństwami dodajmy, że Ostrorog w końcu jest szwagrem Włodka z Domaborza. Taki Włodko, to téż ciekawy rys owego świata, w którym wyrósł i żył Ostróróg, autor Monumentu.

Teraz zaś wyciągnijmy wniosek z urzędowań, jakich rejestr spisaliśmy za przykładem naszych poprzedników, ile się dało jeszcze dokładniéj. Poprzedźmy go jednak cytatami specyalistów. Taki poważny badacz, jak Helcel, w rozprawie *o klasztorze Jędrzejowskim*

---

(1) Drugi syn Sędziwoja Dobrogost, 1437, 1438 bez tytułu (Helcel II N. 2759) był kasztelanem kamieńskim nietylko 1451 (Paw.) ale już 1442 (AGZ II 135, V166). W Gnieźnie Jan z Czarnkowa kasztelani 1462 (AGZ VI74), a 1468 Dobrogost (Kod. Mar. 245) znany tam jeszcze 1475 (AGZ V189), a wedle prof. Paw. i 1477. Andrzej z Szamotuł jest kasztelanem w Międzyrzeczu od 1472 do 1480 (AGZ VI 201—203) a w lutym 1485 w Gnieźnie (*Monum Medii Aevi v M. M. Aevi* V 269). Dla Dobrogosta tedy przybywają dłuższe lata urzędowania w Gnieźnie albo wakans wcześniejszy do Gniezna Andrzeja. Synem Dobrogosta jest także Dobrogost 1485 kasztelan w Międzyrzeczu, gdy stryjeczny po Stanisławie, doktór Jan siedzi w Poznaniu (*M. M. Aevi* V 270), nieopuszcza swego krzesła 1493, 1496, i zaraz po Janie, 3 października 1501 jest kasztelanem poznańskim (*C. M. P.* Racz. 35). Jest nim jeszcze 1504 (*M. M. Aevi* V 317), Jan Zaremba 1510 zajmuje jego posadę (Metr kor. ks. 24 cytowane w Lubo. *Trzy rozdziały*..

Z synów doktora praw Jana, Stanisław 1512 i 1515 .jest kasztelanem kaliskim (*C. M. P.* Racz, Vol. leg. I 173); Wacław znany już z procesu z macochą zaraz po śmierci ojca (Paw. 43—45) pierwszy raz występuje publicznie bez tytułu na sejmie radomskim 1505 (M. M. Acvi II 328). 1523 jest kasztelanem kaliskim (Paw.).

(2) Paprocki *Herby* 482 z mylną datą 1391 za 1491 wymienia go z Leliwitami w liczbie patronów kościoła WW. ŚŚ. w Krakowie. Jest wówczas zwany de Ostroróg alias de Słupów.

powiada, że członkowie pewnych rodów dostępowali najwyższych godności, posuwając się po urzędach charakteru jakoby przeważnie wojskowego, gdy inne rody miały więcéj pociągu do dworskich lub sądowych dostojeństw. Niemniéj poważny badacz St. Ł. wskazał w *Prawie granicznėm* na fakta świadczące o dziedziczności niemal, w wypełnianiu pewnych urzędowych obowiązków. Głos trzeci mający wielką powagę, senatora Hubego jeszcze wyraźniéj to zdanie sformułował. Oświadczył on wprost że „dygnitarze brani byli... jak się zdaje zawsze z jednych tych samych rodów.“ Daléj porównywa takąż samą żądzę w innych społeczeństwach „uwieczniania w rodzie pewnych dostojeństw.“ Z kolei cytuje obrazę trzech panów, oponentów elekcyi Warneńczyka, Spytka z Melsztyna (już nam znanego) Abrahama ze Zbąszyna i Jana Strasza z Kościelnik,—i to obrazę, gruntujące się w fakcie, że lubo pochodząc z rodów magnackich, niedosięgli ojcowskich dostojeństw. Świadectwo to wymowne Długosza sen: Hube zestawił z pracą Ostroroga tu komentowaną, zaznaczającą także faktyczną, istniejącą konieczność takiéj sukcesyi (*nati parentibus suis succedere debent* § 46), aczkolwiek, pośpieszamy dodać, warunkową już u niego, zależną od zalet i uzdolnienia.

Dziedzictwo takie w urzędowaniu ma miejsce i w rodzinie Ostroroga (1), co niejest bez znaczenia dla oceny stopnia wpływu, jaki wywiera nietylko życie dalszych kół społecznych, ale własne arystokratyczne, z krwią wyssane, związkami rodzinnemi potęgowane, przekonanie Ostroroga, na jego poglądy reformacyjne (por. Paw. 58, 89 „syn wojewody.“) Książę T. Lubomirski w swych *Trzech rozdziałach skarbowości* (str. 38) zwrócił właśnie uwagę na to odbicie się osobistych, oligarchicznych usposobień Ostroroga w jego pracy, i nawet odpowiednio całą jego działalność reformatorską określa.

Dawszy luźne przykłady tych usposobień w rodzie doktora, przyjrzyjmy się ich odbiciu w jego reformach.

II.

Arystokratyczne dążenia Ostroroga.

T. ks. Lubomirski w cytowaném miejscu mówi, z początku zgodnie z dzisiejszemi badaczami, a daléj od prof. Pawińskiego jeszcze wyraziściéj w kierunku arystokratycznym. „Jan Ostroróg doradzał

(1) Por. Michał i Jan Czyżowscy zaraz po sobie są kasztelanami sandomirskiemi, kasztelani kaliscy, międzyrzeczy, wojewodowie poznańscy to stały przysmak dla Ostrorogów.

zwiększenie władzy królewskiéj kosztem zgniecionego duchowieństwa. Ale dbając o utrzymanie panów (nie rycerstwa), zalecał utworzenie tylu księstw, ile było województw, przez co Polska, nakształt Niemiec pod cesarzem, wytworzyłaby się na rzeszę pod królem. Ostroroga ideałem jest rzesza niemiecka. Poświęcał dla władzy zwierzchniczéj duchowieństwo, żeby wewnątrz Polski rozwinąć *możnowładczą oligarchią panów.*"

Ustęp tak charakterystyczny, na który powołuje się ks. T. L., brzmi u Ostroroga (§ 47) tak: Dla zaszczytu królestwa przystałoby, iżby wojewodowie nasi, jako zastępcy niegdy udzielnych książąt (*qui olim principium loca tenent*, u prof. Paw. 167 „jako dawniéj namiestnicy książąt." Z pewnością literalnie wierniéj, ale co do ducha?) książętami właściwych krain uznani zostali. Ich zaś synowie hrabiami i baronami niech zwą się, a tytuły te wszystkie niech będą dożywotnie (*rerum haec omnia cum morte expirent*). W § 49 zgodnie z tém żądaniem, herb wojewody, jakby panującego mieści w herbie województwa *alias* księstwa.

Projekt ten—dziedziczności niewprowadza, boć to byłoby tożsamo co domagać się tego, co ograniczał w § 46. „Ani na województwo ani na jakąbądź godność syn po ojcu niema prawa następować chyba że takowego dostojeństwa jest godzien. W tym razie może tytuł z urzędem być mu nadany" (u pr. P. str. 167 opuszczony „tytuł"). W każdym razie jest to dążenie co najmniéj wysoce arystokratyczne. Postawienie tezy, że wojewodowie zastępują dawnych książąt udzielnych, niezależnych; przypomnienie, że kiedyś Wielkopolska na dwa księstwa dzieliła się (kaliskie; gnieźnieńskie a poznańskie) że Mazowsze i Małopolska z roju drobnych suwerenalności się zrosły—jest zamachem zupełnie téj natury, co ustawy Opocko-Cerekwicko-Nieszawskie. Obie dążą do decentralizacyi, do federacyi ziemi, prowincyj. 1454 ziemie otrzymują jednako stylizowany, ale osobny dla każdéj statut. Dopiero 1496, 1506 koloryt dzielnicowy ustaje w ogólnym statucie. Ostroróg pono 1456, piszący swój projekt reformy, nie mógł być obcy zupełnie prądowi w prawodawstwie 1454 ujawniającemu się. Różnica leży w tém, że chodzi mu nietyle o odrębność ziemi, ile o potęgę, o niezależność osób kierujących ziemiami. *Princeps* to napozór taki niewinny wyraz jak nazwa *„króla pruskiego"* przybrana 1701 przez dziedzica brandeburskich elektorów i lenniczych Polski książąt pruskich. W gruncie rzeczy jestto metoda tego rodzaju, jak wszelkie eufemizmy jeograficzne lub administracyjne, które z pozoru są zmianą tytułu, nazwy, a zawierają *implicite* zmianę treści, stanu rzeczy. *Princeps Posnaniae*, albo *Cracoviae* to wskazówka równie wymowna separatyzmu możnowładcze-

go, jak tytuł owego Żyrona, o którym Hube mówi, że pisał się *Dei gratia*, lub takiż tytuł ks. Ostrogskiego (u Mosbacha) w listach do ks. Jerzego na Brzegu „z Bożéj Łaski.“ Daleko zapewne od czary do warg, ale nieraz i chęci cóś ważą, kiedy do czynu dojść niepodobna.

Wypada dodać, że obok *princeps* ma Ostroróg predylekcyą dla tytułu *praeses*, mającego wedle niego odtąd służyć starostom. I ten tytuł nie jest niewinny zupełnie, i ma barwę bogdaj czy nierównie jaskrawszą jak owo objaśnienie do palatini (*qui olim princ. l. tenent*). Pamiętajmy bowiem, że kronika mistrza Wincentego (Kadłubka),—którą możnaby wnosić że Ostroróg studyował w tym względzie (1).—tytułem *praeses terrae* oznacza stale: panującego samowładnie Mieszka III w Krakowie (por. scenę skargi wdowy—ziemi).

Nawet odrzucając hypotezę uroszczeń ultradecentralizacyjnych, niemal że suwerenalnych; musimy przyznać, że wzgląd na cudzoziemców, dla których owych tytułów potrzeba (jak w pierwszym razie *gloria regni*)—świadczy co najmniéj o dobréj dozie pychy arystokratycznéj, chęci błyszczenia i odróżniania się tytułem, manii kastowéj.

Kastowość, hazardowny to wyraz; ale czemże nazwać § 49 zawierający przepis o kolorach wosku, używanego do wyciskania pieczęci, zastosowanych do stanowych różnic! „Wszyscy wojewodowie—książęta“ (mówi Ostroróg, nadając tytuł książąt wedle wniosku § 47;—u prof. Paw. § 49 str. 169 po wojewodach jest przecinek) i ich synowie mają używać czerwonego wosku do pieczęci, która w herbie województwa ma mieścić herb rodowy. Kasztelani już mają tylko herb własny na czerwonym wosku wyciskać, więc bez pozorów monarszych, bez herbu ziemi. Prałaci i doktorzy kościoła takąż samą woskową mają odznakę... jako arystokracya urzędu. Szlachta w ogóle, kanonicy bez tytułu naukowego (*non graduati*) i niżsi prebendarze wogóle—mają wosk zielony.

Zgodnie z tą jedną dystynkcyą kastową, Ostroróg w § 58 stanowi drugą różnicę podobną w ubraniu różnych stanów. Dla szlachty—wszelkie stroje; mieszczanom ogólnie przepisany jest strój dwoisty: cywilny i urzędowy. Duchowni mają przypomniany sobie właściwy. Żydzi upstrzeni są kręgiem czerwonym, nierządnica dostaje wstęgi i zasłonę; kat miecz, a woźny laskę mają wciąż nosić.

Różna, ale i charakterystyczna jest ważność tych uwag, już na zewnątrz rozdzielających Polskę na odrębne sfery.

Sformułowanie żądania co do stroju szlacheckiego i mieszczańskiego jest tak subtelne i ostrożne, że wyraźnie powiedzieć, by

---

(1) Że zna ją u prof. Praw. 186—7. Godna uwagi, że Wilno wywodzi od Julia civitas.

Ostroróg stanowił różnice między *dobrze* i *źle* urodzonymi co do strojów—niemożna. Jest już jednak pewna tendencya do ograniczenia swobody mieszczan w tym względzie. Reformator domaga się od *plebejów* strojów urzędowych i nieurzędowych, wyprzedzając tylko o pół wieku ustawę (*lex sumptuaria*) z 1613 r. często potém reasumowaną, że mieszczanie i plebei *excepto magistratu* (a więc prócz urzędników w duchu Ostroroga) nie mają zażywać szat jedwabnych, podszewek, futer kosztowniejszych nad lisie i podlejsze, oraz safianu, pod karą 14 grzywien (dawna siemnadzieścia). 1620 karcono śmiałków 100 grzywnami!

Echem téż arystokratów niezadowolonych w literaturze późniejszéj jest już np. Starowolski, który w *Prawym rycerzu* stęka, że „niemożemy rozeznać w rysiach organisty od senatora, ani w bławacie rzemieślnika od szlachcica.“ W *Reformacyi* zaś *obyczajów* (roz. 9) oburza się, że „woźnica niechce w kożuchu baranim być widziany, ale go ferezyą z wierzchu okrywa, aby przecie suknią czerwoną był od ludu pospolitego różny, a mieszczanin i rzemieślnik, każdy bez sobolėj czapki na ulicę ukazać się nieśmie, już za lisi kołpak wstydając się.“

Zważywszy, że Długosz (pod 1296) czerwień uważa za cechę szlacheckiego rodu, możnaby przypuszczać, że już w XV wieku faktycznie stanowiła różnicę ubiorczą. Mógł tedy Ostroróg już tylko o plebejskiéj mówić.

Rozporządzenia synodalne krakowskie biskupa Nankera z 1320 i ogólne prymasa Trąby z 1420, przepisały jednakowo różnicę stroju duchowego od świeckiego, zakazując czerwieni na obuwie. Ustawa z 1320 r. jest co do zakazów w téj mierze szczegółowsza, i daje niejako miarę stroju świeckiego: buty (*calces*) bywały z nosem (*rostrati*), jak to forma butów francuskich (*à la poulaine*) i angielskich (*crakows*), oraz dzisiejszych łużyckich za typ ogólno polski daje. *Ferri excisio* zdaje się być albo ozdobą przodka lub podkówką. Trzewiki (*caligae*) są w pręgi lub szachownicę, czerwone i zielone. Suknie w pręgi, albo rozcinane z wypustkami (wedle ustawy z 1420 poznańskiéj, w 4 kliny cięte u dołu) zielonego, czerwonego (w W. Polsce), niebieskiego i zielonego (w W. Polsce) koloru — są zabronione duchownym. Tylko do konia wolno im było używać szat z otworami (*apertura*) i t. d. i t. d.

Ostroróg przypominając tedy odrębność stroju duchowego od świeckiego (do czego możnaby dodać zaniedbywanie (1) tonsur itd.),

(1) Zabito nawet dwu księży po świecku, bez tonsur, i ze stroju wyglądających (Mon. Med. Aevi IV, str. 207.

byłby tylko echem ustaw synodalnych. Mniéj zatém jest samoistny co do inicyatywy. Wszakże ze względu, że kler zacierał choćby w stroju (przemilczając już obyczaje) swą odrębność stanową, która była mniejszą przy długotrwającym acelibacie (por. 1420 *de filiis presbiterorum*); musimy przyznać takąż samą kastową dążność reformom Ostroroga i w tym kierunku. Z téj racyi też (podobnie jak z treściowéj, wedle wskazówek prof. Paw.), teorya prof. Caro, by Ostroróg chciał małżeństwa księży, jest niemożebną.

Wyosobienie żydów przez znaki szczególne zawdzięczamy synodowi wrocławskiemu z 1267, który nadział im na głowy czapki rogate, gdy synod 1279 przylepił na piersiach lewych czerwone kręgi. Ostroróg idzie tedy w trop nienawistnych tych uchwał, z których pierwsza też stworzyła *Ghetta*, znosząc dotychczasową wspólność pobytu, pożycia i t. d. Separatyzm, na który dziś się skarżymy, a który uchwały synodalne 1267 wytworzyły, ma gorliwego obrońcę w „doktorze obojga praw."

Żądanie co do specyalnego ubrania nierządnic, ściśle mówiąc za objaw prawdziwéj moralności uchodzić nie może i jest chyba tylko wybrykiem ultrasystematyczności i naśladownictwem zagranicy jeżeli nie wskazówką czegoś gorszego (por. § 36 i 37 i nasz ustęp V). W każdym razie postawienie tych kapłanek *Veneris vulgivagae* na równi z innemi *stanami*, dziwne składa świadectwo o pojęciach socyalnych reformatora. Wprawdzie miłosierna działalność tych kramarek swego wstydu znaną jest 1371 r. w Krakowie (t. j. z *imienia* jednostki); 1387 wiemy, że w tém mieście instytucya niemal urzędowa tego rodzaju istniała. Z notatki 1398 dowiadujemy się, że te dobrodziejki ludzkości mieszkały aż w trzech domach „na Bełzie," pod opieką miasta. Można daléj dodać, że humanitarna działalność Kallimacha nie była w tym kierunku jałową. Wreszcie w liczbie spraw w sądach rozstrzyganych, a będących zarzutami o nieszlachectwo, plugawa klątwa, dziś na ulicach znana, służy prawie każdéj za punkt wyjścia, świadcząc niby o rozpowszechnieniu się tego trądu społecznego przed epoką Ostroroga, do czego przyczyniało się jeszcze usuwanie formy pogańskiéj ślubów przez porwanie, oraz znoszenie małżeństwa księży, czyli zaliczenie zwolenników obu tych zjawisk do wyznawców wolnéj miłości. Przyznając każdéj z tych racyj największy nawet wpływ na rozwielmożnienie się tego *stanu*,—jak obelżywie Ostroróg wzmianką ich spółrzędną z innemi stanami to czyni, — nie możemy żadną miarą zgodzić się, by w paragrafie *de habitu singulorum statuum* „o stroju pojedyńczych stanów," projekt o odzieży nierządnic nie był aberacyą umysłową ideologa, jeśli weźmiemy go oderwanie.

Arystokratyczną, pańską barwę ma śmieszny § 66 o łowach, który przypomina termin myśliwskich zabaw (przed ś. Wojciechem i po ś. Janie Chr.), by nie bić zwierzyny, skoro idzie w pary i koci się, dla niezatracenia przypłodku. Takiém żądaniem kończyć projekt reform kraju, jest ośmieszyć nawet rzeczy dobre w całości. Tém to wymowniejsze. Jasny pan dbały o swą rozrywkę wyjrzał z pod togi jurysprudenta. Pono żadna ustawa podobnéj dbałości nieokazała, po ustawach Kazimierza W. prócz magnackiéj Wartskiéj z 1420 i 1423 (§ 29, 30). Nawet ustawy i petyta z 1454 o tém niewspomniały. Były téż pono objawem dążeń rycerskich... nie pańskich. Zauważmy, że ta śmiesznostka uwydatnia tém bardziéj zakrój magnacki, poważny w tendencyach § 24.

Poszukiwanie (*in Meidemburgh jus quaeritur*) zasad prawa w Niemczech oburza Ostroroga z dwu racyj. O racyi „brudnych i plugawych rzemieślników, ostatnich ścieków“ — będzie mowa poniżéj. Racya oligarchiczna wyraża się w skardze, że idą tam po prawa, wzgardziwszy zwykłemi źródłami prawa w Polsce: królem (*rege spreto*), dostojnikami (*proceribus repudiatis*), arystokracyą (*optimatum universitate contempto*). O ogóle szlacheckim niema mowy. W przedmowie są *principes docti*, *prudentes longaevi experti*, kierownicy państwa uczeni, roztropni, wiekowi, doświadczeni; są *illustres domini* „kolumny i podstawy, zawiasy i osie rzeczypospolitéj.“

Frazeologia ta przypomina styl Wincentego Kadłubka, który Mikołaja wojewodę: Kazimierza II i Leszka Białego zowie „kolumną“ państwa, a obok niego stawia *satrapów*, *principes*, *primates regni*, jedynie do rady uzdolnionych. Przypominają się te dwa style choć je zgórą dwieście lat rozdziela, bo służą do oznaczenia jednéj i téj saméj warstwy społecznéj, do charakterystyki panów.

Pr. Pawiński słusznie zwrócił uwagę na te wyrażenia Ostroroga (str. 65), jak słusznie podniósł między motywami niektórych paragrafów projektu, fakt, że Ostroróg był „synem wojewody“, dla tego więc zawsze i synów wojewodzich faworyzuje (por. str. 86, 88, 89). Przypuszcza nawet (str. 88), że jako syn wojewody i magnat, związany z możnowładczymi zastawnikami dóbr królewskich, Ostroróg w kwestyi skarbowości nie poruszył jedynego lekarstwa—odbioru tych zastawów; nie wskazał w *metryce* radykalnego środka poprawy finansów. Przypuszcza tedy, że magnacki interes i splendor nie ginie nigdy zprzed oka reformatora.

Przychodzi w takim razie żałować, że prof. Pawiński tym promieniem bardzo jaskrawego światła nie przyciemnił rzekomo humanistycznych, dodatnich wniosków Ostroroga i nie wywiódł na jaw głównego hasła projektu: oligarchizm świecki przedewszystkiem.

Paragrafy dzieła Ostrorogowego o wyprawach wojennych (§§ 40—45) mogłyby uchodzić za postępowe z tytułu, że lubo przedewszystkiem tylko szlacheckim obowiązkiem jest *pro patria mori* (§ 42), przecie i plebejów na obronę kraju woła. Rozpatrzmy się jednak w szczegółach, a zobaczymy co znaczy to równouprawnienie.

Najprzód zważmy pobudki obrony kraju u nie-szlachty (§ 43). Szlachta ma *obowiązek* bronić i umrzéć w razie potrzeby za kraj. Frazes śliczny, przypominający klasyczne zwroty Horacego (u Paw. 104), troszkę co prawda osłabiony w § 44 *suo quisque contentus esse debet stipendio*, każdy winien poprzestać na swym żołdzie, co już dawno wymogła na królach bohaterska, patryotyczna szlachta! Mieszczanie i chłopi mają nie tak idealny cel: miłość kraju, postawiony; pobudką do obrony kraju dla nich jest utrzymanie swéj własności, cześć rodziny, życie, wolność osobista. Ma to być *saluti patriae*, „zbawieniem ojczyzny"; ale owo *pro patria mori* nie jest u Ostroroga dźwignią energii w armii *źle* urodzonych. I to nieobojętne dla dążeń i przekonań reformatora. Powtóre reforma cała wojenności leży... w zmianie uzbrojenia. Kwestya skarbowości tak paląca zbyta jest frazesem, że pobory uciążliwe są niezbawienne (§ 46). Oczywiście bowiem szlachta ani sama chętnie służyć niechciała, ani téż na siebie poborów uchwalać nie pragnęła. Na przegląd broni (§ 42) coroczny zgadza się, całe zło widząc „w nagości ciał", w niedostateczności uzbrojenia. Za niemożebne téż uważa coroczny spis majątków, coroczny wykaz wartości ich, by z nich, wedle dotychczasowéj praktyki pobór lub służbę ocenić i oznaczyć. A obok tego jakieś spisy rycerstwa, uwzględniające przyrost mienia i zależny od tego rodzaj uzbrojenia—przyjmuje. Jakiś tedy jest zamęt niepojęty, z którego tylko ta jedna myśl teoretyczna wynika, że synowie wojewodów (a Ostroróg *jest nim*), kasztelani i inni dygnitarze zbroją się *jak chcą*, odpowiednio do swéj *godności* (*sua conditione dignum*). Wszystka zaś szlachta ma cztery, różne uzbrojeniem, oddziały tworzyć. Otóż i cel osiągnięty. Syn wojewody, ja, Ostroróg wyjęty z pod reguły, a o tém nasz reformator *zawsze i wszędzie pamiętał* (por. Paw.), a następnie manii klasyfikowania zadość uczyniono. W téj klasyfikacyi nareszcie, klasa dygnitarzy, arystokracya urzędów, a niemal i krwi — uwolniona z pod jarzma prawa. Dla każdego jedynem prawem dbałość o nieubliżenie swéj godności (*dignitatis non immemor*). Formuła to ciekawa, przypominająca fundamentalną zasadę *katechizmu kadeckiego* w XVIII w., mającego być hasłem ludzi nowéj doby — honor, dbałość o własną cześć. Gmin ma pobudki inne!

Klasy, na które tłuszcza szlachty (*turba nobilium*), prócz arystokracyi się dzieli, rozróżnione gatunkiem uzbrojenia i ceną konia, przypominają klasy rzymskich cenzorów. Wojewoda jak cenzor robi spisy tych rycerzy (*matricula*), klasę im przepisuje, a obok tego klasę wolno zmienić, w razie przyrostu mienia. Nakoniec kto nie będzie godzien zapisania w „matrykuły," niema być szlachcicem.

Obok więc przykrojenia arystokratycznego, znać humanistyczne poglądy i studya autora projektu (1).

---

(1) System wojennego uzbrojenia Ostroroga nie jest nowy. Już 1346 uważano (M. M. Aevi III, 261), że miasta i wójtowstwa, ze swego prawa niemieckiego, są obowiązane do służby wojennéj; to téż bardzo często w nadaniach do kwestyi uzbrojeń znajdzie się materyał ciekawy. Tak np. z Mszany 1369 naznaczony łuk albo kusza, jak w bełzkiem 1408, a późniéj w łańcuckiem 1381 (A. G. i Z. III); z Dębicy 1372 dwa kabaty (joppae); żelazem pokryty, skórzany kaftan (lorica) i hełm (M. M. Ae. III), co 1422 powtarza się i w Dąbrowie galicyjskiéj (Akta G. i Z. V); z Kujaw 1374 sołtys bywał w pancerzu (Rz. i Muczk. II, 757), a koń jak w Mszanie i Dąbrowie 4 grzywny ma być wart (bywa i pół grzywny, najczęściéj „dobry"). Co do ilości, to z Krosna 1367 jeden z bronią w hełmie, drugi z kuszą (A. G. i Z. III), w dobrzyńskiem 1433 (Rz. i Muczk. II, 865), jak na Rusi 1374, 1376, 1470, 1406 (A. G. i Z. V, VII), nakazywano występować z włócznią, dwoma lub trzema łucznikami. Jagiełło 1395 oświadcza nawet, że odbywanie wyprawy „z włócznią i 3 łucznikami" dzieje się „wedle obyczaju ziemi ruskiéj, jak to zwykle czynią ziemianie (szlachta *terrigenae*) ziemi sanockiéj" (A. G. i Z. t. III), 1375 z żudaczowskiego i kołomyjskiego nakazani dwaj kopijnicy i dwaj kusznicy, 1416 z tychże dóbr powiększonych kazano służyć w 6 kopijników i tyluż łuczników, 1470 w Przemyślu miał iść kopijnik i 2 łuczników (A. G. i Z. V), jak z grodeckiego 1408 (A. G. i Z. IX). 1340 z Kleszczowy (M. M. Ae. III) wysyłano dwu lekko zbrojnych, jakiegoś klnarium w blachach (*in plattis*), a z kuszą drugiego. 1477 sołtys jechał z łucznikiem (Helcel II, N. 4078), ze Szczerca 1397 w 2 konie po 3 grz. z kuszą lub łukiem (A. G. i Z. IX). Ostroróg przepisuje choć warunkowo wartość koni: 10, 5, 4, 3 grzywien, co przewyższa normy ogólne dotychczasowe. Daléj tworzy 4 grupy z uzbrojeniem wyraźnie stopniowaném: kopijnik (zupełnie zbrojny), półkopijnik, łucznik i tarczownik v. miecznik. Kopijnik ma całą zbroję, półkopijnik ma hełm, żelazem poszyty kaftan ze skóry (lorica), płach i obojczyk z rękawicami. Łucznik ma kaftan ów, hełm, kuszę z 20 strzałami. Miecznik ma miecz, tarczę i hełm. Statut opatowiecki z 1474 r. biednego rycerza, mającego jednego lub dwu kmieci, obowiązuje do zbroi (§ 10), która jest trochę zupełniejszą jak półkopijnika, dodaje mu włócznią czyli kopiją, albo strzały. Niemający kmiecia tylko dobre grunta, ma nieco gorzéj się zbroić (§ 11) jak półkopijnik Ostroroga. Jest 1474 i trzeci dział (§ 12) wdów z 16 grzywnami dochodu, ich wysłańcy tylko hełm noszą („łapką służą"). Obraz zupełnego kopijnika, ile się zdaje, mamy dopiero 1497 r. (Helcel II, N. 4486) i to z warunkiem żądanym przez Ostroroga, by hastarius miał koniecznie dwu towarzyszy (półkopijnika i łucznika), a półkopijnik łucznika jednego.

Owegoż roku 1497 hastarius miał 2 łuczników z kopią i kuszą, i nawet *laicellum cum hasta!*

Kompletność zbroi i obowiązek drużyny, oraz wartość konia zdają się zmierzać ku wykluczeniu z liczby kopijników „tłuszczy" niezamożnéj. Jakkolwiek bowiem już

Gdy tak nastajemy na arystokratyczne dążenia Ostroroga, możnaby przytoczyć § 31 znoszący uprzywilejowanie panów i możnych w sądach, w ten sposób, że ich sprawy wcześniéj są rozstrzygane niż ubogich i plebejów. Przypominamy na razie, że Ostroróg w § 38 walczy przeciw mnogości pozwów, a sam—jak okazał prof. Pawiński (str. 94) — „łatwiéj umiał radzić, jak rady choćby własnéj słuchać.“ A powtóre, przy tych niewielu paragrafach natchniętych myślą wyższą, aż za dużo jest dowodów wbrew przeciwnych dążeń, by godziło się, te rzadkie objawy postępowości, naprzód wysuwać i z nich wić autorowi laurowe chwały wieńce.

Prof. Pawiński zwrócił uwagę jeszcze na bardziéj postępowy wniosek Ostroroga (str. 93). Chce reformator „w duchu jednoczenia rzymskiego“, jednego powszechnego prawa. Wszakże rozpatrzywszy się w osnowie § 32 stawiającego ten wniosek, musimy się nietylko zgodzić z prof. Pawińskim, że ta „zdrowa myśl“ tylko „jak błyskawica“ przesuwa się przez myśl projektodawcy, ale że choćby nawet i była „zaczerpnięta z ducha prawa rymskiego“—więc choćby miała piętno wykształcenia swego autora — romanisty, to grunt do unifikacyi prawnéj leży w arystokratycznych popędach Ostroroga. Wyłączność stanowa szczególniéj jak widzieliśmy na korzyść panów była wyzyskaną. Rycerska duma podsuwa mu też myśl, która, barwiąc się rozmaicie, przecie źródło swe, ciasne, kastowe, ujawnia prawie odrazu.

W tym § 32 mówi Ostroróg:

„Taka rozmaitość praw nie jest wcale dobrą, iż *inném* szlachta, *inném* plebejusze się sądzą; jedno polskiém, drugie niemieckiém się zowie (i to znowu jeszcze różnorodne), a tak zacięcie jest utrzymywaném, jak *gdyby Niemcy sami wyłącznie rozum wszelki posiedli*.... Niech więc będzie jedno prawo, wszystkich obowiązujące, bez żadnéj osób różnicy; na rany i zabójstwa kara pieniężna i kryminalna niech będzie taż sama (!?) zachowana *jak z dawnego była zwyczaju*. *Jeśliby zaś poczytywano* za potrzebne *prawo odmienne* dla plebejuszów, odmienne dla szlachty, *dla różności stanów*, niech się zowie *jus civile*

---

z kmieciem jednym lub dwoma można było 1474 zdobyć się na zbroję półkopijnika, przeszkadzała temu „czeladź,“ oczywiście kosztem głównego rycerza utrzymywana. Jest-to więc reforma arystokratyczna. Warto zauważyć przytém jak to dawny jest zwyczaj owéj „czeladzi“, jak mówiono o wojakach, „towarzyszom“ na ich żołdzie służących za orszak.

Stosunek, wyznać należy, niedochodzący do ścisłości, między § 41 Ostroroga a wspomnianemi paragrafami z 1474 r., nastręcza myśl, czy między nimi pewien związek genetyczny nie zachodzi?

nie *theutonicum*, lubo ja mniemam, że *jednėm i temże samėm prawem* zarówno wszyscy mieszkańcy kraju mogą i powinniby się rządzić.“

Redakcya całego wniosku dąży pozornie do ujednostajnienia prawa. Zaczyna od faktu różnicy; godzi specyalniéj na prawo niemieckie, co barwi wniosek złudnym blichtrem patryotyzmu, tém łacniéj, że wnet poświęca nawet zasadę jedności prawa, byleby uchylić choć miano prawa niemieckiego. Kończy śpiewką *Carthago delenda*, znieść trzeba różnicę praw. Czemu? By wytępić Niemców w Polsce, aż do nazwiska? Z wykrzyków § 24 miotanych na nich tak by się zdawało! Tam skarży się na szukanie prawa (*jus.*) w Magdeburgu, więc w niemieckiém mieście! W § 20 miota się Ostroróg, że do klasztorów na Polskiéj ziemi, z funduszów i przez dobrodziei polskich założonych *tylko niemców* przyjmują i *niemcy* się naigrawają z Polaków. W § 22 oburza się na hańbę kazań *niemieckich* dla jednéj lub dwu bab w miejscu pryncypalném, gdy mnóstwo polaków swego kaznodziei w kącie ściśnieni słuchają.

Niełudźmy się temi akcentami, choć nie w jednym brzmi coś prawdziwego („Niech się uczy polskiéj mowy, kto chce w Polsce mieszkać. Chyba że jesteśmy tak ograniczeni, iż nieuważamy, że Niemcy z naszym językiem podobnie się obchodzą u siebie“). Patryotyzm i unifikacya legislacyjna postępowa są maską, do któréj dodał Ostroróg i trzecią barwę: chrystyanizmu (§ 61), by pokryć właściwy cel walki: pognębienie mieszczan. Arystokrata i uczony chwilami się tylko zapomina i używa języka karmazyna. To atoli zapomnienie i wzgląd na inne objawy ciągłéj walki szlachty z mieszczaństwem, aż do zupełnego zgniecenia łyków, zdziera potrójną larwę z twarzy rzekomego postępowca.

Ernest Sulimczyk Swieżawski.

Finanse Rosyi w XIX wieku.

(*Dokończenie*).

Pomyślne rezultaty finansowe budżetów lat 1878 i 1879 należy po części uważać za osobistą zasługę p. Greiga, który po zawarciu pokoju z Turcyą wszedł na miejsce p. Reuterna. Nowy minister z jednéj strony, nie bacząc na wszelkie niechęci, potrafił energicznie bronić kasy państwa od zbytecznych wydatków, z drugiéj dokładał starań, aby zapewnić prawidłowy wpływ dochodów. Jeżeli bowiem uwzględnimy, że państwo wydało tak świeżo przeszło miliard na wydatki wojenne, to rezultaty finansowe 1878 i 1879 r. będziemy musieli rzeczywiście uznać za pomyślne—i to tém więcéj, że sztuczne ożywienie handlu, spowodowane wielką masą pieniędzy papierowych, zaczynało się już mroczyć i dawały się słyszéć skargi na istotny brak pieniędzy; skup począł wzrastać, bo, jak zazwyczaj tak i tym razem, wielka masa znaków kredytowych w obieg puszczona, w ostatecznym rezultacie spowodowała ogólną drożyznę, która już w 1879 roku wpłynęła na powiększenie, zarówno zwyczajnych, jak i nadzwyczajnych wydatków skarbu państwa. Otóż p. Greig rozumiał doskonale, że pozostawienie w obiegu całéj téj masy znaków może o wiele gorsze jeszcze sprowadzić następstwa, i celem zażegnania złego, przez wycofanie chociaż części nadmiaru biletów kredytowych, przedewszystkiem starał się o zaciągnięcie pożyczki. W dniu tedy 14 maja 1879 r. następuje otwarcie zapisów na „trzecią pożyczkę wschodnią“, w ilości 300 milionów rubli.

W sferach finansowych wezwanie o tak znaczną sumę, nietylko pesymistycznie,— lecz rzec nawet można—całkiem niechętnie przyjęto, a to z téj głównie przyczyny, że minister skarbu odrzucił wszelkie propozycye zagranicznych kapitalistów, mające za przed-

miot otwarcie zapisów zagranicą, za ich pośrednictwem, albo ustąpienie rzeczonym kapitalistom części pożyczki, po umówionéj cenie.

Pierwsze trzy dni zapisów wykazały zupełnie niepowodzenie pożyczki i minister skarbu widział się zmuszonym zawezwać do pomocy banki pierwszorzędne; ale te decydowały się przyjąć udział w zapisach w takim tylko razie, jeżeli rząd zabezpieczy je od niepowodzenia. Niebawem jednak te same banki petersburskie, otrzymawszy z zagranicy liczne zlecenia zakupu rozpisanéj pożyczki, występują same z prośbą do ministra skarbu, aby im ustąpił zarezerwowaną część pożyczki, a skoro minister zgodził się na tę propozycyą, zapisano się wkrótce na 744 miliony rubli, czyli na sumę półtrzecia raza większą niż żądano.

Wpływy z téj pożyczki pozwoliły zmniejszyć dług Skarbu względem Banku Państwa, który w czerwcu 1879 roku dosięgnął już był 510 mil. rubli, do 344 mil. rub. na dniu 7 stycznia 1880 roku.

W tym samym stosunku powinien był się zmniejszyć obieg tymczasowo wypuszczonych biletów kredytowych; liczne jednak i tak znaczne pożyczki do tego stopnia ścieśniły ich cyrkulacyą, że sam Bank Państwa, dla własnych potrzeb, widział się zmuszonym utrzymywać je w obiegu. Z téj-to przyczyny, pomimo zmniejszenia długu Skarbu Państwa, zaciągniętego z Banku, ilość czasowo wypuszczonych biletów kredytowych (415 mil. rub.), pozostała bez zmiany. Ale gdy i to nie zapełniało istotnego braku pieniędzy, Bank Państwa w końcu września 1879 r. ujrzał się znaglonym przedsięwziąć nowe emisye biletów kredytowych i obieg ich powiększył się w połowie października do 448 mil., a w dniu 7 stycznia 1880 roku wynosił jeszcze 440 milionów; ponieważ zaś wierzytelność Banku Państwa na Skarbie w tym czasie przedstawiała już tylko 344 mil. rubli: zatém z ogólnéj sumy 440 milionów rubli na pewien czas tylko w obieg puszczonych biletów kredytowych, oczywiście 96 mil. rub. wypuszczono jedynie dla wspomożenia handlowych operacyj Banku.

XXXIII.

Ogół wydatków, wyłącznie działaniami wojennemi wywołanych, w okresie 1876—1879 roku, po dzień 1 stycznia 1880 roku dosięgnął 1,020,578,489 rubli. Poprzednio poznaliśmy wydatki nadzwyczajne, wywołane przez wojnę turecką 1828—1829 rok, a następnie takież wydatki Kampanii Krymskiéj 1853—1856 rok. Jeżeli wydatki te porównamy z kosztami ostatniéj wojny, uderzy nas koniecznie ich nieproporcyonalność.

Znaczne powiększenie się kosztów Kampanii Krymskiéj w porównaniu z kosztami wojny tureckiéj 1828—1829 r. usprawiedliwia się łatwo tém, że w Kampanii Krymskiéj miała Rosya do czynienia, nie z samą tylko Turcyą, lecz ze skoalizowanym Zachodem Europy. Ale okoliczność ta niemiała przecież miejsca w ostatniéj wojnie 1877—1878 r. Czemże więc tłómaczy się tak kolosalne powiększenie kosztów wojny, prowadzonéj przeciwko saméj Turcyi w dwóch tych epokach: 1828—1829, 1877—1878?

Przedewszystkiem należy to przypisać udoskonaleniu broni i zmianom, jakie ono pociągnęło za sobą w taktyce. W działaniach wojennych obecnie przyjmują udział znacznie większe masy wojska, których uzbrojenie, przenoszenie z miejsca na miejsce i wyżywienie bezporównania więcéj kosztuje. Ale skomplikowana budowa, wysoka cena broni, konieczność utrzymywania wielkich składów artyleryi, magazynów broni, amunicyi i wszelkich rekwizytów obozowych, wywołana przez nowy system wojenny, zasadzający się na sztuce szybkiego gromadzenia wielkich zastępów ludzi — wszystko to razem, obciąża przecież zwyczajny budżet w czasie pokoju, nie stanowiąc właściwie nadzwyczajnych wydatków wojennych.

W jakiż więc sposób objaśnić ten ogrom wydatków nadzwyczajnych, w porównaniu z czasami przeszłemi lub nawet w porównaniu z wydatkami zwyczajnemi? Wątpimy, czy znajdzie się jaka inna przyczyna prócz téj, że Rosyą, po rozpoczęciu wojny tureckiéj, spotkał cały szereg niespodzianek, i to bardzo poważnych. Nie znała ona wcale ani rzeczywistego stanu, ani środków swego przeciwnika. Charakterystyczną wskazówkę pod tym względem daje porównanie wydatków na służbę dyplomatyczną w czasie ostatniéj wojny i podczas wojny 1828—1829 r. Zapewne, byłoby dość dziwném twierdzenie, że kilkadziesiąt tysięcy rubli, wydane na zebranie w właściwéj porze wiarogodnych i dostatecznych wiadomości o silach przeciwnika i usposobieniu gabinetów, może zmienić bieg wypadków; ale fakt, który wskazujemy, charakterystycznym jest jako wskazówka, że do wiadomości tych nie przywiązywano, oczywiście, szczególniejszéj wagi, czyli, że rozprawę z Turcyą uważano za rzecz bardzo łatwą. O tém, że taki pogląd istniał w rzeczywistości, przekonywa nas cały wstęp do działań wojennych: wysłanie pierwotnie nad Dunaj zbyt małéj liczby wojska, ociąganie się z reorganizacyą uzbrojenia armii i t. d.

Tymczasem pierwsze zaraz działania odporne przekonały, że Turcya, nietylko nie pozostała w tyle po za Rosyą, lecz nawet — w porównaniu z poprzedniemi wojnami—zrobiła pod względem zbrojności daleko większe od niéj postępy. I tak, Turcya zabrała się do

reorganizacyi wojska, znacznie wcześniéj od Rosyi, bo jeszcze przed Kampanią Krymską, to jest w okresie zupełnego jeszcze w Rosyi zastoju. Kiedy Rosya doprowadzała do doskonałości parady wojskowe, Turcya pod kierunkiem oficerów zagranicznych zaprowadzała u siebie takie ulepszenia, że gdy wojska rosyjskie zetknęły się z tureckiemi w 1854 r. to nie poznano w nich armii ottomańskiéj z 1829 r., téj saméj armii, którą Dybicz z 30-u tysiącami żołnierza pędził aż za Adryanopol! Od czasu zaś wojny krymskiéj Turcya, przy pomocy państw stojących na wyższym szczeblu oświaty, nie przestawała wprowadzać różnych ulepszeń do swojéj armii, korzystając przytém z najnowszych wyników doświadczenia nabytego w czasie amerykańskiéj wojny domowéj, wojny duńskiéj, prusko-austryackiéj z 1866 r. i francusko-pruskiéj z 1870—1871 r.

Te-to przyczyny wywołały olbrzymie wydatki wojenne w latach 1877 i 1878 nieznajomość sił i środków przeciwnika, zaniedbanie u siebie wielu najnowszych zdobyczy sztuki wojennéj i wszelkie inne błędy z tych dwóch wypływające.

Nawet we Francyi, która w porównaniu z Rosyą, nawet i za czasów Drugiego Cesarstwa, miała nieskończenie więcéj organów mogących z mocy prawa państwowego czuwać nad tą sprawą, wskutek faktycznego odsunięcia ich od tego nadzoru okazały się takie braki w organizacyi wojskowéj, że musiały nastąpić klęski lat 1870 i 1871, —istotne przesilenie. Do owéj pory panował tam, jak i tutaj system olśniewania.... Istniały olbrzymie wszystkiego zapasy, ale tylko na papierze, i lekceważono sobie doświadczenie wojen obcych,—wystarczała w pełni wiara w niezwalczoność francuskiego bagnetu... I ówczesny minister wojny, marszałek Leboeuf, miał też odwagę oświadczyć w Ciele Prawodawczem, że Francya jest zupełnie przygotowaną do wojny, a pierwszy minister E. Ollivier dodał, że rozpocznie tę wojnę „z czystem sumieniem...“ (*avec le coeur léger*).

A jednak już od 1862 r. można było przewidzieć konieczność wojny z Niemcami i zamiast przedsiębrać bezcelową wyprawę meksykańską, należało się przygotowywać do téj nieuniknionéj wojny. Ku temu celowi przedewszystkiem należało zbierać możliwe szczegółowe dane o siłach przeciwnika, a nie zostawiać nierozpieczętowanemi sprawozdania wojennego agenta z Berlina, Stoffela. Przeprowadzona we właściwym czasie reorganizacya mogła była dać wojnie zupełnie inny obrót; w każdym zaś razie, przyśpieszanie wojny z Niemcami nie mogło nigdy leżéć w interesach zdrowéj polityki Francyi.

Ale Francya wybierała się na wojnę „z czystem sumieniem...“ przekonana o łatwości zwycięztwa i ufna, że okrzyk: „*Do Berlina!*“ wystarcza, aby rzeczywiście wejść do pruskiéj stolicy.

XXXIV.

W stosunkach ekonomicznych rok 1880 nie mniéj był wyjątkowym: na południu Rosyi i w większéj części gubernii środkowych zbiory wypadły nadzwyczaj niekorzystnie—okazał się zupełny nieurodzaj. Wiele przedmiotów, głównie artykuły niezbędne do życia, gwałtownie w tym roku podrożały, gdy jednocześnie spadły ceny wielu wyrobów przemysłu fabrycznego. Ujawnił to ówczesny jarmark w Niżgorodzie. Przemysł fabryczny, ożywiony obfitością znaków obiegowych i upadkiem ich wartości, przepełnił rynki nadmiarem produkcyi i musiał doznać klęski, wskutek upadku cen produktów. Przy wysokich cenach artykułów żywności i wogóle przedmiotów pierwszéj potrzeby, popyt na przedmioty zbytku, a nawet na wszystkie, rzec można, wyroby fabryczne, zmiejszał się coraz bardziéj, prowadząc do nieuniknionego zmniejszenia produkcyi, pociągającego za sobą redukcyą zarobków, całéj klasy przemysłowéj. Na domiar przytém trudności, wydatki nadzwyczajne wywołane przez wojnę, bynajmniéj się nie zmniejszały, gdyż okazało się, że ministeryum wojny znacznie więcéj pozostało dłużném, niż to obliczono zrazu...

W takich warunkach, oczywiście, budżet na r. 1880 w istotném wykonaniu swojém nie mógł dać przewidywanéj przewyżki 195 tysięcy rubli, lecz, przeciwnie, bilans roczny zamknął się znowu niedoborem.

Do wszystkich wyżéj powołanych a niepomyślnych okoliczności dodać potrzeba jeszcze i tę, że drogom żelaznym należały się znaczne bardzo sumy, raz z tytułu pożyczek, a potém z powodu wydatków poniesionych na przyprowadzenie do należytego stanu użyteczności—licznego bardzo taboru, podniszczonego przez transport wojsk. Wszystko to razem wzięte sprawiło, że położenie finansowe zaczęło się już stawać niesłychanie uciążliwém. Jeszcze w r. 1878 ówczesny m. skarbu p. Greig, świeżo objąwszy kierunek ministeryum, kiedy mu polecono wyszukać nowe źródło dochodów z właściwą sobie prostotą i otwartością, nieustannie dowodził konieczności zmniejszenia wydatków. Przedstawił on nawet cesarzowi specyalny memoryał w tym przedmiocie, — memoryał przypominający duchem, jaki z niego wieje, pierwsze lata panowania Aleksandra I.

P. Greig między innemi w memoryale swoim powiada: „Zmniejszenie wydatków z natury rzeczy uchyla się z pod woli ministra skarbu. Gdy chodzi o nowe wydatki, minister skarbu ma jeszcze niejaki głos, może przynajmniéj walczyć, jeżeli żądane kredyty nie wydają mu się niezbędnemi—lubo niezawsze i tę nawet możność po-

siada, a rzadko kiedy może skuteczność przedstawieniom swoim zapewnić; ale jest on całkiem bezsilnym, gdy chodzi o wydatki będące już w biegu, już zarządzone...“

„Wprawdzie ministeryum skarbu przegląda budżety oddzielnych władz i przesyła uwagi swoje Radzie państwa; uwagi te jednak dotyczą niemal wyłącznie niewielkich sum: większa bowiem część wydatków opiera się na etatach i rozporządzeniach, których ministrowi Skarbu nie wolno jest nawet w wątpliwość podawać.

„W podobnych zupełnie granicach kompetencyi względem budżetów zamyka się i rola kontroli Państwa.

„Zbiegiem czasu zjawiają się nowe potrzeby, które należy zaspokoić i otwierają się nowe kredyty, powiększające rokrocznie ogół państwowego budżetu. Tymczasem niejedna z potrzeb dnia wczorajszego,—dzięki ciągłości biegu życia państwowego i narodu,—dziś już straciła swoje znaczenie, a mimo to, ciąży na skarbie dla tego, że z utrzymaniem jéj w budżecie związane są osobiste czyjeś widoki, albo, że wystąpienie z inicyatywą usunięcia jéj, nie przedstawia dla naczelników wydziałów, zajętych sprawami bieżącemi i ulepszeniami w zakresie ich czynności, żadnego szczególniejszego powabu.

„Tym sposobem przedmioty owych wydatków istnieją ciągle wpośród nowych instytucyi, jak zmurszałe pomniki przeszłości lub wspomnienia po niezbyt fortunnych, lecz za to bardzo kosztownych próbach.

„W ogóle, nie sposób zaprzeczyć, że nasze gospodarstwo państwowe należy do najkosztowniejszych w świecie.“ (1).

---

(1) Chcąc dać wyobrażenie o rosyjskim systemacie rachunkowości, przytoczymy niektóre dane, jakie się ujawniły w czasie ściślejszéj rewizyi zaległości podatkowych w 1878 r.

Ogólna suma zaległości z podatków niestałych wynosiła do roku 1872 z górą 36 milj. rub. i stanowiła przeszło 600,000 oddzielnych pozycyi. Z tych pozycyi po sprawdzeniu umorzono: z decyzyi izb skarbowych, 22.710 na sumę 1,800,000 rubli; jako nie przedstawiające żadnego prawdopodobieństwa odzyskania, z mocy rozkazu z dnia 15 grudnia 1878 roku wykreślono 300,0000 pozycyi na sumę przeszło 2 mil. rubli wreszcie, uznano za „możliwe“ do wyegzekwowania około 100,000 pozycyi na sumę z górą 14 milj. rub.

Tak więc, z ogólnéj liczby 600,000 pozycyj, wynoszących 36 milj. rub., pozostało na rachunku skarbu zaledwie 180,000 pozycyi stanowczych składających sumę około 18.000,000 rub., czyli, że rewizya zaległości w podatkach niestałych zredukowała wykazy skarbowe: o 70% co do ilości pozycyj, a o 50% co do sumy należności!

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę, że na jednéj stronicy księgi kasowéj można napisać zaledwie 10 pozycyi zaległości, to łatwo już dojdziemy, że dla zanotowania umorzonych, jako niepotrzebnie figurujących 420,000 pozycyj, potrzeba było najmniéj

Tak Greig rozumował wobec cesarza i na skutek tego memoryału, na dniu 1 stycznia 1879 r. zapadł ukaz, polecający utworzyć specyalną komisyą dla wynalezienia środków zmniejszenia wydatków państwowych. Prace téj komisyi po dziś dzień doprowadziły do tych samych ujemnych rezultatów, co prace wszystkich jéj poprzedniczek.

Dopóki w Rosyi istniało poddaństwo, większość ludności każdy ciężar ją gniotący, każde złe, jakie ją dotykało, przypisywała szlachcie (obywatelom ziemskim). Nie rząd, lecz szlachtę obwiniał lud prosty, że mu źle było. Dopiero po zniesieniu poddaństwa masy tego ludu zostały bezpośrednio zainteresowane w sprawie zarządu państwem (jakkolwiek mogły one o nim sądzić, tylko z najbliżéj obchodzących je faktów).

Uwłaszczenie utworzyło całą masę ludzi—jak ich dobrze w języku feodalnym nazywano: *reichsunmittelbar*. Do owego czasu wszelkie wady i błędy w wymiarze sprawiedliwości przez organa państwowe nie obchodzily ani nie dotykały chłopa, ponieważ sam ten wymiar był dla niego niedostępnym; represalje policyjne nie dotykały go również w zwykłym biegu rzeczy.

Co się tyczy klasy mieszczańskiéj, ta, nieliczna w owe czasy, niewiele różniła się od chłopstwa, a porównywając swoje położenie z chłopskiem, musiała być zadowoloną z rządu.

Samowiedza społeczna i krytyczna urabiają się głównie drogą porównań, i metoda-to właściwa dla oceny, nietylko ludzi, lecz i urządzeń państwowych. Dla tego téż tak starannie unikano podówczas zaznajamiania społeczeństwa z urządzeniami zagranicy. Tymczasem stosunki z obcemi państwami, nawet bez tych sztucznych przeszkód, były utrudnione skutkiem znacznéj odległości, braku środków komunikacyjnych i nieistnienia narodowego kupiectwa, któreby trzymało w swych rękach handel zagraniczny. Chociaż więc stosunki handlowe były wszędzie najlepszym środkiem szerzenia nowych idei, to w ówczesnéj Rosyi nie mogły odegrać takiéj roli, dla tego, że cały jéj handel zewnętrzny był prowadzony przez ku-

---

42,000 stronic, które—nie zapominajmy—musiały być corok przepisywane i sprawdzane!...

Przytoczyliśmy tutaj te dane urzędowe, żeby dać próbkę, do jak nieprawdopodobnych niedorzeczności dochodzi formalizm kancelaryjny, wynikający z niedowierzania rządu własnym organom wykonawczym. W takich warunkach mechanizm państwowy—rzecz prosta—nie może funkcyonować prawidłowo, tak skutkiem zbytnich trudności, wikłających jego rozwój, jak i skutkiem braku niezbędnego współdziałania ze strony społeczeństwa.

piectwo obce, niemające nic wspólnego ze społeczeństwem rosyjskiem.

Dopiero z chwilą zniesienia poddaństwa chłopów, zbudowania jakiéj takiéj sieci dróg żelaznych, większego uprzystępnienia nauki i t. d. zaszły w tym względzie poważne zmiany. Dziś téż porównanie z Zachodem, dla części społeczeństwa wykształconéj, stało się już możliwém. Ale apatya, trwa ciągle; a jeżeli kiedyniekiedy dają się uczuć jakieś większe poruszenia, to pochodzą one wyłącznie z nadzwyczajnych okoliczności, jak tego przykład mieliśmy w czasie wojny 1877 i 1878 r. Organizm społeczeństwa wciąż jeszcze drzemie i nie zdaje się być zdolnym do ciągłéj czujności przy większém natężeniu, jakiego wymaga działalność społeczna.

Obok tego objawy przeciwne postępowi znalazły dziś—po części w saméj nawet literaturze—nowy środek przeciwdziałania wpływom Zachodu i wyjęcia Rosyi z pod obowiązku wzorowania się na przykładach świata cywilizowanego Ztąd téż w części pochodzą dziwne nieraz sprzeczności. Dość wspomniéć o jednostronnéj opinii konserwatystów względem gminy rolnéj, jako najbardziéj realnéj ze wszystkich cech narodowych, w imię których odrzuca się obowiązek przyswajania sobie piarwiastków cywilizacyjnych Zachodu. Czyż potrzeba dodawać, że gmina nie jest formą właściwą wyłącznie społeczeństwu wielkorosyjskiemu; że na pewnym stopniu rozwoju ekonomicznego można się z nią spotkać w historyi wielu narodów; wreszcie, że wszędzie musiała ona ustąpić miejsca innym formom, skoro tylko powstała potrzeba bardziéj natężonéj uprawy roli?

Dawni konserwatyści z czasów Kankrina mogli walczyć przeciwko udzieleniu społeczeństwu rękojmi liberalnych, dla tego, że dopatrywali się w nich zasady rewolucyjnéj, niebezpiecznéj dla ich państwowego ideału. Lecz powstawać przeciwko europejskim podstawom życia politycznego, powołując się na gminę rolną, jak to czynią niektórzy z konserwatystów dzisiejszych, jest, co najmniéj, dziwne,—choćby dla tego, że gmina agrarna jest najmniéj pewną rękojmią dla własności gruntowéj, która przecież zawsze była uważana przez konserwatystów za podstawę bytu państwowego. W gruncie rzeczy gmina rolna nie jest nawet własnością ziemską, lecz racźej prawem ogółu do posiadania i zarazem prawem osobistém do użytkowania: tam bowiem, gdzie grunta są podzielone na zasadzie zupełnego posiadania osobistego, myśl o podziale wielkich majątków pomiędzy wszystkich obywateli—starożytne marzenie agrarne—nie może budzić najmniejszéj pokusy do tego, aby ją urzeczywistniono; w krajach tych bowiem na straży własności stoi liczna klasa drobnych właścicieli ziemskich. Próba urzeczywistnienia podobnego ma-

rzenia bardziéj jest możliwą tam, gdzie istnieje tylko prawo osób do posiadania gruntów i gdzie ogół mieszkańców może się wydawać, nawet nie marzycielowi, powolném tylko narzędziem, gotowem bez walki zgodzić się na arytmetyczny podział gruntów, odpowiednio do liczby mieszkańców.

To téż partya konserwatywna postępowałaby daleko logiczniéj, gdyby w wycieczkach przeciw zasadom liberalnym, a nawet i przeciw skrajnym teoryom, powoływała się na wszystko, byle nie na tę „właściwość bytu,“ jaką przedstawia gmina rolna.

XXXV.

W 1878 roku dało się czuć tak ogólne przygnębienie ekonomiczne kraju, że powiększenie dochodów można było przedsiębrać jedynie tylko z wielką ostrożnością, gdyż środki płatnicze niższych warstw społeczeństwa, na których w Rosyi wspiera się cały budżet, były zupełnie wyczerpane. Bezsilność ekonomiczna warstw, o których mówimy, była tak wielką, że ministeryum skarbu musiało nawet zarządzić rozmaite ulgi, tak przez odroczenie terminów dłużnikom bankowym, jak i przez rozkład na raty i prolongatę zaległości w wypłatach wykupowych, z oznaczeniem *maximum* czasu do lat pięciu. Oprócz tego w dniu 30 marca 1878 r. zapadła bardzo ważna uchwała, dotycząca ulg w opłacie rat wykupowych wgóle: okazało się bowiem, że ustanowione w przepisach z d. 19 lutego 1861 r. raty należności za grunta oddane na własność włościanom są zbyt dla nich uciążliwe.

Ażeby zdać sobie sprawę z przyczyn takiego przygnębienia ekonomicznego, musimy téż poznać ogólne rezultaty operacyi wykupowéj, poczynając od 1861 roku. Właściwa operacya wykupowa rozpoczęła się z d. 1 listopada 1861 r. Pominąwszy gubernie Zachodnie, jako znajdujące się w szczególnych warunkach politycznych, operacya wykupowa najszybciéj posuwuła się w guberniach: Orenburskiéj, Charkowskiéj, Chersońskiéj, Ekaterynosławskiéj i Wiackiéj, w których z d. 1 stycznia 1878 roku zaledwie 1 do 10% ogółu dawnych włościan pańszczyźnianych pozostawało jeszcze w zależności od właścicieli ziemskich. Największa liczba włościan nieuwłaszczonych, wynosząca, mianowicie, od 44 do 68%, znajdowała się przedewszystkiém w gubernii Permskiéj, oraz w guberniach: Kurskiéj, Niżegorodzkiéj, Wołogodzkiéj, Astrachańskiéj i Stawropolskiéj. We wszystkich zaś guberniach wielkorosyjskich i noworosyjskich liczba włościan pozostających jeszcze z d. 1 stycznia 1878 r. w zależności od właścicieli ziamskich wynosiła 15½% ogółu dawnych włościan pańszczyźnianych w tychże guberniach.

Wogóle statystyka urzędowa dostatecznie przekonywa, że w tych guberniach, gdzie przeprowadzenie wykupu pozostawione zostało dobréj woli właścicieli ziemskich, operacye wykupowe szły i dotąd idą powoli, głównie dla tego, iż wielu właścicieli uważa za dogodniejsze dla siebie korzystanie z powinności włościańskich, niżeli indemnizacyą pieniężną; niektórzy znowu właściciele nie mogą przedsiębrać uregulowania tych stosunków, skutkiem braku ściśle określonych praw do posiadania gruntów.

W Guberniach Zachodnich, odstąpienie ludowi gruntów na własność było od początku obowiązkowém dla właścicieli ziemskich a rozpoczęło się w r. 1863. Wprawdzie termin dla téj operacyi wyznaczono bardzo krótki, niemniéj jednak trwała ona przeszło 10 lat. Cel polityczny, kierujący operacyą w Guberniach Zachodnich—mianowicie: zmniejszenie wpływu właścicieli ziemskich, narodowości polskiéj, przez powiększenie obszarów włościańskich—znakomicie sprzyjał téj okoliczności, iż urzędy do spraw włościańskich chętnie przyjmowały wszelkie skargi włościan na akty nadawcze i posiłkowały się zapisami inwentarzowemi dawnych czasów. Skutkiem tego było, naturalnie, wielkie mnóstwo procesów, które po większéj części rozstrzygano znowu na korzyść włościan.

W dziewięciu Guberniach Zachodnich w dniu 1 stycznia 1880 roku liczono 2,716,529 uwłaszczonych włościan.

Ogółem biorąc,—podług urzędowych danych—w dniu 1 stycznia 1880 roku znajdować się miało uwłaszczonych włościan w 37-u guberniach środkowych 5,867,796 osób.

Od 1863 roku operacya wykupowa rozwijała się w dwóch kierunkach:

a) W guberniach położonych za Dnieprem i Dźwiną wykup pozostawiony był dobréj woli właścicieli, a w części dyskrecyi instytucyj kredytowych, na żądanie których należało przystąpić do wykupu—i

b) W Guberniach Zachodnich dokonywano wykupu tylko za decyzyą władzy.

Wykup pierwszego rodzaju, to jest za ugodą samych właścicieli, dosięgnął największych rozmiarów w 1864 r., w ciągu którego wydano na ten cel przeszło 97 milj. rub. zaliczeń. Zmniejszając się później stopniowo, operacye wykupowe zeszły wreszcie do 10 milj. rub. zaliczeń w 1879 r.

Wykup zaś w Guberniach Zachodnich, rozpoczęty w 1863 r. od sumy 95 milj. rub., w 1868 r. wymagał już tylko 36 milj. rub.

Wogóle na cele uwłaszczenia włościan w Cesarstwie przez cały czas trwania operacyi wykupowéj do 1880 r. przyznano około 574 milj. rub. zaliczeń w guberniach pierwszéj kategoryi, a około 160 milj. rub. w Guberniach Zachodnich, razem więc do 734 milj. rub., którym to funduszem uwłaszczono 7,832,000 włościan pańszczyźnianych, przyznając im na własność około 28 milj. dziesiatyn gruntów uprawnych. Średnio więc biorąc na każdego włościanina przypadło nieco więcéj niż $3^5/_8$ dziesiatyny wykupionego gruntu, a każda dziesiatyna kosztuje włościanina średnio 26 rub. 20 kop.

Co się tyczy operacyi likwidacyjnéj w Królestwie Polskiem, to jéj rezultaty wypadły dla skarbu jak najpomyślniéj.

Komisya likwidacyjna, powołana do życia ukazem z d. 19 lutego 1864 r., wypuściła łącznie z Bankiem Polskim do d. 1 lipca 1879 roku listów likwidacyjnych w ogólnéj sumie na 63,932,150 rubli. W ciągu zaś tych 15-tu lat dokonano 27 losowań, któremi wycofano z obiegu tychże listów na sumę 11,547,043 rubli.

Nie tak jednak łatwo szedł wykup włościanom rosyjskim; wymowny tego dowód mamy w olbrzymiéj sumie zaległości w tytule spłat wykupowych do 1880 r. Z dniem 1 stycznia 1880 r. raty wykupowe wynosiły ogółem 42,893,793 rub., zaległości zaś dosięgały 16,469,166 rub., czyli 38%.

Rosnącą z roku na rok kwotę zaległości tłómaczono zrazu niedołęztwem władz miejscowych, które obwiniano, iż nie dopilnowują regularnego ściągania rat wykupowych w terminach właściwych, i skutkiem tego nakazano na satysfakcyą tych zaległości sprzedawać taką część z majątków zalegających w wypłacie, która „nie jest w gospodarstwie niezbędna.“ W wykonaniu rozporządzenia prowadzący egzekucye zaliczyli do téj części majątku inwentarz domowy, będący podstawą własności włościańskiéj. W rezultacie sprzedaż inwentarza pokrywała drobną część zaległości, a uszczuplała znacznie środki płatnicze włościan w ogóle, gdyż, jak wiadomo, oprócz okolic czarnoziemnych, nie sposób jest gospodarować bez umierzwiania roli, i zmniejszenie ilości bydła sprowadziło zmniejszenie wydajności gruntów i urodzaju. W ten sposób powstała nowa przeszkoda w rozwoju ekonomicznym kraju, któréj bezpośrednim następstwem musiało być nowe powiększenie się zaległości, i to nietylko w tytule należności wykupowych, ale i w normalnych podatkach.

Wobec tego Ministeryum Skarbu szuka takich środków, któreby, nie wyzuwając włościan z własności, przez zbyt nagłą sprzedaż przyznanych im gruntów, zabezpieczały jednak interes skarbu co do regularnéj wypłaty należności, i w tym celu projektuje Komi-

telowi do Spraw Włościańskich, aby wydzierżawiać grunta włościańskie, których właściciele nie są w możności zadość uczynić swym obowiązkom podatkowym, a otrzymywane z dzierżawy dochody obracać na umorzenie zaległości i pokrywanie należności bieżących. Projekt ten uzyskał sankcyą monarszą na dniu 30 marca 1878 r.

Jakkolwiek rzeczone ulgi w pewnych wypadkach nie pozostały bez dodatniego wpływu, usuwając na razie trudności i uwzględniając niezasobność włościan, to jednak w większéj części wypadków nie odniosły one pożądanego skutku i włościanie, pomimo wszelkich starań, wciąż jeszcze nie mieli możności uiszczać się nawet z obniżonych rat. Stawało się też coraz widoczniejszém, że wzrastanie zaległości nie pochodzi bynajmniéj z przyczyn wypadkowych i chwilowych, lecz ze stałych, mianowicie ztąd, że podatki wcale nie odpowiadają, nietylko już dochodowi z ziemi, lecz nawet ogółowi dochodów włościańskich, wliczając i zarobki przemysłowe.

Fakt ten potwierdził téż sam główny Komitet do Spraw Włościańskich w dzienniku swoim noszącym datę urzędową d. 1 lutego 1877 r., gdzie nieproporcyonalność pomiędzy opłatą wykupową a wartością gruntów została uznana za „oczywistą,“ gdyż czynsze (*obroki*), na podstawie których normowano opłaty wykupowe, wycenione były i pobierane, nietylko z wartości gruntów, lecz i z osobistych zarobków włościan; daléj w dzienniku tym przyznano także, że środki egzekucyjne przymusowe, zamiast przynosić pożytek, przynoszą skarbowi stratę, gdyż zmniejszają siłę płatniczą włościan, sprzyjając wzrostowi zaległości, które nie będą mogły być nigdy uiszczonemi. Kwestya normy opłat wykupowych i w ogóle sprawa dobrobytu włościan, przeszedłszy cały szereg matactw, poruczoną wreszcie została do rozpatrzenia specyalnéj komisyi, utworzonéj z mocy ukazu z dnia 23 marca 1879 r. przy Ministeryum Skarbu z obowiązkiem przejrzenia pogłównego i zastąpienia go innemi podatkami.

Komisya ta, obradując nad sprawą zreformowania systemu podatków stałych, przyszła do wniosku. iż niepodobna jest rozwiązać tego zadania, nie zmniejszywszy normy opłat wykupowych i zaleciła obniżenie opłat wykupowych w miejscowościach, gdzie te opłaty przewyższają korzyści osiągane przez włościan z nadanych im gruntów, oraz wykonanie tego jednoczesne, tak, aby sprawa reformy opłat wykupowych nie przeciągnęła się zbyt długo, ze szkodą zarówno gospodarstwa społecznego, jak i skarbu.

Pomimo takiéj opinji i owéj specyalnéj komisyi, w ciągu trzech lat 1879—1881 r. nie przedsięwzięto nic stanowczego w téj sprawie

i zaledwie po przedyskutowaniu nanowo w Radzie Państwa kwestyi obniżenia opłat wykupowych wyznaczono nową komisyę, złożoną z wybranych przez rząd biegłych.

XXXVI.

Pozostaje nam jeszcze do powiedzenia słów kilka o długach państwa według ich stanu w d. 1 stycznia 1880 r., o najświeższych rozporządzeniach finansowych i wreszcie o budżecie na r. 1881. Od r. 1817 długi wzrosły z 352,465,266 ówczesnych rubli asygnacyjnych do 1 miliarda 646,594,774 rubli kredytowych dzisiejszych, 113,609,300 f. st. 84.507,000 guld. hol. i 120,665,370 rubli metalicznych.

Nadto biletów kredytowch znajdowało się w obiegu w d. 1 stycznia 1880 r.

1-o dawniejszych	716,545,125 rubli
2-o nowszych	446,000,000 „
Razem	1,162,545,125 rubli.

W ogóle przeto Skarb państwa dłużny był d. 1 stycz. 1880 r. w saméj tylko walucie rosyjskiéj papierowéj . . 2,809,109,899 rub. met.

Z ogólnéj sumy dlugu, wynoszącéj przeszło 4 miliardy w rublach kredytowych, należy jednak wyłączyć następujące wierzytelności skarbu:

1-o Dług towarzystwa dróg żelaznych	666,507,409 rub. met
i	318,298,974 rub. kred.
2-o Dług towarzystw przemysłowych z pożyczek udzielonych im dla wspomożenia rozwoju konstrukcyi taboru dróg żelaznych	5,850,316 rub. kred.
3-o Dług różnych towarzystw, miast i osób prywatnych z pożyczek zaciągniętych ze Skarbu Cesarstwa i Król. Polskiego	30,306,574 rub. kred.
Razem przeto wierzytel. Skarbu Państwa na d. 1 stycz. 1880 r. wynosiła	666,507,409 rub. met.
i	354,455,864 rub. kred.

Przyjmując wartość rubla metalicznego, według kursu na Londyn, w d. 31 grudnia (v. s.) 1879 r. jako równą 1,52 rubla kredytowego, otrzymujemy na sumę téj wierzytelności Skarbu:

1,013,091,261
i 354,455,864

1,367,547,125 rubli kred.

Po odjęciu od ogólnéj sumy długu w monecie papierowéj, na dług właściwy pozostaje:

2,809,109,896
1,367,547,125

1,441,562,724

Oprócz tego ciążyło jeszcze na Skarbie, jak wyżéj, 113,600,300 f. st. 84,507,000 guld. hol. i 120,665,370 rubli metalicznych czyli w rublach metalicznych 880,040,412, a w kredytowych miliard 337,676,625, co po dodaniu do powyższego długu w papierach na czysto obliczonego daje w ogólnéj ostatecznéj sumie:

1,441,562,724
1,337,676,625

2,779,239,349 w walucie papierowéj.

Mając mówić o najnowszych rozporządzeniach i środkach finansowych musimy przedewszystkiém zaznaczyć, że kiedy podczas wojny wypuszczano niezmierne masy biletów papierowych, zapomniano przytém zupełnie, że funduszów na wydatki nadzwyczajne należy szukać jedynie w pożyczkach procentowych, zawieranych chociażby na najbardziéj uciążliwych warunkach, nie zaś w powiększeniu masy bezprocentowych znaków pieniężnych o kursie przymusowym. Korzyści, jakie skarb może osiągnąć na emisyi papierów bezprocentowych, nie mogą nawet iść w porównanie z olbrzymiemi stratami, jakie, zarówno skarb, jak i kraj, ponieść muszą na skutek nadmiaru znaków obiegowych, sprowadzającego obniżenie wartości wszystkich dochodów skarbowych, obliczanych w walucie kredytowéj, oraz drożyzny wszystkich artykułów spożycia. Upadek wartości dochodów skarbowych obniża ogólny dochód państwa, podczas gdy drożyzna artykułów codziennéj potrzeby powiększa znowu jego wydatki.

Następca p. Greiga, p. Abaza odrazu zdecydował się na środek radykalny: postanowił ograniczyć swoję, jako ministra skarbu, rozrzutność, wyrzekając się łatwego środka wiodącego do niéj.

W dniu 1 stycznia 1881 roku ogłoszono ukaz o spłacie długu skarbowego Bankowi Państwa, który powstał, jak wiadomo, z po-

życzek na wydatki nadzwyczajne w czasie wojny, czerpanych z funduszów Banku, a w części osiąganych przez emisyę biletów kredytowych.

Okazało się jednak, że łatwiéj jest wydać podobny ukaz, niż go wykonać: bo skoro wydatki zwyczajne przewyższają dochody i potrzeba jeszcze pokrywać wydatki nadzwyczajne ostatniéj wojny, to rzecz naturalna, iż w takich warunkach nie pozostają żadne inne źródła, prócz nowych pożyczek; jeżeli zaś okoliczności zawarciu ich nie sprzyjają, to z konieczności wypada szukać pożyczek w formie ostatecznie niczem nieróżniącéj się od emisyi biletów kredytowych.

Budżet na r. 1881 przy pozornéj równowadze zamykał się po obu stronach sumą 717,461,609 rubli i przewidywał w tém 50,356,665 nadzwyczajnych dochodów, które wykazano jako „zwrot wydatków uskutecznionych przez Skarb Państwa uprzednio na rachunek funduszu kolejowego.“ Nadzwyczajne źródło zawiodło i ministeryum Skarbu przyznało samo, że rezultat jego przewidzeń wypadł niepomyślnie.

W związku z budżetem pozostają téż dwie operacye kredytowe skarbu państwa z 1881 r., przedsięwzięte już za następcy p. Abazy, p. Bungego, który w dniu 7 maja t. r. mianowany został zarządzającym ministeryum skarbu.

Dnia 30 maja, mianowicie, polecono wypuścić w obieg 5-tą seryę obligacyj skarbu państwa, ogółem na 55 miljonów rub. w odcinkach nominalnéj wartości 1,000 i 5,000 rub., z terminem sześciomiesięcznym, licząc od d. 2 czerwca 1881 r.

Dla spłacenia znów Bankowi Państwa części długu przypadającego od skarbu w d. 22 września t. r. zarządzono nową emisyą 5° procentowych biletów bankowych.

Niezależnie od tych pożyczek widzimy w ciągu r. 1881 ciągłe usiłowania powiększenia dochodów państwowych innemi jeszcze sposobami. Mianowicie: podwyższono akcyzę od okowity i spirytusu, jak również od wódek z pozostałości buraczanych, z miodu do 8 rubli od wiadra; wprowadzono nowy sposób ściągania akcyzy od cukru; wydane bowiem nakrótko przedtém przepisy okazały się do tego stopnia wadliwemi, że cukrownie, przechodząc na systemat dyfuzyjny, opłacały skarbowi mniéj jeszcze aniżeli za panowania dawniejszych przepisów. Miano odtąd akcyzę pobierać od wagi wyprodukowanego przez cukrownię cukru do 1 sierpnia 1883 po 40 kop., a do 1 sierpnia 1886 r. po 63 kop. od puda mączki (1).

(1) Przepis ten zapadł bez należytego wystudyowania przedmiotu i tak nagle, że musiano poruczyć ministrowi skarbu opracowanie przepisów określających sposób ścią-

Dochody państwa wciąż wzrastały: to prawda, atoli w daleko większym stosunku wzrastały i wydatki, tak, że równowaga w budżecie była prawdziwym fenomenem.

W całym dwudziestopięcioletnim okresie od 1855—1880 w pięciu tylko latach: 1871, 1874, 5,8 i 1879 budżet dał nawet przewyżkę, ale w dwóch ostatnich tylko dzięki pożyczkom; wszakże i taka nawet przewyżka była tylko pozorną, utonęła bowiem w zupełności w wydatkach na wojnę 1877/8 r. które, jak wiemy, miały swój osobny rachunek poza budżetowy. Wydatki te, przez 5 lat 1876—1880 ponoszone, wyniosły ogółem 1,075,396,652 rubli kredytowych.

Wprawdzie dochody państwa wzrosły z 264 miljonów rubli w 1855 roku, do 662 miljonów w 1879 roku,—a 651 milj. w roku 1880, to jest, powiększyły się więcéj niż w dwójnasób; pomimo to jednak w bardzo tylko wyjątkowych latach wystarczały na pokrycie wydatków państwowych. Nie mówiąc już o okresie 1876—1879 roku, kiedy nadzwyczajne wypadki pociągnęły za sobą i nadzwyczajne wydatki, widzimy, że nawet w czasach zupełnego spokoju dochody nie pokrywają zwyczajnych potrzeb państwa i deficyty są zjawiskiem stałém, normalném.

Główną przyczyną téj anomalji—co już tylokrotnie mieliśmy sposobność zaznaczyć—są nieproporcyonalne, przewyższające o wiele zasobność państwa, wydatki ministeryów Wojny i Marynaki. Niejednokrotne usiłowania, przedsiębrane w celu zmniejszenia tych wydatków, nie przynosiły nigdy pożądanego skutku: a jednak bez znacznego zmniejszenia tych wydatków nie sposób marzyć nawet, w dotychczasowych warunkach, o polepszeniu stanu finansowego. Choćby dochody ogółu niezwykle nawet wzrastały, choćby na czele ministeryum skarbu najgenialniejsi stali ludzie i gospodarstwo państwowe rozwijało się jak najszerzéj,—jeżeli tylko wydatki na siłę zbrojną nie zmniejszą się, lecz będą wzrastały, tak jak dotychczas,—finanse państwa nie poprawią się, kredyt jego nie będzie się mógł podnieść. W istocie, czyliż można mówić o polepszeniu stanu finansowego, jeżeli wydatki jednego tylko Ministeryum Wojny w 1877 roku wyniosły 571 milj. rubli, a w 1878—560 miljonów, czyli przewyższyły znacznie wszystkie wogóle wydatki lat 1875 i 1876!

Dopóki żądania Ministeryum Wojny więcéj będą ważyły, niż wszelkie usiłowania Ministeryum Skarbu około zmniejszenia wy-

---

gania akcyzy i nadzoru nad cukrowniami z obowiązkiem przedstawienia pod zatwierdzenie właściwym trybem odpowiednich zmian w obowiązującéj ustawie o pobieraniu akcyzy od cukru.

datków, dopóty nie ma co łudzić się nadzieją polepszenia się sytuacyi.

Pod tym téż względem mają istotną wagę słowa p. A. Abazy, zamykające raport jego, złożony monarsze z działań budżetu na rok 1880.

„Rzeczywisty wzrost dochodów państwowych — czytamy we wspomnianym raporcie—ma pewne granice. W ciągu ostatnich lat dwudziestu dochody skarbu powiększyły się przeszło dwójnasób, a pomimo to pochłaniają je w zupełności zwykłe wydatki państwowe. Pomimo przywrócenia pokojowych stosunków w naszéj polityce zagranicznéj, przeszło trzecia część ogólnych dochodów ekspensowana jest przez ministeryum wojny. W takich warunkach minister skarbu uważa za swój obowiązek wyrazić przekonanie, iż nieodzownie potrzeba przedsięwziąć środki, mogące dopomódz do zredukowania wydatków łożonych przez państwo na utrzymanie jego siły zbrojnéj.“

Pomijając te arcyważną okoliczność, jaką wskazuje raport, powiedziéć trzeba, że polepszenie ekonomicznego położenia Rosyi jest niemożliwém jeszcze i z téj przyczyny, iż podstawą pomyślności może być jedynie rozwój w kraju życia przemysłowego, powiększenie zarobków i dobrobytu: gdy tymczasem przemysł i przedsiębierczość w Rosyi zostają jeszcze dotąd w zupełném uśpieniu.

XXXVII.

We dwa miesiące po tragicznym wypadku dnia 1 (13) marca 1881 r. nieodzowna potrzeba opracowania nowego programu rządu wystąpiła sama przez się, gdyż w składzie osobistym zarządu ministeryum zaszły wkrótce ważne zmiany. Ukaz z dnia 4 (16) maja uwolnił hrabiego Loris Melikowa od obowiązków ministra spraw wewnętrznych, poruczył je hr. Ignatjewowi. Następnie, w krótkim czasie, uwolniono także p. A. A. Abazę i hr. Milutina, a na ich miejsce mianowano ministrem skarbu p. M. Ch. Bungego, ministrem wojny generał-adjutanta Wannowskiego. Po części jednocześnie, po części wkrótce potém, zmieniono téż zarząd ministeryów dóbr państwa i dworu, a następnie i marynarki, ten ostatni mianowicie, z chwilą porzucenia (dnia 13 lipca) przez J. C. W. W. Ks. Konstantego Mikołajewicza zwierzchniego zawiadywania flotą.

W rysie historyi finansów nie można téż pominąć wzmianki o zmianie zarządu Banku Państwa, z którego ustąpił p. E. J. Łamanski.

Wkrótce po objęciu urzędu przez nowego ministra spraw wewnętrznych ukazał się okólnik do gubernatorów (dnia 6-go maja), w którym robiąc ustępstwo dla dojrzewającéj opinii, podnoszono niejednokrotnie korzyści, a nawet i nieodzowną potrzebę, współdziałania społeczeństwa z rządem.

W ciągu 1881 r. widzimy pewne usiłowania usunięcia niektórych braków. Podjęto wówczas kwestyą zmniejszenia pijaństwa między ludem, sprawę uregulowania przesiedleń, reformy całego lokalnego zarządu, zniesienia podatku pogłównego, utworzenia banków włościańskich, i opracowywano, a następnie i wprowadzono w wykonanie projekt pana A. A. Abazy: zmniejszenia rat wykupowych.

A więc i w nowo-rozpoczynającym się okresie nie przestało kiełkować to, niczem niedające się zagłuszyć, poczucie istnienia w rosyjskiém życiu braków i wadliwości, pomimo wszelkich przeprowadzonych dotąd reform.

Poczucie potrzeby powiązania i uzupełnienia reform, jakotéż konieczności współudziału społecznego, zamanifestowało się w ciągu 1881 roku, nietylko w rozmaitego rodzaju oświadczeniach, lecz także i w kilku rozporządzeniach rządowych. I tak: nawet w „*Przepisach o środkach utrzymania porządku państwowego i społecznego spokoju*“, zatwierdzonych dnia 4 września, obok rozszerzenia praw administracyi w miejscowościach, poddanych „nadzwyczajnéj obronie,“ upoważniającego do nakładania sekwestru na majątki, zamykania w więzieniu do trzech miesięcy i wymierzania kar pieniężnych do wysokości 3,000 rub., — dla miejscowości, których nie podciągnięto pod moc tych przepisów, zmniejszono nieco zakres władzy, co do zsyłania w drodze administracyjnéj, przenosząc ją wyłącznie na władzę centralną, przy określeniu przytém pewnych terminów.

Daléj, pojęcie korzyści współudziału przedstawicieli społeczeństwa w opracowywaniu ważniejszych aktów prawodawczych, manifestuje się znowu w zawezwaniu „biegłych“ z grona ziemstw do udziału w pracy nad zmianą obowiązujących przepisów o handlu trunkami i przesiedleniach włościańskich.

Pierwsze zebranie biegłych odbyło się w dniu 24-go września; przemawiali na niém ministrowie spraw wewnętrznych, dóbr państwa i skarbu. Hr. M. J. Ignatjew zagajając posiedzenie, przedstawił cel powołania do narady „biegłych“ (*swieduszczich liudej*), jako urzeczywistnienie myśli o społecznym współudziale: „aby najważniejsze kwestye nie były decydowane bez zasięgnięcia zdania miejscowych działaczy, dokładnie obeznanych z istotnym stanem rzeczy.“

Na owém zebraniu biegłych przerobiono zupełnie pierwotny projekt zamierzonych zmian w przepisach o handlu trunkami, opracowany przez komisyę administracyjną pod przewodnictwem dyrektora departamentu podatków niestałych, i ułożono projekt własny. Na następnéj sesyi zakomunikowano już biegłym wniosek ministeryum co do zamierzonych przez nich zmian, i w dalszym ciągu zgromadzenie „biegłych" zajęło się rozpatrzeniem kwestyi przesiedleń.

Ta sama myśl, urobiona doświadczeniem przeszłości: myśl koniecznéj potrzeby pogodzenia starych porządków z nowemi, złagodzenia i rozluźnienia krępujących kraj więzów biurokratyzmu, oraz powołania społeczeństwa do zarządu sprawami państwa — zamanifestowała się znowu następnie w utworzeniu, pod przewodnictwem sekretarza stanu M. S. Kachanowa, specyalnéj komisyi dla opracowania projektów zarządu lokalnego, złożonéj z senatorów, którzy w 1880 i 1881 roku objeżdżali państwo i uskutecznili rewizyą niektórych gubernii. Komisyi téj oddano do rozpatrzenia: materyał zebrany przez rewizye senatorskie, oraz opinie zasiągnięte w 1880 r. od zebrań ziemskich i zarządów gubernialnych do spraw włościańskich w przedmiocie zmian, uważanych za konieczne w organizacyi zarządów włościańskich.

W komunikacie rządowym polecającym utworzenie komisyi M. S. Kachanowa, jako cel jéj prac wskazano wprowadzenie do zarządu lokalnego większéj jedności, skasowanie, ile się da, zbytecznych urzędów, usunięcie wikłających zajęcie formalności, oraz wzmocnienie władz miejscowych, i dla tego uznano potrzebę „wytworzenia silnéj spójni między administracyą i zarządem społecznym."

Myśl powołania społeczeństwa do współudziału w sprawach publicznych objawiono jeszcze i tém, że pozostawiono prezesowi komisyi prawo zapraszania do udziału w jéj pracach „miejscowych biegłych," a nawet „i każdego wogóle, czyj współudział w roztrząsaniu i decydowaniu badanych kwestyj może się okazać pożądanym."

Komisya M. S. Kachanowa miała najpierw opracować ogólny plan swych zajęć; program ten powinien był zyskać zatwierdzenie komitetu ministrów, poczém dopiero mogła komisya przystąpić do prac redakcyjnych. „Biegłych" zamierzono zaprosić do udziału w pracy dopiero po przystąpieniu do drugiéj części zadania.

Z dziennika komisyi z dnia 27 kwietnia 1882 roku, widzimy, że przewidywała ona sama „iż zbieranie materyałów będzie się wlokło niesłychanie" i zdecydowała się téż wejść w stosunki ze wszystkiemi zarządami dla wydostania potrzebnych wiadomości, „nie cze-

kając nawet zatwierdzenia planu swych prac przez komitet ministrów.“ I po upływie sześciu miesięcy, licząc od początku listopada 1881 r. do końca kwietnia 1882 roku, owa wiele obiecująca komisya p. Kachanowa nie miała jeszcze zakreślonego stałego programu dla swych prac; w przeciągu całego tego czasu zdobyła się dopiero na spis zamierzonych „zbiorów“ potrzebnych wiadomości....

Kreśląc charakterystykę 1881 roku zwróciliśmy uwagę na ten główny jego rys, że nawet urzędowe akty z téj epoki przyznały, iż przedsięwzięte w czasie poprzedniego panowania reformy, nie są jeszcze zupełne, że należy nawiązać i ustalić łączność między działalnością rozmaitego charakteru instytucyj, wytworzyć żywą spójnię między administracyą i zarządem społecznym i powołać koniecznie społeczeństwo do współpracy i kontroli: są to wszystko dążenia przekazane w spadku przez cesarza Aleksandra II-go i korzyści ich, wobec świadectwa historyi wszystkich ludów, tak są oczywiste i tak je głęboko społeczeństwo odczuwa, że podawać je w wątpliwość zdolni są chyba, jedni tylko fanatycy.

Tymczasem, kiedy w ten sposób w niektórych kołach i w pewnéj części prasy mamiono opinję niedościgłemi ideałami dla odwrócenia reform prawdziwie potrzebnych i całkiem wykonalnych, i kiedy nawet u szczytu władzy zdecydowano się, i słusznie, przyznać konieczną potrzebę wykorzenienia „fałszu“ i „łupiestwa“ — rzeczywistość pod wielu względami była opłakana.

Masa biletów kredytowych, puszczonych w obieg dla zaspokojenia wydatków wojennych, wywołała nową drożyznę, a po pewném ożywieniu się handlu zaraz po wojnie, nastąpiła zupełna stagnacya w przemyśle i stosunkach handlowych. Nawet obfity urodzaj w 1881 roku nie wywołał takiego ożywienia, jakie mógłby sprowadzić przy znaczém obniżeniu się cen produktów rolnych skutkiem nader łagodnéj zimy. Kurs wekslowy, pomimo wstrzymania z początkiem 1881 roku nowych emisyj biletów kredytowych i obfitego urodzaju, w ciągu lata tegoż roku zaczął spadać i nie rokował żadnéj nadziei poprawy.

„Łupiestwo“ będące przedmiotem kilku procesów sądowych przeciw urzędnikom intendentury i innym, zjawiło się w postaci zupełnie niespodziewanéj: pogromu żydowskiego, jaki miał miejsce w ciągu 1881 i 1882 roku, na całém niemal Południu Cesarstwa. I nowy ten rodzaj „łupiestwa“ znalazł obrońców, usprawiedliwiających go eksploatowaniem ludności przez żydów. Organizowanie komitetów żydowskich i odgrzebanie kilku przestarzałych przepisów, mocą których zaczęto rugować żydów ze stolic i niektórych miast, wydanie prawa wzbraniającego żydom mieszkać po wsiach:

wszystko to przypadło na najmniéj właściwą porę, kiedy w masach ludności wsteczne poszepty i przykłady bezkarności i tak dostateczne już wywoływały oburzenie przeciw tym kilku milionom ludności żydowskiéj państwa.

Wszystko to wywoływało niedowierzanie, podtrzymywało stagnacyę, wytwarzało i wzniecało sztucznie niezgodę: tymczasem w chwilach krytycznych najbardziéj właśnie jest potrzebny spokój i ta łączność, co stanowi siłę.

Najniebezpieczniejszą jest gmatwanina pojęć i fałsz w czynach zawzięcie propagowane przez nowych zacofańców, głoszących „powrót do samobytu.“ Prawda, heroldowie fałszu stroją w powaby swoją filipikę, apologią dawnych „ziemskich soborów.“

Ale, powrót do przeszłości nie powinien i nie może być ideałem Rosyan.

Gdyby kłamstwo mogło odnieść zwycięztwo nad „prawdą“, którą rząd obecny wygłosił był, jako swoje hasło, gdyby fałszowi miało się udać wwieść Państwo w kierunek wsteczny, spowodowanoby tém niepowetowane, nieobliczone, straszne szkody na całą przyszłość.

Jan Bloch.

WSPÓŁCZESNA RUMUNIA.

IV.

Dożyła Rumunia wieku XIX, ledwie dysząc. W połowie pierwszéj onego ćwierci, gdy wojska rosyjskie, pośpieszając na stawienie czoła najazdowi Napoleona I, który Europę całą na Rosyą ruszył, nagle ją opuściły, pozostawała przez czas jakiś bez opieki i obrony w obec Turcyi, rozdrażnionéj przeciwko niéj za psotę, jaką jéj hospodar mołdawski wyrządził.

Rozdrażnienie to przyczyniło się w części do nieuwzględnienia przez Wysoką Portę reklamacyj, z jakiemi Mołdawia zwróciła się do niéj z powodu odstąpienia Rosyi Bessarabii. Bessarabia, we względzie tak politycznym, jakotéż ekonomicznym, pełniła, w odniesieniu do Mołdawii, funkcyą bardzo ważną. Stanowiła ona połowę całości. Dwie połowy uzupełniały się wzajemnie. Czego brakowało jednéj, to się znajdowało w drugiéj. Bessarabia produkowała zboże, posiadała wypasy, hodowała bydło i konie, opierając się przytém o morze i Dunaj, wprowadzała do organizmu narodowego żywioły, które w życiu państwowém warunkują rozwój wszechstronny. Wszystkiego tego naraz nie stało. Nie było to więc proste uszczuplenie terrytoryalne, ale—że tak się wyrazimy—obcięcie skrzydeł, które się wnet dotkliwie uczuć dało w stosunkach ludności, rozdartéj na dwoje. Dotkliwość tyczyła się szczególniéj związków rodzinnych, łączących mieszkańców lewego i prawego brzegu Prutu, który „dzisiaj już dla nich był progiem wieczności.“ Przezwano téż Prut, łączący do r. 1812, nie „bratnich narodów dzierżawy,“ lecz całość etnograficzną, naród jeden i tenże sam, który się w ciągu wieków w rodzinę zżył, „*riul blăstamăt*“ (rzeką przeklętą). Spółcześni (*Manolaki Draghici, Istoria Moldovei de 500 ani.* Jassy 1857) pozostawili w opisach sceny wzruszające, jakich powodem stało się rozgraniczenie kraju.

Ludzie, przed terminem na zamknięcie granicy oznaczonym, błąkali się gromadami całemi, przechodząc z brzegu jednego na drugi i na powrót z narzekaniami i płaczem. Nie wiedzieli, gdzie się osiedlić. W nieświadomości co począć, zwracali się do dowódców wojsk rosyjskich, wysyłając do nich delegacye z przedstawieniami i prośbami. Jedna z delegacyj tego rodzaju dostąpiła tego zaszczytu, że przypuszczoną została przed oblicze głównodowodzącego, generała Kutuzowa, który na skargę, że wszystko stracili, odprawił delegowanych z odpowiedzią: „Pozostają wam oczy na to, ażebyście płakali“ (*Zinkeisen*, *Gesch. des osman. Reiches.* Gotha 1859). Bojarowie kołatali do dworu zwierzchniczego, do Wysokiéj Porty, ze skutkiem nielepszym. Zdołali jeno zcharakteryzować czyn dokonany. Czyn ów zaszedł pomiędzy dwoma mocarstwami, każde z osobna zobowiązanemi czuwać nad księstwami rumuńskiemi. Obowiązek ten Turcya wzięła na siebie dawniéj, Rosya na mocy traktatu w Kiuczuch Kajnardżi. Traktat ów czynił tę ostatnią opiekunką. Wyznać należy, iż Rumunia na opiece wyszła cale nie dobrze, nie dziw przeto, że od momentu owego sympatye ludności bardzo żywe, jakie manifestowała względem mocarstwa, z którém ją łączyła spólność wiary, zmieniły się w niechęć i nieufność. Z drugiéj strony, powiedziéć należy, że aneksya Bessarabii nie była krokiem, nacechowanym przezornością polityczną. Rosya przez przyłączenie prowincyi téj więcéj straciła aniżeli zyskała: zyskała bowiem obszar kraju i ujście Dunaju, ale odkryła zamiary swoje w zakresie kwestyi wschodniéj. Obszar ów kraju, w stosunku do ogromu rosyjskiego, ma znaczenie bardzo skromne; Prut, jako granica militarna, nie posiadał i nie posiada wartości szczególnéj; ujścia dunajskie miałyby doniosłość w razie takim, gdyby możliwém było obrócenie ich na wyłączną Rosyi korzyść. Obok korzyści tych wątpliwych wystąpiła niekorzyść ogromna zawistnéj kontroli wszech europejskiéj, śledzącéj, dzięki aneksyi krainy, w któréj „wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,“ każdy giest Rosyi, w kierunku Konstantynopola. Od momentu tego gabinet wiedeński nie idzie już wspól z gabinetem petersburskim na krzyżowe przeciwko wyznawcom Mahometa wyprawy. Rosya nietylko wskazała siebie sama na osamotnienie w sprawie wschodniéj, ale wywołała spółzawodnictwo ze strony państw, mających w niéj interesa bądź polityczne, bądź handlowe, bądź polityczno-handlowe, a przytém wzbudziła w ludach, berłu tureckiemu podległych, nieufność we względzie czystości zamiarów jéj. Okoliczności wyzyskane były bardzo zręcznie; zręczność ta atoli sprowadziła te następstwa, że od r. 1812 poczynając, usiłowania, na punkt ten zwracane, nie doprowadzały do rezultatów, odpo-

wiednich nakładom, pomimo powodzeń, jakie osięgała dyplomacya petersburska i oręż rosyjski.

Odjęcie bessarabii wielką było dla Mołdawii krzywdą. W pierwszych chwilach, po dokonaniu téj na zdrowém ciele amputacyi, kraina ta opamiętać się nie mogła. Dywan mołdawski protestował; protestacya ta skutku nie odniosła najmniejszego—pozostała, jako litera martwa i nigdy już więcéj nie stanowiła przedmiotu żądania, noszącego na sobie stępel bądź oficyalny, bądź téż bodaj pół oficyalny. Kraina przebolała stratę i z czasem, tym wielkim lekarzem, wygoiła ranę. Następstwa atoli nie zanikły, a nawet długo na siebie czekać nie dały. Zabranie przez gabinet petersburski Bessarabii sprawiło, że dyplomacya europejska odkryła nieznaną jéj dotychczas Rumunią i zainteresowała się losem krainy, okrojonéj przez obrońców i protektorów. Gabinetowi petersburskiemu, na usprawiedliwienie czynu tego, przysługiwał precedens austryacki: zabranie Bukowiny. Austrya atoli nie podawała siebie za protektorkę. Usprawiedliwienie te przeto usprawiedliwiać nie mogło czynu, który zdradził zamiary i zwrócił uwagę dworów na Rumunią. Rumunia od chwili téj zajmować poczęła opinią publiczną. Dowiadywano się o niéj; studyowano ją; rozpatrywano się w niéj: wykierowywano ją powoli na Benjaminka Europy, na... *une nation interéssante*. Nie nastąpiło to od razu. Sympatye dla niéj, rozbudzone faktem, który w chwili kiedy się stał, zagłuszyła wrzawa wypadków (1812—1815), rozwijały się stopniowo i zwolna, wyprowadzane na wierzch przez wypadki późniejsze. Uczynimy przegląd ich pobieżny, celem wykazania narodzin idei narodowéj.

W Rumunii panowała ciemnota, połączona z poczuciem bezwładności, wszczepioném w umysły przez ustawiczne poszukiwanie protektorów. Kraina, protegowana dorywczo przez Węgry i Polskę, stale przez Turcyą, wreszcie przez Turcyą i Rosyą, nie wyobrażała sobie, ażeby sama przez się poczynać mogła. I nie poczynała téż. Wszystko było jéj nadanem; granice, ubezpieczenie ich, forma rządu, osobistości do sprawowania władzy. Te ostatnie rekrutowały się pierwotnie w sferze bojarstwa miejscowego; Turcyi podobało się brać je z pomiędzy fanaryotów; postanowienie to dotknęło bojarów; sarkali, lecz z koniecznością się zgodzili i do takowéj się zastosowali. Fanar helenizował Rumunią w sferach społeczności jéj wyższych, które przyjęły pokost grecki. Rumunizm pozostawał gdzieś w głębi, w ukryciu, wstydząc się światła dziennego. Sama nazwa „Rumun“ stała się wyrazem pogardliwym—służyła do oznaczenia chłopa—*carana*. Wyrazy: „*caranul*“ i „*rumunul*“ stały się jednoznacznikami. Narodowość cofnęła się pod strzechę chłopską; pod

bojarską zaś zapanował polor grecki. Polor ów nie przynosił z sobą dla kraju korzyści cywilizacyjnéj najmniejszéj, albowiem Grecy przybywający tłumnie z Konstantynopola nie byli zgoła podobni do wychodźców, którzy, po zdobyciu stolicy cesarstwa wschodniego przez Turków, udali się byli do Włoch i zainaugurowali dla Europy epokę odrodzenia. Tamci byli czołem narodu, ci wyrzutkami społeczeństwa. Tamci nieśli oświatę, ci zepsucie obyczajów. Pod osłoną atoli zepsucia tego wkradała się do Rumunii nieznana społeczeństwu miejscowemu idea ojczyzny—idea niepodległości narodowéj. Sprawiła to Heterya, potężna konspiracya grecka, która, założona pierwotnie przez Capo d'Istrias w celach filantropicznych i naukowych, przerodziła się niebawem, za sprawą straconego w sposób okrutny przez Turków poety Rigasa, w polityczną i zyskała wprędce rozwój szeroki. Ognisko jéj znajdowało się najprzód w Odesie, następnie w Kiszyniowie; adherenci rekrutowali się wszędzie, gdzie Grecy bądź w liczbie znaczniejszéj, bądź téż pojedyńczo przemieszkiwali. Ci, co przebywali w Rumunii, pogarnęli się do szeregów jéj w liczbie tak znacznéj, że Rumunia wybraną została na punkt wychodni powstania greckiego. Grecy uważali ją za swoją. Lud nie liczył się; Fanarioci potrafili zmienić włościan w helotów, w czém dopomogli im bojarowie; wszystko, co nad ludem się wzosiło i nad nim dominowało, klasa cała dzierżawców, oficyalistów, urzędników, karczmarzy, handlarzy, włóczęgów, duchowieństwo całe, wszystko to było zgreczoném i w części większéj należało do heteryi, nie wyjmując hospodara mołdawskiego, Michała Sutza, który pozostawał w porozumieniu z Aleksandrem Ypsilanti, majorem w służbie rosyjskiéj, wodzem naczelnym powstania.

Powstanie do skutku przyszło. Aleksander Ypsilanti na czele oddziału wkroczył, w styczniu r. 1821, na Mołdawią i 21 lutego Grecy wyrznęli Turków w Jassach. Ruch ten niepowiódł się. Turcy zgnietli takowy. Nie przeminął on jednak bez następstw, które się w dwóch przejawiły kierunkach; w narodowym i politycznym.

Knowania Greków obudziły w Rumunach pojęcie, które im dotychczas obcém było. Czego Grecy chcieli?—co zamierzali? Zabiegi ich odnosiły się do Grecyi. Grecy mieli Grecyą i dla niéj rzucali się w objęcia śmierci w imię jakiegoś obowiązku. Dla Rumunów była to rzecz niezrozumiała i uderzyła ich. Wszak oni mają Rumunią!—Rumunią, która dla nich tém samém jest i to samo warta, co dla Greków Grecya. W sposób ten zaroniło się w dusze ich ziarno, mające zaplonować w przyszłości. Tymczasem poczuli do Greków gniew wielki, żal czy zawiść, słowem, uczucie nieprzyjaźni, które wyraz swój czynny znalazło tak na Mołdawii, jako téż na Wołosz-

czyznie. Na Mołdawii objawiło się ono w sferze bojarskiéj. Dwóch Balszów i Roset za porozumieniem się z członkami dywanu udecydowali *ca să rădice satele cisă pornească asupra Grecilor*—„ażeby powstały wsie i ruszyły na Greków“ (*Draghici, Ist. Mold.*). Na czele powstania tego stanęli, wielki w czasie późniejszym przyjaciel polaków, Gherghel i Istrate. Zgromadzili trzy tysiące chłopów i zajęli miasto Batuszany, wypłoszywszy stamtąd postanowione przez heterją władze. Na tém się akcya przeciwko Grekom skończyła; Turcy bowiem, nauczeni doświadczeniem poskramiania buntowników przy spółdziałaniu ludności miejscowéj (*Ustanak na dachije* w Serbii), odrzucili spółdziałanie Rumunów.

Ruch ważniejszy miał miejsce na Wołoszczyznie pod wodzą Tudora Władimiresco, człowieka ludowego pochodzenia, który był oficerem w służbie rosyjskiéj, walczył w Serbii i w r. 1821 znajdował się w szeregach szczupłéj siły zbrojnéj cudzoziemskiego autoramentu, utrzymywanéj przez hospodara, Aleksandra Sutzo. Po Władimiresku pozostały dokumenty—odezwy, proklamacye, memoryały—z których dojść nie sposób charakteru istotnego zawieruchy, jaką on sprawił. W dokumentach tych pierwiastki polityczne, narodowe i socyalne mieszają się, przecząc jedne drugim. Wódz nie tłómaczy się wyraźnie; zdaje się, że sam dokładnie zdać sobie z sytuacyi sprawy nie umie. Odezwy jego znalazły w kraju odgłos. Pod rozwinięty przezeń sztandar lud się zbiegał; ogłosił go nawet księciem (*domnu*); lecz on nie zdefiniował zamiarów swoich w sposób taki, ażeby natura ruchu zaznaczyła się w historyi. Pozostał sam fakt ruchu, jako świadectwo budzenia się w duszy ludowéj pragnień polepszenia doli, za pomocą upominania się o nie zbrojną nawet ręką. Nic podobnego nie zdarzało się dawniéj. Ludność rumuńska przyjmowała los, jaki się zdarzył, z rezygnacyą heroiczną—płakała, ale się nie upominała i oczekiwała cierpliwie dobrodziejstw od jakiejś *emperacyi*, któréj nazwać nie umiała, a która—jak się zdaje—była echem, odbrzmiewającém w ustach ludu z czasów, sięgających epoki imperium rzymskiego. Wyraz „ęperacya“ albo „emperacya“ nie oznaczał mocarstwa żadnego, albo raczéj, oznaczał wszystkie, które na losy Rumunii wpływały: państwo ottomańskie, Rosyą, Austryą—dawniéj zapewne Polskę i Węgry. Wyrażał on potęgę, która stała nad hospodarem i miała krzywdy narodowe naprawiać. Naród czekał w pokorze, w uległości, w płaczu, w poczuciu słabości, wskazującem go na bierność bezwględną. Był to stan chronicznego, wieki trwającego letargu, z którego się naród obudził nareszcie. Rozbudzenie to zawdzięcza heterzystom greckim. Wstrząsnęli oni Rumunią—wywołali w niéj ruchy samoistne, które następstw bezpośred-

nio nie sprowadziły żadnych. Wystąpienie Ghergheta zczezło samo przez się. Wystąpienie Władimireski przeraziło bojarów i z tego powodu zabarwiło się kolorytem jaskrawym buntu. W jednym i w drugim chłopi—„rumuni"—udział wzięli. I tyle.

Dodać należy, że obok heteryi istniała inna jeszcze podnieta, którą posądzać można o rozbudzenie w Rumunii ochoty do działalności samoistnéj. Serbia się na niepodległość wybijała—Serbia, któréj *empéracya* (Rosya) rękę pomocną podawała. Serbia z Rumunią o miedzę graniczy; podawanie zaś ręki pomocnéj działo się na gruncie rumuńskim. Od r. 1806 do r. 1812 przez Rumunią szły transporty broni dla Serbów; Rumunia służyła za podstawę operacyjną dla wojsk rosyjskich, posiłkujących Serbią; Rumuni wojskom tym *kałauzowali*, a niektórzy, jak Władimiresco, w szeregach rosyjskich za wolność i niepodległość Serbii walczyli. Nie sposób, ażeby to oddziaływać nie miało. Dzięki przeto wstrząśnieniu, sprawionemu przez heterzystów, dzięki przykładowi Serbów, dzięki zainteresowaniu się losem Rumunów przez Rosyą, nastąpiło w Rumunii świtanie idei państwowéj, pod postacią ruchów bez charakteru określonego. Rumuni sami nie wiedzieli, czego chcą—jaką jest ich dążność. Ruszyli się, obudzili i znów zapadli w apatyą, która nie miała już być długą.

Awantura grecka nie miała poparcia gabinetu petersburskiego, pomimo że się Ypsilanti poparciem tém zasłaniał. Rząd rosyjski tolerował czynności przygotowawcze; lecz jak tylko wybuch nastąpił, wnet skarcił takowy; Ypsilanti wykreślonym został z kontroli pułku, w którym służył, Władimireskowi odjęto dekoracyą św. Włodzimierza, jaką posiadał; Aleksander I, wierny zasadom świętego przymierza, oświadczył się stanowczo, wyraźnie i szczerze przeciwko usiłowaniu, wchodzącemu do kategoryi tych czynności, które doktryna św. przymierza potępiła. Nie mniéj przeto obchodziły go losy księstw rumuńskich, względem których Rosya zajmowała stanowisko protektorki. Dyplomacya rosyjska wzięła sprawę w ręce.

Po stłumieniu powstania greckiego w Rumunii, Turcy, widząc, jaki w niém udział wzięli hospodarowi Fanarjoci, powzięli postanowienie nie dopuszczania ich nadal do władzy w księstwach. Z postanowieniem tém, całkowicie na korzyść Rumunów w sensie narodowościowym wypadającém, łączyło się inne, które autonomii kraju zagrażało. Turcy stolice i miasta ważniejsze obsadzili garnizonami swojemi, mającémi czuwać nad spokojem wewnętrznym. Jedno i drugie było pogwałceniem traktatów pomiędzy państwami protegującém a zwierzchniczém. Był to pretekst aż nadto wystarczający do wojny nowéj, tém bardziéj, że się przedstawiał w towarzystwie nadużyć dokonywanych podczas poskramiania zaburzeń greckich

przez Turków, którzy łupili cerkwie i wieszali księży, podejrzywając tych ostatnich o sprzyjanie buntownikom. Gabinet petersburski zażądał cofnięcia postanowień, tyczących się hospodarów i garnizonów. Wysoka Porta na żądania te odpowiedziała domaganiem się uregulowania granic w Azyi. Pertraktacye dyplomatyczne wlokły się aż do śmierci Aleksandra I. Cesarz Mikołaj, wnet po wstąpieniu na tron, czynnie się zajął tą sprawą i przesłał d. 17 marca 1826 do Wysokiéj Porty ultimatum, obejmujące w odniesieniu do księstw dwa punkty: przywrócenie *status quo ante* i reparacyą obrazy, jakiéj doznała Rosya w osobach kapłanów obrządku wschodniego wieszanych przez Turków. Ultimatum to przyszło w tym momencie kiedy dokonana przez Mahmuda II rzeź jańczarów postawiła Turcyą w stanie bezbronnym. Wojna była dla niéj niemożliwą. Wysoka Porta przeto okazała gotowość do uczynienia zadość żądaniom rosyjskim i podpisała 6 paźdz. 1826 w Akiermanie układ, stypulujący: potwierdzenie traktatu bukareszkiego (1812), uregulowanie granicy bessarabskiéj, pozostawienie przy Rosyi punktów na wybrzeżach morza Czarnego ustąpionych Turcyi w r. 1812 i przyznanie aktem dodatkowym księstwom prawa wybierania hospodarów z pomiędzy bojarów „najstarszych i najzdolniejszych." Dokonywanie wyborów pozostawioném było dywanom mołdawskiemu i wołoskiemu i uzależnioném od uznania dworu zwierzchniczego, działającego we względzie tym w porozumieniu z dworem opiekuńczym. Nieuznanie W. Porta obowiązaną była wymotywować i uzyskać w Petersburgu aprobatę motywów. Posiadała ona oraz prawo destytuowania hospodarów, wybieranyh na lat siedem, ale i w tym względzie do Petersburga się odwoływać była powinna.

Traktat akiermański zapewniał Rosyi przeważny w księstwach rumuńskich wpływ, czyniąc ją opiekunką polityczną. Do momentu onego opieka jéj tyczyła się głównie kościoła i religii. Zastrzeżenia, odnoszące się do hospodarów, oddawały tych ostatnich na dyskrecyą gabinetu petersburskiego, od którego zależało utrzymanie ich na tronie w razie niełaski ze strony W. Porty. Stawiało to ich w konieczności dogadzania dworowi rosyjskiemu; na dwór ten przechodziła zwierzchność faktyczna, podczas kiedy przy Turcyi pozostawała nominalna, któréj wyraz najistotniejszy stanowił haracz, płacony według stopy, wyznaczonéj hatiszeryfem z r. 1802. Zresztą węzły zależności, łączące księstwa z dworem zwierzchniczym, były bardzo słabe: Turcya nie miała prawa wglądania w sprawy wewnętrzne, nie trzymała przy hospodarach przedstawicieli władzy swojéj, komunikowała się z nimi za pośrednictwem rezydujących w Konstantynopolu *wekiłów* (pełnomocników) hospodarskich, rosyjscy zaś konsulo-

wie generalni mieszkali jeden w Jassach, drugi w Bukareszcie i pełnili przy hospodarach funkcyą dozorców i doradców, wglądali w sprawy wewnętrzne i przestrzegali interesów dworu opiekuńczego...

Stosunki, jakie traktat akiermański wytworzył, czasu jeszcze do ukonsolidowania się nie miały, kiedy wybuchła wojna pomiędzy Rosyą a Turcyą.

Historya przyczyn wojny téj ciekawą jest wielce, ze względu na akcyą dyplomatyczną, z niesłychaną ze strony gabinetu petersburskiego przeprowadzona zręcznością. Rosya wojny téj potrzebowała. Potrzebowała jéj, z uwagi tak na sprawy zewnętrzne, w których kwestya wschodnia stała się dla niéj osią polityczną, jako téż na sprawy wewnętrzne, w których okazywać się poczęły symptomy, wymagające dywersyi wielkich czynów, sławnych zwycięstw i łechtających miłość własną narodową przedsiębiorstw. Na uczynienie pobudce téj zadość Turcya się nadawała w sam raz. Skołatana, wyżylowana, ale nie tracąca rezonu jeszcze, przedstawiała się nakształt forsowanego na łowach wilka, który się bronić, kaleczyć nawet może, ale przeznaczenia swego ujść nie jest wstanie. Dojeżdżali ją tacy, jak don Żuan, Sobieski, Eugieniusz Sabaudzki: była więc nadszarpaną znacznie i gotową do przyjęcia *coup de grace* z ręki, któraby takowy wymierzyć umiała. Przytém był to moment, w którym siły jéj orężne znajdowały się w stanie rozstroju. Po świeżém atoli podpisaniu traktatu, zapewniającego Rosyi korzyści takie, jakie by jeno zapewnić mogła wojna zwycięska, brakowało pretekstu. Pretekst znalazł się w traktacie samym. Dokument ten nie mówił ani słówka o Grekach, sprawą których zainteresowały się gabinety zachodnie. Milczenie to—umyślne, jak przypuszczać należy—wytłómaczono sobie w Petersburgu w ten sposób, że Rosya ma prawo przyłączenia się do akcyi, prowadzonéj przez Francyą i Anglią. Pogrom floty tureckiéj pod Nawarynem, w dokonaniu którego flota rosyjska udział czynny miała, przekonał Turcyę, iż ustępstwa, jakie w Akiermanie poczyniła, burzy nie zażegnały bynajmniéj. Wysoka Porta pierwsza rękawicę cisnęła i w manifeście, którym poddanym swoim i światu o rozpoczęciu kroków wojennych oznajmiała, obwiniała Rosyą o knowania, wywołujące zaburzenia w posiadłościach tureckich. Obrót taki rzeczy bardzo był dla gabinetu petersburskiego pomyślny, zapewniał mu bowiem przymierze gabinetów zachodnich, zainteresowanych sprawą potomków Milcyadesa, Temistoklesa i Epaminondasa. Kwestyą wschodnią podszywała kwestya cywilizacyi. Europa poczuwała się do obowiązku podania ręki narodowi, co jéj za nauczyciela służył.

W październiku r. 1826 podpisanym został traktat w Akiermanie; w siedem miesięcy późniéj wojska rosyjskie przekroczyły Prut, zajęły Mołdawią i Wołoszczyznę i rozpoczęto operacye wojenne od oblężenia Braily, jedynéj warowni, jaką Turcy na lewym brzegu Dunaju jeszcze posiadali. Wojna przeciągnęła się jeszcze lat dwa i zaznaczyła początek nowéj polityki angielskiéj na Wschodzie, polegającéj na stawianiu Rosyi trudności i przeszkód. Od czasu onego zarysował się pomiędzy dwoma mocarstwami temi antagonizm, trwający do dnia dzisiejszego, a działający, tak na Wschodzie bliższym, obejmującym posiadłości tureckie, jakotéż na dalekim, oskrzydlającym posiadłosei angielskie w Azyi. Na bliższym Anglii sekunduje Austrya, mająca na widoku korzystanie z rozkładu, jaki czas, przy pomocy tureckiego gospodarzenia, na państwie Ottomańskiem dokonywa.

Dzięki świetnym przez wojska rosyjskie odnoszonym zwycięstwom, dzięki precedensowi, jakim było przyłączenie do Rosyi Bessarabii, spodziewać się należało, że losy Bessarabii podzieli, jeżeli nie Mołdowosza cała, to przynajmniéj ta onéj część, która z Bessarabią całość tak niedawno stanowiła. Wymagała tego logika zdobywcza. Część zdobywa się w tym celu, ażeby zdobyć następnie całość, zwłaszcza gdy całość tak się uzupełnia i takie daje granice naturalne, jak Mołdawia. Przyłączenie to wypadało z natury rzeczy i byłoby zapewne nastąpiło, gdyby nie interwencya dyplomatyczna angielsko-austryacka, która Rumunią osłoniła. Pokój adryanopolski nie odpowiadał ofiarom, jakie Rosya poniosła. Na mocy pokoju tego, Turcya poczyniła jéj ustępstwa terytoryalne w Azyi, ustępując w Europie ujścia Dunaju. To ostatnie, mimo że na pozór wyglądało na opanowanie Dunaju, w istocie rzeczy jednak znaczyło satysfakcyą honorową. Przynajmniéj się nie z próżnemi odchodziło rękami. Koszta wojenne opłacała Turcya w ilości 10 milionów dukatów, i do całkowitego kwoty téj wyliczenia wojska rosyjskie zajmować miały księstwa rumuńskie, które Rosya zobowiązywała się zaopatrzéć w konstytucyą, zabezpieczającą dla nich swobodę i spokojny rozwój wewnętrzny. W sposób ten powstał pamiętny dla Rumunów „Regulamin“ (*Regulamentul organic*), ułożony, pod dozorem generała Kisielewa a prezydencyą pełnomocnika rosyjskiego, Mińczakiego, przez bojarów, wydelegowanych *ad hoc* przez dywany mołdawski i wołoski. Rumunia zatrzymała się na nowym, w pochodzie swoim naprzód etapie. Etap ten rozpoczyna się przy początku i kończy z końcem panowania cesarza Mikołaja. Stanowi on dla Rumunii moment bardzo ważny, z tego mianowicie względu, że w tym czasie przeciągu urabiały się w niéj pierwiastki odrodzenia, a raczéj, przetworzenia.

Rozpatrzmy się jednak w regulaminie samym.

Że robota onego miała na celu interesy Rosyi, jest to rzecz tak naturalna, iżby się dziwić należało, gdyby było inaczéj. Interesy te wymagały zapewnienia wpływów rosyjskich w takim stopniu, ażeby księstwa stać się nie mogły narzędziem polityki dworu żadnego innego, tylko petersburskiego. W celu tym związać należało tak hospodarów jako téż reprezentacyą krajową, zależnością, niedozwalającą im działania samodzielnego. Co do hospodarów, zachowaną została stypulacya akiermańska, stanowiąca o destytucyi ich. To wystarczało. Niebezpieczeństwo tkwiło gdzieindziéj. Księstwom nadać potrzeba było ustrój konstytucyjny, podszyty izbą prawodawczą, złożoną z przedstawicieli potrzeb narodu. Należało przedstawicielstwo urządzić odpowiednio. Na ten koniec regulamin podzielił naród na klas cztery: bojarowie wielcy, bojarowie mali, mieszczaństwo i włościanie. Klasy ostatnia i przedostatnia nie brały w wyborach do izby udziału żadnego; inne zaś, na ogólną czterdziestu dwóch członków liczbę, posyłały do takowéj: bojarowie mniejsi 19, więksi 20 i duchowieństwo trzech biskupów, zasiadających bez wyboru. Zgromadzenie te, noszące nazwę zwyczajnego (*adunarea ordinara*), miało prawo stanowić prawa, ale bez zmieniania w czémkolwiek regulaminu, w którym modyfikacya najmniejsza wprowadzoną być nie mogła inaczéj, jak za zgodą dworów zwierzchniczego i opiekuńczego, to jest Turcyi i Rosyi, czuwających nad tém, ażeby we względzie tym nie wciskały się przekroczenia czy to przeciwko literze, czyli téż przeciwko duchowi regulaminu organicznego. Turcya czuwała z Konstantynopola, Rosya w Jassach i w Bukareszcie. Stanowiło to różnicę wielkiego pod względem praktycznym znaczenia. Czuwanie Rosyi zmieniło się w rodzaj mentorstwa, kierującego krokami tak hospodara, jako téż zgromadzenia, mianowicie w téj onego części, z któréj regulamin nakazywał wybierać hospodarów, powierzając im władzę nie na lat siedem, ale do końca życia. Część ta była klasą bojarów wielkich (*boeri mare*), wykierowaną w sposób ten na lordów *sui generis* — na pretendentów, zniewolonych ubiegać się o względy dworu petersburskiego i uzyskiwać dobrą notę konsula rosyjskiego. Stan przeto księstw we względzie politycznym był stanem uzależnienia całkowitego od dworu opiekuńczego.

We względzie społecznym znaczenie regulaminu zasługuje szczególnie na uwagę w tym onego dziale, który określa stanowisko włościan. Włościanie nie posiadali, jakeśmy widzieli powyżéj, przedstawicielstwa w izbie, przyznano im jednak wolność osobistą, ale wolność tę w takie zaopatrzono obostrzenia, iż stawała się ona literą martwą. Bojarowie ciążyli na nich wagą całą prerogatyw

jakie im konstytucya zapewniała. Dzięki prerogatywom tym od nich zależały władze administracyjna i sądownicza, czyli sami, we wszelkich możliwych z włościanami sporach, byli sędziami i egzekutorami, rozporządzali policyą i żandarmeryą i rządzili się w majątkach jak im się podobało. Powstały stąd nadużycia straszliwe, jakich się dopuszczali względem cyganów zwlaszcza, którzy stanowili własność osobistą, kupowaną i sprzedawaną, jak się kupują i sprzedają woły lub konie. Nie lepszym atoli był los *caranów* (ziemian—od *cara*, ziemia) siedzących na gruntach bojarskich i obowiązanych wypłacać się za takowe robocizną. Regulamin wyznaczał z gruntu odrobku 56 dni na Wołoszczyznie, 72 na Mołdawii, nie licząc w to dziesięcin płaconych oddzielnie. Nie byłby to ciężar nad siły, gdyby nie od bojara zależało oznaczenie dnia roboczego, gdyby nie dnie zimowe, świąteczne i niepogodne, które to sprawiały, że włościaninowi czasu nie pozostawało pracowania dla siebie. Okrom tego ciążyły na nim szarwarki, oznaczone pierwotnie na dni 6 rocznie i podniesione następnie do 20 i 30, kontrybucya na profesora, którego nigdzie nie było, opłata na gazetę urzędową, któréj czytać nikt nie umiał, podwody, taksa od prawa wjazdu do miasta, mostowe, cło od soli i t. p. Wszystko to razem wzięte, a doprawione nadużyciami, które prawo ułatwiało, czyniło położenie włościanina niewypowiedzianie smutném. Ogromnéj przeto narodu rumuńskiego większości regulamin nie obrócił się na korzyść. Przeciwnie.

Korzyścią całą — a korzyścią ogromną — nowego stanu rzeczy było zromanizowanie Rumunii. Odbyło się ono pod auspicyami rosyjskiemi. Zwrócił na to uwagę zarządzający księstwami w czasie okupacyi generał Kisielew: wyzwał tłómaczenie praw na język rumuński i wyznaczył fundusz 200,000 lew (40,000 franków) na edukacyą publiczną (1). Przytém kwestya hospodarów - fanaryotów usuniętą została stanowczo. Hospodarem mógł być jeno bojar *pomuntean* (krajowiec) z klasy pierwszéj, obrany głosami wolnemi przez zwołane w celu tym zgromadzenie, liczniejsze we czwórnasób prawie od zgromadzenia zwyczajnego i liczące w składzie swoim przedstawicieli stanu mieszczańskiego w części czwartéj. Na pierwszy raz jednak odstąpiono od reguły téj. Po ułożeniu regulaminu organicznego, po uznaniu takowego przez dwory zwierzchniczy i opiekuńczy i nadaniu onego uroczyście narodowi, hospodarowie bez udziału wyborców zamianowani zostali. Nastąpiło to w r. 1834

(1) Le comte P. Kisieleff, plenipotentiaire du gouvernement provisoire russe, favorisa la fondation d'écoles publiques et le développement de l'esprit national." *Question de l'instruction publique en Moldavie par un deputé du divan ad hoc.* Jassy 1858.

wskutek porozumienia się gabinetu petersburskiego z Wysoką Portą. Był to moment wielkiéj pomiędzy Rosyą a Turcyą przyjaźni (traktat Unkiar-Skelesi). Hospodarami zamianowani zostali: na Mołdawii Michał Sturza (Sturdza), na Wołoszczyznie Aleksander Ghica (Ghika).

Rozpoczęło się przetwarzanie Rumunii — urabianie się w niéj idei państwowéj.

Autorowie rumuńscy, którzy się przedmiotem tym zajmowali, nie sięgnęli — o ile nam wiadomo i jak się nam wydaje — do istoty rzeczy. Zaznaczają oni zabiegi i starania przybyłego z Siedmiogrodu Łazarza, męża ogromnie około rozbudzenia narodowości rumuńskiéj zasłużonego; rozwodzą się nad pracami Raduleska (Heliada); opowiadają o wędrówkach młodzieży na Zachód w celach naukowych, ale opuszczają z widoku rzecz jednę, która miała w materyi téj znaczenie prowokacyjne. Szczególne zainteresowanie się Rumunią gabinetu petersburskiego ściągnęło na nią uwagę Europy zarówno oficyalnéj, jak nieoficyalnéj. Oficyalna, obok posterunków, pozajmowanych przez agentów rządu rosyjskiego, zakładała posterunki swoje. Gdzie jeno Rosya zamianowała konsula generalnego, konsula lub wice-konsula, tam konsulów generalnych, konsulów i wice-konsulów posyłały Anglia, Francya, Prusy i Austrya—zwłaszcza zaś Austrya, która we względzie tym przesadziła mocarstwa wszystkie, zasilając hierarchią konsularną rodzajem urzędników, specyalnie dla księstw rumuńskich wynalezionych. Konsul generalny, oprócz konsulów i wice-konsulów, miał pod sobą tak zwanych „starostów“ i „wice-starostów,“ osadzonych po wszystkich miastach i miasteczkach. Funkcya agentów tych odnosiła się do kapitulacyi, obowiązujących Rumunią z tytułu przynależności jéj lenniczéj do Turcyi i polegała na czuwaniu nad bezpieczeństwem poddanych i protegowanych austryackich. Posiadali oni władzę sądowniczą połączoną z prawem wizowania i wydawania paszportów, a także przyjmowania poddanych krajowych pod skrzydła opieki austryackiéj. Państwo nie płaciło im pensyi żadnéj. Werbunek poddanych, taksy od paszportów, dekretów i kontraktów różnych stanowiły ich dochód, do którego przyłączali zyski, bądź fachowe, jakie ciągnęli lekarze np., bądź też ze spekulacyi rozmaitych, jakim się oddawali inni. Byli tacy, co na lichwę pieniądze wypożyczali. Starosta batuszański trudnił się handelkiem panienek, werbowanych przez matkę jego w Galicyi i przeprowadzanych, w cieniu sztandaru austryackiego, przez Rumunią do Konstantynopola, do zakładów, pozostających pod specyalną opieką Austryi. Towar ten w części rozbierali przedsiębiorcy miejscowi do Jass i Buka-

resztu, w części bojarowie. Austrya okryła Rumunią siecią urzędową w sposób taki, że trzymała ustawicznie palce na pulsach rumuńskich i miała na wypadek wszelki przygotowane kadry administracyjne. Za przykładem jéj, państwa inne także starostów pozaprowadzały, ale tylko w miastach znaczniejszych. Byli starostowie niemieccy, *respective* pruscy, starostowie angielscy, holenderscy nawet. Ci atoli sztandarów państw, które reprezentowali, nie obracali na osłanianie kontrabandy obyczajowéj. Przeciwnie. Wywierali oni wpływ dodatni. Ludzie oświeceni wprowadzali w łono społeczeństwa pierwiastek cywilizacyjny, który działał w sposób ekscytujący. Za pośrednictwem ich przybywali do kraju guwernerowie i guwernantki; oni udzielali rad i wskazówek ludziom młodym, żądnym wiedzy; oni dawali z siebie przykład ludzi, znających się z książkami; słowem, przybysze ci, poważni dla tego samego że nad zamieszkiwanemi przez nich domami wznosił się herb państwa zagranicznego, imponujący prostaczym rumuńskim umysłom, odegrali w Rumunii rolę wielce podobną do téj, jaką odegrali wychodźcy greccy we Włoszech, którzy zapoczątkowali epokę odrodzenia. Otworzyli oni szluzy, przez które powoli wpływać poczęła oświata. Rosyanie panowali, Austryacy demoralizowali, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Włosi, Holendrzy etc. i—dla dokładności dodać potrzeba—Polacy oświecali. Ci ostatni urzędowéj żadnéj nie odgrywali roli; udzielali się atoli i budzili ducha narodowego jeżeli nie inaczéj, to samą obecnością swoją, którą usprawiedliwiać należało. Drogą tą Zachód do Rumunii wpłynął i wyzwał ją do poszukiwania światła na Zachodzie. Poczęły się wędrówki, najprzód bojarów, poszukujących upływu dla dukatów, których posiadali za dużo, następnie uboższych, wabionych widokiem światła.

Protekcya rosyjska ze swojéj strony nie pozostawała bezczynną w rzeczy rozwoju krajowego. Czynność jéj odbywała się w tym sensie, w jakim w momencie obecnym odbywa się w Bulgaryi, to jest była dozorczo-doradczą, niosąc obok tego pomoc w zakresie porządkowym. Generał hr. P. Kisielew opuszczając Rumunią, pamiętał o tém ażeby posady wpływowe powierzyć ludziom, na wierność których Rosya liczyć mogła. W celu tym zwrócił się do rozżalonych za odsunięcie od władzy fanaryotów i z spomiędzy nich wybrał co pewniejszych. Funkcya „wekiłów“ — reprezentantów księstw w Konstantynopolu — polegała na zawiadamianiu dworu zwierzchniczego o wszystkiem, co się w księstwach dzieje. Była więc to funkcya ważna, tak dla Wysokiéj Porty, pozbawionéj innego z krajami lennymi stosunku, jako téż dla krajów tych, których interes polegał na utrzymywaniu w równowadze wpływów na

sprawy wewnętrzne pomiędzy protekcyą a zwierzchnictwem. Wakiłami zamianowani zostali dwaj fanaryoci: Vogorides dla Mołdawii i Aristarchi dla Wołoszczyzny. Fanariota również, Mavros, został inspektorem kwarantan, zaprowadzonych w tym celu, ażeby Rumunią od Turcyi odłączyć. Wyraźny stronnik Rosyi, Odebesku, stanął, dzięki wpływom hr. Kisielewa, na czele milicyi wołoskiéj, w któréj oficerowie rosyjscy pełnili funkcye dowódców oddziałowych i instruktorów. Toż samo, w mniejszych jeno rozmiarach, działo się na Mołdawii, nad którą dozór łatwiejszym był z powodu geograficznego jéj położenia. Wołoszczyzna przylegała do Turcyi, Mołdawia do Rosyi, a przytém zamianowani hospodarowie niejednakowo się do dworu opiekuńczego odnosili. Sprężysty, jako administrator zdolny, lecz szczęście powierzonego mu kraju upatrujący w bogaceniu siebie Sturza, na Rosyą się przedewszystkiem oglądał; słaby, nieudolny, i patryotycznym zachciankom podległy Ghica wahał się. Pierwszy poddanych swoich trzymał w rękach krótko; drugi folgował. Ztąd w Jassach panował spokój i jaknajlepsza pomiędzy władzą krajową a reprezentacyą interesów dworu petersburskiego harmonia; w Bukareszcie zaś fermentowały zaczyny, którym szczególnie zawadzała protekcya rosyjska, a które protekcyi téj zawadzały, stanowiły bowiem to, coby się nazwać dało stronnictwem tureckiém, gdyby się nie zastawiały Turcyą jako zasłoną, po za którą bezkarnie broić i na przekór stronnictwu rosyjskiemu działać mogły.

W Mołdawii Michał Sturza czyniąc zadość naleganiom gen. Kisielewa, założył w Jassach szkołę w celu nauczania języków łacińskiego, greckiego, francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego i uregulował wysyłanie ludzi młodych na nauki za granicę. Na tém się działalność odrodzenia ograniczała; wszakże dodać do tego należy staranie o podniesienie kraju ekonomiczne za pomocą budowli dróg i zakładania miasteczek. Działo się to za inicyatywą i pod dozorem władzy, którą Sturza silną dzierżył dłonią, karcąc wybryki bez względu na to skąd one pochodziły—od bojarów wielkich, czy małych. W potrzebie nie wahał się rózgami nawet kazać ćwiczyć. Na Wołoszczyźnie rzeczy miały się inaczéj. Aleksander Ghica zdobyć się nie umiał, ani na energią, ani na inicyatywę: stronnictwu rosyjskiemu ulegał, stronnictwa tureckiego nie powściągał, pozostawiając pole swobodne inicyatywie prywatnéj. Ta ostatnia zgromadzić w krótkim stosunkowo czasie potrafiła grono ludzi ochotnych i rozpoczęła działalność, mającą na celu intelektualne w duchu patryotycznym podniesienie narodu. Ruch wyszedł ze szkoły, założonéj staraniem Łazara, którego, gdy umarł, zastąpił Jan Heliade Radu-

lesco, uczony, poeta i mąż stanu. Łazar grunt i materyały przygotował, Radulesco działalność rozwinął. Zabiegi pierwszego wiele mają podobieństwa do zabiegów księdza Baudouin, założyciela szpitala dzieciątka Jezus w Warszawie. Bez środków, sam nieraz głodem przymierając, człowiek ten utrzymywał w Bukareszcie szkołę, która stała się rozsadnikiem oświaty na Wołoszczyznie. Radulesco znany bardziéj pod nazwiskiem Heliada, rozwinął czynność na szerszą skalę, wciągając do takowéj ludzi bogatych i ze znaczeniem, takich jak Jan Vacarescu, Konstanty Golescu i in. Z Konstantym Golescu powziął zamiar założenia stowarzyszenia, mającego na celu: fundowanie szkół, zakładanie pism i sformowanie stałego teatru narodowego. Zamiar do skutku przyszedł. Założone przez Heliada i Golesca stowarzyszenie przybrało nazwę niewinną „Towarzystwa filharmonicznego,“ w którém zogniskowało się stronnictwo tureckie. Filharmonia osłaniała i maskowała politykę, wyraźnie nieprzychylną interesom rosyjskim i występującą opozycyjnie przeciwko regulaminowi organicznemu, mianowicie zaś przeciwko zastrzegającemu nietykalność onego punktowi. Usunąć punkt ów znaczyło usunąć protekcyą. Dopiąć tego nie można było inaczéj, jak za pomocą dworu zwierzchniczego, który ze swojéj strony nie posiadał możności modyfikowania traktatu własnowolnie. Wyradzała się stąd przeto kwestya wielce skomplikowana a wojną brzemienna. Perspektywa ta jednak filharmonistów nie powstrzymywała.

Gdyby nie perspektywa ta, przypuszczać należy, żeby gabinet petersburski nie sprzeciwiał się szkołom, pismom i teatrowi. W rękach filharmonistów były to baterye przeciwko Rosyi zwrócone. Działalność ich wywoływała ze strony konsulatu rosyjskiego przeciwdziałanie, polegające na przedstawianiu hospodarowi stanu rzeczy, pogarszającego się w miarę jak takowy władza tolerowała. Przedstawienia te nie pobudzały Ghiki do występowania z energią: ulegał, żądaniom czynił zadość, kółka rozwiązywać kazał, w duchu atoli sprzyjał ruchowi, zasilającemu się ustawicznie żywiołem świeżym i żywotnym, przybywającym pod postacią młodzieży, która do Bukaresztu powracała z Paryża, wprost z wykładów Micheleta, Quineta i Mickiewicza. Paryż oddziaływał na Bukareszt, przesyłając przez elewacyą pociski w formie idei, od wygłaszania których bojarom starym, poważnym, trzymającym się obyczaju dawnego, włosy na głowie zgroza do góry podnosiła. Nie rozumieli oni świtania jutrzenki życia nowego. Towarzystwo filharmoniczne rozwiązane przeistoczyło się w stowarzyszenie sekretne, które na planie dalszym postawiwszy myśl państwowéj niepodległości Rumunii, trzymało się tymczasem polityki stronnictwa tureckiego. Dostępu do

Wysokiéj Porty nie miało ono: drogę mu zagradzali wekiłowie; ale znajdowało posłuch w konsulatach zagranicznych w Bukareszcie, pomiędzy któremi konsulat angielski z ochotą podejmował się pośrednictwa w przesyłaniu do Konstantynopola życzeń patryotów rumuńskich i w świadczeniu podawanym przez nich faktom. Nie prowadziło to do niczego; przyczyniało się jeno do podtrzymywania agitacyi w duchu antirosyjskim, wzrastającéj i rozwijającéj się szybko i wyprowadzającéj na widok publiczny osobistości, które rozgłos w kraju zyskiwały. Obok Heliada przebiły się nazwiska Golesków, Bratianów, Rossetich, Kampineanów. Filipesków i inne.

Zachowywanie się wobec agitacyi téj hospodara bezkarnie mu ujść nie mogło i nie uszło. Usiłowanie utrzymywania się w równowadze pomiędzy dwoma prądemi naraziło go jednemu i drugiemu. Dogodzić chciał stronnictwu rosyjskiemu i stronnictwu tureckiemu i tego dokazał, że stronnictwa te, wykluczające się wzajemnie, zeszły się mimo zabiegów i starań konsulów zagranicznych, zwłaszcza zaś Adolfa Bilecocq, konsula francuskiego, na wspólnym zniechęcenia do hospodara gruncie. Zgromadzenie narodowe zaniosło przeciwko niemu, przez usta Grzegorza Bibesco, naczelnika stronnictwa rosyjskiego, zaskarżenie o nadużycia. Dwory zwierzchniczy i opiekuńczy wyznaczyły komisyą do zbadania rzeczy na gruncie. Ze strony Rosyi zjechał Duhamel, ze strony Turcyi Szekib-effendi. Komisya uznała tego chęci jaknajlepszych pełnego człowieka niegodnym tronu hospodarskiego i orzekła destytucyą jego.

Fakt ten zaszedł w r. 1840.

Miejsce Ghiki zajął oskarżyciel jego, Grzegorz Bibesco, człowiek młody, czynny, ruchliwy, zdolny i schodzący się ze Sturzą w punkcie pożądliwości złota. Dla uczynienia atoli zadość pożądliwości téj uciekał się do metody odmiennéj. Sturzy specyalność polegała na zabieraniu majątków wdowich i sierocych i obdzieraniu żydów. Bibesco łupił skarbiec publiczny. Aplikacya metody téj nie mogła nie wywołać opozycyi, która się zamanifestowała w zgromadzeniu narodowém, przy okazyi udzielenia koncesyi kompanii rosyjskiéj Trandafirów i sp. na eksploatacyą kopalni w Rumunii. Hospodar zgromadzenie zwymyślał, zarzucił mu, że nie umie traktować interesów seryo, przed dworami skargę na nie zaniósł i uzyskał rozwiązanie onego. Szkoły zredukował we względzie rozmiaru programu nauk, ludowe zniósł całkowicie. Toż samo uczynił Sturza w Mołdawii. Krok każdy Bibesca cechowała energia.

Energia ta atoli nie powstrzymała ruchu narodowego, względem którego Bibesco zajął stanowisko odmienne, aniżeli kolega jego mołdawski. Sturza tłumił takowy bezwzględnie; nie chcąc sobie

kłopotać głowy sprawą nieintratną; on starał się na czele onego stanąć, ruch opanować i trzymać go w granicach platonicznych: w celu tym ścieśniał edukacyą, a faworyzował literaturę i teatr— chciał utrzymywać ognisko, bez dokładania do niego paliwa. Ognisko tlało samo przez się, aż wybuchło płomieniem w r. 1848.

Rewolucya r. 1848 ograniczyła się na Bukareszcie i była niewolniczém acz nieudolném naśladownictwem ruchów rewolucyjnych zagranicznych, jakie rok ów w Europie upamiętniły. Analiza jéj wykazuje, że najbardziéj dogadzała ona gabinetowi petersburskiemu, który wobec wypadków jakich teatrem była Austrya, zająć potrzebował strategicznie oskrzydlające teatr ów stanowisko. Dowodzą tego świadectwa żądań konsulów dworu opiekuńczego, namawiających hospodarów, ażeby wezwali dwór rosyjski do przysłania wojsk, celem utrzymania porządku i spokoju. Ani Sturza, ani Bibesco nie czuł potrzeby uciekania się do środka tego. Sturza załatwił się z rewolucyą krótko. Wiedząc, że się w domu Maurocordata, w Jassach, zgromadzają malkontenci, wyłącznie bojarowie, skorzystał z momentu, w którym zgromadzenie liczniejszém było jak zwykle, dom wojskiem otoczyć kazał, wszystkich zabrał i rózgami ich osmagawszy, jednych na wolność puścił, drugich z kraju wypędził. Za spokój przeto odpowiadał. W Bukareszcie poszło nie tak gładko. Agitacya kilkunastoletnia (1834—48) przenikła tam do ludu, który się zaniepokoił, zgromadził, przewodników na czoło swoje wysadził i do pałacu hospodarskiego się udał, domagając się rzeczy, przechodzącéj możność hospodara: zmiany konstytucyi. Chodziło o regulamin organiczny, który od najpierwszéj zaprowadzenia onego chwili, stanowił oś agitacyi rewolucyjnéj. Zastraszony Bibesco przyjął wszystko, na wszystko przystał, konstytucyę zmienić obiecał i ministerstwo nowe zamianował. Przez noc jednak namyśliwszy się inaczéj, abdykował i do Siedmiogrodu odjechał. Zastąpił go rząd prowizoryczny. Rewolucya przeto, jak widzimy, odbyła się w porządku, zupełnie jak w Paryżu, co nie jest rzeczą zadziwiającą, albowiem paryżanie nią kierowali. Brakło barykad, te atoli zbytecznemi były, z powodu że monarcha zawczasu ucieczką się ratował. Obeszło się więc bez nich, ale za to nie obeszło się bez aktu, który, nadawszy ruchowi jaskrawość i wytknąwszy kierunek na przyszłość, w chwili onéj wytworzył położenie bez wyjścia. Aktem tym było spalenie regulaminu — ciśnięcie rękawicy pod nogi Rosyi, która, w cztery miesiące po wybuchu rewolucyjnym w Bukareszcie, nie miała jeszcze dostatecznego do wkroczenia do księstw pretekstu. W Mołdawii panował spokój; na Wołoszczyznie pomiędzy rządem prowizorycznym a pełnomocnikiem tureckim, *ad hoc* na

żądanie gabinetu petersburskiego wysłanym, Sulejmanem paszą. przyszło do komplanacyi, na mocy któréj rzeczy uregulować się miały prawidłowo. Lud bukareszcki na cześć sułtana, monarchy zwierzchnika, bramy tryumfalne stawiał, w sztandary miasto przystrajał, ognie palił i okrzyki radości wydawał. Gdybyż był na tém poprzestał! Dnia 6 września tłum ogromny ludu udał się do rządu prowizorycznego, zamianowanego przez Sulejmana-paszę „namiestnictwem hospodarskiem (*locotenenta domneasca*) i, wydostawszy z sekretaryatu stanu pysznie oprawny egzemplarz oryginalny regulaminu wraz z „*archontologią*“ (spisem bojarów), złożył księgi te na dwóch całunem okrytych wozach, zawiozł je przy odgłosie marsza pogrzebowego przed pałac metropolity, metropolita przedsięwzięcie pobłogosławił i akt całopalenia dokonany został śród objawów, wesołości, smutek przedrzeźniającéj.

Następstwa aktu tego, wykazującego bliskie pomiędzy rewolucyą bukareszcką a rewolucyami paryskiemi, powinowactwo (1), nie kazały na siebie czekać długo. Rosya, obrażona wystawieniem na urągowisko dzieła swego, obrażona wszystkiém co się działo, zwłaszcza zaś pisało i publikowało od czterech miesięcy, domagała się w Konstantynopolu satysfakcyi nie innéj, jak przekreślenia tego, co Sulejman pasza zrobił i przywrócenia *statusquo*. Wysoka Porta wyznaczyła komisarza innego, a mianowicie, Fuad-effendiego i wysłała go w towarzystwie pełnomocnika rosyjskiego, generała Duhamel, pod eskortą korpusu wojska, pod dowództwem Omera-paszy. Ekspedycya ta, na poły dyplomatyczna, na poły orężna, miała za zadanie zaprowadzenie napowrót porządku legalnego.

Wkroczenie wojsk tureckich upoważniało do wprowadzenia do Rumunii wojsk rosyjskich. Kiedy się pierwsze przeprawiały przez Dunaj, drugie przechodziły Prut i zajmowały Mołdawię, w któréj Sturza utrzymywał porządek wzorowy. Obecność wojsk rosyjskich zniewoliła tego ostatniego do abdykowania. W sposób ten obydwa trony hospodarskie znalazły się opróżnione i w obydwóch księstwach zarząd tymczasowy powierzono „kajmakanom,“ zamianowanym zpośród bojarów. Członkowie rządu tymczasowego i wszyscy, co w rewolucyi wydatniejszą odegrywali rolę, zmuszeni zostali do opuszczenia kraju. Jedni sami się wynieśli, drugich Turcy na bajdaku w górę Dunaju odwieźli i na brzegu austryackim wysadzili.

---

(1) Jednym z główniejszych całopalenia tego przewodnikiem był Bratjano, dzisiejszy prezydent gabinetu w Rumunii.

Taki koniec miała rewolucya, której przewodnikom jest do zarzucenia wiele, przedewszystkiém zaś to, że robili ją na modłę paryską. Śród nich nie wykazały się ani talenta ani charaktery. Heliada, autor proklamacyi wymownych, był człowiekiem serca trwożliwego, pozował, ale się oglądał za bezpieczném dla schronienia miejscem. Cały komplet rządu tymczasowego, strwożony w początkowych rewolucyi momentach alarmem fałszywym, salwował się ucieczką gromadną do Tyrgowisst. Przywidywały się mu kontrrewolucyjne knowania, intrygi i zamachy, zmuszające go do toczenia walki z wiatrakami i wygłaszania haseł, stawiających sprawę na ostrzu noża. Organy rewolucyjne, będące oraz organami członków rządu, wywieszały sztandar republikański i wyzywały świat stary do walki. Frazesy miały powodzenie ogromne. „Gdyby—powiada Heliado w „Pamiętnikach“ zagranicą pisanych—członkowie namiestnictwa (ustanowionego przez Sulejmana paszę) mniéj kochali naród a bardziéj byli ambitni i miłowali sławę znikomą, Wołoszczyzna byłaby dziś ogromnym Rumunów, Turków i Rosyan grobem, do którego by wszedł ostatni Rumun dla zbliżenia się do nieba i domagania się sprawiedliwości u Pana Boga. „Gdyby tym ostatnim był Heliado, on by z pewnością do grobu nie wszedł. Oddał on sprawie narodowéj usługi ogromne, ale nie dawał z siebie przykładu heroizmu w obliczu niebezpieczeństwa. We względzie tym zachodzi podobieństwo wielkie pomiędzy nim a Demostenesem, który do walki przeciwko Filipowi Greków potęgą całą wymowy pchał, sam atoli z pola bitwy miał zwyczaj uciekać (1).

Rewolucya bukareszcka, rozpatrywana jako fakt dziejowy, jest zdarzeniem ogromnéj dla Rumunii doniosłości. Jako od faktu dziejowego, odpadają od niéj wszystkie przyczepki osobistościowe, figurujące w charakterze sprawców, którym się wywołanie onéj przypisuje. Zdarzenie tego rodzaju nie wywołują się. Sprawcy rzekomi odgrywają rolę zapałek, przyłożonych do materyałów palnych, które nagromadziły przyczyny, spoczywające w łonie narodu od wieków. Nie wychowańcy szkół paryskich rewolucyą wywołali. Oni nią kierowali—nieudolnie; ale ona przyszła sama: wywołała ją potrzeba narodowa wypowiedzenia dążności swoich. Przez nią się Rumunia poznać dała i światu i saméj sobie. Naród deptany i popychany po raz pierwszy głowę podniósł i oświadczył, że chce istniéć że nie chce pasków opieki, że chce stać o sile własnéj. Wystąpił on

---

(1) Podajemy rys ten charakterystyczny nie w celu ubliżenia pamięci nieżyjącego już dziś a wielce zasłużonego człowieka, ale jako prawdziwy. Znaliśmy Heliada osobiście.

nie przeciwko Rosyi, ale przeciwko opiece wogóle, jaką kolwiek by była, wyobrazicielką któréj Rosyą w roku 1848 okoliczności uczyniły.

Osobliwość rewolucyi bukareszckiéj polega na tém, że w całém przebiegu onéj postrzegać się nie daje najmniejsze mocarstw zdarzeniem tém interesowanie się. Jeden tylko konsul angielski odzywa się półsłówkami, doradzając umiarkowanie; zresztą—żaden, ani austryacki nawet. Rumunia osamotniona stoi pomiędzy Turcyą a Rosyą, radząc sobie sama. Dla wytłómaczenia fenomenu tego, dość jest uprzytomnić sobie rok 1848. Francya zmieniła formę rządu i straszyła się „widmami czerwonemi;“ Austrya wygrzebywała się, tchu ostatki z siebie wydobywając, z pod rewolucyjnych gruzów i z pod ciężaru dwóch wojen; Europa cała znajdowała się w stanie zaniepokojenia o jutro zagadkowe. Rewolucya przeto wołoska odbyć się musiała w opuszczeniu, w odosobnieniu i w wystawieniu na hazardy pierwszéj próby, usprawiedliwiającéj aż nadto wszelakiego rodzaju niedorzeczności, jakich się dopuszczał naród, nie chodzący nigdy jeszcze bez wędzidła. Fakt sam pozostał jako fakt dziejowy, zaznaczający świtanie nowéj dla Rumunii ery.

T. T. Jeż.

Ignacy Chodźko.

SZKIC LITERACKI.

IV.

Stanowisko z jakiego się Chodźko zapatrywał na zjawiska było, jak to wiemy, z jednéj strony—konkretne, realistyczne, obce wszelkim oderwaniom, pogodne, z drugiéj—szlacheckie. „Clangor i rumor“ szlachecki, odpowiadały właściwościom jego talentu, pociągały kolorystę, nęciły pióro, skłonne do zamaszystych rysów, zasilone wspomnieniami z rodzinnego wyniesionemi gniazda. Znał on jedną tylko polskę, taką jaką istotnie była w przeszłości: kontuszową i karmazynową. Pod tym względem nie pozostaje żadna historyczna wątpliwość. Magnaterya stała u stéru, stanowiła rząd właściwy, lud spoczywał u narodowych podwalin jako bryła nie ożywiona tchnieniem swobody i oświaty, rdzeń zaś narodu stanowiła szlachecka rzesza. tak różnobarwna, jak to tylko rozbujałą wyobraźnią objąć można, Złożona z rodzin, które z jednéj strony klejnotem herbowym, poczuciem osobistéj godności, gotowością spełnienia obywatelskich obowiązków, walecznością rycerską, zdobytemi lub odziedziczonemi dostojeństwy, wznosiły się do społecznych szczytów, z drugiéj skromnością dobytku i obyczaju ocierały się o gmin szary, i z *karmazynów* przedzierżgały się w *szaraczków*. Niebyło może ani jednéj rodziny szlacheckiéj, do któréj z małym waryantem nie dałby się zastosować znany z czasów ostatniego panowania dwuwiersz:

„O! co za dziwne cuda Boskiéj Opatrzności!
Wnuk na tronie! Ojciec w krześle, a dziad podstarości!“

Rodzina z któréj pochodził Chodźko, jest właśnie taką typową, narodowo-szlachecką rodziną, w któréj *karmazyn* ociera się o *sza-*

raczka i zlewa się z nim w harmonijną całość. Dziadek Chodźki po kądzieli, Widmont, przedstawiony nam jest przez autora jako „pierworys owéj niższéj i uboższéj szlachty, w któréj skromnych zagrodach przechowały się, śród powszechnego częstokroć zepsucia, jakoby w utajonym schowie, bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerość, chrześciańska gorliwa pobożność i czystość sumienia.“ (Domek mojego Dziadka). Wprawdzie, sam autor dodaje, że się także przechowywał tam „zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijném ogniwem gminne urojenia i powieści z domowemi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezyą.“

Całe dziedzictwo, takiego jak Widmont szlachcica, składało się z kilku chat włościańskich i zagrody z domkiem zawierającym dwie tylko izby z alkierzykiem i bokówką „z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zedlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów.“ Cicho tu jak strumień na łące płynęło życie. Nie było ogłady towarzyskiéj, brakło nauki jak o tém świadczą owe „przesądy,“ lecz panował wysoki stopień społecznego uobyczajenia, kultury, ład i oszczędność, pracowitość i gościnność, przechowywała się tradycya, narodowa i ziemiańsko szlachecka, gdyż zkądby się inna wziąść mogła? Tradycya ta podnosiła takiego Widmonta z poziomu w którym zagrzązł. W dążeniach ojców i praojców jego tkwiły ideały które człowiek ten prosty, nieuczony, przesądny, wierzący w upiory, czczący zakon jezuitów, z mlékiem matki wyssał, które się w nim zmieniły w bezwiedne ale szlachetne instynkty. Ze „szczupłem swém mieniem był on—jak upewnia autor, szczęśliwy i uszczęśliwiał.“ Łatwo w to uwierzyć. Wymagania takiego ubogiego szlachcica były ograniczone, obyczaj prosty, spartański, życie domowe patryarchalne, rozrywki sielskie: rozmowa z kapłanem z pobliskiego klasztoru, przededniem różaniec odśpiewany z domownikami, przy rannéj kawie snów tłómaczenie, „wieczorem przy kominie o upiorach opowieści przy fruwaniu kołowrotków dziewek służących i śpiewie Heluni córki ekonoma, przypuszczonéj do rodzinnego grona. Oto na czem spływało mu życie. Taka prostota obyczaju, w szlacheckim stanie nie była ani wyjątkiem ani upośledzeniem żadném. Panem był, kto wedle przysłowia „poprzestał na swojem.“ Szlachta tego co Widmont zakroju „poprzestawała na swojem,“ nie sięgała po żadne fawory, nie obdzierała kraju pod żadnym pretekstem. Była ona w narodzie stanem trzecim, w najlepszém, najbardziéj obywatelskiem znaczeniu, brakowało jéj tylko większéj umysłowéj oświaty. Przywiązana do roli, w ekonomii kraju zgrywała rolę włodarzy nie tylko mających oko na orkę, lecz chęt-

nie i skutecznie przykładających rękę do pługa. Na tych szczeblach szlacheckości zacierała się pańszczyzniana groza. Dla panie kochanku „szlachta to bracia, chłopki to dzieci,“ a gdy w złym jest humorze i zagniewany na hałasującego z bizonem ekonoma, to tylko „*kpy* pochodzą panie kochanku od Chama“ (t. II. str. 285) ale dla umierającego Widmonta, poddani jego to jego bracia, śród których żywot spędził, i śród których umiera, którym dziękuje, nie tylko za ich życzliwość lecz i „za chleb,“ wspólnie zapracowany, wspólnie spożyty. Śmierć ta ziemianina, opisana przez Chodźkę (Śmierć mojego Dziadka), z porywającą szczerością naocznego i głęboko wzruszonego świadka, jest zarazem jedną z najrzewniejszych stronic wyszłą z pod jego pióra, i komentarzem objaśniającym nam dla czego Chodźko w szlacheckości same dodatnie widział strony, dla czego tak się zwykle różowo zapatruje na stosunek pana do chłopów, dla czego gniazda szlacheckie ma za uprzywilejowane gniazda cnoty, dla czego nie rażą go „przesądy“ chyba żadne? Gromi je niby, lub stroni od nich, lecz widocznie przylgnął do nich sercem całém, spogląda na nie przez pryzmat najpiękniejszych swych wspomnień.

Wspomnienie domku jego dziadka, nie opuszcza go nigdy. Téż same niemal, z lat dziecinnych znane sobie, ukochane wnętrza, maluje niejednokrotnie i w tém podobny do mistrzów flamadzkiéj rodzajowéj szkoły. Prześliczne są jego obrazki takich wnętrzy we „Dworkach na Antokolu“ zamieszkałych przez szlachecką „konfraternią skarbników, podczaszych, mostowniczych, wojszczanek, podskarbianek itd.“ Znajdziemy tu nadto chlubę gospodyń „królewiecką szafę,“ znajdujemy wygodniejszą kanapę a w alkierzykach „panieńskie łóżeczka, za krótkie trochę na ich wysmukłe figurki, i kuferki na których nie tylko same ich właścicielki siadają ale niekiedy i estymowany a akceptowany konkurent.

„U nóżek swéj bohdanki
Trawi wieczory i ranki.“

Na podobnych, mistrzowsko odrobionych tłach, grupuje autor figury odpowiednie, jakich dziś już nie widać, które zniknęły wraz z dworkami, alkierzami, bokówkami i królewieckiemi szafami.

Są jednak po dziś dzień na Litwie, dwory i dworki, gdzie minąwszy kosztowniéj, ozdobniéj, a zwłaszcza już pretensyonalniéj przybrane komnaty, trafić można do pokoiku, zwykle zamieszkałego przez starą babkę, lub ciotkę, czasem ochmistrzynią lub piastunkę, która ze trzy wyniańczyła pokolenia, podobnego bardzo do komnat opisywanych przez Chodźkę. Nigdzie chyba nie jest cieplej,

zaciszniéj, nigdzie nie można znaleść smakowitszéj kawy nad tę, która się tam rano warzy w piecu, i bardziéj kruchych sucharków nad te, które się tam odświeżają, w umyślnie na ten cel zrobionéj w piecu framudze. Nigdzie szara godzina tak nie rozmarza, nie unosi tak daleko od otaczającego świata, w krainy fantazyi i wspomnień... kątek raju zamknięty w ślimaczéj skorupce! Można się dziwić że ten ciasny kątek tak nęcił Chodźkę? Mało kto tak jak on kocha się we wspomnieniach, a chcąc go ocenić i zrozumiéć należycie niepowinniśmy zapominać ani na chwilę o tém że „wspomnienie, idzie za człowiekiem i zmordowanemu podaje czarę słodkiego nektaru“...

Z domku jego dziadka Widmonta, wspomnienia przenoszą wkrótce Chodźkę do szlacheckiego dworu, innego już pokroju, do jego dziedzicznéj Dziewiętni. Drugi dziadek Ignacego, po mieczu, Michał Chodźko Wojski Oszmiański, na szczeblach szlacheckiego stanu o wiele pokaźniejsze od starego Widmonta zajmuje stanowisko. Karmazyn to już i nie lada jaki! Ziemskie zaszczytne urzędy od dawien dawna są w jego rodzie. Dla kmieci swych, dobrym zapewne jest panem ten łagodny, wesoły staruszek, ale panem jest nie bratem. Dziedzic Dziewiętni, choć mieniem nie przechodzi średniéj zamożności, jest w pełném tego słowa znaczeniu sąsiadem i bratem, nie tylko równego mu w dostojeństwie stolnika ale i wojewody—Chomińskich, a choć co słowo „weneruje“ on pańskie nogi, myliłby się bardzo kto by tę uniżoność wziął na seryo. Równość tę najzupełniéj téż odczuwają i uznają bogatsi i dostojniejsi jego sąsiedzi. (Dwie konwersacye z przeszłości). Wprawdzie przysłowie o „szlachcicu na zagrodzie,“ faktycznie stosowaném bywało chyba w chwilach waśni lub warcholstwa; tém nie mniéj szlachcic, bogdaj najuboższy, wysoko trzymał o swém urodzeniu, o swym klejnocie, o tych politycznych przywilejach, których używał i nadużywał. Zresztą Wojski Oszmiański żył w dobie, w któréj pretendowanie każdego szlachcica do tronu, przestało być czczą mrzonką, zmieniło się w dotykalne zjawisko. Niezbyt głębocy politycy—a takich w rzeszy szlacheckiéj najwięcéj było, nie troszczyli się zbytecznie oto czyja dłoń i w jakich widokach posadziła na tronie Poniatowskiego. U szczytów, wyniesienie się to jednego z najmniéj dostojnych w rzeczypospolitéj rodów, budziło niezadowolenie, zwłaszcza, u takich naprzykład litewskich królików Radziwiłłów. Dla takich, Poniatowski na tronie, nie przestał być „stolnikiem“, ale natomiast szlachecka rzesza, która do rywalizacyi z „familią“ stawać nie mogła, czuła się bardzo pochlebioną, połechtaną w swéj godności, tém wyniesieniem szlacheckiego stanu w osobie króla. Magnaterya zresztą sama, liczyła się i liczyła ściśle, ze szlachtą zajmującą obywatelskie stano-

wisko podobne do tego, które zajmował Wojski, szanowany w okolicy swéj, rozjemca w procesach i zawiłych sprawach. Wprawdzie Sołohub nie może chętném okiem patrzéć na związki córki z dworzaninem swym Piotrem Wolkanowskim (Pustelnik w Proniunach), i zapewne w Ołyce powstał by rumor wielki, gdyby który z Radziwiłłów zapragnął poślubić pannę Nagórskę, starościankę Zawistowską, lecz to nieprzeszkadza, aby na dworze księcia „Rybeńko,“ marszałek Faszcz ugaszczał z oznaczeniem gości, aby taż sama, przez Radziwiłłów wyposażona Nagórska, była jak córka traktowaną przez księżnę. Sam butny, niesforny „Panie kochanku,“ ten ostatni wyraz wybujałości litewskiego możnowładztwa, jaki uprzejmy, ujmujący bywa dla swéj „braci.“ Pan Sulistrowski, którego brat Ławrynowicz „niewysoką kreaturą“ nazywa, żyje z nim za panie brat, jak to mówią; a Morykoni, choć mu jeszcze bruździ cudzoziemskie pochodzenie, choć przybysz w szlacheckim gronie, to mu już jawny i prawny stawi opór. Na sejmiku w Usaczu, trzeba widziéć jak się wojewoda Połocki kłania braci szlachcie, jak jedna sobie adherentów. Na wieczorynce u Rudominy, prezencya dostojnika nie powstrzymuje tanów i wybuchów wesołości, nie przeszkadza „wyrywać dziewki od waltorniów i daléj iść z niemi w obertasy.“ Kiedy zaś zagrzmią mu nad uchem:

„Panie Wojewoda,
Co to za moda
Żolnierzy zbierasz
Szlachtę pożerasz.“

to wojewoda „Ojcze święty“ nie umie dość się uśmiechać, uniewinniać. Poczucie godności szlacheckiéj przechodziło nawet częstokroć poczucie godności osobistéj, i dziwić się temu nie można gdyż wszelka konfraternya, sztandar wszelki, dla ludzi średniego poziomu, zastępują to, na wyrobienie czego w jednostkach trzeba dźwigać o wiele wyżéj poziom umysłowy i moralny. Że konfraternya ta, że sztandar ten przez czas zdarty, przez wichry niepogody porwany, zbutwialy, miał tyle uroku dla Chodźki i to tak późno, w połowie jeszcze bieżącego stulecia, lat temu trzydzieści nie spełna, to już inna kwestya. Chodźko jak wiemy, posiadał do fanatyzmu posuniętą cześć pamiątek a wspomnienie o tyle jest dobre i zdrowe, o tyle umysł nasz zasila o ile nie zaślepia. Chodźkę, krótko-widza, oślepiły wspomnienia dni dziecięcych. Ależ to i wspomnienia były prześliczne. Jakaż to postać ponętna dla malarza, dla artysty, ten naprzykład Wojski Oszmiański. Poważny, uśmiechnięty, gościnny zjawia się nam w progach swego dworu. Za nim dostrzegamy jako tło

zamieszkałe przezeń komnaty „stosowne do jego stanu i położenia.... nie występując daleko ze staroświeckiéj prostoty, rzuconym jednak gdzieniegdzie wygodniejszym i ozdobniejszym sprzętem zwiastujące, że i do głowy gospodarza wciskały się również nowsze i wybrane *bona ex malis* pojęcia.“ Komnaty obszerne, jasne, w których nie dostrzegamy lśniących się parkietów, tylko posadzkę białą i jak stół czystą, gdyż „wosk panuleńku—mawiał gospodarz domu—pracowite pszczółki robią na ofiarę Bogu, na światło do ołtarzów pańskich, a nie pod nogi ludzkie.“ Dostrzegamy za to na tapetach okrywających ściany i pod lustrem w misternych ramach, krzyżyk i loretański dzwoneczek. Dostrzegamy wizerunki dwóch hetmanów Sobieskiego i Michała Radziwiłła. Wojski utrzymywał, że ich tak naprzeciwko jeden drugiego umieścił „dla kompanii panuleńku.“ W rzeczy samćj — dodaje autor — „Sobieski był tam od antenatów, Radziwiłła wojski przywiózł z Nieświeża jako swego pana i dobroczyńcę.“ Rys nadzwyczaj charakterystyczny, malujący wyobrażenia społeczno-polityczne szlachty, zamęt, z którego wycofać się nie łatwo było, z którego może coś przechował sam Chodźko, który nam nieraz wywiesi jeden na przeciw drugiego dwa portrety różnéj historycznéj wartości, ot tak dla „kompanii“, a może dla tego, że mu jeden pozostał po antenatach, drugi przybył z osobistych wrażeń, a najpewniéj już dla tego, że obadwaj przedstawiają hetmanów, bogate delie, piękne buławy....

Do tych wpływów rodzinnego gniazda, które zdecydowały kierunek talentu Chodźki, napełniając wyobraźnię jego samemi szlacheckiemi portretami i wspomnieniami, dołączmy wspomnienia uniesione ze szkoły, które niby rumieńce zorzy, odbiły się na dziele pisarza, posiadającego tak wielką cześć pamiątek i wspomnień. Szkoły odbywał w Borunach, pod okiem bazylianów. Światlejsi od jezuitów, umiarkowańsi przedewszystkiém, bardziéj narodowi bazylianie, nie szerzyli obskurantyzmu nakształt szkół w Połocku, nie łamali indywidualności i charakteru swych uczniów, nie paczyli im wyobrażeń i języka wprowadzeniem nędznéj morfologii. Wychowanie tam udzielane nie było zapewne takie, jakie winno było otrzymać pokolenie wzrastające na gruzach. Wolelibyśmy, aby w tych domniemanych pracownikach odrodzenia, wyrabiano ducha bardziéj spartańskiego, aby umysły młode zasilano zdrowszym i posilniejszym od teologii pokarmem. Wolelibyśmy aby nie „prześlizgiwano się“ tak lekko — jak to sam autor wyznaje (Boruny) — po wszystkich naukach, aby promocyą dostawali najzdolniejsi i najpilniejsi uczniowie, nie zaś ci, których rodzicom chciano dogodzić. Wolelibyśmy aby *reverendissimus* fizyk mniéj miał przesądów prze-

ciw nie-chrześcijanom. Wolelibyśmy wiele rzeczy wchodzących, nie tylko na owe czasy, lecz i po dziś dzień, i pomimo pedagogicznego nastroju obecnéj doby, w dziedzinę *pia desideria*. Tém nie mniéj, niepodobna bez uśmiechu zadowolenia spoglądać na uczniów i na nauczycieli w Borunach. Przesądny *reverendissimus* fizyk, podzielający swych uczniów zabawy, rysuje się jako wpływowy, serca młodzieży jednający sobie nauczyciel. „Zawiązawszy habit około butów, biega jak łoś do mety, albo przylepia szeroką swą łapę do muru, na cel kozlistéj piłce, lub z pałką na ramieniu zamiast karabina musztruje rotę wybranych i równie jak on uzbrojonych rycerzy.“ Inni nauczyciele nie wiele się od niego musieli różnić. Widzieliśmy ich na majówce u imci Bujnickiego, bawiących się równie ochoczo jak i uczniowie i strzyżących koperczaki do panny Katarzyny, z różowym swym fartuszkiem i zręcznym kozakiem, podobnéj do jednéj z tych nieśmiertelnych tanecznic zdobiących fryzy na odkopaliskach Pompei. Wiosną życia tchnie ta postać dziewczęca. Wiosną życia i swobody przesiąkłe te wspomnienia szkolne, a chociaż autor wspomina coś tam o „płaczu powszednim codzień, a o arcy płaczu co sobota“, o *strachu* siedzącym „za piecem na pieńku, z groźném okiem i dyscypliną w ręku“; strach ten znowu nie musiał być tak bardzo strasznym, skoro nie przeszkadzał „z za płotu kamuszkiem, lub zimą kawałkiem lodu żydowi sińca na łbie posadzić,“ co zawsze było tolerowane przez *reverendissimusa* fizyka, skoro dozwalał grad lodówek wypuszczać na prefekta w jego własnéj osobie. Wre, kipi rynek w Borunach od hałaśliwéj uczni zgrai. Wieczór zapada, zbrojne pułki malców następują jedne na drugie. Ile rycerskiego zapału w tych pucułowatych twarzyczkach, ile zuchwałości w ruchach i postawach tych pacholąt! Zkądże ten popłoch nagły? Pierzchają rycerze ci, niby w puch rozbite bataliony ciurów. Oto u wrót kościoła klęcząca żebraczka, podniosła się i wstrząsła łachmanami. „Mergelis!“ czarownica! Wszelka jednak zagadkowość pociąga, więc gdy popłoch pierwszéj chwili minął, otaczają ją coraz szerszem kołem. Wróży im stara! „Ty będziesz ekonomem“ Śmiech. On! Marszałkowicz ma być ekonomem? „Ty jenerałem.... tobie w sobotę pieniek, tobie pirogi od mamuni.“ Obdarzony niemi, nie zapomni podzielić się ani z żebraczką Raudociną, ani z psem Rozbojem, który chodzi po kwaterach i do samego ojca Kanafarza zaglądać lubi.

W zimie rynek wygląda inaczéj. Wznosi się na nim „groźny z lodu okop. Przed okopem na straży jak przed zaklętym pałacem Amadisa staje potężny olbrzym: głowa sfinksa, z dwóch węgli źrenica, tułów Bachusa a nogi rodyjskiego kolosu.... Co wieczór, gdy

odwilżone powietrze łatwiéj dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymywać musiał...." Łatwo wyobrazić sobie co się tam działo dopóki od klasztoru nie błysło światło latarki księdza prefekta. „Przerwana bitwa... światełko się posuwa... wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący w oddali... wszystko pierzcha, a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzyą i ze zbitą latarką znajduje pustym plac pobojowiska. Następuje rewizya po kwaterach. Siedzą malcy spokojnie około stołów, a zatkawszy uszy i zamrużywszy oczy wrzeszczą na zabój: byli tacy, byli tacy, aniołowie, aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili...."

Widocznie w Borunach nie istniał ohydny system jezuickiéj delacyi i zbuntowane cherubiny usnąć mogli snem spokojnym, snem bez troski, „snem studenta umiejącego swą lekcyą na jutro."

Utwór poświęcony tym pachołęcym wspomnieniom, robi wrażenie pastelu malowanego najświeższemi i najdelikatniejszemi farbami! Gdzieindziéj koloryt wzmoże się, rozpali, rysy pogłębią, rzutkie linie zadziwią śmiałością rysunku, werwa wzbijając się do potęgi zatoczy o rubaszność, nigdzie nie będzie świeżości tyle, tyle „niewinnéj, dziecięcéj na setne serca rozdzielonéj wesołości." Ta wesołość i plastyka upajają czytelnika, jednają bezwzględne jego sympatye dla malców tych przewybornych od początku do końca, psotników, pieszczochów serdecznych! Chwilami tylko gdy wpadają w sentymentalne rozkwilenie śród mamuń swych, siostrzyczek i siostrzanych przyjaciółek, w myśli czytelnika natrętną błyskawicą przebiega pytanie, w czém dziatwa ta znajdzie hart ducha w godzinie próby? Czy ta miękkość i tkliwość czułostkowata nie zaleje ogniów pożerających wielkich miłości? Czy się wzbiją do nieugiętości przekonań i zasad wobec połysku pierwszéj lepszéj pokusy? Nieprzyjemne te wątpliwości, w silniejszym jeszcze stopniu rodzą się przy odczytywaniu innych utworów Chodźki i to tych właśnie, które jak „Boruny" posiadają najwięcéj artystycznéj wartości, odznaczają się wszelkie niedorozumienia zacierającą plastyką, porywającą szczerością.... Ale o tém pomówimy niżéj, dopiero zatrzymawszy się nad wrażeniami, które pisarz ten uniósł z lat swych dziecinnych, z rodzinnego gniazda i szkoły, wróćmy do galeryi historyczno-społecznych portretów, które nam pozostawił w znakomitéj ilości. Portrety te wypukłe, występujące rzekłbyś z ram, sceny je otaczające, mogłyby się nieraz pomieścić w Pamiętnikach Paska. Są one w rodzaju swém pierwowzorowe, a przytoczenie niektórych z nich, wskazanie czytelnikowi innych, będzie poparciem najlepszym tego, co się powiedziało wyżéj o artystycznéj wartości

dzieła Chodźki. Plastyka, realizm niepozbawiony poezyi, śmiałość rysunku, świetność kolorytu, oryginalność, werwa, humor, jednoczą się tu lub walczą o lepsze, a ze zgodności téj lub walki wychodzi cały szereg typowych, narodowych postaci, z których nie sama wszelako przeszłość przemawia do nas, w których, nawet wówczas gdy je czas starł, jest owo *coś*, poczém wnuk skarłowaciały poznaje praojca w mężu zakutym w zbroi, co nadobna prawnuczka znajduje w rysach zwiędłych swéj prababki. Coś, co stanowi wprzędzoną przez dziedziczność i tradycyą nić łączności, dającą się plątać, naprężać, rozluźniać, lecz nigdy przeciąć, i po przez pokoleń długie, bardzo długie szeregi, motającą kłębek cech narodowych.

V.

Gdy wejdziemy w tę długą galeryą portretów, spostrzegamy, że nie wszystkie postacie obrobione są jednostajnie. Wizerunki różnéj są skali. Szkicowe jedne, drugie pracowicie i w najdrobniejszych szczegółach obrobione. Niektóre, jak postać księcia „Panie kochanku,“ księdza Dowiata, Sulistrowskiego, porucznika Stelnickiego, powtarzają się niejednokrotnie, widocznie ze szczególném upodobaniem kreślone przez pisarza. Jedne portrety malowane *en pied*, drugie sylwetki oznaczone kilku kreskami, lecz tak wyraźnie, że czy są w świetle, czy pozostają w półcieniu; wychodzą wypukłe, do złudzenia żywe, pełne ruchu, wymowne, gwarne nawet, opowiadające nam tysiąc rzeczy, które opowiadać nie było może w intencyi autora. W galeryi téj, ludzie najrozmaitszéj kondycyi przeplatają się i mieszają jak w życiu; my jednak przegląd nasz pobieżny, zacznijmy od góry, by przez wszystkie szczeble zejść do dołu.

U szczytu portret bohatera wieku. Gdy przypomnimy sobie jakie nadzieje, jakie uczucia w danéj chwili bohater ten budził w piersiach naszych, bez wahania przyjmujemy wizerunek jego, jak to chce autor, w poczet narodowych portretów.

Na zaraniu obecnego stulecia, z burzy rewolucyi, na skrzydłach wojennéj sławy wzbił się kolos, o którym sądzono długo, że swym ciężarem przeważy szalę wieku. Było to złudzenie, lecz złudzeniu, temu podległy co najmniéj dwa pokolenia i obecnie liczyć się z niém musimy, nietylko wobec historyi lecz i wobec literatury z pierwszéj połowy bieżącego stulecia, a kto wie nawet, czy w literaturze wpływ tego złudzenia nie przetrwał dłużéj niż na widowni historycznéj, zkąd je usuwały szybko po sobie następujące, stanowcze wypadki. Bojowym pędzony huraganem, z harmat hukiem, kul

świstem, wielki i jaskrawy meteor przeleciał po nad Europą i nie tu miejsce zastanawiać się ile czczości, nieładu, rozkładowych zaczątków, ile hamulców na postęp, kapturów gaszących dopiero co rozpalone światła, oków na dopiero co wyzwolone ramiona, było w téj bojowéj wystawie, w tym szychu wojennéj parady, w tych rycersko-awanturniczych tanach, kędy śmierć niestrudzona odmładzała szranki, w tém obozowisku jak biblijny Lewiatan opasującym lądy starego świata. Współcześni w sprawcy zamętu tego widzieli zesłańca niebios, a że była to chwila przebudzenia się mistycyzmu, że ludzkość przebywała paroksyzm gorączkowy, nie brakło przepowiedni, wróżbitów, apokaliptycznych porównań, tego wszystkiego co się składa na wytworzenie legendy, co zjawisko naturalne, przy pewnych warunkach nieodzowne, zmienia w nadprzyrodzone. Ludzkość przebywała istotnie jeden z tych momentów, w którym—wedle słów ojca definitora (Pamiętniki kwestarza) — „wre, kipi, topi się, musuje.“ To pewno, że nic w dobie téj nie było w miejscu, nic stałem, nic dojrzałem, wszystko rosło, wyrabiało się, lub malało i ginęło. I to także pewno, że od owéj fantasmogoryi, od owego rojącego się po Europie całéj rumowiska hufców i duchów, gnanych biczami despotyzmu i niepokoju wewnętrznego, biły łuny, u których piśmiennictwo z pierwszéj połowy naszego stulecia zapalało swe pochodnie. Dla nas, w wyjątkowém położeniu w jakiém znaleźliśmy się w téj dobie, wszystko to miało urok większy jeszcze niż dla innych, nieprzeparty. Huragan porywał oderwane od naturalnego swego pnia liście, rozpalał nadzieje aż nadto zrozumiałe, wówczas nawet gdy są gorączkowe, rozdmuchiwał namiętności, a w ich liczbie narodowe, z zamkniętem sobie dopiero co ujściem, zamiłowanie bojowego rynsztunku. Napoleon miał świat wyzwolić — od czego? nie wiedziano i najpewniéj nie zdawano sobie jasno sprawy z pokładanych w nim nadziei. Uczuwano tylko wielkie znurzenie na przemian z gorączkowém i ślepem rwaniem się naprzód. Znużenie pozostało po porodzie rewolucyi. Dla większości, i widziana w przybliżeniu, to jest jednostronnie, nie przedstawiała ona nic, oprócz anarchii, krwawego przewrotu niszczącego interesy pewnych korporacyj a nadto grożącego istnieniom indywidualnym. Ludzie w jarzmo społecznéj rutyny wprzężeni, podobni są do psa, o którym Byron mówi, że gotów kąsać targającą jego łańcuch rękę. Od despotyzmu militarnego Napoleona biły olśniewające blaski dla tych zwłaszcza, którzy jak ojciec definitor a za nim i autor „Pamiętników kwestarza“, widzieli w rewolucyi same „żużle bezbożności.“ Dla nich Napoleon był „wielkim hutnikiem, który warzył rudę, mieszał ją, szumował, wichrami poddymał, płomieniem podżegał i.... ulepiał

materyą na krzyżową formę.“ On tymczasem nic nie ulepił, a to co w widokach osobistéj i dynastycznéj ambicyi sprzągł, rozproszyło się jak ziarnko marnego piasku. Tém niemniéj „Hutnik“ galwanizował tych nawet, zwłaszcza może tych, którzy go uważali za ślepe w ręku Opatrzności narzędzie. Dla jednych był on *bestyą*, dla drugich *aniołem* z apokalipsy, w każdym razie wodzem niezwyciężonym, bohaterem raczéj niż tém, czém był w istocie — Cezarem. Któż nie pragnie na żywe oczy oglądać choć raz w życiu bohatera, to jest wcielenie ideału? Potrzeba uwielbienia leży na samém dnie ducha ludzkiego i niezdolność entuzyazmowania się dla idei, czynów i ludzi, którzy czyny te spełniają, w których ukochane przez się idee wcielamy, świadczy tylko o ubóstwie ducha. Ojciec definitor ubogim w duchu nie był. Nie umrze spokojnie aż, jak ongi Symeon w świątyni małego Chrystusa, nie ujrzy na żywe oczy wielkiego „Hutnika.“ Widział go! W otoczeniu świty błyszczącéj od piór, galonów i drogich kamieni, w „ciemnym werdegranowym surducie, z ponsowym kołnierzem, bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową na piersiach, w trzy-rożnym kapeluszu“, widział jadącego na myszatéj mierzynce, widział takim, jakim go wszyscy widzieli, jakim przekazały go potomności niezliczone wizerunki. Nigdzie chyba tyle ile na Litwie wizerunków tych nie było, nigdzie nie przechowały się tak długo. Po dziś dzień po strychach i składach starych rupieci we dworach i dworkach, znaleść ich można tuziny całe. Przed 62 rokiem i opleceniem Litwy siecią dróg żelaznych, ściany na stacyach pocztowych, w austeryach i karczmach przydrożnych, w izbach ekonomskich zawieszone były sztychami przedstawiającemi Napoleona lub epizody z jego życia. Dzieci, a w ich liczbie pisząca to, uczyły się czytać na starych wyciąganych z szaf książkach, ozdobionych takiemiż rycinami. Z wiarygodnego źródła słyszałam opowiadanie o starym plebanie z Borysowskich lasów, który około 1863 roku, wyczekując wojsk Napoleońskich z największém zdumieniem dowiedział się, że bohater z dwunastego roku oddawna nie żyje! Urok trwał jak widzimy długo, bardzo długo; Litwa pod tym względem podobną jest do bursztynu, motyl gdy w nim utonie, na wieki zachowuje kształty i barwę.

Toż samo możnaby powiedzieć i o utworach Chodźki, typ, który w nie wpadł zachowuje świeże barwy i kształty. Chodźko w 1812 roku był w Wilnie, służył nawet jakoby za tłómacza pomiędzy liwerantami a kuchmistrzami dworu Napoleona, opisał to co widział. Za Napoleonem, jako tło, widzimy „wlewającą się do miasta konnicę,“ w mieście popłoch, rozgorączkowanie, śród którego przebija najwyraźniéj ciekawość, za miastem drogi przepełnione

różnorodnym wojskiem, dalej wsie opustoszałe, pola zaniedbane, bandy zgłodniałych maruderów, których ofiarą pada niewinny prowodyr kwestarza baran Eliasz, tam gdzieś dwór pański patryarchalny przed niedawnemi jeszcze laty, zmieniony w „jakieś Pandemonium“, garstka paniczów grających w karty i wysuszających kielichy, filozofów wierzących w senne mary, znerwowanych, rozdrażnionych, lekceważących życiem, a co poza tém idzie wszystkiem „Sodoma i Gomora.“ Gdzieś, w cichéj izdebce, na folwarku szept cichéj modlitwy przeplatany mistycznemi bredniami.... Autor, nie zastanawiając się wcale nad tém, co „nawarzył“ wielki „Hutnik“ i malując po prostu to co widział, otwiera przed czytelnikiem perspektywy o jakich sam nie śni. Świetne stronnice („Pamiętniki kwestarza“) poświęcone 1812 r. nabierają historycznéj wartości.

Cofnijmy się wstecz i z podań, ze wspomnień, z plastycznych porównań i przypowieści pozostałych w ludzie odbudujmy wraz z autorem staro-szlacheckie typy. Typy te Chodźko najlepiéj rozumie i w odtwarzaniu ich celuje. Odpowiadają one bowiem właściwościom i zaletom jego talentu. Rysownika i kolorystę nie pociągają wybladłe, zesztywniałe postacie współczesnych. Łatwo przekonać się, że je sobie tłómaczy wspak, że ich nierozumie, niezdolny pochwycić subtelnych nici z jakich się sprzędły współczesne, składowe charaktery i typy. Szuka dosadności i wyrazistości, znajduje ją w praojcach, których téż wizerunki kreślone przez niego z pamięci, z podań, posiadają autentyczność, w jaką niezawsze zdołał zaopatrzyć portrety zdejmowane ze współczesnych.

Patrzcie tam, z ciasnéj ramki szkicowego obrazka, wysuwa się łeb potężny, łysy, a może tylko tak z saska podgolony wysoko. Z okna dworu swego, starosta wilejski Pac, „dzień cały, nie mając bogdaj czego lepszego robić, paląc fajkę i popijając winko pogląda na rzekę, na prom i na ciemne za rzeką Mołodeczańskie lasy.“ Ta szybko naszkicowana głowa starosty, pomimo czarki z winem i rzuconego na nią podejrzenia o próżniactwo, spogląda ku nam zadumaném, kto wie czy nie zasmuconém okiem? Wzrok męża goni spływającą w dół falę, lub usiłuje przebić tajemniczą zasłonę boru. Kto wie, czy starosta wilejski nie należy do liczby tych ziemian naszych, którzy zakopani gdzieś po za Mołodeczańskiemi lasy, wiedli żywot bardziéj cichy niż próżniaczy, obserwując zbierające się na niebie jesienne chmury, wyglądając przedwiośnia? Któż zaprzeczy, że stan szlachecki wydał liczny zastęp statystów? i któż będzie dość naiwny aby sądzić, że statysta jest jednoznacznikiem anachorety? Fajka w ręku i czarka wina nie rażą nas bynajmniéj. Śmiało do tych akcesoryów dołożyć nadto możemy różaniec i szkaplerz

na piersiach pod atłasowym żupanem lub żelazną kolczugą, a ani jedno, ani drugie, ani téż dobroduszność uśmiechu pod sumiastym wąsem, ani piwnych oczu tkliwe rozmarzenie, nie przeszkodzą aby pod tym łbem potężnym, podgolonym, snuły się myśli męzkie i obywatelskie, aby prawica skorą była do czynu. Nic nie jest sprzeczniejszém z usposobieniem, z cechami naszemi narodowemi, jak wszelkie maceracye. Polak może być tylko anachoretą z potrzeby, lub w wojennéj przygodzie, inaczéj, w obcą mu szatę przyoblecze go chyba wynaradawiającem wychowaniem narzucona nań obłuda. Anachoretami nie byli ani Jagielonowie i Witold, ani Zygmuntowie, ani Batory, ani Sobieski, ani nasi wielcy hetmani i kanclerze, ani poeci narodowi, ani członkowie prześwietnéj rzeczypospolitéj Babińskiéj, ani to rycerstwo słynne z waleczności i hartu bojowego, a któż ich za próżniaków ospałych lub nieudolnych poczyta? To téż i głowa starosty wilejskiego wyłania się z cienia lasów rodzinnych, jako głowa jednego z tych ojców narodu, który przez wiek cały granicznych pilnując kopców, na kresach rzeczypospolitéj narodową uprawiali kulturę. Głowę tę spostrzegamy otoczoną poezyą ludowego podania. O „łbie Paca“ opowiadają sternicy, wymijając kamień sterczący w Wilejce. Idźmy daléj.

Jakiż to mąż pochyla się nad „otwartym grobem swego o sto lat w przeszłość oddalonego antenata, milczy, a potém wzruszony mówi: *Utinam vias tuas sequere possim.*“ Tym antenatem, w którego ślady wstępować pragnie, jest kanclerz litewski, z cnót i obywatelskich zasług znany, książę ordynat na Ołyce i Nieświeżu, Stanisław Radziwiłł (T. III, 222 i dalsze). Tym nad jego grobem wzruszonym mężem, książę Michał, popularny pod imieniem księcia „Rybeńko“, rodzic ks. Karola czyli „Panie kochanku.“ Za nim rysują się magnackie i rycerskie postacie: hetmana Michała Wiszniowieckiego, Sapiehów, Zawiszy, Hrehora Ogińskiego. Rysują się w oddaleniu, w pół cieniu, ale wyraźnie. Naprzeciw księcia „Rybeńko“ spostrzegamy portret malowany na sposób Van Dyck'a. „Za stołem czarną aksamitną oponą zasłanym, na którym srebrny, wielkiéj miary stoi krucyfiks, siedzi podeszły wiekiem a urodzeniem, dostojnością i kapłańskiemi cnotami znakomity“ Jerzy Laskaris, infułat Ołycki i patryarcha jerozolimski. Obok tych dwóch surowych wizerunków, niby dla rozweselenia oka i wyobraźni dwa pastela. Na jednym, wschodzącym słońcem różowo zabarwionym, młodzian „*Formosus adolescens*“, w sukniach na pół zakonnych, z rozmarzonem, bezsenną zocą zmąconém okiem, z którego czytamy jak mu pilno szaty te zrzucić, przybrać się w kontusz, do boku przypasać karabelę i dłoń wyciągnąć do téj tam nadobnéj dziewczyny, którą wi-

dzimy na drugim pastelu. Jest-to Hanna Nagórska. Wdzięki jéj wrócą światu młodego krewniaka infułata, imci pana Załuskiego, przez rodziców, którym się dziatki nie chowały, ślubowanego Bogu.

Pyszniejszym jeszcze od portretu Laskarysa, w równie poważnym stylu, malowany jest tam daléj („Dworki na Antokolu") portret Łopacińskiego, marszałka trybunału litewskiego. Do sądowéj sali, w któréj wre zwada i kwitnie pieniactwo „dwóch hajduków wciągnęło w krześle na pół leżącego marszałka.... Włos biały spada mu niedbale na wysokie i otwarte czoło, a oko czarne i pełne, wkrótce jednak wiecznie zawrzeć się mające, łzą się zaćmiło, gdy wyciągając rękę ku zdumionéj gromadzie, rzekł łagodnym i spokojnym, a razem uroczystym głosem: koledzy! *moriturus vos salutat.*"

Złożonego chorobą sprowadziło tutaj poczucie obywatelskiego obowiązku. Przybył jednać, do bezstronności i sprawiedliwości zagrzewać sędziów, przybył ochronić godność trybunału. Nie jest to typ jedyny ani wyjątkowy w szlacheckim stanie, lecz należy niewątpliwie, w moralném znaczeniu, do czoła tegoż stanu. Gdzieindziéj („Pamiętniki kwestarza") widzim w Mińsku, na ruskiéj kadencyi, wice-marszałka Morykoniego, którego energia opiera się samowoli Radziwiłłowskiéj i sprawiedliwość, aż surową nieco, wymierza warcholstwu Wołodkiewicza. Michał Morykoni, starosta ponińbski, staje przed nami jako „pan uważny i pomiarkowany..." puszczający mimo uszu uwłaczające słowo Wołodkiewicza, nazywającego go „włochem i cudzoziemcem," z rankoru, że niżéj od niego siedział. Władzy swéj używa dopiero, gdy Wołodkiewicz trybunał na ratuszu napada. Wówczas widzim go zdecydowanym, spokojnym, „twardym jak stal..." Wzywa Boga na świadectwo, że „*Morykoni* przebacza Wołodkiewiczowi, lecz że go *sędzia* potępia." Chcąc uniknąć większéj awantury z przybyciem „Panie kochanku", przyśpiesza egzekucyą pomimo niechęci wzbudzonych dokoła przeciw „włocha prześladującego szlachcica" i tym podobnie. Obok Łopacińskiego, postać Morykoniego rysuje się śmiało, szczytna i energiczna, — widz zatrzymuje na niéj oko dłużéj z ciekawością i upodobaniem. Zwraca téż uwagę na Sołohuba, który widząc księcia Karola do szaleństwa rozzłoszczonego na trybunał miński, za śmierć Wołodkiewicza, i odgrażającego się, że „Piotrowinów porobi", nie waha się pochwycić za cugle jego konia wołając: „Płataj książę! woléj zrób ze mnie Piotrowina, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić."

A toż znowu co za personat? Blaski od niego biją, „kuntusz granatowy z sajety jak atłas, ze sznurami i kutasami złotemi, żupan materyalny spięty na szyi karbunkułem, którego gdyby brat

szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie, pas bogaty w karpią łuskę, a złoto ciecze z frendzlów, na piersiach wstęga błękitna Orła białego, gwiazda na niéj i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny... Pan sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosów podstrzyżonych. Oko błękitne, otwarte, noszący nieco wąsy z węgierska, suknie krótkie, but jak oblany.“ Figura pyszna, pod którą podpisałby się Tycyan i Leonard da Vinci, równie chętnie jak Van Dyck. To wojewoda Witebski wystąpił tak wspaniale na sejmiku w Usaczu („Pamiętniki kwestarza“). Łatwo uwierzyć autorowi, że gdy personat ten „w dobrym humorze podsunie się gracko do jakiéj kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a wojewodzina bezustanku tabakę zażywa.“

Szkoda że nie mamy portretu wojewodziny. Z pod pióra Chodźki najpospolitszy i nie starzejący się nigdy typ żony zazdrośnicy i sekutnicy, wyszedłby odmłodzony, przewyborny!

Daléj, kawalerzysta „suto i buńczucznie ubrany w taratatkę gęsto taśmami złotemi szamerowaną, z oficerską szlifą, z ładownicą na szerokiéj złotéj taśmie, z pałaszem na pendencie, kołpakiem pikowanym na głowie.... czupurny, wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, wspaniałem spójrzeniem.....“ młodzian szczodry, wożący z sobą wyśmienite zapasy podróżne i nieodstępną książeczkę do modlitwy pod tytułem *Żołnierskie nabożeństwo.* Czy nie syn to czasem wojewody Witebskiego? Nie, nie syn, lecz najpewniéj krewniak jakiś, powinowaty, gdyż cała ta możniejsza litewska szlachta to istna konfraternya, a to typowa jéj odrośl: Jaśnie wielmożny rotmistrz Chomiński.

Lecz wszystkie te wizerunki jakkolwiek bądź piękne, starannie obrobione lub zamaszyście rzucane na papier, nie są zdolne wyrównać dwom wizerunkom, na które powtarzając je niejednokrotnie, Chodźko zużył najświetniejsze swe farby, najsubtelniejsze cienie: księcia „Panie kochanku“ i księdza Ambrożego Dowiata.

Księcia „Panie kochanku“ popularna, na Litwie legendowa niemal postać, przedstawia się nam w różnych dobach jego żywota, rozbawiona i łaskawa, gniewna i chmurna, serdeczna gdy potrzeba, to znów arogancyi i fantazyi pełna. Jakiż wyborny, pełen humoru despota występuje na syndykostwie w Nieświeżu. Jaki rozzłoszczony na ekonoma bijącego parobka, tak rozzłoszczony, że i mowy kahału niechce słyszeć i obiadu u pana Przeciszewskiego nie przyjmuje i ofuknął się na niefortunnego gońca, zwiastującego mu przybycie akademików smorgońskich i swego nadwornego błazna Kossowskiego zgromił nawet. Za to w Szemiotowszczyznie u pana Sulistrowskiego („Dworki na Antokolu“), jaki łaskaw, popularny.

Oto wstaje od stołu do łez rozczulony wiwatami grzmiącemi na cześć jego, wznosi kielich po brzegi napełniony starym maślaczem i wykrzykuje z białoruska:

„Sztob w hetoj chaty,
Licha nie znaty.“

A na to kasztelan Oskierka „poważny wiekiem i zacnością urzędu staruszek, oparty na kilofie“, występuje naprzeciw księcia:

„Na pohibel temu
Kto nie szczyry jemu!“

I cała szlachta „hurmem rzuca się w objęcie“ rozczulonego do łez dostojnego gościa.

Gdzieindziéj śmiejąc się na całe gardło prawi on swoje dykteryjki, upewnia braci szlachtę, że go sułtan na tureczczyznie (kędy jako żyw nie był) chciał zrobić „*kapi Agą per modum*—sekretarzem seraju.“ Najbardziéj jednak malowniczo przedstawia się nam w głuchych ostępach Żuprańskich lasów, gdzie go nęcą łowy. Na tle nocnego w puszczy obozowiska, śród wozów, koni, szałasów, psów warczących, dogorywających ognisk, zgiełku, hojnie podejmowanéj i bez różnicy stanu przez księcia ugaszczanéj, szlachty, zamieniającego się wkrótce w chrapanie ogólne, postać „Panie kochanku“ występuje w najzupełniejszéj harmonii z tłem obrazu. Niedźwiedź to litewski, jak go nazywała starościna Kapinowska, oburzona jego brakiem galanteryi, potomek Budrysów, z któremi zachował do atawizmu posunięte podobieństwo: szorstki, zuchwały z niepohamowaną fantazyą i dumą, łowiec z instynktu, niezapominający téż o tém, że jego litewscy przodkowie dzielnie pić umieli.

Na innym wizerunku widzim go w podróży na wozie drabiastym, opakowanym bronią, za którym bieży uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Za nim wali czereda podobnychże wozów z jego dworem i karety lub kocze z gośćmi.

Innym razem widzim go znów otoczonym myśliwstwem, „z półtorasta konnicy ciągnie zanim traktem mińskim“, i on sam na koniu zmęczonym pędzi kłusem, bez wytchnienia, chmurny, rozgorączkowany. Surwint zabiega mu drogę z oznajmieniem o śmierci Wołodkiewicza.

— „Ja nie Szczepanowski — woła książę — wskrzeszać nie umiem, ale Piotrowinów narobię, zemścić się potrafię! Ha! Barabasze!—i wołając tak rwał się do pałasza...“ Ale po chwili „zlazł z konia, spuścił głowę: *Requiem aeternam dona ei Domine* — powtarzał i ocierał z łez oczy.“

I czytelnik wpatrzywszy się w ten niespodziewany a taki prawdziwy niekłamaném wzruszeniem obraz, spuszcza głowę i zamyśla się długo nad tym dziwacznym, a w téj chwili tak sympatycznym, prostym sercem i uczuciem człowiekiem. A jeśli uprzytomni sobie przytém w myśli to wszystko, co z człowieka tego, mogącego być bohaterem, zrobiło tylko dziwaka, oryginała typowego, to może téż „otrze z łez oczy“ szepcząc jakieś do nieskończoności przedłużające się *requiem*....

Za tą wysuwającą się naprzód postacią „Panie kochanku,“ niby za postacią wodza, zgiełk i ciżba, cała tłoczy się szlachta. Jéj odmian, jéj typów tak wiernie pochwyconych przez Chodźkę nie zliczym, wskażem tylko niektóre wybitniejsze.

Jeden z rycerzy cofa się w sam głąb obrazu, przysłonięty cieniem legendy. Niby przykuty do dzielnego rumaka, „urody słusznéj i tuszy odpowiednéj, oblicze męzkie, oko czarne i bystre, czoło szerokie i głębokiemi bruzdami od częstego marszczenia oznaczone, kuntusz z karmazynowéj sajety lecz podszarzany, w szpince u szyi karbunkuł gorejący, pałasz i pistolety bogate, w srebro oprawne, ostroga nawet srebrna.“ Do warg hardych tak mu przylgnęło przysłowie „dźwięk“, przypominające łamanie się stalowéj klingi. Poplecznik to Sasów, zacięty wróg Szwedów, Jan Dadzibóg-Goleń Niewiadomski, starosta antowelski (Wyklęty).

Za nim, na stępaku, Jan Suraż, *Bekieszko* przezwany. Szlachcic niski, krępy, w granatowéj podszarzanéj bekieszce, „okrągłych i rumianych policzków do dwóch połowin czerwonych jabłek podobnych, w wąsem podsiwiałym i jak dwa sute pędzle na usta zwisłym, z niską a rogatą magierką na bakier na ogolonéj głowie przysiadłą.... z długim i szerokim, na pozór do jego figury niestosownym, mieczem u boku, którym w potrzebie zręcznie i silnie władać umiał, a z olster u siodła dwie butelki jak kukułki z cudzego gniazda nieśmiałe wymykają szyjki.“ Za wiernym tym druhem tłuszcza partyzantów, towarzyszy różnéj broni, różnego kalibru.

Tam znów, w drzwiach plebanii, za niskich na jego urodę, stanął „Samson czy Herkules, bo do obu tych historycznych osiłków porównać by się mógł, człek przystojny lecz razem rubasznéj i zuchwałéj miny,“ pan Żegota z Milanowa Milanowski, „zawzięty jak mazur, uparty jak żmudzin.“ Biada temu kto mu na drodze stanie! Ma on swych wiernych za sobą luzaków: Poroczkę i Norejkę. Gdy chrząknie „aż drży ziemia“, kiedy pije, to jednym łykiem; „*ani susi ani pusi*“—jak mówią żmudzini. Kiedy rąbie, to nie płaży. Padnie w oczach kochanéj swéj Dosi, przeszyty rywala strzałem.

Gdzieindziéj pan Świeboda, w żupanie „werdragonowym, dobrze wprawdzie podszarzanym, ale przecież jeszcze nie dziurawym ani łatanym, w pasie słuckim i kurtce sukiennéj na opaszce, spiętéj na guzik srebrny pod szyję. Urody on nie wysokiéj, przytém przychromywa na prawą nogę, bo go na którymś sejmiku w piętę podstrzelono. Na twarzy jego dyabeł, jak to mówią, grał w tryszaka: pokrostowana ospą, pokiereszowana od pałasza.... Kłębów p. Świeboda niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czém się trzymać i wlecze za sobą swego *Harasima*. Z furdymentem jak kocia głowa, pałasz to szeroki, prosty i ciężki jak sztaba żelazna.“ Pan Świeboda chudy pachołek, lecz w kaszę sobie paniczom dmuchać nie da, nie pozwoli nazywać siebie „Strelczykiem.“ Obok Świebody Rudomina, pan całą gębą, wąs sumiasty, mina zucha: hulaj dusza bez kontusza! Ot i wiedzie za sobą kapelę: sześć „pięknych, młodych, rosłych, a opiekłych dziewek“ z waltorniami. Gdzieś w głębi tymczasem Reut wymowny przygotowuje się do mówki; podkomorzy Sielicki ani myśli o wycieczce za morze, bo by go podkomorzyna nie puściła. Podwiński „głowacz wielki ale filogranowéj roboty“, pije mało, mówi mniéj jeszcze, słucha uważnie, — znać medyatora, co powszechny jedna sobie szacunek. W ciżbie téj na minach buńczucznych, na herkulesowych postawach nie zbywa. Oto jeszcze jednego mamy olbrzyma, osiłka Taturę. Na przeciw Goliata tego, z gąszczy borysowskich lasów wysuwa się pacholę w pół dzikie, oszarpane, podrapane na twarzy, rękach i odzieży, może przez niedźwiedzie, których dzieli igrzyska? „Siwy jak gołąb“ ojciec, sam łowczy, na łowczego wychował swego Pietraka, nie zapomniał mu jednak wpoić, że jest szlacheckiego rodu Wołkanowskich, *ab antiquo* herbu Radwan odroślą. To téż pacholę bije się jak szlachcic i jak Dawid nieustraszony staje naprzeciw Goliata. Owszem wyzywa go, szydzi z niego. Za tą osobliwszych zapaśników parą, szerokiem półkolem sterczą łby golone lub łyse, policzki „rumiane i pękate, wąsy szorstko nastrzępione lub suto zwisłe, oczy żywe i wejrzenia surowe.“ Na widzach tych „kurty zamaszyste, borsucze torby, juchtowe szerokie pasy ze sterczącemi w nich rogami z prochem, flinty w ręku.“ Straszne figury, gdyby.... gdyby nie ten wyraz na ogorzałych ich twarzach „spokojnego sumienia, dobréj myśli, szczerości i rubasznéj swobody... jak wewnątrz tak i na twarzach: pozór burzliwy, grunt poczciwy i bezpieczny.“

Dla dopełnienia tych typów, od których oderwać się i pomiędzy któremi wybór uczynić trudno, tak wszystkie są przewyborne i z równą oddane plastyką, mamy komiczną postać pułkownika *Murmuluka*, „figurę wysoką, chudą, wyperukowaną, a ustrojoną

w jakiś *per modum* wojskowy cudzoziemski mundur.“ Mamy nadto na tle swojskim wybornie z natury przerysowaną postać bardzo sympatycznéj odmiany litewskiego szlachcica z rycerskiego stanu, tatara Amurata. „Lat z górą pięćdziesiąt, łysy, wąs zawiesisty, nie po dworsku zakręcony i gumowany a suty i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. Facies przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka wydaje jego progeniturę. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie.“ Przy boku takich Amuratów, dzięki przezornéj polityce Witolda i asymilującym właściwościom starych praw i obyczajów narodowych, bywały „damascenki z klingą prawdziwą turecką, ale furdymentem naszym“—gatunek wyborny! przedni w rycerskim rzemiośle, „rozcinający bagnety jak świéczki.“ „Tatarskie—mawiał Amurat—prawe i ogniste serce, to klinga! Szlachecka mowa i głowa, to furdyment.“

Na pierwszy plan w tym kole rycersko-szlacheckich wizerunków, wysuwa się niejednokrotnie postać porucznika Tadeusza ze Stelni Stelnickiego, herbu Róża. Przypatrzmy się mu w chwili, gdy w Szemetowszczyznie u p. Sulistrowskiego („Dworki na Antokolu“) „bierze asumpt do rekomendowania siebie jego książęcéj mości od niedźwiedzia... oficer pińskiéj brygady *quondam konfederat* mospanie. Ubiorem chce on zda się wytłómaczyć widzom, że był żołnierzem, że nim już nie jest, lecz że kocha swą wojskową przeszłość i od jéj znaków odwyknąć nie może. Na białym atłasowym żupanie krótki granatowy kontusz, po wszystkich szwach i brzegach złotemi sznurkami oszyty, spięty zamiast pasa takimże złotym szerokim pendentem zapiętym srebrną blachą, na któréj cyfra królewska jaśnieje, a na nim krzywą turecką szablę zawiesił. Na lewém ramieniu suta mu szlifa, przez piersi zaś taśma z szerokiego galonu z ładownicą z blachy złotéj błyszczą, do tego ogniem świeci brylantowa spinka na szyi i takiż pierścień na ręku.“ Postać szumna i huczna, jowialna, ruchliwa, dobroduszna, elegancka w obejściu się z damami, jak tego mamy dowód na reducie w Wilnie, na którą wiedzie starościnę Kapinowską, *de domo* Sapieżankę. Postać hojna, łaskawa na młodzież, wdająca się czasem w dyplomacyą, iście po szlachecku i po wojskowemu, postać malownicza we wszystkich swych zwrotach, do niéj téż ze szczególném zamiłowaniem przylgnęło pióro Chodźki.

Obok tego jaskrawego portretu, portret w łagodnych trzymany tonach, młodzieńca w żałobie, zatém w kuntuszu z cienkiéj czarnéj sajety na żupanie czarnym, atłasowym. Ta blada postać kochanka ożywia się, gdy Ludwik Dowiat dosiada araba wyprowadzonego ze stajni pana Sulistrowskiego. Koń probuje zrzucić go

z siebie, lecz nie może, gdyż jeździec „przyrósł zda się do niego.“ I jeździec i koń wyglądają przepysznie, w téj galeryi szlacheckich portretów, która byłaby niekompletną, gdyby w niéj brakowało dworaka. Mamy go też w osobie pana Aloizego Sulistrowskiego, pisarza wielkiego litewskiego. Jakże on odbija od tłumu szlachty sejmikującéj w Usaczu! Z tłumem tym harmonizuje przewybornie wojewoda Witebski, chociaż „wyższa to od pana Sulistrowskiego kreatura.“ Dworak słynący z dobréj głowy, układny, cichy, nie jedna sobie popularności i nie dba o nią. „Bez oracyi, bez argumentów i traktamentów,“ na które szlachta taka hojna „wszystko ukartować umie na osobnych z każdym konferencyach“ („Pamiętniki kwestarza“). Na sejmikach, między szlachtą to jeszcze wystąpi w kontuszu i perskim pasie, ale na naradę, bogdaj prawną, z ładną chociażby i przejrzałą kobietą, włoży z najcieńszéj ciemnéj wigoni, bez żadnych ozdób taratatkę, szyję obwinie czarnym miękkim bławatem, który zepnie soliterem.“ Lecz i w téj potrzebie nie zapomni o gwieździe orła białego, dowodzie świeżéj monarszéj łaski („Dworki na Antokolu“).

Na przeciw portretu pana Sulistrowskiego spostrzegamy odpowiedni mu w tonie portret niewieści, jedyny może — z wyjątkiem „Panny respektowéj“—nad którym pióro jego zatrzymało się dłużéj, gdyż, rzecz dziwna, ten, który w charakterystyce mężów o najdrobniejszym nie zapomniał rysie, matrony i dziewice, rysuje szablonowo, zaznacza ich istnienie i koniec. Na pańskich dworach tu i owdzie mignie robron, w skromnych szlacheckich dworkach znajdujemy charakterystyczniejsze, a nawet czasem—jak w „Dworkach na Antokolu“—wcale ładne niewieście wizerunki, są one jednak bardzo nieliczne w porównaniu z tą mnogością męskich typów, które Chodźko uwziężił na papierze. Dla czego? Dla tego zapewne, że światek nasz kobiecy, z natury rzeczy, przedstawiał mniéj obfitą kopalnię indywidualności, a co zatém idzie i oryginalności. Kiedy się wszystko składało na to aby istotnie — jak to Chodźko zauważył (t. III, str. 96)—ze stanu szlackiego wytworzyć „Kalifornią“ dla utalentowanego pisarza, jeśli w odleglejszéj przeszłości, niewiasta polska rysowała się typowo na tle dziejów historycznych i społecznych, osiemnasty wiek zepchnął ją na stanowisko, wybitniejsze wprawdzie we względzie towarzyskim, lecz pospolitsze. Odrębności, zwłaszcza w wyższych warstwach społecznych zacierały się, wyrazistość indywidualności bladła pod ogładą ogólniejszą lub cofała się do wiejskich zakątów. „Matrona“ ustąpiła miejsce „damie.“ Mamy też przed sobą w osobie starościny Kapinowskiéj *de domo* Sapieżanki, portret damy wytwornéj, zapobiegliwéj, bardziéj próżnéj

niż dumnéj, nieco intrygantki, zalotnéj, gdy tego interes jéj wymaga, nie wdającéj się zresztą w zbyt tkliwe sentymenty ani dla męża, ani dla córki jedynaczki, któréj uczucia wcale jéj nie wzruszają dopóki nie został:

„Radziwił swatem
Za panem Dowlatem.“

Jakże zabawnie obok téj damy wygląda mąż jéj. Starosta w szlafroku i szlafmycy dnie całe trawi w wielkiéj sali obitéj wypłowiałém, wyobrażającém polowanie na jelenia obiciem. Na kominie pali się ogień, przy kominie na stołku siedzi hajduk stary „z wytartym na kołnierzu galonem“, który dzień cały „podnosi żar“ do fajki starosty i rozrywa go lub usypia bajkami. Starosta przytém leczy się ciągle i jedyną książką jaką czytuje, jest lekarska, pełna przecudownych przepisów doktora Pedymontanusa, wydana w Supraślu w 1754 („Dworki na Antokolu“). Wyborny portret staro-szlacheckiego safanduły!

Do nowszych portretów trzeba zaliczyć panów Chomińskich, Stolnika, wożącego się ze swym raptularzem, w którym jest wszystkiego poddostatkiem, począwszy od oracyi na przeróżne okoliczności, skończywszy na „responsie damy danym piętnastu kawalerom“ i wojewody, tłómaczącego Rasyna i Delilla „koncypującego tragedye i fabuły.“ Widzim ich w altanie w Dziewiętni. Do koła sad stary, w oddali dwór szlachecki. Wojewoda z francuska ubrany deklamuje z ogromnym zapałem, od czasu do czasu chłodząc się piwkiem. Z uwagą, wpadającą w przerażenie, przy opisie smoka, mającego pozrzéć Hipolita, nieszczęsną ofiarę namiętności „Putyfarowéj“ czyli raczéj Fedry, słucha go starzec „wzrostu wysokiego, dość otyły i krzepki, z twarzą śniadą, rumianą i mocnych namiętności nie wyrażającą, ozdobioną wąsem siwym, miernéj wielkości, z głową wysoko podgoloną“ starzec ubrany w żupan bialuteńki, gospodarz domu tego Wojski oszmiański. Przez lipową aleję idzie ku nim stolnik, nizki, pękaty, strojny „pas lity, jedwab, sajeta na szatach.“ Żywy, uśmiechnięty, facecyonista, nieprzyjaciel „pogan francuzów“, „dyabła Woltera“; z niedowierzaniem pewném poglądający na *muzy* swego brata, gdyż wątpi, aby boskie dziewice „po francusku“ do swych wybrańców przemawiały („Dwie konwersacye z przeszłości“).

Lecz któż zliczy wyborne te typy, tak plastycznie, z tak doskonale pochwyconą charakterystyką oddane przez Chodźkę. Musimy rozstać się z niemi, gdyż wołają nas inne, nieco od tych różne, wchodzące jednak tak dalece w skład narodowy i szlacheckiego

stanu, że bez nich, zarys tegoż stanu byłby nie zupełnym i nie prawdziwym. Od szlachty zbrojnéj i orężnéj, od sejmikującj i hulającéj, od margrabiów i dworaków, przejdźmy do pracującéj, głową, piórem lub lemieszem. Z dworów w Ołyce i Nieświeżu, z rynków miasteczkowych, z ostępów w puszczy rozbrzmiałych trąb myśliwskich i psów graniem, do cichych dworków i zagród wiejskich, do klasztornych celi i korytarzy. I tu pełno, i tu gwarno, a choć barwy mniéj świetne, rysunek równie wierny, śmiały, rysy głębokie i dosadne a gra świateł i cieni, cieniowanie postaci przedniejsze nieraz, niż w olśniewających wizerunkach które przebiegliśmy dopiero.

VI.

Naprzeciw butnéj, hałaśliwéj postaci „panie kochanku,“ którą autor wysuwa naprzód jako postać wodza, typ nad typami, w około którego gromadzą się mniéj więcéj pokrewne z nim typy, Chodźko wysunął również na pierwszy plan postać zakonnika, trynitarza, X. Ambrożego Dowiata „za młodu sławnego trybunalskiego mecenasa, teraz *Procuratora Causarum* klasztoru antokolskiego *Fratrum de redemptione Captivorum.*“ Żadnéj z postaci swych nie rysował i nie odcieniował tak starannie, żadna téż w tym zbiorze barwnym nie jest tak subtelną i głęboką, („Dworki na Antokolu“). „Mnich surowego oblicza, z czerwonym krzyżem na białym habicie“ przesiaduje w gronie familijném, w skromnéj izdebce jednego z dworków Antokolskich. Jego to zasięgają rady, jego słuchają jak wyroczni. On „luminarzem“ w rodzinie. Karci bratowę i synowicę za ciągnięcie kabały i pali grzeszną książeczkę. Mnich oszczędny, parę groszy wyrzuconych dla śpiewaków, widząc hojność porucznika Stelnickiego rzucającego im przez okno holenderskiego talara, nazad zgarnia do woreczka. Widzimy go w ciągłych ze skarbnikiem naradach. Widzimy u ołtarza odprawującego mszę świętą któréj porucznik słucha „trzepiąc co pamiętał łacińskich i polskich modlitewek.“ Widzimy wybierającego się z klasztoru w drogę, z tymże porucznikiem. Chce wyskoczyć z sani na wrzask porucznika „Pietrze daj dymu.“ Reflektuje go że „zakonnikom *cum clangore* jeździć nie wolno ani wypada,“ karci żywo za przeróżne *blasfema* żołnierskie i *dubia* teologiczne. O mało nieprzychodzi do sprzeczki pomiędzy témi dwoma tak mało do siebie podobnemi towarzyszami podróży. Dowiat staje przed nami jako człowiek dobréj głowy, krewki, wymowny. Nigdzie jednak nie rysuje się tak wyraźnie i tak subtelnie, tak malowniczo zarazem jak w celi swéj klasztornéj, przy bladem świetle lampy, gdy

na odgłos kroków zbliżającego się skarbnika odpycha statut, który studyował namiętnie i otwiera pośpiesznie brewiarz. Próżne usiłowania! zręcznie potrącona przez brata struna, pełnym wkrótce odpowiada dźwiękiem. X. Ambroży zapomina o ślubach i zakonnéj celi; w uniesieniu wpada w zapał oratorski, zdaje mu się że stoi przed „najjaśniejszym trybunałem.“ „Blade ognisko świecy zaledwie rozsuwa pociemek celi, wysoki i wyschły mnich białym habitem obleczony, z krwawym krzyżem na piersiach, ze wzrokiem gorejącym pod wysokiem, nagiem a chmurném czołem, z twarzą pargaminową a jednak w całości swéj znakomitą i upartą a wiekiem nie złamanéj energii noszącą piętno“ jest znakomitą postacią i istotnie „łatwo mogąca zastanowić każdego“ kto na nią spogląda. W tém *Silentium* przerywa gorący potok jego wymowy, przerywa prawną, i familijną a zajmującą go tak żywo z bratem naradę. Milknie, gaśnie niby, klęka przed ukrzyżowanym, modli się kornie i również namiętnie jak przedtém do „najjaśniejszego przemawiał Trybunału“ woła: „*Miserere mei Domine, secundum magnam misericordiam tuam.*“

To *consilia* patrońskie, to stare swe grzechy, ciężkim tym *miserere* odkupuje. Cóż męża tego mogło zaprządz w zakonne jarzmo? Za młodu, słysząc w słynnych cudownym obrazem Żyrowicach (gub. Grodzieńskiéj w p. Słonimskim, dawniéj klasztor bazylianów i szkoły, obecnie prawosławne seminaryum) pieśń kantyczkową:

„Tu pan Tryzna,
Sam to przyzna
Byteń na zakon daje.“

podszepnął patronowi swemu (Antoniemu Tyzenhauzowi) myśl „o spoliacyi“ zakonu. Odtąd „na żaden obraz Najświętszéj Panny, oczu podnieść nie mógł“ szkaplerze na piersiach paliły go jak suknia Dejaniry—oj! „adwokatowi trudniéj jeszcze niż bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego.“ Jako restytucya, sam siebie, za radą jakiegoś teologa z *Societatis Jesu*, poświęcił Bogu..... Lecz trudna sprawa ze staremi, w krew naszą wsiąklemi nałogami.., Odtąd, ciągłą wewnętrzną walkę toczą w nim nałogi te stare, i pokutnicze wyrzuty sumienia... Te ostatnie wybuchną w salonie starościny, gdzie o wszelkich swych prawnych argumentach, o sprawie ważnéj co go tam sprowadza zapomni w obec wiszącego na ścianach obrazu przedstawiającego legendę cudownego targu i kupna przez XX. Trynitarzy, od turków, téj statui Pana Jezusa, która w kościele na Antokolu cudami słynęła, a którą po 1863 roku przeniesioną do kościoła ś-go Piotra, po dziś dzień w jednym z oltarzów tegoż kościoła widzieć można.

Jakże odmiennie wygląda X. Definitor („Pamiętniki kwestarza). Kapłan to w którym się wszystkie ziemskie już przepaliły uczucia. Ostatniem była na wpół duchowna, mistyczna ciekawość widzenia bohatéra wieku—Napoleona; a i ta słabostka ludzkiego serca, która bezdzietnemu zakonnikowi, w ostatniéj dobie, zaprząta myśl zostawieniem w upominku najbliższym sercu kapłańskiego szczupłego mienia: zegarka, parasolika, tabakierki, kałamarzyka podróżnego wreszcie precyozy, krzyż ów złoty z partykułą drzewa świętego, dar Radziwiłła, pamiątkę po kardynale który „zostałby papieżem gdyby tam, *panie kochanku*, jakiś włoch, w czasie sejmików w Rzymie, jakiejś mu tam kondemnaty nie zarzucił.“ Ale teraz i te ostatnie przebłyski ludzkich uczuć pogasły. X. Definitor pragnie tylko duszę swą polecić raz jeszcze Bogu i choć to nocna doba, przez ciemne korytarze, zleca bratu Michałowi Ławrynowiczowi, wieść siebie do kościoła. Jedna tu tylko w tabernaculum lampka nocna rozprasza mroki, lecz ojcowie zbierają się wszyscy i klękają w oddali. X. Definitor na klęczkach utrzymać się nie miał siły więc legł krzyżem..... i niewstał już więcéj. Gdy się ojcowie i bracia przekonali o tém, że nie żyje, trzykrotne *requiem* rozległo się po ciemnym kościele... Cicha śmierć u stóp ołtarza! a tam na zewnątrz „wre, kipi ta ruda którą wielki hutnik na krzyżową jakoby miał przetopić formę, lecz z któréj lał témczasem śmierciodajne oręże i kule...

Mamy i szkicowy wizerunek wiejskiego plebana. Typ od uprzednich nader odmienny: Siedzi sobie z gośćmi swemi, przy plebanii na ławeczce pod brzozą i popija cieńkusz, („Pamiętniki kwestarza“) cytując przy tém ciągle pismo święte. Prosty, łagodny, pokorny, ubogi, taki o jakich Jakób święty pisze w „liście powszechnym“ że „są bogaci w wierze i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym którzy go miłują.“

Jeszcze bardziéj odmienną, w najwyższym stopniu plastyczną jest tradycyjna postać samego kwestarza. Ex dworak, bywalec może i nie dość „samowity“, jak to furman Marcin zauważał, na kwestarza, bo nie dość natrętny, lecz koncepcista, wesół, bystry, obserwator nie lada. Przeszłość, bogdaj burzliwa, szlachecka, nie przestała dla niego istniéć, umitygował się tylko, lecz z ludźmi, ze światem nie zerwał. Obchodzi go żywo wszystko co się do koła niego dzieje, choć ze wszystkiego ciągnie korzyść na chwałę Bożą i swego klasztoru. Tylko świat przestał się już nim interesować... teraz jedyni jego przyjaciele, są barany prowodyry, które biegną do rąk jego na zawołanie. Mamyż się dziwić, że mu się serce ściska na ostatnie żałośne beczenie, *Jonasza* „ginącego pod bagnatami kamratów?“ Toć ostatni jego przyjaciel! Towarzysze jego młodości odbiegli daleko—

daleko... pozostały mu tylko żywe, ogniem i winem, złotem i karmazynem, połyskami stali i bruzdami cięć od szabel malowane wspomnienia... Ah ta jego szabelka, „Elżutka“ serdeczna! Jak Definitor wielkiego „hutnika“ tak on ją ujrzy raz jeszcze, w dzielnéj dłoni Władysia Świebody, syna znanego nam pana Stanisława który starszemu synowi „za przyjaciela i sekundanta“ dał „Harasima,“ młodszego zaślubił z „Elżutką.“ Odnalezienie szabli jest ostatnim aktem „pamiętników.“ Odtąd kwestarz milknie bo i cóż już nam pozostaje do powiedzenia skoro wywołamy z pośród mar przeszłości odbiegłych, lecz nie zapomnianych, tę właśnie, któréj ostrze rozcięło nam na dwie odmienne, niepodobne do siebie połowy życie lub serce? Takie rozpołowienie jest zresztą najpospolitszą w życiu rzeczą, jak to pięknie i głęboko powiedział Salomon, téż kapłan, tylko odmiennego od wyżéj przytoczonych wyznania, jedna z postaci zdobiących nieudolne zkąd inąd „Nowe pamiętniki kwestarza.“ Pyszny to typ żyda! Spostrzegamy go w gościnie w klasztorze bernadyńskim, dyskutującym z braćmi. „Na codzień nosi żupan z białéj opony... kapelusz biały, pod nim jarmułkę ze złotogłowiu i pas z takiejże litéj materyi: wszystko to attrybuta jego patryarszéj godności na którą go, jak powiadają, siedmiu najmędrszych z całego świata rabinów w Amsterdamie koronowało. Figura sucha, widać nad księgami zawiędła i nic osobliwego, ale gdy zaczął mówić, to byś go słuchał cały dzień tak czysto po polsku i tak argumentalnie rzeczy wywywodził,“ chociaż wschodnie pochodzenie nasuwało mu ciągłe hiperbole. Głęboką téż jest hiperbola jego o owém rozdwojeniu: patrząc na zegar tak mówi Salomon:

„*Indeks* to życie! idzie godzinami jednostajnie powoli, nieznacznie; *waga* w dół ciągnie do mogiły! a *pendul* to myśl ludzka waha się nieustannie na dwie strony:—Tak, nie, tak, nie, to jest: wierzy, niewierzy—wierzy, nie wierzy. Kiedy *waga* stanie na dole, *indeks* ustawa na zawsze, *pendul* staje: tylko niewiadomo wtenczas na któréj stronie był on raz ostatni: czy na nie? czy na tak?“

Pod takim pendułem znajduje się już najwyraźniéj jedna z najtragiczniejszych postaci, téj obszernéj a tak urozmaiconéj galeryi, z któréj tragiczność, na pierwszy rzut oka przynajmniéj, zdaje się być usuniętą. To téż w sam kątek, gdzieś u dołu, u samego, wcisnął się neofita, brat Piotr, uczony syn rabina, pozyskany dla kościoła, którego luminarzem miał zostać, przez księdza Hromyka. Ale Abel vel Piotr, nie został luminarzem. W rozszarpanéj duszy jego Majmonides równoważył Chrystusa, ewangelia wiodła ciągle kontrowersye z talmudem. W sobotę modlił się po dawnemu, w niedzielę płakał w kościele. Czy on dwóm panom służył, jak to podejrzywał brat Jaręga?

Nie wiem—słuszniéj zauważył rabin Salomon, że nie był „ani waszym, ani naszym i poszedł za trzecim... stał na rozdrożu, błąkał się, ścigał tajemnice rozumem, naciągł nadto tę zerdzewiałą sprężynę życia ludzkiego... więc i pękła...“

— „Czy zwaryował?

— „Tak, nie—tak, nie.

— „A czy wiesz panie Salomonie pytał gwardyan—a wiesz zapewne bo czytasz wszelkie księgi a nawet bogdaj greckie, że była w Grecyi sekta filozofów tak nazwanych sceptyków, którzy o wszystkiem wątpili? Czy mieli oni rozum?

— „Tak, nie—tak, nie!“

Rozpołowienia te bywają pospolite, wymagają jednak, aby być zrozumianemi i wiernie pochwyconemi, pewnych subtelności pojęć i pióra, które nie wchodzą w skład właściwości talentu Chodźki. Przewyborna jego plastyka i wierność kopij branych z natury, pozwoliły mu wprawdzie skreślić powyższe postacie znakomicie, znakomiciéj może od innych, gdyż przedstawiające trudności pewne do zwalczenia, odrobił staranniéj, temperament jednak i właściwości talentu, pociągają go do gatunku odmiennego, do ludzi jednego rzutu, jednego ciosu, jednéj barwy i to jak najjaskrawszéj, jak to już zauważać mogliśmy w ciżbie szlacheckiéj którą odportretował. I po téj stronie dzieła swego odpowiednich szuka typów. Takim téż człowiekiem jednego rzutu, jednego ciosu, barwy jednolitéj jest skarbnik Dowiat. „Lat około pięćdziesięciu, twarzy ściągłéj, bladéj, ospą poszczepany, pokropiony piegami. Oczy jego ku ziemi szpuszczone i martwe na pozór, gdy się jednak podniosły i stale na kogoś wlepiły, pochłaniały w sobie nietylko wszystkie wyrazy ale i wszystkie myśli napróżno za wyrazami kryć się usiłujące. Włosy nad brwiami równo jakby pod linią ostrzyżone, zakrywały mu czoło a z tyłu głowy spadały szerokim wachlarzem.“ („Dworki na Antokolu“). Postać prawnika, „sensata i statysty,“ postać „pedanta zimnego, skąpego a przebiegłego... mówiącego mało, słuchającego cierpliwie, z powinną dla każdego *rewerencyą*, z ręką lewą skromnie za pas założoną a prawą—ozdobioną krwawym herbowym pierścieniem—do gestykulacyi także skromnéj „gotową...“ Skarbnik szepce tu i owdzie po słówku ale „trafnie, ale *ad rem* i *ad hominem*“ i jedna tém sobie więcéj *respectu* i zaufania niżeli „nieuważny krzykacz tłumiący bardziéj, niżeli przekonywający stronę i sędziów.“ Budzi on większy *respect* i zaufanie, od krasomówczego Antonowicza „z zarzuconemi na ramiona wylotami karmazynowego kuntusza pokręcającego kruczego wąsa“ („Dworki na Antokolu). Dla pana An-

tonowicza nie ma sprawy zbyt „ważnej“ ani zbyt sensacyjnéj. Chyba jedną taką pamięta. Na grodzieńskiéj kadencyi, sprawę podskarbiego Tyzenhausa z królem...

Tu czytelnik wybaczy małe odstąpienie od przedmiotu. Chodźko napomyka parę razy o podskarbim i żałować wypada że nam nie zostawił wizerunku męża tego, że właściwe przymioty jego pióra, plastyka i charakterystyka, nie przeciągnęły i utrwaliły popularności téj niegdyś tak popularnéj osobistości. Chodźko mógłby to uczynić. Z dwóch rysów, tak szybkich, że ich nawet szkicowemi sylwetkami nazwać niepodobna, które w przelocie rzucił na cofającą się w cień dziejowy wielką i ciekawą postać podskarbiego, spływają już na nią dwie smugi charakterystycznego światła. Pierwsza pada z rozmowy X. Ambrożego z bratem skarbnikiem, kiedy pierwszy opowiada jak w Żyrowicach słuchając kantyczkowéj pieśni o darze pana Tryzny, szepnął na ucho Podskarbiemu, że wypadałoby rzecz tę w metrykach litewskich sprawdzić. Ten „obejrzał się kiwnął głową i daléj się modlił.“ Zamiar już był powzięty nieodwołalnie. Tyzenhaus nie był zdolnym jak jego plenipotent, uczuć żal, skruchę, cofać się, nie był zdolnym „zaspać gruszek w popiele.“ Czynna ta, energiczna natura, w mgnieniu oka ukartowała plan cały i przeprowadziła śpiesznie, nieodzownie. Pobożność trzeźwego podskarbiego—a podskarbi był bogobojnym i w niedoli a obezwładnieniu, w gorącą nawet popadł dewocyą—nie prowadziła go nigdy do służalczych kompromisów z duchowieństwem, nie wpychała w sentymentalizm mistyczny. Modlitwa modlitwą, prawo prawem, jednakowo obowiązują mu ludzi wszelkich kondycyj i stanów, administracya administracyą, jedném słowem jeśli kto, to podskarbi nieznal żadnych rozpołowień. W tym względzie właśnie jasną smugę światła, rzuca na niego opowiadanie pana Antonowicza o owéj sprawie na grodzieńskiéj kadencyi, kiedy Tyzenhaus oskarżyciela swego biskupa wzywa do przysięgi za to, że mu ten zarzucił korumpowanie świadków i sędziów:

„Pioruny siarczyste!—woła Tyzenhaus—czemuż nie bijecie w tę infułę! Dwadzieścia lat blisko, jak tu się w Grodnie znajduję a pierwszy raz stawię się w téj izbie ażebym pokazał: *Ecce homo et opera ejus*! Ta to ręka, która pisze dla mnie *mane*, *tekel*, *fares*! Ja przysięgam, Boże mię ubij na duszy i na ciele, jeżeli kiedy korumpowałem świadków lub sędziów. Przysięgaj, klękaj mości księżę biskupie!“

„Włosy na głowie powstały—dodaje Antonowicz wzruszony samém wspomnieniem téj sceny—kiedy piorunującym głosem to

wykrzyknąwszy, porwał za rękę biskupa i ciągnął przed krucyfiks. Zdawało się, że powtórzy się akcya Bolesława ze Szczepanowskim.“

Dwa rysy, krótkie, szybkie, rzucone w przelocie, od niechcenia, epizodycznie, ale jakże wyraźne! jakie wymowne ze względu na przedmiot, którego dotykają, jak odsłaniają bogactwo zasobu do charakterystyki, jakim rozporządza talent pisarza.

Wróćmy do rzeczy. Za Skarbnikiem i Antonowiczem tłoczy się różnorodna palestra. I tu nie brak na odcieniach, na charakterystycznych rysach, w których celuje Chodźko. Widzimy Bohomolca pochylonego nad Sentencyonaryuszem, widzimy drzemiącego w marszałkowskim krześle Zaranka, pokornych i dobrodusznych obrońców swego klasztoru, karmelitów Głębockich; pana Bracławskiego, na którego „policzkach widać, że zgwałcił konstytucyę obowiązującą sędziów, aby *sane mente* sprawiedliwość świętą—szafowali.“ Widzimy w dworku Skarbnika pracujących aplikantów, tak wybornych, tak młodych, takich koncepcistów! a daléj („Pamiętniki kwestarza“) Kwetkę, wyrokującego że „*teologia i jurisprudencya* to dwie osobne *ściencye* które trudno czasem pogodzić.“ Gdzie indziéj wysuwa się z tłoku sądów „taksatorsko eksdywizorskich“ („ostatnia serya eksdywizyi“) mecenas Grzegorz, który „drogę życia przebiegł wołając na innych: prawo! prawo! prawo! a sam zawsze szedł na lewo i dla tego nigdy się nie zaczepił.“ Figura „sucha, wymokła, zawędzona, przedłuża się długą bocianią, naprzód wysuniętą, szyją a kończy się głową spłaszczoną po skroniach i policzkach, co tém wydatniejszym czyni nos pana mecenasa kobuziego kształtu z bogatym na końcu rubinem.“ Figura mizerna, nic nie mająca wspólnego z prześwietną palestrą szlachecką, która się naprzód wysunęła, pieniacz „czyhający na zjazdy, zajazdy, inkwizycye... naczelny przytém do haustu.“ Protoplasta grasującéj obecnie u nas szarańczy pokątnych doradców.

Naprzeciw pieniacza tego i krętacza, występuje obrońca *sui generis*, Dagocki, stary domownik bankruta, poczciwiec, który, chcąc produkować przed sądem dowody jakieś, wyjmuje z kieszeni różne różności: receptę na ochwat i assekuracyą XX. Dominikanów że trafi do nieba. Tam znowu młodzik elegancko ubrany, nadmienia coś o „nie formalności zapisów“ lecz go szybkim, gorączkowym ruchem ręki odsuwa od stołu sam bankrut. Zagrała w nim ta okrzyczana dziś, bo i dziwnie rozwodniona krew szlachecka: żył nad skalę, szalenie, niebacznie, ale na kręcielstwo oburzyły się w nim wszystkie jego instynkty. I dla niego jak dla X. Ambrożego, niema przedawnienia. Nie, nie uznaje on żadnéj „nieformalności“ w swych długach.

Za podpis ojca „ręczy sumienie jego, za własny honor, i na zaspokojenie pretensyi oddaje ostatnią stopę posiadanéj ziemi, ostatni ubiór który ma na sobie.“ Dziś, zmieniły się czasy. Podobnie honorowy i uczciwy bankrut byłby krukiem białym, w zgrai pożerających cudze dobro a z okrawków tegoż dobra, budujących sobie jeszcze nowe korabie, dla wypłynięcia na fali fortuny.

Pomiędzy magnatami i rycerzami, pomiędzy jurystami, rolnikami i kapłanami, karmazynami czystéj krwi, w ówczas nawet gdy nader skromne stanowisko w szlacheckiéj zajmują hierarchii, plączą się i arlekiny szlacheckości „*facies* szczególniejszego gatunku, hardopyszki,“ przechwałki, dorobkiewicze świeżéj daty. („Drugie pamiętniki kwestarza“). Poznajemy w nich, po wielu wspólnych rysach, niezbyt sędziwych protoplastów rozrodzonych dziś u nas pseudo-arystokratów. A taż wyborna Chorążyna! („Brzegi Wilii“) z czterema córeczkami i guwernantką „*niemkinią—francuzką*,“ czyż nie jest prababką rodzoną nie jednéj naszéj mamuni, wychowującéj córki w „Sacré-coeur?“

Wróćmy do sympatyczniejszych typów, do tych od których odwróciła się *fallax fortuna*. „Dziad fundatorem a wnuk przy tymże samym kościele zakrystyanem,“ znane to nam dzieje. Miłe nas ogarnia wrażenie gdy wchodzimy („Pustelnik w Proniunach“) do chatki Chojeckiego. Ubogo tu lecz chędogo, jest ład, jest „grzeczność dworska,“ poczucie godności, są z lepszych lat pamiątki, nadzieje na dzieciach i wnukach, zadowolenie ze skromnego bytu.

Piękniejszą jeszcze jest *straża* w puszczach Radziwiłłowskich. Wesoło tu i ochoczo, panna Anna piosenki śpiewa przed swym „*per modum* kawalerem Żabczycem, na tle kniei pięknie rysuje się postać czerstwa jeszcze i jara podłowczego Bielewicza. Zawód myśliwski ma nieco wspólności z zawodem rycerskim. Z rana po lesie rozlegają się piosenki i hukania „synków podłowczego: ho! ho! kot! kot! tu! tu! a pieski tak grają i zawodzą że aż echo płynie z polany na polanę.“

Jak rycerzy, tak myśliwych Chodźko zostawił kolekcyą znamienitą. Cóż to za Nemrod z tego pana Tadeusza („Brzegi Wilii“) co to sobie „pomaleńku, pomaleńku i kategorycznie prowadzi swego rogala, a potém „tuf! pudło! tuf! tuf! pudło! pudło.“

Z tą swojską figurą współzawodniczyć chyba mogą owi w ogrodowéj altanie („Brzegi Wilii“) zgromadzeni na walną naradę politycy. Wiek im przytępił słuch, więc głos podnosząc zwierzają sobie i klną się na wszystkie bogi że zachowają tajemnicę, europejskiéj polityki gmatwaniny! Wojna! co? gdzie? z kim? kiedy? aha! Szwed ją wypowie. Ale komu? to jeszcze nie wiadomo, to dopiero wiosna wykaże. Ale która wiosna?

Lecz nie na wojaczce tylko, nie na samych sejmikach, festynach, w trybunale w klasztorze i kościele upływało życie. Spora część jego spływała w ciszy domowéj zagrody. Na tle rozświeconym ogniem kominkowym, rysują się poważna głowa Podczaszynéj („Dworki na Antokolu“) i wdzięczna główka Heluni, postać matrony, prostéj i czystéj jak łza, albo raczéj jak uśmiech niemowlęcia i dziewicy skromnéj i łagodnéj, kapłanek domowego ogniska.

Wspomniałem wyżéj, że śród szczupłéj ilości niewieścich wizerunków jakie nakreślił Chodźko, znajduje się pastel znakomity na paru stronnicach zatytułowanych „panna respektowa.“ Właściwie biorąc nie jest to wizerunek młodéj, fertycznéj panienki, uwijającéj się zgrabnie i składnie na salonach Wojewodziny Ogińskiéj, robiącéj sobie „rum“ w każdéj kompanii, ale za to jest to prześliczny portret sędziwéj staruszki, od rannego *dzieńdobry*, do wieczornego *dobranoc* ukochanego przez się siostrzeńca, modlącéj się za jego zdrowie, za spokój duszy dawno zmarłego męża i za dusze wszystkich zmarłych krewnych i koligatów. „Kiedy niekiedy kłóci się trochę, między „modlitewkami, z dziewczętami o śmietankę“... baje długie jak świat historye, przygląda się dokumentowi posagowemu, który wydała jéj Wojewodzina, i głaska lub „a psik, a psik“ pędza, najlepszą swą przyjaciółkę: kotkę ładnie centkowaną.

W skład rodziny, w skład domu wchodzili nadto rezydenci. Mamy wyborne typy takowych w tych dwóch starowinach siedzących w izdebce na folwarku we dworze starosty, „przy stoliku i niżących ziarnka koronki.“ Jeden w białym dymkowym żupaniku, drugi w tabaczkowéj kapotce, przy jednym trzcina ze srebrną gałką, pamiątka może marszałkowskiéj na tymże dworze piastowanéj niegdyś godności, przy drugim klapka na muchy.“ Dożywają resztek skromnego i cichego żywota bając o „gogach i magogach, o kometach, bestyach, smokach, o skończeniu bliskim świata.“ Dla nich bo świat się już i skończył wszystko zmieniło się w senne majaczenia, a funkcye życia ograniczają się na grzaniu piwa i gotowaniu kawy, na całowaniu krzyżyków wiszących przy koronkach i tysiąckrotném, niestrudzoném powtarzaniu *Ave Maria*, przy czem zawsze zachowają *unisono*. Tam znów przy pustéj ogromnéj, jaskółczemi gniazdami i staremi portretami oczepionéj sali wpół zrujnowanego pałacu, w komnatce małéj niby pustelnik, mieszka suchy, wysoki i blady staruszek, Jędrzéj Rombuld, niegdyś sekretarz księcia Wojewody Trockiego, dziś strażnik pamiątek i kronikarz dziejów sławnego Ogińskich rodu. (Brzegi Wilii).

I nie w samych tylko pańskich dworach bywali rezydenci, starzy słudzy, krewniacy, poplecznicy, przyjaciele lub towarzysze bro-

ni, myśliwi, rybacy, masztalarze, z gustu lub powołania. Nawet w skromnym dworku Widmonta widzimy pana Jakóba, za dach, chleb i sól, odwdzięczającego się wpół służbą, wpół przyjaźnią „gotowego na zawołanie czy to do rzeczywistéj byle nie długiéj w gospodarce pomocy, czy to do pacierzy, czy to do maryasza lub ćwika, dla zabawienia gości, lub rozrywki gospodarza.

Po rezydentach idą słudzy. Pyszna figura Marcin rozwożący kwestarza, w „Żegocie," Drukstejn, ekonom Mejry, Norejko, luzak Żegoty, i najprzewyborniejszy już z téj trójcy, wyszukujących w nocy ś-to Jańskiéj, zaklętych skarbów, żmudzin Mateuszas z prowincyonalnym swym akcentem. W Dziewiętni sympatyczny stary kucharz, gdera bez ceremonii „paniczów."

Zanim skończymy przegląd téj galeryi portretów, zastanowić się musimy jeszcze chwilę w szlacheckiéj okolicy, śród samych już szaraczków Zbrożków, Stańczyków, Borsuków itd. oddanych sielskim pracom. Jegomoście to podżyli, poważni, w szaraczkowych długich aż po pięty kapotach, w szerokich słomianych kapeluszach na głowie. W ich otoczeniu „na szerokiéj pryźbie (nasyp odarniowany około chat wiejskich) siedzi siwiuteńki jak gołąb staruszek, i z kilkoletnim prawnukiem buduje pałac ze szczepek i osypuje piaskiem. Obok leżą dwa pałasze, bez pochew, pordzewiałe wyszczerbione. On tych pałaszy odebrać sobie nie da, przekuć na „lemiesze" nie pozwoli, bo „czemże wówczas mierzyć będziem obce granice"? a kto wie zresztą może „czasem przekują lemiesz na oręż." Kto wie byle tylko „dygnitarstwa francuzi nie zrabowali"? a w Wilnie czy są jeszcze Najświętsza Panna Ostrobramska i Pan Jezus antokolski? Są, więc dobrze... łzy mu się jednak puściły po twarzy i na zerdzewiałe upadły pałasze, a bracia szlachta upewniają: że ojciec Szymon „zdziecieniał!"

U samego wreszcie dołu ogromnéj téj wystawy portretów widzim fantastyczny portret. „Baby staréj ale czerstwéj i wysokiéj, często pół pijanéj pół waryatki. Szeroko rozpuściwszy łachmany idzie z podniesioną głową przez rynek w Borunach, czarnym wywijając ożogiem i chrapowatym głosem wyśpiewując jakąś nienabożną piosnkę, ucieka dziatwa z drogi krzycząc, czarownica! *Megmeryllis*!" To żebraczka Bańdocina. Za jéj namową wieziony do Borun jako do cudownego miejsca, chory synek Onufrego, umiera w podróży. Siedząca obok woźnicy Bańdocina, z rozczochranemi włosami wyciągająca ramiona by naglić konie do biegu, staje się wówczas podobną „do śmierci, która naładowawszy cały wóz swych ofiar, prze ich gwałtownie na mogiły."

(*d. n.*) *W. Z. Kościałkowska.*

KUŹNICA KOŁŁĄTAJOWSKA.

STUDYUM HISTORYCZNE.

2.

Ulubionym Jezierskiego tematem jest krytyka istniejącego porządku ze szczególnym naciskiem na wyłączność pozycyi szlachty i swywolę magnatów, oraz obrona klas niższych. Wszystek niemal swój talent i całą pracę ostatnich lat życia poświęcił tym sprawom. W *Katechizmie* chłoszcze ogólny stan rzeczy, a w *Goworku*, rozprawie *O bezkrólewiach* i *Wypisie z kroniki Witykinda*—magnatów; we wszystkich prawie pismach biczuje szlachtę, a w *Rzepisze*, *Duchu nieboszczki Bastylii*, w *Jarosza Kutasińskiego uwagach* i *Głosie na prędce* broni i podnosi plebejów. Na szlachciców i możnych używa historyi i bicza sarkazmu; w szermierce o mieszczaństwo i chłopstwo skwapliwiéj argumentów, niż czułostkowych uniesień. Do broni szyderstwa był Jezierski najskorszym, więcéj przeto w pismach jego satyry i mądrego dowcipu, niż aparatu naukowego i ścisłéj analizy.

Polska — powiada w *Katechizmie* — jest królestwem, bezkrólewiem i rzecząpospolitą. W rzeczypospolitéj, stworzonéj przez przywileje i nierząd, panuje król, senat i rycerstwo—trzy stany, a jeden szlachcic, boć i król i senator i poseł niczem innėm nie są, jak szlachtą. „To jest tajemnica, nigdy niepojęta rozumem, że rzeczpospolita, nie mając tylko jeden stan szlachecki do swojego rządu, przecież z tego stanu zrobiła trzy stany tak cudownym sposobem, jako i to, że z jednéj króla pojedynczéj osoby ma także jeden stan zupełny.“

Do wyszydzenia owych trzech stanów, będących właściwie jednym szlacheckim, Jezierski w tém znalazł pochop, że istotnie według brzmienia konstytucyi z r. 1768 „moc prawodawcza dla rze-

czypospolitéj w trzech stanach t. j. królewskim, senatorskim i rycerskim dotąd trwająca, niewzruszoną nazawsze zostawać powinna i téj mocy jeden stan bez drugich dwóch, ani dwa bez trzeciego przywłaszczać sobie, ani zażywać nie będą mogły." Według Hejdenstejna, biskup Karnkowski po koronacyi Henryka wyrzekł w senacie, że rzeczypospolitéj brakowało w bezkrólewiu trzeciego stanu t. j. króla i od tego podobno czasu trzy zawsze liczono stany. Zaoponował przeciwko temu Lengnich, dowodząc, że dwa tylko stany — senat i szlachtę liczyć należy, pomimo tego utarty zwyczaj trwał ciągle, aż się w konstytucyi z r. 1768 w termin prawny zamienił. Jezierski, właściwsze mając rozumienie o stanach, jako grupach w społeczności odrębnych, szydził z terminu, uświęconego przez zwyczaj i prawo.

„W narodzie polskim— prawi daléj — kto nie jest szlachcicem, nie może być nawet człowiekiem.... Gdzie idzie o powagę stanu szlacheckiego w Polsce, tam wszystkie takie proste i drobne prawa, jak prawa natury i własności, muszą ustąpić. Chłop rolnik w Polsce nie jest-że człowiekiem?—Zapewne nie jest. — A jakże, kiedy on ma duszę i ciało i jest takąż osobą z przyrodzenia, jak szlachcic? — Chłop w Polsce ma tylko przymioty duszy i ciała, osoba zaś jego nie jest człowiekiem, lecz rzeczą własną szlachcica, który, będąc panem jedynowładnym, może go przedawać i kupować, obracać na swój pożytek tak, jak bydło przedaje się z folwarkami i opisami inwentarzów." Mieszczanin znowu „nie jest zupełnym człowiekiem," ale „pośredniczem jestestwem między człowiekiem-szlachcicem, a nieczłowiekiem-chłopem," jest on—używając wyrażenia teologicznego—*substantia incompleta.* „Co do majątku, wygody życia, edukacyi—jest ze wszystkiem, jak szlachcic," który „nie różni się od niego w téj mierze, tylko orderami, herbami i mundurami wojewódzkiemi, nawet kłania mu się, potrzebując pieniędzy;" z drugiéj znów strony mieszczanin „zbliża się podobieństwem do chłopa", nie może bowiem posiadać „wszystkich władz, zdobiących naturę człowieka... Nie może dostąpić pewnych stopni powołania w religii, bo mu prawo zakazuje być opatem zakonnym i biskupem dyecezyi; nie może mieć cnoty męstwa, bo mu niewolno być oficerem; nie może radzić swojej ojczyźnie, nie może być gospodarzem rolniczym, bo mu zakazane dziedzictwo ziemi..." Mieszczanie są w takiém położeniu, jak ich siedziby: „miasta składają się z nazwisk swoich i z gruzów, a mieszkańcy ich są okryci zaszczytami praw dawnych, pogardą ustawiczną od szlachty i uciskiem starostów."

„Król, wolną wybrany elekcyą, poczyna się w żywocie rzeczypospolitéj pod zasłoną wolności szlacheckiéj, za sprawą jakiego są-

siedzkiego mocarstwa.... Przy swojéj elekcyi znaczy wszystko, po objęciu panowania niewiele.“ Podczas elekcyi tyle znaczy co naród, albowiem ostatni „niechcąc nic czynić dla dobra publicznego, wszystkie potrzeby krajowe wyznacza zastąpić królowi w pactach conventach“; po objęciu panowania waży niewiele, bo możnowładztwo „rząd wojska, sądy miast, dozór skarbu, bezpieczeństwo nawet majestatu,—wszystko“ zagarnia w swe ręce. Pozostało jedynie władzy królewskiéj zwoływanie sejmu, rozdawnictwo urzędów i podpisywanie jarmarków.

Za to szlachcic w Polsce jest tém samém, co jedynowładny monarcha na tronie... Ma nad sobą prawo, które sam stanowi i którego nie słucha... Nakazuje podatki,—wypłaca je zaś chłop, mieszczanin, żyd i ksiądz. Jest dziedzicem ziemi, posiadaczem dóbr królewskich, dóbr prawem kaduka spadłych, przez prawo konfiskaty zabranych,—słowem „król panujący wszystko powinien rozdawać, a stan jedynowładny szlachecki wszystko zabierać.“ Szczególniejszym zaś szlachty zaszczytem jest wolność i równość. „Szlachta w Polsce, ponieważ są ludźmi, — są jedni bogaci i ubodzy, uczeni i nieumiejętni, rozumni i głupi... Mimo te rozróżnienia Opatrzności, są sobie wszyscy równi i jak prędko w Polsce jest kto szlachcicem, już do niego nie należy ani ubóstwo, ani głupstwo, bo go święta równość prawa nad to wszystko wynosi.“ Uwydatnia się równość na sejmikach, lecz czy na długo? — „Tak długo, jak komedyantowi na teatrum trafia się być Achilesem, Cezarem, Eneaszem, albo jakim bohatérem... W Wielkopolsce są szlachta brukowce, siedzący w miastach: ci są żebracy, próżniacy, pijacy, a często nawet hultaje. Gdy następują sejmiki, majętniejsi obywatele każą przenicować swoje mundury, poubierają brukowców, — przywiezie każdy swoją partyę na sejmik, poi, nazywa panem bratem i... pokazuje się równość!“ W Małopolsce „panowie mają obszerne dziedzictwa i wielkie starostwa, w nich szlachtę czynszową nędzą, prostotą i powinnościami niczem się nieróżniącą od ich poddaństwa. Tym iść każą na sejmik, tak jak na szarwark i obrać determinowaną osobę na deputata lub posła, gdy zaś będzie sprzeczna strona przeciwna, to się bić!.. Takiemu szlacheckiemu gminowi dadzą na sejmiku obficie gorzałki, miodu i nazywają: mości panowie bracia... Ten sam szlachcic, którego asawuła wygania na powinność gruntową batogiem, staje się naraz równym swojemu panu...“

Są w rzeczypospolitéj sędziowie dwojacy: dożywotni i docześni, najęci i kupni. Dożywotnymi są starostowie grodowi i sędziowie ziemscy, doczesnymi sędziowie w komisyach i trybunałach. „Starostowie grodowi nabywają starostwa z urzędem i to są sędziowie

za pieniądze; sędziowie na kondescensyę zjeżdżający nie są kupni, ale zapłaceni, osobliwie gdzie się trzeba rozpisać; sędziowie zaś na trybunałach bywają najęci za rozmaitą umową. Jest deputat, który w każdéj sprawie powinien być posłusznym JW. NN. tak punktualnie, jak asawuła, podstarości, ekonom; bywa zaś czasem tylko najęty do téj szczególnie sprawy, po któréj osądzeniu może się znowu ujednać na nowo z kim inszym."

Obok sprawiedliwości kwitnie w Polsce i handel, szczególnie „polityczny... własny tylko narodowi polskiemu." Jest on wewnętrzny i zagraniczny: do pierwszego należy najmowanie się na sejmiki, przedawanie sprawiedliwości, urzędów i dostojeństw; przedmiotem drugiego jest ofiara usług gabinetom sąsiedzkim. Ostatni prowadzą senatorowie i ministrowie, drobniejsza bowiem szlachta odgrywa w nim tylko rolę kramarzy i skromnych przekupniów. Jest oprócz tego jeszcze jeden między Polakami handelek — ustępowanie dóbr wierzycielom *per potioritatem*. Marnotrawni panowie, zaciągnąwszy długi nad wartość majątku i wszystko straciwszy, dobra swoje zbywają w ten sposób we dwójnasób drożéj, niż warte...

„Potęga wojenna polska dotąd jak była wielka?—Dotąd wojsko miasto tego, żeby było wielkie, dwojakie było: polskiego i cudzoziemskiego autoramentu." Pierwsze „tak było liczne, że każdy senator, minister i urzędnik koronny miał chorągiew husarską lub pancerną dla noszenia felcechu przy broni." Obowiązkiem autoramentu polskiego gromadzić się „dla attencyi JW. hetmana, szafarza krwi obywatelskiéj;" cudzoziemskiego w Piotrkowie i Lublinie podczas trybunału ognia dawać przy wielkich obiadach. Armii rzeczypospolitéj przywodzi hetman „wielki wódz bardzo małego wojska, którego buława, przestawszy być straszna nieprzyjaciołom, zaczęła być przemocą i możnowładztwem uciążliwa obywatelom." Powaga władzy hetmańskiéj zawisła „na zrywaniu sejmów, na rozsiewaniu podejrzeń o królach, na obieraniu swoich posłów przemocą na sejmikach, na przystawieniu deputatów do trybunału dla wydarcia cudzéj własności."

Tak urządzona rzeczpospolita podlegać musi „nieszczęśliwym przypadkom",—oryginalnym jednak i „wcale innym sposobem od innych narodów... Kraj polski rzadko cierpi przypadki nieszczęścia, pochodzącego z natury: nie ma szkodliwego trzęsienia ziemi, rzadko się kiedy trafia powietrze, głód jest nieznany, wojna niepodobieństwem." Tak, wojna jest niepodobieństwem, „bo choćby wzięto Polakom Prusy, część Małopolski i część Litwy, to te wszystkie zabory stać się mogą bez wojny, bez rozlania krwi i bez odwiedzenia kurka od flinty." Ma rzeczpospolita nieszczęścia, lecz „swoje własne, od-

dzielne od innych narodów, jak bezkrólewia, konfederacye, elekcye, poparcie elekcyi, pacyfikacye, amnestye." Wystarczy to „za trzęsienie ziemi, za powietrze, za wszystkie skutki szkodliwéj wojny."

„Wierzę i wyznaję — kończy Jezierski *Katechizm* — wolność stanu szlacheckiego w Polsce, stworzycielkę nierządu, ucisku, ohydy, która wyzuła chłopów z prawa człowieka, a mieszczanina z praw obywatela; z któréj poczęło się możnowładztwo panów, wyrządzające niezgodę, podłość i podział szlachty na partye, idące za duchem szalbierstwa i zuchwalstwa możnych. Wierzę, że król, wyzuty z władzy, należącéj do tronu, cierpi przymówki często nadaremne o nieszczęścia kraju, krórych przyczyną jest możnowładztwa przewodzenie. Wierzę, że wojsko, skarb, straż praw i bezpieczeństwo stolicy, podzielone na cztery dostojeństwa, jest przyczyną ucisku, zdzierstwa, prześladowania i niesprawiedliwości. Wierzę w przekupienie senatu i posłów; wierzę w obcowanie ich z postronnymi ministrami i, za porozumieniem się ich łakomstwa, wierzę w zmartwychwstanie cudzéj przemocy i nierządu. Wierzę w odpuszczenie krzywoprzysięstwa i zdrady i kiedyś przecie otrzymanie lepszego rządu w Polsce — amen."

Najobfitszą dozą sarkazmu obdarzył Jezierski w *Katechizmie* magnatów, akcentując zasadnie, że szlachta w sprawach politycznych biernem w ich rękach była narzędziem. Myśl tę, w krytyce ogólnego porządku rzeczy zaznaczoną pobieżnie, w innych pismach potrącał nieraz, specyalnie zaś rozwiódł się nad nią w *Goworku*. Dla dowiedzenia tezy użył historyi: dzieje XII stulecia ujął w formę opowiadania, mającego za pomocą przeszłości oświetlić stosunki współczesne.

Śniło się autorowi, że z rozwartego grobu wystąpił mąż „składem twarzy sam tylko do siebie podobny"; o ile zaś wyrozumieć potrafił z rozmowy, pod względem moralnym mógł się mierzyć z podskarbim w. lit. Poniatowskim, z marszałkiem sejmu Małachowskim, ze Stanisławem Potockim posłem lubelskim i z Suchorzewskim kaliskim. Sprezentował się jako minister Leszka Białego, Goworek: „opowiem ci — rzeknął — bytność moją przeszłą i bytność mojéj ojczyzny na tym widomym świecie, a ty się teraz o swojéj i kraju twojego przeświadczysz." Opowieść nieboszczyka potrąca o różne państwa, maluje potęgę Chrobrego i zaznacza podział Polski za Bolesława III, dla którego, że do rozbicia kraju na części „upoważniony był powagą wieków, zwyczajem ustawicznego doświadczenia i przykładem największych na świecie ludzi" — pobłażania ma dużo. Książąt krakowskich: Władysława II-go i Mieszka Starego ocenia Goworek w ten sposób, jakby czytał rozprawy Hof-

fmana. Pierwszemu przyznaje dumę i chciwość, że „chciał wydrzéć dzierżawy swojemu rodzeństwu: jednakże, gdyby się udał jego występek, naród byłby szczęśliwym, niecierpiałby wojen wewnętrznych, Szląsk zostałby w granicach Polski i zabory Tatarów okrutnych nie przechodziłyby pożogą włości i niewolą mieszkańców....“ „Ja ci powiadam, że Mieczysław Stary byłby jednym z największych monarchów polskich, gdyby Opatrzność tyle mu wyznaczyła doli, ile nadała do tego sposobności. Kroniki dziejów polskich nazywają go łakomym, że chciał zwyczajnymi dawnych monarchów podatkami wzmocnić naród, przywracając skarbowi jego własność...; powiadają że był okrutnym aż do tyraństwa,“ chociaż „taż sama historya... pokazuje dowody jego wdzięczności... Wielkomyślność tego pana nazywają żądzą skrzętną panowania, która była czułości wielkiéj jego duszy owocem, a potrzebą istotną narodu, ażeby się był zjednoczył pod berło jednego w całkowitém panowaniu monarchy... Ukrywanie tajemnic myśli nazywają w nim historycy obłudą i chytrością...“ I nie mogli mądrzy Piastowie zbawiennych przeprowadzić zamiarów, albowiem „domy Jaksów, Świętosławów, Kmitów, Bogoryów, Śreniawitów ujęte były sposobem myślenia zuchwałym, jednych książąt wyganiając, drugich na ich miejsce wzywając... Gdy się ten sposób myślenia wzmocni, a wzmocnić się może, bo się zasadza na powabach pychy i na inszych skazitelnościach serca,—weźmie na siebie naturę zwyczaju i wylęgnie się poczwara rządu... Z takich-to pierwszych nasion powstała polska wolność, nie mieszcząca nic więcéj pod tém świetném imieniem przez wszystkie wieki, tylko partye zuchwalców...“

Opowiedziawszy o klęskach XII wieku, jako wyniku intryg, chciwości i podłości możnych, zwraca Goworek uwagę na stulecie XVIII i ten sam niemal spostrzega widok. Wyznawca „prawa natury“ wyrzeka, że rząd krajowy mieści się tylko w królu, senacie i rycerstwie, ubolewa nad uciskiem pospólstwa i mieszczan, nieład i nieszczęścia krajowe znowuż przypisując magnatom. „Co tylko może bezrządny kraj ponosić nędzy w potrzebach wewnętrznych gospodarstwa, kupiectwa i rękodzieł, i co tylko może poniżyć w zaszczytach jego sławę przed narodami,— tego wszystkiego przyczyną i skutkiem, pomocą i środkiem jest przewodzące możnowładztwo panów bogatych w Polsce. Są oni nikczemnymi narzędziami swojéj domowéj dumy, a razem zagranicznych gabinetów pychy i chciwości, gotowi poświęcić ojczyznę albo dla podłych zysków, albo dla jakiejś przewidzianéj wielkości swojego imienia. Tak zaś przewrotne przekonanie, tak złośliwy sposób myślenia umieją udawać w postawie wolności świętéj i równości, jakby jéj istotnie żądali.

Takim-to postępowaniem niektórych obywatelów przyszedł rząd polski do téj nieszczęśliwéj pory, że został niedołężnym i ustał zupełnie.“

W *Goworku* uderza swoboda, z jaką autor wyzyskał w swoich widokach dość bogaty materyał dziejowy, żywość opowiadania i barwność—cechy pamfletu politycznego niezbędne dla poczytności i wywołania wrażenia. Ze szkodą jednak dla swych widoków pilnie Jezierski uwzględnił czasy odległe, a zamało późniejsze: przedstawienie ekscesów możnowładztwa z doby współczesnéj, a przynajmniéj ośmnastemu wiekowi bliskiéj, natężyłoby efekt i wrażenie wywarłoby większe. W oświetleniu autora intrygi możnowładztwa względem Piastów, ich żon i dzieci przedstawiają się istotnie potwornie; epitety: nikczemni, chciwi, zdrajcy, zwrócone do panów z czasów Stanisława Augusta, wymagały uzasadnienia i faktów. Jakoż uzasadnił Jezierski zarzuty, portretując najwybitniejszych drapiezców i hersztów.

Franciszek Ksawery Branicki, łowczy koronny, uganiał się z Apraksynem i Kreczetnikowem za konfederatami barskimi; podczas sejmu delegacyjnego z kanclerzem Młodziejowskim, Adamem Ponińskim i innymi bogacił się grabieżą dóbr po-jezuickich i starostw; otrzymawszy w r. 1774 buławę wielką koronną, z powodu ograniczenia władzy hetmańskiéj przez departament wojskowy mścił się na królu i wichrzył. Ożeniony z kuzynką Potiemkina, podczas kampanii z r. 1788 uczepił się rosyjskiego obozu, przyjął nawet komendę nad pułkiem kozackim i dopiero w grudniu z Kremeńczuka do Warszawy powrócił. Goniąc za popularnością, przez Suchodolskiego, posła chełmskiego wystąpił z oskarżeniem zbrodni podskarbiego Ponińskiego, popełnionych na sejmie pierwszego rozbioru, — żądał nań kary i śród sędziów sejmowych sam zasiadł. Oskarżony jako wspólnika swych zbrodni wskazał między innymi hetmana; sąd jednak uznał bezzasadność zarzutów i w gronie swojém Branickiego utrzymał. 28 sierpnia 1790 r. skazany został Poniński na pozbawienie urzędów, tytułów, szlachectwa i czci, na wieczne z rzeczypospolitéj wygnanie i wyprowadzenie publiczne po za rogatki Warszawy. Właśnie sąd nad Ponińskim nastręczył Jezierskiemu okazyę do wystąpienia z broszurą, krążącą najprzód w rękopiśmie p. t. *Sąd Leszka*, następnie wytłoczoną jako *Wypis z kroniki Witykinda*, w któréj hersztów nieszczęść krajowych zohydza i chłoszcze. W opowieści kronikarskiéj występuje podskarbi Drapiwór (Poniński), hetman Wichropęd (Branicki), kanclerz Odrwimirz (Młodziejowski), król Leszek (St. August), Krzyczysław (Suchodolski); imperatorowa zowie się Olgą, Turcy narodem Drewlan.

W mieście Gnieźnie za panowania Leszka VIII, wnuczka Piastowego, zebrała się kupa złodziejów cnego rodu t. j. nie tych, których za małe rzeczy wieszają, ale którzy wiele kradną, a nie boją się wisiéć. Działo się to około lata pańskiego 920, właśnie w tym czasie, kiedy cesarz, Węgry i Czechy z jednéj strony, Rusiny z drugiéj, z trzeciéj zaś dziczyzna pruska Polskę łupiła. A gdy się i swoi przymieszali do obcych, rozszarpano wszystko do szczętu. Szło im wszystko do woli, póki kradli zgodnie, póki ich obcy, przewodząc nad Polaki, pod swoją dzierżyli opieką. Pod ten opłakany czas Drapiwór został sprawcą dochodów państwa, Wichropęd hetmanił, by wszelkie gwałty mocą zbrojną popierał; a był dozorcą pieczęci Odrwimirz, by potrzebie na foremności prawa nie brakło. Reszta czeladzi to w sprzęty, to w imiona, to w sreberka, nawet z bóżnic zabrane wzmogla się dobrze, czekając okazyi, by się znowu na podobny zgromadzić rabunek. Ale — jak mówią, po szkodzie Polak mądry—spostrzegli się ojce nasi i jęli zaradzać, a myśleć naprzeciw tym niecnym, co na wszystko złe państwo i pana nadstawili, a ziemię polską zaprzedali obcym. Zwołał Leszek zjazd walny do Gniezna, miasta swego stołecznego, z przedniejszych panów rad, szlachty a wszelkiego rycerstwa. Zjazd ów, prostym postępując sposobem, zajrzał najprzód do skarbu i wielkie w nim pustki znalazl; zajrzano potém na granice, by wiedzieć, jak rzeczpospolita była bezpieczna. Roty porozpuszczane,— bo nie było czém płacić wojska; zamki i twierdze spustoszone, wstęp wolny sąsiadom z wszech stron! Gdy Leszek uwiadomionym został o niebezpieczeństwie granic państwa, zachęcał panów rad a wszystkie wojewody, aby na nowo pozaciągali roty i spisali wszelkie ziemiany, co z osiadłości swojéj służyć byli powinni, a poradlne z Małéj Polski, wiatrowe z Wielkiéj na wyprawy płacić. Ustanowiono kasztelany do opatrzenia i pilnowania zamków, a nie spuszczając się na Wichropęda, uchwalono radę ku dozorowi rzeczy wojennych, by nierząd państw koronnych nie zgubił do reszty. Było wprąwdzie za co sądzić, karać, bo w tym zepsutym czasie mało kto był bez niecnych spraw— same zdrajce a pochlebce posiadali urzędy; Leszek jednak miał serce dobre, a panowie rad, biorąc ku rozsądkowi wszystko, patrzali przez szpary, myśląc tylko, jakby temu na potém zapobiedz i zawarować państwa koronne od złodziejstwa, nierządu, niezgód domowych; aby na potém wojsko nie zaległo, a bacznie strzegło granic koronnych. Byłoby ktemu nie przyszło, gdyby Odrwimirz nie umarł, a Drapiwór przez swe nierządy i pijaństwa nie strwonił wszystkiego, co łakomie powyłudzał od ludzi; nie było też Wichropęda, kiedy uchwalono wojsko. Ciągnął on z ruskiéj ziemi, gdzie,

jak wieść niosła, wojskiem Olgi, księżnéj nowogrodzkiéj przeciw Drewlanom, dobrym Polski sąsiadom, wojował. Człek ten chytry a zuchwały przezierał dobrze, że władza jego nieładem stała, że go każdy żywy człek palcem wytykał, jako jednego z hersztów owéj domowéj łupieży. Ktemu widział, że mu już nikt nie wierzy, odkąd pojął za żonę krewnę jednego możnego bojara, co był u Olgi polubowcem. Myślał więc, jakoby naprawić i trafnie przywieść na swoją stronę to wszystko, co przedniejsze pany ku dobru pospolitemu ułożyły... Krzyczysław, podufalec Wichropęda, co między pany rad o chlebie jego siedział,—nie wiedziéć, czy z dopuszczenia bożego, czy z własnego zaślepienia, powstał przeciw Drapiworowi. Był to człek, niby jaszczurka: nikomu gadać nie dał, a sam gdyby na mękach rozprawiał; nie dbał o nic, jeno by lud zapalał, lżąc Leszkowi i co przedniejszym panom. Było téż głupich niemało, co Krzyczysławowi wierzyli, bo z ust jego słyszeli tylko o wolności a miłości pospolitego dobra,— lud zaś raduje się temu, gdy słyszy, że kto książęciu i możniejszym łaje... Krzyczysław, choć się ludowi podobał, niedopiero Wichropędowi przedał swój język, by pod pozorem pospolitego dobra przeciągał na stronę jego szlachtę a panów. Drapiwór był człek obmierzły w całym państwie, wszystek lud zohydził go sobie... przeto łatwo było zgubić tak obmierzłego kosterę, a naród pocieszyć, że wielki bezecnik, na sąd oddany, ukaranym zostanie na gardle, albo odsądzon od czci. Łaje Krzyczysław Drapiwora, jako zdrajcę ojczyzny a złodzieja, donosi go i oskarża przed walnym zjazdem. Biorą do turmy nieboraka, a współbrat jego, Wichropęd, który lepszego niewart bytu, śmieje się a nie pomyśli, by wzdy na to samo nie przyszedł, — nawet między sędzie się dostał. Gdy się Drapiwór dowiedział, że go Wichropęd ma sądzić, uradował się trochę, ale na krótko... Chytry wódz im był gorszym, tém lepszym chciał być widzian przed ludem; bardzo mu téż chodziło, by tak niebezpiecznego, jak Drapiwór, pozbawion był świadka, by oczywiste jego zdrady, gwałty a zabójstwa przed wszem ludem odkryte nie były. Przeto chodził wedle tego co prędzéj, by społecznika dawnego co rychléj na szubienicę wyprawić. Skoro się dowiedział Drapiwór o Wichropęda zamysłach, stawił się co prędzéj przed sąd, na czas wyznaczony, a sąd ten trzymał sam Leszek w wielkiém kole za miastem. Niezliczony lud wyszedł z Gniezna, by dziwił się a oglądał rzecz osobliwą, sobie miłą: pana i złodzieja wielkiego, którego sądzić miano a wieszać. Przywiedziono biednego Drapiwora, a skoro pomiędzy sędzie obaczył Wichropęda, —głowy nie tracąc, tak swą rzecz począł: „Jamci winien i słusznie popadłem kaźni; nie dopuszczą jednak bogowie téj

ziemi, byście wierzyli, żeby wzdy mój sędzia Wichropęd odemnie był lepszy. Nie mogłem ja sam tyle złego zrobić,—on mi do wszystkiego był dowódzcą i pomocą. Ja sam na czci i gardle sądzon być nie mogę... Wszak obaj lat temu kilka niceśmy nie mieli—to wszyscy wiedzą— dziś on nad wszystkie wzmógł się dostatki, co tajno nie jest nikomu. Po kimże je odzierżył? — zaprawdę, nie po ojcu; czy się ich dorobił?—nie, bo dotąd, gdzie co urwał, to zaraz rozproszył; czy je zyskał na nieprzyjacielu? — nie, bo on tylko ze swymi a Drewlany wojował. Powiedzmy po prawdzie: są to kąski z drapieży ojczyzny, co mu je nieprzyjaciele nasi wyjednali za sprawą jego wykrętów, nadane wtedy za to, że wraz z nimi własne ścigał i zabijal rodaki. Wszak niema i jednego imienia, któregoby wam za obcą nie wydarł pomocą. Baczcie, iż te wielkie włości, co na ruskiéj leżą granicy i te, co wśród kraju dzierży, lat temu kilka należały do pospolitéj rzeczy. Żyliśmy razem, kradliśmy razem,—gińmy pospołu, o to ja słusznie ciebie, miłościwy Leszku, i was sędziowie upraszam.“

Jeszcze nie skończył Drapiwór, a już zewsząd krzyczéć zaczęto: niech wisi i Wichropęd! a poważny Leszek wraz z panami rad, głaszcząc brodę, pokazał, iż nie był od tego; obróciwszy się jednak do buławnika, rzekł: by wzdy kaźń ta niesłusznie na was nie przyszła, macież co ku swéj obronie? a jeżeli nie, to idźcie wisieść z Drapiworem. Wichropęd, niby słup martwy, nie wiedząc, co ma ku swojéj obronie, jął się prawnych wybiegów... Wszczął się hałas i tumult, — gdyby nie powaga Leszka, Wichropęd byłby rozsiekany na sztuki. Wielki monarcha skinął na lud, by się uśmierzył, a odchrząknąwszy i poprawiwszy pasa, z wielką rzekł powagą: nie ja, ale bogowie i ten lud was osądził: warci jesteście wisieć obadwa, jako zdrajcy ojczyzny. Lud ucieszony słuchał z radością wyroku pana, nie zważając na gniew Wichropęda, który Rusinami począł odgrażać. Wichropęda i Drapiwora powieszono razem, a lud wesołe powtarzał okrzyki. By się zaś na późne czasy kajano, kazał mądry monarcha położyć kamień na pamiątkę przy drodze, która prowadzi od Gniezna do Łęczycy, z napisem: „Tu leży bogaty Wichropęd i goły Drapiwór, oba za to na szubienicy powieszeni, iż byli zdrajcami swego rodu i kto czytasz — szanuj sprawiedliwość Leszka, a kochaj ojczyznę!“

Wbrew opowieści — nie z Ponińskim i nie w r. 1790, zgodnie z nią jednak powieszony został Branicki *in effigie* w kilka lat później. Ku porażeniu bezecnych panów nie sam Jezierski z kuźni grotem swym miotał, współcześnie bowiem Kołłątaj w broszurze *Co się też to dzieje z nieszczęśliwą ojczyzną naszą?* — zregestrował intrygi

i zbrodnie, jakich się dopuścili magnaci za panowania Stanisława Augusta.

Do walki z panami kuźnia zawsze stawała mężnie; nie szczędziła téż grotów, gdy sprawa bezkrólewiów i elekcyi poruszoną została w literaturze i sejmie. W zwartym szeregu rozpoczęli kampanię piśmienną magnaci, którzy w utrzymaniu elekcyi osobisty mieli interes. Wyszła najprzód *Seweryna Rzewuskiego hetmana pol. kor. o sukcesyi tronu w Polszcze rzeczkrótka* (bez m. i r. 8-a str. 45), późniéj nieco *Protestacya przeciw sukcesyi tronu w Polszcze Seweryna Rzewuskiego het. pol. kor. i Stanisława Szczęsnego Potockiego gen. art. kor. posła z prześwietnego województwa bracławskiego* (1790, f. k. 2). W zalecaniu sukcesyi spotrzega hetman znamię spodlenia społecznego i zdradę, na utrzymaniu elekcyi opiera szczęście kraju i wolność.

Przeciwko zjednoczonym magnatom w zwartym także szeregu wystąpiła i kuźnia. Pierwszy Kołłątaj ogłosił rozprawkę: *Uwagi nad pismem, które wyszło w Warszawie z drukarni Dufourowskiej p. t. Seweryna Rzewuskiego het. pol. kor. o sukcesyi tronu w Polszcze rzecz krótka* (Warszawa, 1790, 8-a str. 125) i pomieścił przy niéj (str. 115—125) popularnego w narodzie biskupa Adama Krasińskiego *List w materyi sukcesyi tronu, do przyjaciela pisany 9 stycznia r. 1790.* Kołłątaj w dążeniu magnatów ku utrzymaniu elekcyi samolubstwo widzi i pychę; według Krasińskiego „ktokolwiek ma zdrowy rozum musi przyznać,“ że obieranie królów zawsze będzie „interesem wszystkich naszych sąsiadów;" bezimienny zaś autor *Reflexyi nad pismem wydanym pod imieniem Imci Pana Rzewuskiego hetmana pol. koronnego* podejrzywa nadużycie przez kogoś nazwiska hetmańskiego, nie przypuszcza bowiem, żeby mądry Rzewuski tak niedorzeczną ogłosił książkę. W *Uwagach* Kołłątaja i *Liście* Krasińskiego zapowiedziano przeciwnikom grot nowy. Ponieważ wielbiciele elekcyi powoływali się w walce na powagę historyi i dowodzili, że obieralność królów tak dobrze istniała za Jagiellonów, jak po śmierci Zygmunta Augusta,—przeto dla rozwiania fałszywych mniemań odsyłał Kołłątaj ciekawych „do zbioru historyi o interregnach, która bajkę sukcesyi domu jagiellońskiego objaśni i wyłuszczy dokładnie“ (str. 11). „Właśnie w tym czasie —powiada (str. 87) — wychodzi z pod prasy dzieło, zawierające w sobie krótką historyę o interregnach, do któréj z dyplomatów i z manuskryptów wyciągnięta jest krótka dysertacya, w przypiskach umieszczona, godząca sprzeczne dowody, pokazująca razem sukcesyę domu jagiellońskiego z obrządkiem ogłoszenia każdego w szczególności króla“. O przygotowywanéj rozprawie wspomniał także Krasiński (str. 120), jako o takiéj, która ma dowieść „że nigdyśmy sami królów nie obierali“.

Według Jezierskiego (1) „ta materya tronu polskiego, jakim sposobem ma być posiadany, tak wiele natargała piór, żeby można z nich zrobić wygodny materac dla odpocznienia zmordowanéj tylu pismami prawdzie.“ Do materaca owego i ksiądz kanonik nieco piórek dorzucił. Oczywiście zwolennikiem elekcyi nie był. „Wiadomość i doświadczenie naucza—pisał w *Goworku*, że przemoc obca narzuca na tron królów, a naród, cierpiący uciski i szkody wojny w kraju, nazywa wolne obieranie zaszczytem i chwałą. Niech będzie król obrany tak sposobnymi obdarzony przymiotami, że natura szczęśliwszego przystawić nie zdoła,—nigdy jednak poprzedzającego nieładu poprawić nie sprosta. Jedno bezkrólewie nawyrabia tak wiele bezprawia, iż długie i dobre panowanie nie wystarczy zaradzić temu. Wolne wybieranie królów jest podobne do takiego chorego, który tylko lekarstwa przyjmuje na to, aby sobie pofolgować do dalszego cierpienia.“ Elekcye w Polsce były „nieszczęściem, ubraném w powagę prawa, na złość rozumowi zrobioném“ (2); kto opisywał bezkrólewia, powinien był opisać interregna w pierwszych głowach narodu (3).

W zapowiedzianéj przez Kołłątaja i Krasińskiego rozprawie *O bez-królewiach* Jezierski cztery rodzaje interregnów rozróżnia: „są najprzód bezkrólewia *naturalne* i tym każde społeczeństwo polityczne podpadać musi, kiedy ród i imię domu panującego zakończy się śmiercią..; drugie bezkrólewie *przypadkowe*, gdy osoby, których tron jest własnością dziedziczną, przypadkiem się od niego oddalą..; trzecie *gwałtowne* za pomocą rokoszów i buntów, kiedy panującemu naród wydziera sceptrum i zsadza go z tronu; czwarte *prawne*, z ustawy rządu krajowego wynikające, gdzie raz na raz jest wolne obieranie króla, a po śmierci jednego wolną elekcyą następuje drugi. Czas więc pierwszy między śmiercią jednego a obraniem drugiego króla jest bezkrólewiem, czyli rządem bez króla. W takiéj naturze bezkrólewia powinny mieć władzę prawodawczą i wykonawczą.“

„Cokolwiek pisarze dziejów polskich wzmianki czynią o obieraniu wolném książąt z familii Piasta, to jest próżném wyobrażeniem prawdy i naciąganiem widoczném... Rozrodzony dom Piasta dzielił się Polską, jakby dom szlachecki ojczystemi wioskami i lubo na krakowską stolicę możniejsi panowie wzywali książąt, a czasem ich i strącali,—było to skutkiem chciwości i niespokojności, nie zaś polityczną z prawa elekcyą... Bezkrólewia narodu naszego, ile są prawem politycznem kraju, dopiero od śmierci Zygmunta Augusta wy-

(1) Ktoś piszący z Warszawy, str. 19.
(2) Niektóre wyrazy, str. 14.
(3) Ktoś piszący z Warszawy, str. 23.

raźnie dają się widzieć. Wszystko, co w téj mierze wiadomość dyplomatyczna i dzieje odległych wieków do uwagi podają, okryte jest ciemnością i niepewnością tak, że albo ślady elekcyi bez użycia władzy, bezkrólewiom przyzwoitéj, albo spór między prawem spadku a władzą obierania zupełnie podaje w wątpliwość to wszystko, coby w téj mierze przytoczyć można.“

„Kiedy bezkrólewiom prawnym naznacza się epoka od śmierci Zygmunta Augusta, tém samém trzeba uczynić różnicę między elekcyą królów a bezkrólewiem, bo jako bezkrólewie nazwaliśmy rządem bez króla, czyli rządem samego narodu między śmiercią jednego króla, a wyborem drugiego; jako takowemu rządowi przyznaliśmy władzę prawodawczą i wykonawczą w swéj zupełności,—tak trudno nie poznać różnicy między władzą wybrania na tron panującego i między władzą rządzenia krajem w całéj obszerności. Wystawiwszy sobie przeto różnicę interregnów od elekcyi, wystawiwszy różnicę interregnów prawnych od tych, któreśmy naturalnemi, przypadkowemi i gwałtownemi nazwali,—rozumiem, że bardzo wiele trudności zaspokoić potrafimy, któreby zachodziły między niewątpliwém następstwem na tron domu jagiellońskiego i między dowodami elekcyi osób z tego domu.“

Pomysłom Jezierskiego niemożna odmówić trafności. Kołłątaj, który niewątpliwie do rozprawy *O bez-królewiach* rękę przykładał, powyższe zapatrywania w *Uwagach* swoich (str. 11) zamieścił żywcem; obecny stan nauki nic téż lepszego nie podaje w tym względzie. Nie chodziło jednak Jezierskiemu o samo dowodzenie, że za Jagiellonów naród królów przyznawał, a po śmierci Zygmunta Augusta obierał i w bezkrólewiach całą w swych rękach gromadził władzę; miał bowiem na celu wykazanie szkodliwości interregnów, przedstawienie klęsk, jakie z tego źródła spływały na państwo. Rozpatruje więc szczegółowo dziewięć bezkrólewiów i z prawdą historyczną prezentuje ich skutki. „Wybieranie królów—powiada—przemieniając rząd krajowy raz w królestwo, drugi raz w bezkrólewia, stało się przyczyną i skutkiem, pomocą i środkiem temu wszystkiemu, do czego dziś Polska przyszła i niepotrzeba, jak żeby jeszcze była jedna lub dwie najwięcéj elekcye, aby, miarkując z tego, co się dotąd stało, całéj Polski zupełnie nie zabrakło.“ Uspakaja tych, którzy przez zniesienie elekcyi obawiali się utraty swobód. „Wolność narodu zasadza się na konstytucyi rządu, nie na wyborze osoby do panowania; władza króla, rozsądnemi opisana prawami, prawa człowieka zawarowane w swéj zupełności, władza prawodawcza złożona w ręku stanów, naród składających, władza wykonawcza powierzona magistraturom, przez stany wybranym,—składem jest

prawdziwéj wolności; reszta jest tylko próżném ułudzeniem, którém rozhukane możnowładztwo siebie mamić, a innych w niewoli trzymać usiłuje.“

Na kanonadę kuźni stronnictwo zachowawcze odpowiedziało gradem argumentów historycznych, logicznych wywodów i obelg. Rzewuski głosił *Odpis na list przyjaciela względem listu JMX. Krasińskiego biskupa kamienieckiego* (bez m. i r. 8-a str. 16) i ciężko uczone *O tronie polskim zawsze obieralnym z dziejów i prawa dowody* (bez m. i r. 8-a str. 109). „Polakiem jestem i Polakiem, da Bóg, umrę—wołał w *Odpisie*, ale Polakiem wolność i prawa szlacheckie utrzymującym, a nie Polakiem wolność i prawa szlacheckie gnębiącym,“ w *Dowodach* autora *Reflexyi* zowie potwarcą, z okazyi zaś rozpraw Kołłątaja i Jezierskiego powiada, że „podchlebstwo dało początek bajce téj, że Jagiełłowie nie prawem elekcyi, ale prawem sukcesyi tron polski osiadali.“ Polemizuje z Kołłątajem i Jezierskim autor *Rozwag o królach polskich, bezkrólewiach, elekcyach i sukcesyi tronu* (Warszawa 1790), wystąpił także gwałtownie i Turski, który miał niezałatwione z kanonikiem rachunki.

Kiedy Suchodolski oskarżył przed sejmem Ponińskiego o zbrodnie i na sesyi 8 czerwca 1790 r., oddając osobę swoją i majątek w zakład za słuszność zarzutów, żądał, aby jako delator jednocześnie z winowajcą zamknięty został w więzieniu,—z galeryi arbitrów szambelan królewki Turski oświadczył, że gotów tak zacnego męża, jak poseł chełmski, zastąpić. Jakoż 29 sierpnia wystąpił w sądzie sejmowym jako delator i w napuszystéj mowie kary żądał na Ponińskiego, siebie zaś, poświęcenie własne i wielkość swego obywatelskiego zadania wysławiał. Jezierski, szydząc w *Wypisie z kroniki Witykinda* z Krzyczysława, dotknął także i delatora, tak nieskromnie głoszącego swą wielkość. Był zaś ów Turski w r. 1790 zajadłym nieprzyjacielem arystokratów i królów, przeto z republikańsko-demokratycznego stanowiska zaatakował szydercę. *W' Odpowiedzi na dzieło X. Hugona Kołłątaja, ref. w. x. lit. Uwagi nad pismem* powiada: „Wszystkie dzieła, które wyszły po piśmie Seweryna Rzewuskiego, widzę powstające przeciwko przemocy arystokratów, za królami, a żadnego nie widzę, któreby mówiło przeciwko przemocy arystokratów, za narodem, a przeciw królom. Stąd sobie wnoszę, że te wszystkie dzieła, będąc dziełami przyjaciół arystokratów i królów, są dziełami przyjaciół despotyzmu. Na dowód téj prawdy... targnę się na autora *Katechizmu* i część dzieła tego podam przed oczy czytelnika, by sam się przekonał, co z niego wnieść sobie można.“ I zacytowawszy z *Katechizmu* dyalog o królu „któż—woła—przy zdrowych zmysłach będący w tych wszystkich dziełach głębokich poli-

tyków nie widzi, że im się sprzykrzyło łagodne panowanie i niemoc królów i że wzdychają, że wyciągają ręce do twardego i silnego despotyzmu.“ Kołłątajowi wyrzuca, że „założył u siebie kuźnicę potwarzy, skąd na niepodległych zdaniu jego mściwe wypadają pociski..; téj zaś despotycznéj kuźnicy i jéj gromów Wulkanem jest kanonik pewny“—oczywiście Jezierski. „Niechże ręka—woła w zapale Turski—która piastuje święte naczynia, porzuci bezbożne narzędzia potwarzy... Któż będzie winien potém, gdy w podobnego Wulkana uderzy piorun obrażonego honoru“...

Polacy — według Jezierskiego — „będą prawdziwie wolnym i szczęśliwym narodem“ dopiero wtenczas, kiedy się zrzekną urojonego zaszczytu obioru królów, zaniechają pogardy dla mieszczan i zniosą niewolę chłopa. Dla dokonania tego musi klasa rządząca uznać najprzód ten pewnik, że według ustaw natury każdemu człowiekowi służy wolność i prawo własności; że szlachta niecały naród lecz jedną jego stanowi cząstkę. Za wzór dobrze ułożonych stosunków stawia ojczyznę Anglików, dla których wolność jest „jakby darem przyrodzenia ich ziemi;“ wskazuje także na dźwigającą się zpod jarzma Francyę (1). Dla wdrożenia w umysły klasy rządzącéj, że szlachta niecały naród, lecz jedną jego stanowi cząstkę; że według „ustaw natury“ każdemu człowiekowi służy wolność i własność,— Jezierski w duchu wizytatorskich w r. 1785 przemówień w broszurach i książkach popularyzował swój kodeks, usiłując patrycyuszów nakłonić do ustępstw, w plebejuszach zbudzić świadomość należnych im praw i żądzę zajęcia obywatelskich stanowisk. Propagandzie takich nowości poświęcił opowiadania historyczne p. t. *Rzepicha*, *Jarosza Kutasińskiego uwagi*, *Ducha nieboszczki Bastylii* i *Głos na prędce do stanu miejskiego*.

Rodzice Rzepichy „bez szlachectwa, herbów i imion krwi nosili nazwiska wspólne z rzeczami, które wydaje ziemia,“ córkę téż swoją przezwali od rośliny rzepaku, świeżo sprowadzonéj z krajów niemieckich. Urodzenie przyszłéj matki królów „wieśniackie i ubogie nie pokazywało w jéj pierwiastkowéj młodości, tylko szczerość, prostotę, niewinność.“ Bawiły Rzepichę dzieła „roboty rąk własnych, lubiła kwiatki swojego zasiewu, latorośle swojego sadzenia, króliki i gołębie swojego przychowku; niedbała o skrzętne zabiegi w przypodobaniu się młodzieży męzkiéj, bo pierwsza młodość, przyciśniona pracą i nędzą, jeszcze jéj nie odkryła powabów miłości.“ Nieświadoma kokieterya dziewczęcia zasadzała się na tém, że „umywała często twarz wodą, zbieraną z rannéj rosy, odmieniała bieliznę,

(1) Goworek, str. 109, 118.

czesała włosy, przybierała się w święta wieńcem, przestrzegała, żeby która równianka kwiatów nie była zawita krzywo.“ Dobiegłszy lat szesnastu, według zwyczajów pogańskich udała się z rodzicami do Kruszwicy dla zwiedzenia świątyni Świstum-Poświstum i podczas, gdy w obliczu ołtarza, zdziwiona wielością rzeczy dla siebie nowych, stała w pokorze,—ofiaroczyńca „chrapliwym, ale ogromniejszym nad naturę głosem“ przepowiadał, jako „śród czołgającego się pospólstwa stoi matka królów, przeznaczona od nieba.“ Na jarmarku znowu poznała Piasta: „w najpierwszym momencie spotkali się spojrzeniem, zwracając na dół oczy i na twarzy spłonąwszy rumieńcem; powtórne wejrzenie drżącą powieką usiłuje udać za obojętne i przez to samo pokazuje, że było oznaczające wewnętrzną czułość.“ Zwierzyła się córka matce z miłości dla urodziwego młodzieńca, Piast znowu pod pozorem kupna drzewa na koła najprzód rodziców panienki odwiedza, następnie wyrabia sobie zezwolenie na zawarcie małżeństwa. „Bawił on po odebraniu obietnicy dni trzy w domu przyszłych rodziców, wyprawując zabawy i sposoby większego przypodobania Rzepichy; czwartego zaś, uczyniwszy pożegnanie i wsiadłszy na wóz, do Kruszwicy odjechał. Poszła na górę Rzepicha, dając przyczynę obaczenia młodych gołąbiąt, a w saméj rzeczy aby bez świadka nasycić wzrok widzeniem swojego Piasta. Jak daleko tylko mogła go zajrzéć, patrzała, uważając, czyli się jeszcze nie ogląda, jak śpiesznie jedzie i już, gdy wyjeżdżał w chrusty, westchnęła i oczy zrosiła łzami.“ Wkrótce małżeństwo do skutku doszło. Podczas postrzyżyn syna dwaj cudzoziemcy rozmnażają cudownie jedzenie i napój; w bezkrólewiu po śmierci Popiela powołano Piasta z Rzepichą na tron. Po Piaście obejmuje rządy w prostocie wieśniaczéj wychowany Semowit, Rzepicha zaś osiada na starość przy świątyni Lelum-Polelum.

Na podstawie kroniki Kadłubka skreśloną opowieść o Rzepisze i Piaście, ubarwił autor alluzyami do stosunków sobie współczesnych, a przedewszystkiém wcielił w nią myśli, idealizującego ludzi w stanie natury, Russa. Przeciwstawia Jezierski poczciwym wieśniakom mieszkańców miast i stan rządzący, śród którego dla zboczeń od zasad przyrody w wychowaniu i życiu—spostrzega podłość i zbrodnie. „Miasta—powiada—główne przybytki wielkości świata, są siedliskiem występków. A jako na miłości porządnéj i w niéj wierności zawisł rodzaj ludzki na ziemi, aby kanały krwi, płynącéj wiekami, nie zmąciły się pomieszaniem,—tak w miastach przewrotna rozpusta utrzymuje wszystkie rodzaje grzechów. Wykorzeniła cnoty, wygasiła religię, rozrzutnością straciła majątek, zniszczyła siły ciała i zdrowie. Ten wielkiego rodu panicz czem jest w oczach

prawdy? Jestto nędznik w majątku, zdrowiu, w sumieniu i sławie, niemający nic więcéj, tylko imię świetnego rodu i może krew przodków swoich, płynącą w żyłach tego ciała, które jest przybytkiem jego nikczemnéj duszy... Podług praw przyrodzenia niemasz w naturze kobiety ani szpetnéj, ani pięknéj, tylko która się komu podoba. W miastach osoby płci żeńskiéj bogate, wymyślne, pełne próżności i próżnowania, których całe zatrudnienie jest na tém, aby się bawić, albo nudzić,—mają żądania serca swojego tak posunięte, że chcą być kochane od wszystkich i chcą być piękne na zawsze". Według Jezierskiego „musi być wychowanie ludzi co do ich obyczajów poczciwych powszechne, na jednostajnych prawidłach praw natury zasadzone," przyroda zaś uposażyła człowieka pierwiastkami cnoty i prawdy. „Bo jeżeliby tych prawideł nie było w naturze ludzkiéj, za cóżby się sumienie upominało za przestępstwa swoimi wyrzutami, albo za co by miała być ta niesłuszność w Opatrzności, żeby człowieka stwarzając w stanie prostego wychowania, w ubogim domie, miała się od niego upominać cnoty i prawdy, kiedy ta zawisłaby tylko od wytwornych sposobów ćwiczenia młodzieży pańskiéj?"

W *Rzepisze* oprócz tendencyi, że i w kmieciu szanować należy człowieka,—wydatne zajmuje miejsce teorya o pochodzeniu szlachty i wyjaśnienie genezy jéj stosunku do ludu.

Pierwotnymi mieszkańcami obszarów nad Wartą i Wisłą byli Sarmaci, ludzie „prostoty świętéj i niewinnego życia. Wtenczas, gdy który wódz rzymski, podbiwszy jaki naród i uczyniwszy miljony niewolników, odprawiał wjazd tryumfalny do stolicy świata śród płaczu, wzdychań i jęków zwyciężonych, a śród poklasków i okrzyków radosnych zwycięzców,—w tym samym czasie jeden z prostych i niewinnych Sarmatów cieszył się, że niedźwiedzia zabił, który mu pszczoły wydzierał i miód jego zjadał. Gdy Grek i Rzymianin przemysł sobie mordował, jak się ubrać w kosztowne szkarłaty i purpury,—w Sarmacie już była myśl spokojna i skóra zabitego niedźwiedzia zastąpiła potrzebę odzieży. Gdy w wielkich miastach śród oświeconych narodów zatrudniał się dowcip poetów wyrządzaniem widoków, gdzie sztuka gładkiego składu wiersza, złączonego z brzękiem muzyki, napiera się bawić razem i uczyć obyczajów ludzi, podrzeźniając namiętnościom serca; gdy żartuje z występków uśmiechającą miną, nagania je i zostaje do nich pobudką,—wtenczas prosty Sarmata dla swojéj zabawy słuchał śpiewającego słowika, a naśladując go w uczuciach serca i w podobieństwie głosu, przyłożywszy do ust fujarkę, wydawał jéj muzyką wzywanie rozkoszy pod cnotliwym miłości związkiem..."

Gdy część Sarmatów z Wandalami i Gotami opuściła swoje siedliska dla obalenia światowładnego Rzymu,—nad Wartą i Wisłą „pustynia wzmagając się, otworzyła sposobność wnijścia postronnemu ludowi do opanowania téj ziemi. Sklawonia (dziś niezbyt wielka prowincya królestwa węgierskiego), nie mogąc zmieścić swoich mieszkańców, wydała ich na posiadanie wielu państw Europy północnéj. Puszcza hirceńska, zaludniona Słowakami, wzięła imię Czechów; napełniły się nimi: Szląsk, Luzacya, Pomorze, Polska i Ruś... Między Słowakami przybyszami a Sarmatami, dawnymi rodakami swéj ziemi, był jakiś skład podobieństwa i to łatwiejsze wyrobiło pomieszanie ludzi z ludźmi, języka z językiem za pośrednictwem czasu i związków w naturze krwi ze krwią... Język pierwiastkowy Słowaków i język mieszkańców Sarmacyi na Rusi, w Polszcze, na Szląsku i Czechach jest w wyrazach i składni powszechnym i mało co się różniącym... Lud słowiański posiadł kraj cudzy gwałtem, przemocą wojny. Obdarzywszy się korzyściami zbytniego zwycięstwa,—zabrał Sarmatom ziemię i wolność, podniósł się niesprawiedliwością nad stan swojéj natury, właściciela ziemi przywiązując do gruntu pod nazwiskiem poddanego wiecznego. Przewracając święte prawa natury, ogołocił sobie podobne jestestwa z jego własności, przemieniwszy człowieka na rzecz“...

Teoryę swoją wywodzi głównie Jezierski ze sposobu postępowania dziedziców z chłopami. „Przez tyle wieków—powiada—ta najszlachetniejsza cząstka obywateli zostaje dotąd bez żadnéj opieki prawa... Takowy sposób myślenia i postępowania właścicielów ziemi, lubo z ohydą wspólnéj natury człowieka i prawdy w rozumie, lubo przeciwny czuciom serca, ale że pochodzący z okrutnego źródła wojny, ale że wsparty nienawiścią i zemstą ku tym, których się zdobyło,—utrzymuje się po dziś dzień przemocą wychowania, nałogiem wieków. To podaje wskazówkę téj prawdzie, że w mojéj ojczyźnie dziedzic ziemi z jednego narodu, a rolnik, pracujący na téj ziemi, z drugiego muszą mieć swoje pierwiastkowe początki.“

Teorya najazdu, bez względu na wartość naukową, posiadała w XVIII wieku doniosłość moralnego pocisku, z jéj bowiem stanowiska klasa uprzywilejowana i bogactwo i stanowisko społeczne zawdzięczala tylko przemocy. Podanie w wątpliwość moralności środków, użytych ku zajęciu posiadanéj przez szlachtę pozycyi, rozszerzało podstawę do walki i podawało przeciwnikom nienajgorszy śród wielu innych argument.

Nadawał się on zarówno ku obronie chłopstwa, jak i praw mieszczan, którzy według teoryi Jezierskiego, podobnie jak kmiecie, dotknięci zostali przez najazd. Większą część miast—powiada—

dźwignęli Sarmaci; mieszkańcy ich byli z początku w uczestnictwie rządu krajowego i używali wolności. Gdy Słowianie zniżyli stan rolniczy do ostatniéj nędzy,—stan miejski ucisnęli znowu między sobą, z pogardą poglądając na rzemieślnika i kupca. Nie chcąc cierpiéć choć w drugim rzędzie stanu miejskiego, z obrad narodowych wyrugowali go gwałtem.

Głosił Jezierski teoryą swoją właśnie w téj dobie, kiedy śród samego mieszczaństwa obudził się ruch pewien i ujawniła się dążność do pozyskania politycznego w państwie znaczenia, a ogniskiem agitacyi znów była kuźnia.

Szlachetny prezydent Warszawy, Jan Dekiert, w porozumieniu z Kołłątajem zamierzył ze wszystkich miast królewskich utworzyć związek w celu zapewnienia poniewieranéj klasie zgodnych z prawami człowieka stanowisk. Adwokat Mędrzecki w gruntownéj rozprawie dowodził, że za czasów potęgi rzeczypospolitéj mieszczanie formowali stan wolny i brali udział w czynnościach publicznych, jednocześnie, w połowie listopada 1789 r. zjechało do stolicy 269 delegatów od 141 miast z Korony i Litwy dla poparcia swéj sprawy. Kołłątaj zredagował dla nich do króla i stanów memoryał, w którym czuć było powiew wypadków paryskich. „Nadszedł czas, w którym znajomość sprawiedliwości i prawdy ośmiela nas mówić w otwartéj szczerości, wynurzyć najrzetelniejsze dla ojczyzny przywiązanie, a na tak ważnych pobudkach odwołać się do praw nam służących, jako obywatelom miast wolnych, jako właścicielom ziemi, od wieków przez miasta posiadanéj, jako ludziom, którzy użytek praw swoich czują nietylko dla siebie, lecz dla powszechnego ojczyzny dobra, a w świetle sprawiedliwości waszéj zaufani, wątpić nie mogą, że im to wrócić i zatwierdzić zechcecie, co prawo natury każdemu człowiekowi, a najdawniejsze przodków ustawy w czasie szczęścia i sławy polskiéj stanowi miejskiemu zabezpieczały... Rwie gwałtownie okowy swoje niewolnik, gdzie panujący nad nim tłumi wszelkie prawa człowieka i obywatela. Lecz w Polsce król, senat, cały stan rycerski i każdy o tém jest przekonany, że wolność jest przyrodzoną człowiekowi, że prawa jéj są świętemi, że podupadłe dźwignąć, osłabione wzmocnić należy i na tak trwałéj zasadzie wznieść gmach wolnego i trwałego rządu.“ Żądali mieszczanie bezpieczeństwa osobistego ludzi, prawom miejskim podległych, wolności nabywania dóbr ziemskich, możności dosługiwania się zaszczytów w stanie duchownym i w wojsku, wysyłania reprezentantów swoich na sejm dla przedstawiania swych potrzeb, udziału przy zawieraniu traktatów handlowych itp. „Czarna procesya mieszczańska“ ze szpadami u boku, a z memoryałem w dłoniach, nawiedziła naj-

przód Stanisława Augusta, następnie marszałka sejmowego i dygnitarzy, prosząc o życzliwość i poparcie żądań u sejmu. Po trzydniowéj gorącéj dyskusyi zgodził się sejm na wyznaczenie deputacyi dla roztrząśnięcia praw mieszczan. Wieści o wypadkach paryskich i tryumfie stanu trzeciego nad królem, szlachtą i klerem, o zburzeniu Bastylii i ogłoszeniu praw człowieka; z drugiéj znów strony widok czarnéj procesyi, suplikacye po kościołach, uczta na ratuszu i rzęsista illuminacya Warszawy w połączeniu z podniosłością tonu memoryału,—wszystko to na klasie uprzywilejowanéj wrażenie robiło duże. Spodziewano się rewolucyi, — 25 listopada, w rocznicę koronacyi królewskiéj, przewidywano jéj wybuch (1).

Pod wrażeniem takich wypadków, pomiędzy obozem konserwatywnym, dla mieszczan niechętnym, a postępowym, uznającym słuszność ich żądań, — namiętna się zawiązała dyskusya. „Prawda i nieprawda — powiada Jezierski (2) — podniosły swój głos, niosący zdania. Wyszło mnóstwo pism przeciwnych nawzajem: dzieje i prawa narodu, przywiedzione na świadectwo téj wielkiéj materyi, czyli mieszkańce miast mają być osobami w tak obszernéj rzeczypospolitéj, zostały obrócone według sposobu myślenia w szczególności każdego. Można się naczytać i nasłuchać dowodów przeciw stanowi miejskiemu, wziętych z nieba od dziewięciu chórów anielskich, z kościoła od dwunastu apostołów, z anatomii, z układu członków w ciele człowieka, z przykładu historyi szwedzkich, duńskich, angielskich, rzymskich dawnych i francuskiéj dzisiejszéj; przytém z przywiedzionych przywilejów i praw koronnych, umyślnie tak wybranych, żeby w nich wzmianki nie było o miastach, a z tego założone wnioski, aby mieszczanie byli bez zaszczytów obywateli, przykładających się do stanu republikańskiego i Polska aby nigdy nie znaczyła więcéj, jak rzeczpospolitę szlachecką... Są inne zdania, niby patryotyczne, aby miastom dać podatek na zasilenie handlu i rzemiosł..., dają się słyszéć i takie rozumienia przeciw stanowi miejskiemu, że między nimi niewiele ludzi światłych, aby mogli wchodzić do przybytku prawodawstwa... Są nakoniec pisma, samą przez się osobistą nienawiścią natchnięte... Śród takich rozważań mnogości, gdy jedni piszą za miastami, żądającemi stanu w rzeczypospolitéj, drudzy przeciw miastom, inni zaś twierdzą, że *wszyscy błądzą*“ (3), — Jezierski wystąpił z *Jarosza Kutasińskiego uwagami* do-

(1) Kalinka. Sejm czteroletni. Kraków 1880, I, 504.—Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta. II, 335.

(2) Jarosza Kutasińskiego uwagi, str. 6.

(3) Alluzya do kasztelana łukowskiego, Jacka Jezierskiego, który w broszurze p. t. „Wszyscy błądzą“ (1790 r.) przeciwnym był równouprawnieniu mieszczaństwa.

wodząc, że tylko „uprzedzenia, przesądy i niewiadomość tamują dostąpienie prawdy i pojęcia tego poznania, jakie uszczęśliwienie wynika dla Polski z przyjęcia do władzy prawodawczéj i wykonawczéj w rządzie republikańskim stanu miejskiego.“ Dla okazania, że źródłem niechęci dla stanu trzeciego są wynikające z wychowania uprzedzenia i przesąd, — w formie autobiografii Kutasińskiego przytacza różne przygody dzieciństwa i epizody z życia jego rodziny; poglądy zaś własne na szlachectwo i mieszczan wkłada w usta profesora, tłómaczącego w szkole genezę pierwszego i ucisk plebejów. W konkluzyi—„bajki najdawniejszéj historyi greckiéj stworzyły szlachectwo, wiek bohaterski potwierdził, a wiek gotycki ugruntował zupełnie.“ Przypomina, że „herby i genealogie są nie narzędziem cnoty, ale tylko znakiem pamiątki o jéj bytności“ (1) i w imię prawa natury a korzyści państwowéj domaga się zupełnego równouprawnienia dla mieszczan. Fałszem jest, żeby „krew w szlachcicu była czerwona, a w mieszczaninie zielona;“ z „uprzedzenia zazdrości powtarzają się zdania, że potrzeba mieszczanom polepszyć los, ale niepotrzebne im prawodawstwo i uczestnictwo we władzy wykonawczéj... Dla czegóż? Czyli nie są oni ludzie, czyli nie są właściciele majątku, przywiązującego ich serca do ojczyzny? Dziedzic szlachcic w Polsce nie ma inszego majątku, tylko z rolnictwa, przychowku i szynku...; czemuż kupiectwo i rzemiosła nie mają być drugim rodzajem krajowych bogactw? Tam są tylko bogate narody, gdzie miasta są ludne i ich mieszkańce poważani w obywatelstwa zaszczytach... Kto wysiewa dziewięć korcy żyta na swojém dziedzictwie, nie jest bardziéj interesowany losem swojéj ojczyzny od tego, kto w Warszawie ma zamurowanego gruntu sto łokci.“ Dla czegóż więc względem potrzeb ojczyzny ma zaradzać tylko „pan Kutasiński herbu Dęboróg, przez ten wzgląd szczególnie, że on się urodził szlachcicem?“

Jednocześnie Jezierski z radykalniejszém jeszcze w sprawie mieszczaństwa wystąpił pismem, bo z przekładem pamfletu (2), który w swoim czasie wstrząsnął Francyą i wpłynął na dokonanie

---

(1) Tęż samą myśl wykłada w „Goworku“ str. 121.

(2) Przekład broszury Sieyès'a pomnożył Jezierski dodatkami, które nie podniosły wartości głośnego pamfletu. Tłómacz lubiał się w opowieściach swoich wyręczać kimś obcym: wkładać je w usta ukazującego się z grobu Goworka, wcielał w autobiografię Kutasińskiego, to w znaleziony na gościńcu pamiętnik Rzepichy. Dla przedstawienia poglądów Sieyès'a użył lejbnicowskiéj monady — „odrobiny materyi, nie mogącéj się więcéj dzielić na części,“ a mającéj „posiadanie wyobrażenia rzeczy, zdolność uwagi czynienia i sądzenia o nich z bezpieczeństwem prawdy.“ Użyta przez Jezierskiego monada była cząstką Bastylii.

rdzennego w jéj stosunkach przewrotu. Czém jest pospólstwo? Wszystkiem. Czém w sferze politycznéj było dotychczas? — Niczem. Czém być powinno? — Czemkolwiek. Rolnicy są pierwsi, którzy odbierają dobrodziejstwa natury; rzemieślnicy przerabiają je, sposobią do zażycia i zwiększają ich wartość; kramarze i kupcy, wyprowadzając i wprowadzając towary, korzyść przynoszą krajowi i sobie, ludzi z ludźmi łączą. Pospólstwo jednoczy w sobie naród i wszelkie jego potrzeby, jest przeto wszystkiem, ale wszystkiem obarczoném i uciśnioném. Bez stanu uprzywilejowanego byłoby wszystkiem wolnem i kwitnącém, a więc stan szlachecki w układzie towarzyskiego życia potrzebny nie jest. „Stan pospólstwa już dotychczas poznał po obrocie interesów, iż się niczego spodziewać nie może; pozostała mu tylko prawda i odwaga za własność. Rozum i sprawiedliwość są za nim: niech sobie przynajmniéj całą ich moc zapewni, nie czas już bowiem około zjednoczenia stronnictw pracować. Jakiejże się zgody spodziewać można między siłą uciśnionego, a szaleństwem uciskających? Trzeba albo postąpić ludowi daléj, albo się cofnąć; trzeba znieść klasę uprzywilejowaną zupełnie, albo ją uznać, chociaż stanowi dla społeczeństwa ciężar i jarzmo.“

Wrażenie tak radykalnych pomysłów osłabiać mogło osnucie ich na tle lokalno-francuskiém, oraz brak nagięcia do stosunków miejscowych; rychło jednakże wystąpił Jezierski z broszurą oryginalną, przypominającą mieszczaństwu polskiemu program *Ducha nieboszczki* i nawołującą, że nie należy zaniedbywać przyjaznych warunków chwili dla zostania czemkolwiek.

Wyznaczona 19 grudnia 1789 r. deputacya do roztrząśnięcia praw stanu trzeciego, choć podniecana polemiką, w któréj obok skromnych przyjęły udział i najdzielniejsze umysły, jak Kołłątaj i Staszyc,—pracę swoją ciągnęła długo; Dekiert umarł (4 października 1790 r.), a sejm — niesłychaną dla mieszczan okazywać począł uprzejmość. Ryczałtem w miesiącu listopadzie i grudniu udzielono mieszczaństwu 422 nabilitacyi, 227 dla cywilnych, resztę dla osób wojskowych (1). Zaszczycano zaś klejnotem osobistości, największym cieszące się wpływem, bo bankierów: Szulca, Teppera, Arndta, Blanka, Kabryta, Kapostasa, to gorących sprawy miejskiéj rzeczników: Mędrzeckiego i Barssa; uboższych bez opłaty stempla szlachcono. Jezierski miarkując, że sejm przez nobilitacye ludzi wpływowych chce w nich interes do popierania sprawy mieszczan osła-

(1) Kalendarzyk narodowy i obcy. II, 154.

bić, a tém samém pozbawić stan trzeci przywódców i bez uszczerbku dla szlachty zbyć go czemkolwiek, — uderzył w kuźni na alarm i ogłosił piorunujący *Głos na prędce do stanu miejskiego.*

„Kiedy od dawności w narodach oświeceńszych lub w tych, w których szczęśliwa rewolucya do tego dopomogła, wolność wszystkie stany mieszkańców kraju objęła; kiedy po różnych państwach Europy głos, odzywający się za prawem człowieka, natury, gwałtem i uciskiem tłumiony, zwyciężywszy te zawady, zabrzmiał z pomyślnym dosyć skutkiem w uszach i sercach mieszkańców téj najpolerowniejszéj cząstki świata; kiedy po różnych jéj stronach myśléć szczerze i mówić zaczęto o uszczęśliwieniu dziewiętnastu przynajmniéj części jéj ludności i zasłonieniu przeciw przemocy dwudziestéj cząstki; kiedy mieszczanin w Polsce, pod jarzmem nieznośnéj arystokratów anarchii kilka wieków jęczący, dowiedział się nakoniec, że jest człowiekiem, mającym z przyrodzenia przywiléj radzenia około swego losu, bezpieczeństwa i majątku; i kiedy znaczna liczba najoświeceńszych ziemian nie zapiera mu téj perogatywy, ale nawet przy niéj obstaje; kiedy mu się wreszcie najpomyślniejsza pora ofiaruje osiągnienia praw swoich mocą dzielnych remonstracyi, mocą okazania swéj zdolności do rady, mocą zdobywania się na dzieła i czyny przysłużne ojczyźnie, a godne obywatela godnego,—cóż się dzieje? Oto mieszczanin polski dowodnie okazuje, jak sprawiedliwą miano przyczynę lękać się przypuszczenia go do udziału władzy prawodawczéj, że jest nieostrożny, że się da łatwo łudzić i mamić, że za lada pozór dobra gotów jest istotne szczęście swoje i narodu sakryfikować, że jest jak dziecko, które się drze do pozłacanego cacka, gardząc nieoszacowanym, choć niepolerowanym brylantem.

Takie-to pozłacane cacko pokazano ci, stanie miejski, w obficie wylanych na ciebie nobilitacyach, jakich drugi dopiero przykład widzi Polska: raz kiedy płacono niemi prywatne usługi, drugi raz, kiedy niemi płacą mieszczaninowi zgubę jego własną, kiedy zakupują niewolę kilku milionów ludzi.

Nie masz pryncypalniejszego miasta, gdzieby kilku, kilkunastu, a nawet kilkudziesiąt nie nobilitowano mieszczan znakomitszych majątkiem, a przynajmniéj rozumem i kredytem. Przewidujecież, nowonobilitowani mieszczanie, do czego to dobrodziejstwo arystokratów zmierza? Wy, których część znaczna sama nie wie, jakim sposobem dostąpiła szlachectwa, nie starając się o nie, a nawet ani nie myśląc o niém? — Oto, nowonobilitowani mieszczanie, oto obawiano się, ażebyście majątkiem, radą i kredytem waszym nie oswobodzili z niewoli, ucisku wojen domowych, uciążliwości podatków

kilku milionów uboższych braci waszych. Chciano złączyć interes wasz z interesem szlachty, a oderwać przez ambicyą serca wasze od interesu ludzi. Przewidujecież officyerowie nie-szlachta, dla czego wam rozdano niespodziewającym się szlachectwa? -- Oto dla tego, ażeby was ubogie miasta do jakowéj nie użyły rewolucyi, spodziewano się bowiem, że officyera szlachcica nie będzie obchodzić więcéj los biedny mieszczanina-człowieka.

O nieszczęśliwy rządzie, który dla tego używasz szafunku nagród, abyś mieszkańców ziemi twojéj nieszczęśliwymi widział!... Albo rewolucya, którą ci groził stan miejski, miała początek i poparcie w sprawiedliwości, albo niemiała? Jeżeli miała, czemuś sprawiedliwości nie oddał? Jeżeli nie miała podług twojego przekonania,—czemuś buntowników nie ukarał, mając ich zawsze w ręku dotychczas? Czemuś im przeciwnie wysypał hojne nagrody, któremi za najważniejsze tylko w rzeczypospolitéj usługi płacić przyrzekłeś nieraz?

Chciałeś— rzeczesz podobno, stanie szlachecki — wrócić obłąkanych synów ojczyźnie drogą łagodności i pochlebstwa? — Nieprawda! Bałeś się ich uciemiężyć, aby reszta z rozpaczy nie przyśpieszyła sobie wolności, biorąc się do swéj obrony. Czynić sprawiedliwie, oddać ludowi jego prawa, używać w postępowaniu z nim *skromności*, która jest duchem i zasadą mocy arystokratycznéj,— a rewolucyi i buntów obawiać się nie będzie potrzeba. Nie jest miejsce po temu, abym wykładał, coby należało uczynić przed przypuszczeniem do władzy prawodawczéj stanu miejskiego; ale światli narodu prawodawcy powinni umieć uprzątnąć wszelkie przyczyny bojaźni, za oddaniem ludziom ich przywilejów idący.

Wracam się do was, nobilitowani miast obywatele! do was— jedyne nadzieje i światła niezmiernego ludu, oczekującego rady i pomocy waszéj! Pokażcie się mocnymi i niezwyciężonymi w téj części serca waszego, w którą uderzono blaskiem i świetnością ofiarowanego wam nowego stanu. Dajcie dowody przed całą Europą, ciekawie wyglądającą końca losu miast polskich, iż nie macie innéj ambicyi, tylko celować przysługami dla dobra powszechnego. Szlachectwo jest rzecz wspaniała, jest rzecz szacowna, ale wtenczas, kiedy jest nagrodą zasług cnót i znakomitych czynów. Zrzućcie na moment, nowonobilitowani, z oczów waszych omamienie miłości własnéj, stańcie przed trybunałem bezstronnego sumienia, sądźcie się, czyliście uczynili znakomitą jaką dla narodu przysługę, któraby téj ostatecznéj i najwspanialszéj w kraju nagrody warta była? Ktokolwiek uważa roztropnie krok sejmu w nobilitowaniu was, widzi, iż z was żartowano, iż was traktowano jak dzieci, które łatwo oma-

mić można, albo jako ludzi czuć i myśleć szlachetnie nieumiejących, ale z łatwością prywacie i dumie swojéj resztę zawiedzionych braci poświęcić mogących.

Z tak wielkiéj liczby nobilitowanych, wieleż rachujemy takich, którzyby byli w stanie mienia ziemskiéj posesyi, którzyby mogli bez naruszenia swych interesów płacić dyplomata, którzyby mogli obejść się bez drobnego handlu? A któż może ręczyć, czyli arystokracya, powróciwszy do całéj swojéj mocy i powagi przez takowe ubezpieczenie się od miejskich pretensyi, nie zawoła potém: „potwierdzamy *in toto* prawa dawniejsze i nowo-zapadłe względem nobilitowanych i względem szlachty“, a tym sposobem wnet podobno trzy części nowéj szlachty z tytułami, bez majątków albo dla dogodzenia pysze życie biedne sobie odbierze, albo z upokorzeniem do stanu miejskiego powrócić musi i żyć w niewoli dla zaprzedanéj na wieki przez siebie własnéj swobody.

Do jakiegoż stanu przyjdą niektóre miasta, których niemal całe magistraty i obywatele najświatlejsi są nobilitowani? Któż zasiędzie opuszczone miejsca ich magistratur? Oto ludzie bez fortuny lub wiadomości urzędowi potrzebnych. A jeżeliby nowa szlachta miała zostać przy swoich urzędach miejskich, — jak w pierwszym, tak w drugim razie bliskie są miasta swojéj niewoli. Mieć nad głową magistraturę potrzebną lub nieumiejętną, możeż być stan obywatela biedniejszy? Mieć nad sobą nieustannie rząd i zwierzchność szlachcica, jest-to zbliżyć się niedługo do stanu miast królewskich, pod gubernatorami będących, jest-to wielkie podobieństwo niemienia nigdy sprawiedliwości na ciemiężących.

Ani sobie nabijajcie głowy, mieszczanie, pochlebnym widokiem zastąpienia wakansów i dźwignienia się przez handel na miejsce nowonobilitowanych, im bowiem bardziéj zdrobnieją miasta nasze przez zagarnienie w stan szlachecki najcelniejszych i najmajętniejszych familii, w tém większéj stan miejski zostanie wzgardzie, tém tkliwiéj niewolę z poniżeniem swojém czuć mu przyjdzie. Przyjdzie wreszcie może i na to, że szlachta, po miastach handle wielkie prowadząca, szlachta prawa stanowiąca, robić będzie dla siebie monopolia ryczałtowego handlu przywoźnego i wywoźnego, a z mieszczan porobi nędznych przekupniów i rzemieślników.

Rzecze mi kto może, iż to są przywidzenia moje, prognostyki i strachy, w imaginacyi tylko zasadę mające; ale ja odpowiadam, iż jeżeliby stan szlachecki mógł najgwałtowniejszym sposobem zaprzeczyć należącéj stanowi miejskiemu wolności, — czegóżby nie mógł uczynić dla ostatniego poniżenia i osłabienia jego, a wywyższenia siebie? Jeżeli stan szlachecki miał dosyć odwagi do upodlenia się

przez niepomiarkowany szafunek nieoszacowanego swego klejnotu, aby osłabił miasta,—czyż nie będzie miał dosyć dumy, aby zapobiegł nazawsze wzrostowi miejskich domów, groźnemu jego przewadze?

Weźcie to na ścisłą uwagę, co wam nadmieniam tylko w krótkości, nowonobilitowani bracia. Pomyślcie, czyli nie po tysiąc kroć wspanialszym byłoby dla was zaszczytem, być fundatorami szczęścia opuszczonego przez was milionowego ludu? Czyliby nie większém zadziwieniem, radością i poklaskiem patrzyła na was i słyszała imiona wasze Europa, gdybyście ambicyą i próżność czczéj okazałości poświęcili interesom dobra współbraci? Gdybyście złożyli z podziękowaniem uroczystem w ręce stanów ten łudzący zaszczyt na ujęcie was, mimo woli i nadziei większéj podobno części, wam narzucony, a który może niedługo stanie wam się uprzykrzonym ciężarem.

Weźcie i to na ścisłą uwagę, co wam teraz powiem, iż wolność miast o krok tylko była od pożądanego skutku, iż stan szlachecki już się widział przymuszonym do oddania im praw należytych, iż—co większa — *od was samych tylko dokonanie tego dzieła wielkiego zawisnąć musiało*, kiedy jedynie przez zakupienie was nobilitacyami, przez oderwanie was od związku z miastami, dzieło to stan szlachecki za wniwecz obrócone być mniema. Co za sława byłaby dla was, poznawszy teraz, jak siły wasze wysoko ceniono, użyć ich na opiekę zasmuconego już ludu i dowieść skutkiem, iż warci jesteście szacunku, który wam stany okazały; ale kazić i upodlać się nie umiecie przez poświęcenie szlachetności serca i mysłu dla szlachetności imienia tém nikczemniejszéj, im mniéj zasłużonéj.

Jeżeli się niezdobędziecie na ten godny ducha republikańskiego heroizm, winni będziecie nędzy i uciemiężenia najodleglejszych po was pokoleń; winni będziecie w oczach świata całego zdrady najoczywistszéj przeciw braci waszéj, którzy w was ufność położyli. Imię wasze, upstrzone szlachectwem, okryje wieczna hańba i przekleństwo żyjących i żyć mających. Bóg, który żyje i sądzi, nie puści bezkarnie zaprzedanych przez was praw natury tylu milionów ludzi! (1). A jeżeli was nie porusza przyszłość, na któréj sąd często serca zepsute zapatrują się jako na marę, słabe dusze próżnym przerażającą strachem, -- oglądajcie się na sprawiedliwą zemstę i rozpacz opuszczonych i zgubionych przez was współziomków i lękajcie się, aby zaszczyty szlachectwa waszego z wami razem końca nie wzięły. Bo cóż gmin, niemający się czego więcéj spodziewać, prócz nędzy, zatrzyma w swym zapale? Gmin, któremu już błysnął promyk lep-

---

(1) Oczywista w rachubie Jezierskiego przesada. W dobie sejmu wielkiego nie wiele więcéj było mieszczaństwa (bez żydów) nad 500,000 (Korzon *l. c.* I, 318).

szego mienia i wolności? Ale niech wszechmocna Opatrzność odwróci od nas te okropne prześladowania i mściwości widoki.

Wy, bracia, których cnotę, szczupłość majątków i nieznane talenta, w spokojném od publiczności ukryciu dyszące, od powabnych sideł nobilitacyi szczęśliwie ochroniły, myślijcie żywo około pochylonego losu miast opuszczonych i gdy stracicie nadzieję, aby wydarci z łona równości waszéj bracia mieli dosyć wspaniałości do oddania się nazad interesom waszym i podziękowania za narzucone na nich zaszczyty,—szukajcie podpory zachwianym waszym nadziejom w waszéj stałości umysłu i téj roztropnéj powolności w działaniu, do któréj wam drogę przetorował wielki Dekiert.

Udajcie się do najjaśniejszych rzeczypospolitéj stanów: są one potrwożone żądaniami waszemi, ale głos prawdy, głos szczerości, jakąkolwiek bojaźnią głuszony, ma przystęp do ich serc czułych i oświeconego umysłu. Mówcie im: „najjaśniejsze stany! niech was opuści trwoga, która dotąd tłumi moc przeświadczenia zupełnego o prawach nam należących. Nie przychodzimy do was z orężem w ręku, ani z odgłosem buntu i przedsiewzięciem gwałcenia świętéj rządu powagi, którą jako dziedzicom ziemi pierwéj przed nami Opatrzność i natura zabezpieczyła od wieków: idziemy tylko prosić was, abyście nas przypuścili do téj prawodawstwa cząstki, która najbliżéj losu własności naszéj miejskiéj tyczyć się będzie. Niech was próżno siane przez przewrotnych możnowładzców urojenia i postrachy nie łudzą, jakobyśmy kiedy przykładem miast duńskich wolność waszą i naszą na sztych narazić mieli. Dziś oto w obecności waszéj zrzekamy się uroczyście i wiecznie stanowienia bez was i wspólnéj z wami zgody w tém wszystkiém, coby się powszechnych swobód i bezpieczeństwa całego narodu tyczyło. W mocy jest przecież waszéj zasłonić się przodem od niebezpieczeństw, które z strony naszéj troskliwość serc wolnych przewidywać wam daje. Pamiętajcie, iż obywatele miast Polski, wierni zawsze ojczyźnie swojéj, powolni rządowi waszemu, nigdy krwią braterską nie zbroczyli rąk swoich! Buntowali się za monarchów i za czasów rzeczypospolitéj kilkakrotnie chłopi; płynęły powodzie krwie waszéj i naszéj razem za wierność wam świątobliwie chowaną! Podnosiła szlachta rokosze i związki, szły z dymem nasze fortuny, waliły się nasze miasta, rynsztoki krwią naszą zafarbowane, widniały niedopałki domów naszych. Jeżeliśmy wzięli się kiedy do oręża, to chyba na wasz rozkaz i za was. Nie mieliśmy zgoła życia i majątku, któreby bez sarknienia nie były interesom waszym zupełnie poświęcone! Dziś, kiedy albo upominamy się o dawne przywileje nasze, albo kiedy upraszamy was o przyznanie nam praw, niczém niemogących być zaprzeczo-

nych; macież nas się obawiać, macież w nas upatrywać nieprzyjaciół waszych! Oddajcie nam sprawiedliwość, a doznacie, jak wam życzliwymi, ojczyźnie naszéj wiernymi, a swobód wspólnych najtroskliwszymi obrońcami być potrafimy. Stałość nasza w uprzykrzaniu się wam o prawa nasze niczém nie da się zrazić. Zróbcie więc kilka milionów ludzi wolnymi, których nobilitować niepodobna. Wojsko narodu nie będzie wam straszne przy nas, którego sto tysięcy bez szlachectwa zostanie.

Te uwagi, te remonstracye tak szczere, tak wyraźne, wsparte skromnością i pamięcią na to przytomną, iż rewolucya jakakolwiek, wszczęta w dzisiejszych okolicznościach, mogłaby i stan szlachecki i was razem, bracia, w jarzmo wtrącić swoje lub obce, — skutkować koniecznie muszą, gdybyście nawet nie mieli za sobą głosu i wsparcia od tych, których duma i próżność tytułem tylko, nie rzetelną zasługą, nad was dzisiaj wyniosła.“

Odezwa Jezierskiego, przypominająca treścią i formą trybunów rewolucyi francuskiéj, zwróciła baczność na niebezpieczeństwo, grożące mieszczaństwu, autora zaś naraziła na niesłychanie namiętną napaść. W duchu *Głosu na prędce* wystąpił Kajetan Kwiatkowski (1) i bezimienny autor *Rozmowy między Sołtykiem biskupem krakowskim i Dekiertem prezydentem miasta staréj Warszawy na polach elizejskich* przeciwko Jezierskiemu ogłoszono *Zdanie obywatela prowincyi w. x. l. na pismo pod tytułem: Głos na prędce do ludu* (*sic*) *miejskiego* (2) i *Dorywczy rozbiór pisma pod tytułem: Głos na prędce do stanu miejskiego* (3). Niezgrabnie pisane *Zdanie*, żywiąc dla autora *Głosu na prędce* wdzięczność za życzliwe usposobienie dla mieszczan, uspokoić pragnie obawy ze względu na ufność, jaką pokłada w królu, Czartoryskim, Małachowskim, Sapieżie, Stanisławie Potockim, Gutakowskim, Kublickim, Niemcewiczu, Wejssenhofie, Wawrzeckim i innych; za to *Dorywczy rozbiór* z niesłychaną gwałtownością nie na samą tylko odezwę, lecz i na osobę Jezierskiego napada i bez ogródki spotwarza.

„Truchlałem— powiada bezimienny — czytając to pismo, ostatniemi czernidłami hańbiące rząd krajowy, a w każdym wyrazie wzniecające złośliwie okropną buntu pożogę. Zdziwiłem się, gdym powziął wiadomość, że pismo to dziełem jest pewnego księdza, pracującego w téj ogromnéj kuźni, z któréj najostrzejsze na honor

---

(1) Próbka pióra (Kraszewski. *Polska w czasie trzech rozbiorów.* II, 322).

(2) Z godłem: *Et voluisse sat est.* Roku 1791. Bez m. 8-ka, str. 22.

(3) Z godłem: *Nam quis iniqui tam patiens moris, tam ferreus, ut teneat se?* Juvenal. Bez oddzielnéj karty tytułowéj, 8-ka, str. 64. Na końcu: „W drukarni wolney.“

cnotliwych wypadają groty, z któréj i gorliwy Rzewuski i cnotliwy Turski nieukojone na nieposzlakowanéj sławie odebrali razy. Przypisane rządowi najpodlejsze cele i najniegodziwsze dopięcia onych środki; shańbiony potwarzami stan szlachecki, oczernione osoby nowonobilitowanych: bezczelne fałsze, osławiania, sprzecznomówności—otóż to treść jest tego zbrodniarskiego pisma. Szczęście dla kraju, że w tym oświeceńszym wieku nie idą ślepo ludzie za przewodem szaleńca, który, najmniéj o całość krajową dbały, radby widziéć spokojność wewnętrzną ze wszystkiém wzruszoną, aby on tylko przez przypodobanie się wściekłémi deklamacyami swémi wyjść mógł na herszta podniecanéj rewolucyi... Któż ci to wyjawił, Mci księże autorze, tę tajemnicę, że rząd nobilitacyami myślał zapłacić zgubę stanu miejskiego? Widziałżeś już konstytucyą, odpychającą żądania mieszczan? Wszak z kolei projektów, na sejmie decydować mianych, nie przyszedł jeszcze projekt praw municypalnych; któż cię więc zapewnił, co z nim się stanie? W téj niepewności, na cóż ta rozjątrzająca bazgranina? na cóż to zbrodniarskie czernidło rządu, że ten płaci mieszczaninowi zgubę jego i zakupuje niewolę kilku milionów ludzi?"

„Mieszczanin — według autora — nie doznawał żadnéj srogości rządu, cieszył się cywilną wolnością i nie miał potrzeby jęczenia pod jarzmem nieznośnéj arystokratów anarchii"; jeżeli zaś materyalnie podupadł, to z téj tylko przyczyny, że „gnuśność i opilstwo, stępiwszy w mieszczanach przemysł do handlu i rękodzieł, wskazało jednych na szukanie nędznego ze skiby wyżywienia, drugich na przekupniów mizernych lub na partackich wystawiło rzemieślników." Zabolała bezimiennego uwaga, że podczas zjazdu delegatów szlachta mieszczan się zlękła i gotową już była do ustępstw: „porachuj się z rozsądkiem—woła—zagorzały pismaku; użyj więcéj rozumu w ważeniu sił, abyś dowiedział się, kto się kogo bać może, a nierozsiewaj głupich domysłów." Pismo Jezierskiego, to — według niego — „skażony owoc zagorzałego rozumku i nierządnéj imaginacyi...; licha ramota jednego z owych podłych i nieroztropnych pismaków, o jakich w żadnym kraju nietrudno." Proponuje autorowi przytułek w domu poprawy, radzi go zamknąć w prochowni, przypomina mu „przypadki Woltera, który nieraz po czasie żałował nieszczęsnéj chętki czernienia szanownych osób," to znów wyrzuca, że Jezierskiego „nikt ani przy mszy, ani w spowiadalni, ani na kazalnicy, ani u chorego, ani przy brewiarzu, ani w chórze nie widział... Kto— powiada — wchodzi w czcigodny stan stróżów religii z tém przedsiewzięciem, aby, korzystając z dochodów, nie pełnił żadnych jego obowiązków, ale owszem, aby pod tak szanowną suknią sprawował

urząd ofiarnika ołtarzów Wenery i pośród rozkosznych wygód poświęcał talent swój na czernienie rządu i wszystkich cnotliwych, byleby odmiennego z nim zdania będących; kto z zimną krwią przez pismo, fałszami i potwarzami napełnione, podpala ogień rokoszu i zaostrza narzędzia do wzajemnéj rzezi,—ten zapewne zapatruje się na sąd przyszłości, jako na marę, słabe dusze próżnym przerażającą strachem.“ Posuwa się w końcu bezimienny do tego, że inicyałem zdradza Jezierskiego nazwisko i nazywa go „najnieroztropniejszym w świecie zuchwalcem, albo najniecnotliwszym zbrodniarzem.“

Tego rodzju polemika podczas żywego ścierania się zasad i walki o ustrój polityczno-społeczny rzeczą jest zwykłą. Ujawnianie zakulisowych życia tajemnic i domieszka potwarzy pospolitą jest bronią, gdy zaatakowany zwątpił w krzepkość swéj sprawy. Stanowisko autora *Dorywczego rozbioru* względem mieszczaństwa było nieszczere, a w obec ducha wieku i potrzeb kraju z gruntu fałszywe. „Kto—powiada o mieszczaństwie—nie umiał bronić swoich prerogatyw, kto utracił je przez gnuśność, nieczynność, zaniedbanie,—boję się, żeby nie był *za słabym* wspólnych swobód obrońcą,“ W innem miejscu oświadcza, jako nie zaprzecza mieszaństwu wolności politycznéj „bo najświętsze do niéj ma prawa..; aby jednak—dodaje—jedyną być miała podstawą szczęśliwości człowieka, jest to wątpliwość, za któréj obustronném rozwiązaniem walczą bardzo silne dowody.“

Że sejm, którego obrońcą i myśli tłómaczem był autor *Dorywczego rozbioru*, w większości swojéj nie miał ochoty „gnuśnych i nieokwitłych“ mieszczan równouprawniać ze szlachtą,—okazała najbliższa przyszłość; burzliwe sesye w marcu i kwietniu, a w końcu prawo, zapadłe 18 kwietnia 1791 r. Gdy wzgląd na istotny stan sprawy gorące wystąpienie Jezierskiego usprawiedliwia zupełnie, autora *Dorywczego rozbioru* nie w najlepszém przedstawia świetle

3.

Program polityczny Jezierskiego od Kołłątajowskiego nie różni się niczém. Wyznawca kodeksu prawa natury, w zasadzie demokrata, pragnie jednak ze względu na stosunki praktyczne utrzymania organizacyi stanowéj, inną pozycyą chłopstwu, odrębną przeznaczając mieszczaństwu i szlachcie. Mieszczaństwo ze szlachtą pod względem politycznego znaczenia równa zupełnie; dla pospólstwa t. j. „osób nieposiadających dziedzictwa, tylko własne siły“ żąda je-

dynie opieki prawa. Tego rodzaju program dość nieszczęśliwie wywodzi — nie z nieba wprawdzie od dziewięciu chórów anielskich — ale z anatomii, z układu członków w ciele człowieka. „Ja sobie — powiada (1) — uważam stan polityczny społeczeństwa każdego na świecie, tak jak stan ciała ludzkiego. Głowa, piersi z brzuchem, ręce i nogi składają postać osobistego ciała. Żeby człowiek posiadał życie i zdrowie, potrzeba równego obrotu krwi we wszystkich częściach. Ta jest ustawa natury... Jeżeliby obrót krwi był w głowie, a w piersiach nie taki, jużby było cierpienie choroby, grożącéj śmiercią; a jeżeliby była krew w obrocie całego ciała, prócz rąk lub nóg, toby było kalectwo... Toż mówiąc o narodzie mojéj ojczyzny: stan szlachecki jest głową, stan miejski jest jak piersi i żołądek, stan pospólstwa jak ręce i nogi.“

Republikanin w zasadzie, znowuż ze względu na stosunki lokalne głosi sukcesyą, potrzebę obwarowania powagi tronu, wzmocnienia władzy królewskiej. „W anarchii — powiada — widziałem ginące części mojej ojczyzny; pod rządem monarchicznym rozszerzały się granice kraju. Kto mówi: wolę wolność z nierządem, jak porządne poddaństwo, ten w swém zdaniu cierpi zawód rozumu, bo miłośnik wolności nierządnéj straci i wolność i imię Polaka, a w porządném poddaństwie przynajmniéj się nazwisko, język i charakter zostanie narodu. Gdzie zaś naród jest, tam się wolność powrócić może; lecz gdzie rozpusta nierządu zgubiła naród, proszę, jakie tam być może zmartwychwstanie wolności?... Pierwéj ja kocham imię i bytność na świecie Polaka, a potem wolność polską i gdy pierwszych nie stanie, nie wiem, gdzie drugie republikanci pomieszczą?“ (2).

Wierzy w dobroczynny wpływ porządnych instytucyi, bardziéj jednakże podźwignięcie państwa zależném czyni od osobistych przymiotów u steru będących ludzi. „Ja niechcę króla wolno-obranego na tron polski, niechcę króla, któryby się rodził do korony prawem następstwa; ale chciałbym, aby był zbudowany ze wszystkich najlepszych przymiotów tak, jak jest zrobiony mechanicznie okręt, pojazd jaki albo dom... Sąsiedzkie mocarstwa pozabierały nam przyległe sobie prowincye..; owóż my z osób panujących nad niémi zabierzmy w kordon z osobistych przymiotów po jakiéj sztuce na materyał do wybudowania króla“. We Fryderyku pruskim zaleca przezorność, doświadczenie i szczęście, w Józefie II troskliwość

(1) Jarosza Kutasińskiego uwagi, str. 33.

(2) Niektóre wyrazy, str. 133. Takich samych argumentów używa Staszyc (*Przestrogi dla Polski*, 1790, str. 280.

w rządach i pracę, w Katarzynie „wielkomyślność w przedsiewzięciach i posłuszeństwo jéj podległych narodów,“ w Gustawie szwedzkim męstwo i stateczność w odwadze „a do tych wszystkich dobrodziejstw przyrodzenia szczodrych razem w jednym królu potrzebaby koniecznie jeszcze serca Stanisława Augusta“ (1).

Przy równouprawnieniu mieszczaństwa ze szlachtą, a rozciągnięciu opieki prawa nad chłopem; przy tronie sukcesyjnym i dzielnym na czele królu, Jezierski w miejsce ustroju federacyjnego, jaki przetrwał do jego czasów w stosunku Litwy z Koroną, zaprowadzićby pragnął w wewnętrznym zarządzie państwa jednolitość zupełną. Ujawnił to we *Wzmiance krótkiéj o zjednoczeniu księstwa litewskiego z królestwem polskiem w duchu wolności i równości*, ogłoszonéj z okazyi rozpraw sejmowych w sprawie podwójnych dla Korony i Litwy urzędów. Nie widząc w dwoistości owéj „inszego pożytku, tylko wydatek kosztów i rozszerzenie ambicyi,“ z zasady, że ścisłe zjednoczenie jest jak „szczepienie w ogrodach drzewa w drzewo, gdzie z podwójnéj drzewiny jedna tylko powstaje roślina;“ że „kraje litewskie są ziemią polską, a prowincye polskie są naodwrót ziemią litewską,“—żąda wzajemnego uczestnictwa w zaszczytach.

Nie rozwijał zresztą Jezierski swego programu politycznego szczegółowo i szematycznie, czynił to bowiem w *Listach* i *Prawie politycznêm narodu polskiego* Kołłątaj, z którego poglądami nasz kanonik w zupełnéj jest zgodzie. Głównêm Jezierskiego zadaniem było wykorzenianie panujących w narodzie przesądów, szerzenie nowych a zdrowych pojęć i torowanie drogi tym, którzy pragnęli i mieli możność dokonania przewrotu, opartego na umysłowych i moralnych zdobyczach wieku. Taką podjąwszy rolę, oprócz spraw zasadniczych, jak ogólna krytyka rządu, równouprawnienie mieszczaństwa, polepszenie pozycyi chłopa, usunięcie elekcyi itp.,—o najróżnorodniejsze musiał potrącać kwestye. Nieprzyjaciela widział w każdéj niecnocie i w każdym przesądzie, bez względu na to, w jakim się zakątku życia ujawniał: walczył przeto tak dobrze przeciwko zdrożnościom w obyczajach, śmiesznościom w nauce i wszelkiego gatunku głupstwu, jak w obronie mieszczaństwa lub chłopów. Czynił to w formie refleksyi, jak *Ktoś piszący z Warszawy* lub okraszonych sarkazmem i tryskających dowcipem ucinków. Każda niemal broszura zawarła tego niemało, aż ułożył Jezierski książkę oddzielną—*Niektóre wyrazy, porządkiem abecadła zebrane.*

Nie olśniewał Jezierskiego bezwzględnie *wiek oświecony*; nasuwał mu owszem dość pessymistyczne uwagi. „W każdym wieku

(1) Ktoś piszący z Warszawy, str. 20.

i w każdym narodzie były głowy, główki, półgłówki; w każdym skarżyli się ludzie na niedostatek zdrowia, majątku, nadgrody swoim zasługom; nigdy zaś niedało się słyszéć, aby kto utyskiwał, że głupi. A zatém łatwo poznawać można, że... każdy wiek w szczególności był oświeconym“ (1).. „Wieki wszystkie jeden względem drugiego co do użycia światła rozumu są jak młode panienki: każdéj miłością własną zdaje się, że jest piękniejsza i milsza od starszych kobiet... Te, co na ich miejsce nastają, będą w nich widzieć odstręczające przymioty, a w sobie znowu natomiast będą upatrywać przyjemnych. Jeden drugiemu wiek czyni naganę, a siły rozumu i błędy też same zawsze, tylko się odmieniają w swojém zażyciu“ (2).

Nie zadawalniają Jezierskiego ani materyalne, ani moralne zdobycze wieku. „Nauki o rzeczach, potykających zmysły, są wydoskonalone; to jest prawda albo nieprawda—ja nie wiem; ale czyli wynalazki nowe fizyki przyniosły jakie korzyści społeczeństwu? Wyśledzonoż w tajemnicach natury lekarstwo na suchoty, na puchlinę wodną? upatrzonoż sposób, zapobiegający zdychaniu tak częstemu bydła?“ Ubolewa, że „wiek przeszłych nauk kłócił się o słowa w logice, a dzisiejszy logikę porzucił“ (3), że głupich uczą rzeczy, bo „nie wiem np. kto pierwszy wynalazł kluski greczane gotować ze słoniną, które bardzo lubię, a o tém wiem, że Tamerlanes wojował z Bajazetem, a Aleksander W. z Daryuszem“ (4). Nie wątpliwie, że wiek np. XVI, miał w Polsce „więcéj ludzi doprawdy uczonych, a wiek nasz dzisiejszy ma natomiast mniéj głupich,“ a to dla tego „że najwięcéj odmian, wydarzonych obrotem przypadków, widzieć się nam daje. W rzeczach religii, polityce, w obyczajach, w rządach, w samém nawet przyrodzeniu odmiana albo niezwyczajność pokazuje się, a zatém rozum, zdumiewaniem nowych rzeczy zajęty, nabywa zręczności w sądzeniu, śmiałości w twierdzeniu zdania... Chłop pod Krakowem, nie umiejąc fizyki, ale że był w przypadku uczucia trzęsienia ziemi,—o trzęsieniu rozmawia; podobnież i szlachcic, nie wiedząc o prawach miast polskich, gdy czyta memoryały ich, podane królowi i sejmowi, zaczyna się nad tą ważną materyą zagłębiać. I tak, przypadki budzą rozum, a rozum rozbudzony, błyszcząc swojém światłem, wyrabia nazwisko oświeconego wieku“ (5).

W pojęciach moralnych spostrzega zamęt: „religia—powiada—w dzisiejszym wieku spotwarzona i wzgardzona została. Gdy mnie-

(1) Ktoś piszący z Warszawy, str. 5.—(2) Niektóre wyrazy, str. 160.—(3) Tamże, str. 123.—(4) Ktoś piszący z Warszawy, str. 7.—(5) Tamże, str. 13, 15.

many czciciel prawdy powstaje na zabobony i na dziwackie wynalazki, które, prawdę mówiąc, zazierają aż do świątnicy przybytku pańskiego... całą religię obala tak właśnie, jak ten stróż pałacu, który, mając zamieść pokoje, poocierać kurze i pajęczyny, potłókł zwierciadła i porcelany przez skrzętność swojego ochędóstwa."

„Czyli w wieku naszym mniéj się przelało krwi ludzkiéj od przeszłych wieków? czyli są częściéj powstające wojny w Azyi, Afryce, jak w naszéj Europie i czyli która część świata chowa naraz do dwóch milionów ludzi, którzy na to są wyznaczeni, aby się uczyli zabijać drugich i aby przełożeństwa krajów straszyły się nimi nawzajem?" (1). Zabójstwo nazywają męstwem, honorem i sławą: „ja nie wiem, gdyby był taki w naturze przypadek, żeby się 30,000 niedźwiedzi mordowało z drugą tak liczną kupą, czyliby sobie potém te bestye liczyły za słodycz w swojéj pamięci i sercu przypomnienie tego okropnego zdarzenia?" (2). Nie masz bohatyra od śmierci Laudona „a co zaś heroiny—od śmierci Lukrecyi upatrywać potrzeba" (3). A wolność?—„Zatrząsł tronami duch wolności, postępuje i wzmacnia się rząd republikański. Ameryka po krwawéj wojnie skosztowała owocu swobody, Francya zburzyła się uciskiem, przemocą i gwałtem dworu. Bastylię, przybytek okrucieństwa, zamieniono w gruzy, a króla w człowieka, panującego nad ludźmi... Z tém wszystkiém naród francuski, przystąpiwszy do wolności, odjął sobie spokojność i bezpieczeństwo... Nabycie wolnego rządu dla Francyi może tyle pomódz, co uzdrowienie chorującego na nogi, gdy mu podagrę przeprowadzą do piersi... Bardzo długo latarnie w Paryżu mogą służyć miasto szubienicy" (4).

Pessymizm Jezierskiego czarniejszym jeszcze się staje, gdy potrąca o swoich i o stosunki krajowe.

Ojczyzna, to ta ziemia „z któréj pożywienia utworzone jest ciało moje, która skropiona jest krwią przodków moich, któréj powierzchnia zroszona jest znojem i potém ziomków, któréj części zmieszane są z prochami ojców... I gdyby przyrodzenie cofnęło się z granic swoich, a ja gdybym ścisnął garść ziemi ojczystéj, wytrysnęłaby z niéj krew ta sama, która płynie w żyłach moich" (5). „Domyślać się zaś należy w XVIII wieku, że patryotyzm ma znaczyć wyobrażenie miłości ojczyzny... Ale gdzie temu patryotyzmowi przypatrzéć się można?... Patryotyzm w mojéj ojczyźnie nie wydaje się, tylko w jakiejś zaraz przyłączonéj postaci i przeto: patryo-

(1) Niektóre wyrazy, str. 173.—(2) Rzepicha, str. 27.—(3) Niektóre wyrazy, str. 15.—(4) Ktoś piszący z Warszawy, str. 8—12.—(5) Niektóre wyrazy, str. 161.

ta Moskal, patryota Prusak, patryota pieczeniarz, patryota przyjaciel jakiegoś dopiero patryoty, patryota arystokrata... Gdzież dopytać się patryoty w prawdziwéj jego istocie, którыby w potrzebie, wyciągającéj tego, następował sam przeciw sobie samemu dla dopełnienia publicznego dobra? Powierzchowne znaki nie są pewnymi przewodnikami prawdy: czapki patryotyczne z galonami zdobią patryotów i przystawują rogi prawdzie, gdy nakrywają głowę z zagorzałym rozsądkiem" (1).

W miejsce patryotyzmu panuje głupstwo. Jest ono w społeczeństwach ludzkich „w takiéj postaci, jak sieroty po zmarłych ojcach, co się do nich nikt nie przyznaje, atoli się wielu niémi opiekuje. Potrzeby tych sierot zastępuje powszechność... Żeby się wynieść nad ludzi w ich rozumieniu, żeby utworzyć o sobie szczególną opinię,—dosyć jest trochę szczęścia i trochę głupstwa, byle było głupstwem powszechném." Ten zdobywa sobie popularność w narodzie „kto daje wiele jeść i pić.., kto może sprowadzić na sejmik 3,000 szlachty i jeszcze kto długów narobi i z dłużnikami przewodzi w trybunałach..; kto najsilniéj wrzeszczy na obradach krajowych, nie mając zdania; kto się sprzeciwia prawdzie dla tego samego, że się może sprzeciwiać..; kto często powtarza urzędowania publiczne" (2). Nie odstępuje nas głupstwo od czasów owego Leszka, który przez wyścigi zasiadł na tronie. Wprawdzie elekcya jego jest tak pewna „jak niezawodna bytność w naturze hydry o siedmiu głowach, co ją Herkules zabił," lecz i w fantastyczném podaniu zdradza się rozum narodu. „Piękne przedsiewzięcie—powiada Jezierski—jeżeliby sobie Polacy chcieli byli wybrać konia na pana... Atoli na tém stanęło, że, nie mogąc się zgodzić na obranie książęcia, kazali nogom końskim wyręczyć rozróżnione w głowach swoich zdania" (3). „Polacy nie darmo głowy golą"—mawiał kanonik (4); zamęt zaś wewnętrzny Polski porównywał do królowéj rzek naszych. „Wisła, płynąc jednostajnie ziemią miękką od swego źródła, aż do ujścia, ma taką wolność nieograniczoną, jak stan szlachecki. Koryto jéj niejednostajne, jedne brzegi zatopione zalewem, drugie obrywane z ziemi; pełna w swojém dnie naniesionego przez siebie drzewa, brzegi jéj obrosłe topolą, niedostępne zaprzęgom bydła i koni, którymi należałoby statki prowadzić pod wodę... Wisła jest obrazem nieporządku krajowego i przeto przedtem zawsze szła środkiem królestwa, a dziś w wielu miejscach jest tylko jego granicą" (5).

(1) Tamże, str. 164.—(2) Tamże, str. 54, 34, 175.—(3) Tamże, str. 236.—(4) Listy Hugona Kołłątaja pisane z emigracyi. Poznań, 1872, t. II, str. 111.—(5) Niektóre wyrazy, str. 260.

Osobliwy naród polski posiada charakter: „u nas używaniem wszystkiego i odmianą wszystkiego rządzi moda“ nieprzyjaciółka „stateczności zwyczajów.“ Ponieważ stateczność owa stanowi narodowy charakter, a moda jest jéj przeciwną, wypada przeto, że cechą naszą „odmieniać charakter ustawiczny i zostawać bez niego“ (1). Posiadamy jednakże i inne właściwości odrębne, a trwałe. Dyffidencya t. j. „niedowierzanie, zatrzymanie ufności, podejrzliwość... w Anglii jest ruchem interesów krajowych; we Francyi najczęściéj się kończy powieszeniem choćby niewinnego człowieka; w Polsce jest zwłoką obrad krajowych (2)... Anglik rozgniewany porywa krucicę, Hiszpan puginał,—Polak batogiem każe orżnąć... Chińczyk i Anglik piją herbatę, Turczyn kawę, Włoch i Hiszpan czekoladę, Moskal gorzałkę, a Polak wszystko“ (3)... Nikt téż świetniejszych nie zażywa napojów od polskiego szlachcica. Pod względem dobroci wina Kraków przechodzi podobno wszystkie miasta Europy. Tutaj to najpierwéj wprowadzono chronologię do piwnic, kędy po sto lat przechowywane wina składają się z czasu, z balsamu i ognia, a Polak, zażywający zbytecznie tego napoju, jest najkosztowniejszym pijakiem na całym świecie... Zbytek w częstowaniu wygórował w naszym narodzie do najwyższego stopnia.- Marnotrawstwo, rozrzucając majątek, wyrabia uczty, gdzie się zjadają i spijają folwarki, wsie i włości... Piwnica, kuchnia, cukiernia jest tak ułożona dokładnie, że gdyby podobnie była ustanowiona cała Polska w swym rządzie, my byśmy byli zapewne najpotężniejszym w Europie narodem“... Jeżeli w czasie poobiednim pokaże się w trybunale który deputat trzeźwym,—„znajdzie się w sądowéj izbie jakby bonifrater między szalonymi... Trzeźwość, wyraz własny polskiego języka, ale jeszcze nie nazbyt własny polskiemu narodowi.“ Proponuje téż Jezierski ustanowienie takiego urzędnika „któryby przepisał miarę w gardle przeciw pijaństwu bez miary.“ Zresztą, biegłość szlachty w chronologii zjawia się wyjątkowo i stosuje się tylko do piwnic: podobnie jak kobiety szlachta jest nieprzyjaciółką ścisłości w rachubie. „Szlachta nie cierpi niedawności swojego szlachectwa, kobietom zaś zawsze nieznośna starość wieku. Pierwsza więc, przyczyniając lat, a drugie ujmując, chronologię psują“ (4).

Wyraz *człowiek*, oznaczający „osobę ludzką, musi być w języku polskim wyrażeniem zagranicznćm i obcém. Jeżeliby człowiek w polskim języku znaczył wspólnéj natury jestestwo,—musiałaby mieć Polska prawa człowieka, zabezpieczające jego własność i wol-

---

(1) Tamże, str. 17.—(2) Tamże, str. 31.—(3) Tamże, str. 16.—(4) Tamże, str. 115, 22, 229, 230, 128, 19.

ność"... Mamy za to arystokracyę—„przywłaszczenie rządu i przewodzenie bezprawne w postaci prawa... Arystokraci mają znaczenie w kraju nabyte niesłusznością, tak jak złodzieje mają dostatki nabyte kradzieżą... Dzieło zwycięzców jest albo ludzi zamieniać w martwe trupy, albo pozostałych w życiu obciążyć kajdanami niewoli. Z tego źródła zaczęli się rozróżniać ludzie od ludzi—jedni panujący, a drudzy ich niewolnicy... Polak uboższy względem majętniejszego jest nakształt sztuki kryształu, który na czém kto położy, taki zaraz rzeczy pokazuje na sobie kolor... Chłop widzi arystokratą szlachcica dziedzica, szlachcic widzi arystokratą pana, pan widziałby siebie samego arystokratą w zwierciedle, ale ten widok zaraz zakrywa zasłoną równości"... Pierwiastek arystokratyczny wprowadziliśmy nawet do zwierząt „bo jak są między ludźmi szlachta i pospólstwo, tak między stadami w Polsce są konie i szkapy." Szkapy przez ubogie wychowanie i wczesne zaprząganie stawszy się szczupłemi i małemi, stanowią u nas końskie pospólstwo „które i prace rolnicze i wywozy i sprowadzania rzeczy do miast zastępuje" (1).

Pozycyę szlachty dobrze maluje wyraz *dobrodziéj*, a chłopstwa *wy*. Że szlachcice świadczą sobie uczynność „łaską i skłonnością serca,"—są przeto sobie nawzajem dobrodziejami „jako z stanu uprzywilejowanego;" chłopski zaś ród, ponieważ cokolwiek jé, cokolwiek pije, czemkolwiek się odziewa, wszystko to jest owocem potu i pracy jego, więc prostota wyrazu *wy* przypomina mu podwojenie w jednéj osobie, t. j. człowieka i pracującego. Chłop więc pracowity mówi do chłopa *wy*, t. j. ty i praca twoja, a szlachcic do szlachcica mówi *jegomość dobrodziéj*, t. j. ten człowiek, który z dobrodziejstwa jest majętnym i z dobrodziejstwa moim dobrodziejem... Polska nazywa się *gratis* wolnym narodem, w któréj samo tylko pokolenie szlacheckie zostaje wolném... Polak, zaszczycony nieograniczoną wolnością, zawsze mający zdolność wolą swoją budować albo przewracać sprawiedliwość, a to wszystko w pozorach jakiegoś poważnego prawa,—przeto od przewodzenia jego i przemocy nazwano go wiele mogącym i stąd utworzył się wyraz czci jego—*wielmożny*... Całemu narodowi wiadomo, jak wiele domów, posiadających najpierwsze dostatki i dostojeństwa kraju, pochodzi z mieszczan krakowskich... Zdaje mi się, że ziarnko, dobyte z orzecha stłuczonego, gdyby miało rozum i serce, miałoby czułość dla swojéj pierwszéj łupinki" (2).

---

(1) Tamże, str. 23, 8, 39, 134, 9, 214.—(2) Tamże, str. 82, 76, 255, 118.

Spostrzega Jezierski niezwykłe w kraju zepsucie: „przyszła—powiada—do téj przewagi ułomność ludzka, że zbrodniom samym, aby ich obrzydliwość złagodzić, pozorniejsze ponadawała nazwiska. Szalbierstwo i oszukane nabycia nazwano faciendą, wciśnienie się na urząd mimo prawo — patryotyzmem, przemoc tyranii sąsiedzkiéj — prawodawstwem, zdradzenie ojczyzny—intrygą, wyrabianie wyroków niesłusznych w sądach—forsą, wyśmiewanie religii—filozofią, niewierzenie w żywot wieczny — mocnym rozumem, a ci wszyscy, którzy to doskonale pełnią, zowią się do tego poczciwymi ludźmi“ (1). Przy lustracyi dóbr królewskich „kto posiada dochody—będzie mieć zysk; skarb rzeczypospolitéj będzie mieć oszukanie, chłop przepisaną powinność, dopóki mu nie przyczynią jéj więcéj, a dla sumienia lustratorom dostanie się krzywoprzysięstwo i honoraryum...“ Utrzymujący regestrantów dla ściślejszego dozoru majątku „tak robią, jak ci owczarze, co trzymają wiele psów dla straży owczarni, a te same psy zjadają owce... Kradną najpierwéj skarby publiczne i tam to są arcy złodzieje, złodzieje za przywilejem i urzędem; kradną słudzy książąt i panów i jeszcze za to są zapłaceni. Wszyscy zaś złodzieje biorą regestra, rachunki, likwidacye, kwity, tak jak maski na reduty, żeby ich nie poznano... Dekret *potioritatis* jest jak strzała, z cięciwy wypchnięta: zawsze wylata z sądu, ale niezawsze trafi w sprawiedliwe zadosyćuczynienie wierzycielom...; droga do wyszukania sprawiedliwości jest ścieżką labiryntu, a sądy, mające być wskazówką do pokazania słuszności, są poplątaną nitką, na któréj węzełki różna ręka pozadzierzgała“ (2). Za podnietę zaś do występków i zbrodni służy amnestya „filozofii stoików, punkt cierpliwości, obrócony w konstytucyę rządu polskiego, gdy podczas bezkrólewia wyrządzone rabunki, zabójstwa, spalenia domów, insze gwałty i uciski rzeczpospolita przebacza, pokazując w powadze rządu łaskawość, a w krzywdach obywatelskich cierpliwość“ (3). „Amnestya w Polsce tak ściśle należy do wolnéj elekcyi królów, jak łupinka do ziarnka orzecha“ (4).

Nie przebacza Jezierski instytucyom i współczesnym robotom sejmu. „Akademia krakowska, będąc córką Sorbony, musi być bardzo spokojném dziecięciem, ponieważ o niéj nikt nic jeszcze dotąd ani źle, ani dobrze nie powiedział“ (5). „Alianse — powiada z okazyi zawartego 29 marca 1790 r. przymierza z Prusami — to samo są w polityce, co w naturze widoméj rośliny. Są jedne potrzebne i pożyteczne, jako zboża i warzywa, stosowne do klima,

(1) Jarosza Kutasińskiego uwagi, str. 35. — (2) Niektóre wyrazy, str. 126, 185, 168, 147. — (3) Katechizm, str. 23. — (4) Niektóre wyrazy, str. 8. — (5) Tamże, str. 4

do potrzeb i do pracy człowieka; są rośliny znowu ozdobne, przyjemne, wymyślne, kosztowne, ale nieprzynoszące pożytku, jako to: aloesy, pomarańcze, cytryny i insze... Alianse i ananasy są w Polsce osobliwszą nowością na końcu XVIII wieku" (1). Dają okazyę do żartu utworzone: w listopadzie 1788 r. Komisya wojskowa, a prawem z 19 listopada i 15 grudnia 1789 r. Komisye porządkowe cywilno-wojskowe. Są—powiada—urzędy cywilne i wojskowe, w naszym zaś narodzie powstał gatunek trzeci, t. j. Komisye cywilno-wojskowe. „Ojczyzna moja tak robi, jak matka powszechna natura, w któréj są zwierzęta wodne, są zwierzęta ziemskie i są nakoniec razem wodno-ziemne" (2). „Buława, sukcesorka maczugi Herkulesa, znak władzy i dostojeństwa hetmanów wielkich koronnych i litewskich, że była sprzętem potrzebnym, a mogła być uciążliwym, podstawiła rzeczpospolita do piastowania jéj więcéj rąk w Komisyi wojskowéj, aby nie obciążać hetmanów" (3). Z powodu ustanowionego 26 marca 1789 r. podatku pod nazwą ofiary dziesiątego grosza zaznacza słusznie: „jako ofiary bywają dawane rozmaitą wolą w religii, tak i z ofiarami podatku dzieje się podobnie w Polsce;" czemuż—pyta—opłacane trzydzieści groszy od sta przez posiadaczy królewszczyzn, są ofiarą zamiast całopalenia? (4). Niezbyt mocno wierzy w skuteczność usiłowań sejmowych i różowéj przyszłości nie wróży. „Jakim się sposobem to dzieło czyni i jak się w skutku uiści, tego zgadnąć nikt gruntownie nie zdoła, ponieważ zamysły radzących na sejmie są tajemnicą względem tych, co nie radzą, a skutek obrad sejmowych, że zawisł od przyszłości, znowu jest tajemnicą tak dla tych, co radzą, jak i dla tych, o których radzą" (5). „Francya, czyniąc nowy rząd i Polska, poprawując rząd stary... są dziś najpierwszemi aktorkami. Pierwsza odprawiła tragedyę, druga do komedyi przystępuje" (6).

Prawdę należy, według Jezierskiego, głosić bezwzględnie, bo „im ludzie są jéj sprzeczniejsi, tém jéj obwieszczenie potrzebniejsze dla ludzi... Książki to są weksle prawdy i nieprawdy, mające wypłacać wiadomość w potomności... Są książki drukowane bez imienia piszących i są dziełami prawdy; są znowu dzieła podpisane imieniem piszących, w których nie we wszystkiém przebywa prawda. Owóż prawda może się obejść bez autorów i autor może się obejść bez prawdy. Piękny rozwód, po którym autor nie traci tytułu autora, tak jako rozwódka nie porzuca imienia swego przeszłego męża, choć nie było między niemi małżeństwa." Skarży się Jezierski

---

(1) Niektóre wyrazy, str. 7.—(2) Tamże, str. 20.—(3) Tamże, str. 15.—(4) Tamże, str. 153, 26. — (5) Ktoś piszący z Warszawy, str. 4. — (6) Niektóre wyrazy, str. 6.

na dykcyonarze, że „obwieszczają wiadomości w słowach, a żaden się z nich nie zatrudnia, aby wyrazy, niedobrym nałogiem przyjęte, które w znaczeniu rzeczy pomieszały prawdę z nieprawdą, poprzestawiać i poprzywiązywać w swojém naturalném znaczeniu... Mówi się: ten człowiek dobrego urodzenia. Niedobry podług prawdy ten wyraz, bo on się urodził z ojca i matki szlachetnie, ale niedobrze, bo się urodził kulawy i krzywy. Owóż potrzebny by był dykcyonarz słów polskich, coby uczynił rozgraniczenie prawdy od nieprawdy w naszym języku“ (1).

Wątpi, żeby skutecznym krzewicielem prawdy był teatr. „Wielki odnowiciel najlepszych komedyi we Francyi dał to hasło, ozdabiające sztukę swoją: *ridendo dicere verum quid vetat*... Jabym twierdził, że przeszkadzać powinna sama święta powaga prawdy. Ja cnotę i prawdę tak uważam — kto jéj szuka na teatrum — jak uważam tych rodziców, którzyby miasto piastunki małpę sobie przyjęli do piastowania dziecięcia. Ta bestya zręczniéj może dziecię piastować, ale pewne jest niebezpieczeństwo, że je podrapie albo zagniecie... Nie widział jeszcze nikt w żadnym narodzie poprawy obyczajów po teatralnéj misyi... Nie wiem, co okropniejszego dla cnoty, czyli widoki okrutne u Rzymian, czyli téż nasze miłosnomoralne... Gdy więc widoki teatrów pożyteczne dowcipowi i zabawie, a szkodliwe obyczajom i sercu, — przeto zabawy teatralnéj nikt nie powinien utrzymywać i wyprawiać, tylko osoby najmajętniejsze w narodzie w swoich domach... Ponieważ panowie dają jeść i pić dla tego, że są panami,—czemu nie mają także bawić widokami dla tego, że są panami?“ Zaznaczając szkodliwość teatru dla obyczajów, uznaje dodatni wpływ jego na kształcenie języka. „Nasz naród najpóźniéj przystąpił, aby mieć widoki, odprawiające się we własnym języku, bo téż my naszego języka zażywaliśmy tak właśnie, jak w odzieży zażywają kaftana. Kaftan jest postać sukni, najbliżéj tylko należącéj do ciała, inne zaś odzienie jest i dla okazałości i dla ozdoby w stroju. My języka narodowego tylko zażywali na wewnętrzne potrzeby w życiu społeczném, nigdy go nie pokazując w potrzebach powszechnych towarzystwa. I dla tego kancelarye łacińskie, mustry rejmentów niemieckie, mowy w obradach sejmowych na pół łacińskie i polskie, teatra po włosku lub po francusku. A zatém, gdy Polak po łacinie się sądził, srokatym językiem radził, po niemiecku wojował, po włosku lub po francusku się bawił, — więc dla ojczystego języka nie zostało się nic więcéj,

---

(1) Niektóre wyrazy, str. 24, 27!, 9, 32, 33.

tylko rozmowa jednego z drugim i kazanie w kościele. Zdaje się więc potrzebą dla wzmocnienia poezyi ojczystéj i dla wydoskonalenia języka, że ten sposób zabawy jest pożyteczny w widokach teatralnych“ (1).

Najtrwalszy wpływ na człowieka przyznaje naukom, bo „są one w udzielaniu się swojém nakształt ognia, którego nie zawsze ubywa, choć od niego zapalają rzeczy insze“ (2); za najważniejsze zaś źródło złego uważa nieznajomość samego siebie. „W każdym rodzaju błędów pierwszą jest przyczyną i skutkiem niepoznawanie siebie i to jest w społeczeństwach wyrabianie ucisku, nierządu i niesprawiedliwości, że każdy ubiega się do wszystkiego i u każdego ten wyraz osoby jego: *ja* tajemnicą zostaje. Szczęśliwy byłbym na świecie między ludźmi, gdybym rozumem poznawał, co jestem, a serce moje i miłość własna aby mi nie tak była uprzykrzona, że jestem *ja*.“ Każdy swoje *ja* ubiera w nazwiska, pod któremi niełatwo często odszukać jestestwa człowieka. „Francya pośród licznych nazwisk szlachty, hrabiów, markizów, duków ledwo się docisnęła do prawa człowieka i ozdoby nazwisk jaśnie wielmożnych, jaśnie oświeconych musiały pierwéj wstąpić na latarnie paryskie, aby ich światło pokazało, co to jest za imię człowiek“ (3).

„Wszystko przemija, ustaje i ginie, a sama wielkość imienia zostaje wielkością człowieka: tak, gdy zniszczy ogień ofiarę, sama się zostaje postawa ołtarza... Ci, którzy przedemną i nademnie wyniesieni zostali, także się już zbliżają do śmierci. Tak złoty wiek, jako i żelazny zegarek, równo skończy swój obrót, skoro przyczyna tego ruszenia ustanie. Więc śmiało postępować do téj sprawy w naturze, co się zowie umierać!.. Co jest w naturze rzeczą powszechną, musi się wydawać znośną“ (4).

W sprawach ludzkich więcéj Jezierski widzi dziwactwa, niż logiki, więcéj anomalii, niż zgodnych z przyrodzeniem objawów. Radzi też nazywać dzieje człowieka historyą nadnaturalną „jako przeciwne czystym wyobrażeniom prawdy.“ „Tam, gdzie stwórca natury utrzymuje swoje prawa przyrodzenia w granicach — jest historya natury; tam zaś, gdzie człowiek, namiestnik stwórcy, wolą swoją własną sprawuje dzieła,— tam historya spraw jego nie jest historyą natury, ale historyą dziwactwa“ (5).

Uderza w luźnych Jezierskiego uwagach bystrość spostrzeżeń, niezwykły dowcip, nierzadko paradoksalność, błyskotliwością swoją

---

(1) Niektóre wyrazy, str. 101—105.—(2) Tamże, str. 140.—(3) Tamże, str. 80, 84. (4) Tamże, str. 85, 244, 242. — (5) Tamże, str. 74.

pokrywająca mylność założenia lub wniosku. Paradoksalność owa w całokształt poglądów Jezierskiego na stosunki ludzkie i życie wprowadza niekiedy dysonanse, których po daleko sięgającym umyśle trudno się było spodziewać. Jest autor *Katechizmu* postępowym i radykalnie nawet, a jednak niektóre zapatrywania jego zdradzają nałóg lub księdza. Był niewątpliwie takim deistą, jak Kołłątaj lub Staszyc, bardziéj jednak akcentuje religijność swoją, niż tamci; należał do najmocniejszych pesymistów, a przecież ośmnastemu wiekowi wyrzucał, że wątpi (1). Oprócz tego, przy całym radykalizmie, dotyczącym sfery stosunków polityczno-społecznych, Jezierski w kwestyach natury cywilnéj trzyma się na stanowisku legalném i broni prawa. Jak pod innymi, tak i pod tym względem w zgodzie jest z Kołłątajem, według którego własność człowieka, w jakikolwiek nabyta sposób, jest świętą.

„Rozum ludzki—pisze Kołłątaj (2) — dwóch już wielkich dopełnił zamiarów: poznał co jest fanatyzm i prawie go do reszty wytępił; poznał co jest despotyzm i silnie około poniżenia onego zaczął się krzątać. Przychodzi dzisiaj pod uwagę ludzi własność gruntowa, względem któréj czyli się jakie popełnią gwałtowności, czyli nierozsądne przepiszą prawa,—można przepowiedzieć, że to będzie nasieniem okropnych rewolucyi, silniéj powstających przeciwko właścicielom ziemi, jak były one, co na fanatyzm i despotyzm powstawały. Miliony ludzi są bez własności ziemi, miliony ludzi przypomną sobie gwałtowne jéj wydzierstwo. Nietrzeba, tylko uśpioną pogorszyć spokojność; nietrzeba, tylko prawa posesyi osłabić; nietrzeba, tylko pokazać drogę, że dla potrzeb publicznych wolno jest własność szczególną odbierać,—maksyma ta rozciągnie się zbyt daleko i najokrutniejszy cios zadać może najprzód wszystkim politycznym ustanowieniom w ogólności, a potém wszystkim ludziom, którzy zbyt rozległą własność gruntową posiadają. Dziś stan jeden przeciw drugiemu rzeknie: „odbierzmy własność funduszową na wojsko, ażeby szlachcic mniéj opłacał podatku; czemuż? — bo własność funduszowa jest nadaniem dla ustanowienia politycznego, bo takowa własność nie ma dziedziców, ze krwi pochodzących, ale tylko z powołania i potrzebnych w towarzystwie obowiązków." Przyjdzie czas, kiedy miliony ludzi rzekną: „odbierzmy na potrzebę naszą i publiczną dobra szlachty, bo stan szlachecki jest ustanowienia politycznego, bo stanu tego powinności ustały, bo stan ten posiada zie-

(1) Ktoś piszący z Warszawy, str. 10. — Niektóre wyrazy, str. 110, 119.
(2) Prawo polit. n. pol. Warszawa, 1790, str. 144.

mię zawojowaną, a zatém cudzą, bo—nareszcie—znośniéj jest zastąpić potrzeby publiczne cudzą własnością, bo posiadanie zbyt rozległéj ziemi jest niewygodne dla tych nawet szlacheckich familii, które jéj nie posiadają.“

Jezierski nie uzasadniał w téj kwestyi swych widzeń, nie z innych jednak pewnie motywów manifestował się przeciwko uchwale z 17 lipca 1789 r., obracającéj dobra biskupstwa krakowskiego na potrzeby krajowe (1). Ze stanowiska legalizmu nie schodząc, warunkowo tylko przystaje na kasatę klasztorów. „Prócz plebana i biskupa—pisał Staszyc (2)—każdy inny duchowny jest niepotrzebny, a tém samém szkodliwy“; Jezierski przyznaje, że wielość zakonników „zbyteczna powinna się zmniejszyć, ale za pośrednictwem téj władzy, która poświęca i potwierdza ich powołanie.“ Wogóle, w sprawie duchowieństwa autor *Katechizmu* nie przestaje być księdzem: drażnią go zarzuty, wymierzane przeciwko klerowi (3); „mówić przeciwko zakonom—powiada—nie jest patryotyzmem, ani miłością prawdy, ale tylko nałogiem“ (4).

Pomimo tego, należy Jezierski bezsprzecznie do najdzielniejszych publicystów postępowego obozu. Biegły w dziejach krajowych i obcych, wykształcony filozoficznie, śmiały a dowcipny i bystry, rozporządzający świetnemi porównaniami, które mu nasuwała najczęściéj przyroda,—pod względem lotności nie ustępuje Kołłątajowi, a nieskończenie przewyższa retoryzującego Staszyca. Przeciąg lat dwóch strawił na gorączkowéj walce podjazdowo-odpornéj, do któréj go ciągnęły zdolności i skłonność: wystąpienie zbyt późne, a śmierć przedwczesna, nie pozwoliły mu wychylić się po za szranki okolicznościowych lubo ważnych utarczek. Służył prawdzie, jaką podawał duch wieku i w którą wierzył; chłostał przesądy i biczował niecnotę, nie zważając na okoliczności i ludzi. Z okazyi czynionych Jezierskiemu zarzutów, że pisał paszkwile (5), trzeba pamiętać, że w namiętnéj szermierce podczas sejmu wielkiego nikt podobnymi środkami nie gardził, a zresztą, autor *Wypisu z kroniki Witykinda* ku przestrodze dla kraju demaskował łotrów i odsłaniał prawdę najczystszą. Nie zalegały też pisma Jezierskiego w spokoju półek

---

(1) Ktoś piszący z Warszawy, str. 12. Wobec tego uwaga Pilata (*l. c.* str. 184), że Jezierski „przynosił z obczyzny i szerzył zarazę socyalizmu“ jest bez żadnéj podstawy.

(2) Przestrogi dla Polski, str. 175.

(3) Jarosza Kutasińskiego uwagi, str. 8.

(4) Niektóre wyrazy, str. 279, 281.

(5) Wolski, *l. c.* str. 93.

księgarskich: świadczą o tém dwa wydania *Niektórych wyrazów* i *Rzepichy*, a cztery *Katechizmu*, świadczą i przechowywane po bibliotekach, sporządzane przez współczesnych odpisy (1).

Nie doczekał dzielny kanonik owocu pracy: przed ogłoszeniem ustawy 3-go maja, w lutym 1791 r. w domu przyjaciela „skończył wypracowane swe życie.“ Umarł „w samym biegu chwały, za którą się uganiał“ — powiada Wolski (2) — a Kołłątaj w nim stracił „największą pomoc.“ „Aby posypał kwiatami grób swojego pomocnika“, ogłosił Kołłątaj z rękopisu *Niektóre wyrazy, porządkiem abecadła zebrane*, do których o życiu, pismach, charakterze i skonie autora kilka cennych dołączył szczegółów. „Dzieło to — powiada w przedmowie — jest ostatnie, którém się autor w czasie swéj choroby zatrudniał i bawił; z niego najlepiéj czytający poznają wesoły i spokojny umysł piszącego, w niém dostrzedz można ten wysoki pokój duszy, który go bez najmniejszéj lękliwości zbliżał do przyjęcia wyroku śmierci. Każdy czytający z chwalebną zazdrością pomyśli pewnie, jaki jest wielki dar sumienie, od niespokojności wolne, które w niczém dobrego sposobu myślenia naszego przerobić nie potrzebuje; ten sam ton, taż wesołość, ten sposób myślenia, który w najczerstwiejszém zachowywał zdrowiu, w równéj dzielności do ostatniego dotrzymał tchnienia. Pisarzem można być więcéj lub mniéj dobrym, w miarę talentu; lecz spokojnie umierać nie można, tylko w miarę cnoty i pokoju duszy.“ Porównywa Kołłątaj Jezierskiego do Sterna, „który będąc najlepszym kaznodzieją, w wielu pismach swoich zostawił nam charakter najweselszego i najdowcipniejszego pisarza;“ nie przemilczał jednakże i o dostrzeżonych w pismach nieboszczyka usterkach. „Wielkie dowcipy—powiada—rzadko kiedy tyle miéć mogą cierpliwości, ażeby myślom swoim dokładnéj dojrzałości pozwoliły; z tém wszystkiem oddać potrzeba sprawiedliwość zmarłemu pisarzowi, że chociaż w ciągu dzieł jego wiele dostrzedz można zaniedbania, są jednak w nich tak rzadkie i zadziwiające myśli, że je czytać będzie z ukontentowaniem odległa nawet potomność.“

Przez wydanie *Niektórych wyrazów* i zamieszczoną na ich czele przedmowę, pamięci przyjaciela zrobił Kołłątaj przysługę rzetelną. Jego też pewnie staraniem na cmentarzu świętokrzyskim przy ko-

---

(1) Biblioteka Jagiellońska posiada *Katechizm* we własnoręcznym odpisie Jana Śniadeckiego i dwa egzemplarze *Wypisu z kroniki Witykinda* (Wisłocki. *Katalog rękopisów bibl. uniw. jag.* N. 3159, 3349, 1819). Nie mogąc znaleść drukowanego egzemplarza *Wypisu*, korzystaliśmy z rękopisu N. 1819.

(2) *L. c.* str. 92, 93.

ściele św. Barbary w Warszawie przygniotła grób „Wulkana gromów kuźnicy“ skromna płyta kamienna z napisem:

D. O. M.
P. A. R. D. FRANCISCUS
JEZIERSKI.
Cano: Coad: Crac: et
Calisie:
Annor: 51. Obiit.
D: 14 Febr: 1791 Anno.

Władysław Smoleński.

BIGARREAU.

I.

Budowano dom poprawy. Zarząd więzienny postanowił zmniejszyć o połowę liczbę osób znajdujących się w zakładzie w Cl....., przenosząc kobiety tam będące gdzieindziéj, a główny inspektor oznajmił, iż budynki starego opactwa Auberive odpowiadałyby znakomicie zamiarom ministra. Skutkiem tego, rząd zakupił dawną siedzibę Cystersów, zaprzątnięto się gorliwie jéj przeróbką, zastosowaną do nowego przeznaczenia, ku wielkiéj rozpaczy mieszkańców mieściny, którym wcale nie uśmiechało się posiadanie domu poprawy w sąsiedztwie. Dyrektor więzienia w Cl..., pragnąc niewypowiedzianie pozbycia się swych żeńskich więźniów, napędzał do roboty z niecierpliwością gorączkową; a ponieważ jego mieszkanie było odległem od Auberive zaledwie o mil ośm, przepędzał więc pół dnia, na rusztowaniach rozpoczętych budowli, przyglądając się grubym murom, napędzając architekta, potrącając dostawców i doprowadzając do wściekłości robotników.

Dyrektor był to człowiek silnéj budowy, krępy, z twarzą handlarza murzynów, mocno rumianą, ospowatą, ożywioną parą szarych oczu, przenikliwych, zimnych jak stal i dziwnie energicznych, z czupryną kędzierzawą, siwiejącą. Zanim budowle będą dostatecznie wykończone dla pomieszczenia kobiet, postanowił sprowadzić pięćdziesięciu młodych więźniów, aby użyć ich do splantowania ziemi; właśnie oczekiwał ich tego wieczora.

Przechadzając się po drodze wznoszącéj się po nad doliną Aube, objaśniał korzyści, mające wyniknąć z jego pomysłu, panu Yvert, nadleśnemu, z którym obiadował zwykle w jedynéj oberży w Auberive.

— Wkrótce przybędą, mówił on z naiwną dumą fachowca; za kwadrans będą tutaj... idą z Cl..., piechotą, pod opieką dozorców,

i przekonasz się pan, jak te dzielne chłopaki pracują!... Wyglądają doskonale.., i szczęśliwi!

Uśmiech zadowolenia błąkał się po jego wąskich wargach przeciętych blizną, gdy ścinał osty swą bambusową laską o gałce z kości słoniowéj.

Wkrótce potém, w kierunku wioski Bay, na drodze wzniósł się tuman kurzawy na tle zachodzącego słońca. Dyrektor przysłonil oczy swą szeroką dłonią o palcach grubych i guzowatych, poczém wykrzyknął tryumfująco:

— Otóż są!

Nie mylił się. Postrzeżono ich wkrótce wychodzących z poza tumanów kurzu. Szli po czterech w rzędzie, starsi najprzód, młodsi w końcu, a dozorcy w odwodzie. Wśród krzewów zieleniejących przy drodze, orszak ten rysował się wyraźnie, oświecony skośnemi promieniami chylącego się słońca, i zbliżał widocznie do murów starodawnego opactwa. Gdy byli już dość blisko, na znak dany przez głównego dozorcę zaintonowali pieśń, w któréj była mowa o szczęściu w pracy i o pięknościach natury. Obciśnięci w swych kurtkach jednostajnych, z czapeczką okrywającą im aż do uszu głowy ogolone, podnosili miarowo nogi pokryte kurzem i defilowali jak wojsko przed dyrektorem i jego towarzyszem. Wszyscy mieli oczy z szacunkiem w dół opuszczone i wykrzykiwali automatycznie swój śpiew obowiązkowy:

Słońce świeci, kwitną zioła,
Więc ruszajmy przyjaciele,
Praca nas na łąkę woła!
Kto się modli i pracuje,
Zdrów i wesołym się czuje.

Na pierwszy rzut oka, te wszystkie twarze dziecięce wydawały się odtworzone podług jednego i tegoż samego typu; jednakowe wejrzenia pokornie skryte jak u psa bitego, taż sama żółta obrzękłość twarzy, też same ruchy mechaniczne, taż sama przymusowa wesołość.

— Nieprawdaż, co za miłe chłopcy? wykrzykiwał dyrektor, uderzając o ziemię bambusową laską; przeszli mil ośm... ha, ha! jakoś nie znać tego... Oto, każdy rzeźwy, świeży jak róża i wesoły jak ptaszek.

Rzeźwemi może byli, chociaż niektórzy postępowali z trudnością. Co zaś do wesołości, nadleśny Yvert wiedział wkrótce, co myśléć o tém. Kiedy dyrektor rozmawiał z głównym dozorcą, jeden z młodych więźniów pozostał w tyle i zatrzymał się, jakby chcąc

się przyjrzéć nadleśnemu. Na jego twarzy piegowatéj odbiło się nagłe zmieszanie radośne, a oczy niebieskie zabłysły na chwilę...

— Numer dwudziesty-czwarty! krzyknął ostro dozorca, czemu pozostałeś tam niedołęgo!... No, daléj do szeregu, i trochę prędzéj, rozumiesz!

Rysy młodego przestępcy spochmurniały, a Yvert baczne rzucając na niego wejrzenie, przeraził się wyrazem dzikim, przeżytym, i chytrze uległym, jaki przybrała nagle wybladła twarz niedorostka. Śpiewając wciąż, szereg cały wkroczył na podwórze opactwa i żelazne, okratowane wrota, zamknęły się brutalnie za gromadą młodych przestępców;—ale wspomnienie téj twarzy bladéj i wyrazistéj, dostrzeżonéj przez chwilę w czasie pochodu, wyryło się głęboko w umyśle nadleśnego.

Wieczorem, gdy wrócił do domu, myślał o tém jeszcze bezwiednie prawie. Wydawało mu się, iż widział gdzieś poprzednio głowę—przypominającą mu numer dwudziesty, czwarty; ale wspomnienie to było tak niejasne, tak dalekie, iż nie mógł odnaleść w swéj pamięci nazwiska, wiążącego się z tą postacią.

Była to rzecz małéj wagi, i nazajutrz, zapomniał o niéj.

W parę dni potém, gdy spożywał śniadanie sam jeden, oberżystka, dość wymowna z natury, usługując mu zapytała:

— Panie Yvert, czyś pan widział dzieci pracujące w więzieniu?...

— Tak; więc co?

— Otóż! jeden z nich poznał pana przechodząc, ponieważ pochodzi z tejże saméj okolicy, co i pan.

Yvert przypomniał sobie znowu niebieskie oczy szeroko rozwarte i twarz pomieszaną numeru dwudziestego-czwartego. Z pewnością to musiał być ten. Ale naprożno grzebał w swéj pamięci, nie mógł odnaleść dokładnéj wskazówki, objaśniającéj go co do tego dziecka z jego rodzinnych, które dziwną koleją losu trafiło do domu poprawy. Zaintrygowało go to jednak, bardzo i wyraził chęć przyjrzenia się bliżéj owemu młodemu a przedwcześnie dojrzałemu współziomkowi. Rzecz była łatwą, oberżystka pozyskała względy głównego dozorcy, i przyrzekła Yvert'owi, że za pośrednictwem tegoż, przyprowadzi mu nazajutrz więźnia o którym była mowa.

Wieczorem, przybył na obiad dyrektor domu poprawy, zachwycony dobrém postępowaniem „swych dzieci.“ Nie mógł się o tém dosyć nagadać.

— Zachwycają mię prawdziwie, powtarzała, jednak, panie, mamy tu przed sobą same wyrzutki społeczeństwa. Znajdują się między nimi zbrodniarze i podpalacze, którzy zmienili się na słodkich

i uległych baranków. Oto jest rezultat naszéj dyscypliny fizycznéj i moralnéj!... Ze stworzeń przewrotnych wytwarzamy użytecznych pracowników, tak jak się wyrabia dobre i cienkie sukno z najnędzniejszych okrawków. Powiadam panu, że rozwiązanie kwestyi społecznéj tu właśnie się znajduje!... A może téż i rozwiązanie kwestyi ekonomicznéj... Moi dzielni chłopcy kosztują rząd dziennie pięćdziesiąt centymów każdy, kopią ziemię jak robotnicy, którym musielibyśmy płacić po trzy franki... Zmniejszenie płacy robotnikom i umoralnienie naszego rodu, oto prawdziwy postęp ludzkości!

Nadleśny już miał na końcu języka pytanie, tyczące się numeru dwudziestego-czwartego; ale pomimo swych zasad humanitarnych, dyrektor ze swém ostrém wejrzeniem i wargą przyciętą, nie wzbudzał w nim zaufania. Obawiając się ściągnąć, na swego tajemniczego współziomka uwagę tego strasznego apostoła postępu, karności i pracy z jak najmniejszym kosztem, postanowił czekać i wywiedziéć się osobiście.

Nazajutrz, słowna oberżystka wprowadziła do pokoju Yvert'a chłopca piętnastoletniego z którym pozostawiła go sam na sam. Był to numer dwudziesty-czwarty. Wybladły i pełny, obciśnięty w swym mundurku więziennym, stał z czapeczką w rębu przed nadleśnym. Głowa jego pokryta jasnemi włosami, ostrzyżonemi krótko, miała pozór kuli, oczy niebieskie, przebiegłe spadały i podnosiły się naprzemian, jak gdyby ich właściciel chciał zbadać i przeniknąć Yverta zanim się mu zwierzy.

— Pan mnie nie poznaje? zapytał nakoniec głosem niepewnym i gardłowym; przecież nie jedną usługę panu oddałem gdyś zamieszkiwał Villotte!

Nagle odżyły zamierzchłe wspomnienia nadleśnego.

— Bigarreau! wykrzyknął.

Przypomniał teraz sobie tego urwisa ośmioletniego, z włosami jak len jasnemi, rozczochranemi, wałęsającego się po ulicach małéj mieściny, odzianego w brudną koszulę i spodnie w strzępach, noszącego jednak te swoje łachmany z niedbałością i humorem dziwnie zabawnym. Policzki wydatne i różowe, usta koloru wiśni zjednały mu nazwę „Bigarreau", które mu nadali mieszkańcy tameczni. Urodzony z ojca nieznanego i z jakiejś biedaczki, która zaniedbywała go zupełnie, żył na ulicy, uprawiając setki rzemiosł, z których najzaszczytniejsze polegało na noszeniu czułych bilecików od młodych ludzi do gryzetek z przedmieścia. Latem, w czasie sezonu kąpielowego, siedząc w cieniu nad brzegiem rzeki, pilnował ubrania kąpiących się, paląc papierosy i śmiejąc się na całe gardło, gdy jaki

pływak nowicyusz, gubiąc pas bezpieczeństwa, mimowoli napił się wody.

Zimą chronił się do szopy handlarza kasztanów; szczepał drobniuchno drewka, podtrzymywał jasny płomień pod piecykiem i chwytał od czasu do czasu kasztany pieczone, które najprzód rozgrzewały mu ręce a potém zaspokajały naglące wymagania próżnego żołądka. Wszystkie te szczegóły powstawały teraz wyraźnie w umyśle Yvert'a. Przyglądał się téj twarzy obrzękłéj, z któréj znikły koloty różowe a natomiast pobyt w więzieniu wycisnął już w około oczu, w kątach ust, piętno przedwczesnego zepsucia. Zapytywał sam siebie, czy posyłając niegdyś tego ośmioletniego dzieciaka, z listami miłośnemi do biednych wyrobnic mieściny Villotte, i podtrzymując go w tém zamiłowaniu do włóczęgi, czyż on sam, nie popchnął go na tę drogę wiodącą do domu poprawy... Czul się nawpół odpowiedzialnym za to zbyt wczesne zepsucie i powodowany popędem litości, patrzył prawie ze współczuciem na młodego urwisa, który przestępował z nogi na nogę, obracając w milczeniu czapeczkę w rękach.

— Jakto, więc to ty, Bigarreau? powtórzył.

— Tak, to ja! odpowiedział więzień, i twarz jego rozjaśniła się uśmiechem a oczy nabrały pewności.

— Mój biedny chłopcze, jakże więc trafiłeś do więzienia?

— Ach! ba; odezwał się Bigarreau, bez najmniejszego pomieszania: nie miałem szczęścia!... Pan wie, iż w lecie pilnowałem zwykle odzieży osób kąpiących się w La Brèche?...Pewnego dnia wstrząsnąwszy jakiemiś spodniami, wyrzuciłem dukat pięcio-frankowy... Nigdy nie widziałem tyle pieniędzy, paliły mi ręce... W głowie mi zakołowało, schwyciłem pieniądz i uciekłem... To prawda, iż zaledwie umieściłem go w méj kieszeni, chciałem wrócić się i położyć napowrót... Na nieszczęście dostrzeżono mię, złapano i hola! pod klucz, potém do sądu, gdzie sędziowie skazali na pozostawanie w klatce aż do dwudziestego roku życia... Ot, co to znaczy nie mieć szczęścia, nieprawdaż?

Prawil to głosem ochrypłym, z pewnym wyrazem obojętności i bezczelności. Yvert zapytał, jak mu się podoba tryb życia tak zachwalany przez dyrektora. Wówczas odął usta, twarz mu spochmurniała i skrzywił się znacząco.

— Do licha! wcale to nie jest zabawném!... popędzili nas z Cl..., piechotą, o jednéj zupie na pusty żołądek, i od czasu jak przybyliśmy pracujemy nieustannie nad skopywaniem gruntu w pobliżu lasu, tam gdzie ma być cmentarz więźniów. Dziesięć godzin kopać ziemię wśród spiekoty słonecznéj! I do tego jeszcze, źle karmieni;

groch szablasty na każde danie, a jako deser szturchańce. Dozorcy walą jak opętani!... Ach panie, czemu przeminął ten czas, kiedy wałęsając się nad brzegiem rzeki, przyglądałem się wodnym pająkom, przeciągającym swe członki w strumieniu... Ja także pragnąłbym bardzo przeciągnąć swe członki... Ale pan dyrektor nie rozumié tego; nie chce aby mówiono, iż nudzą się w jego pudełku... „Chłopcy świeże jak róże, wesołe jak ptaszki.“ Każe śpiewać, aby się wydawało, żeśmy szczęśliwi jak pieszczone gagatki. Co za komedya! i pomyśléć sobie, że jeszcze mam przed sobą lat pięć!... Ale, powiem panu, iż nie mam chęci ukończenia mego terminu.

Oko mu zabłysło, i mrużył powieki z zagadkowym wyrazem. Zakończył swą gawędę prośbą do współziomka o parę sous „na tytuń.“

Yvert dał mu srebrny pieniądz, zaprawiając swój dar odrobiną morału. Bigarreau wsunął pieniądz pod podszewkę czapeczki, wysłuchał kazania z drwiącym uśmiechem i pod pozorem, iż godzina stawienia się do roboty nadeszła, pożegnał nadleśnego.

II.

Nowy cmentarz dla kobiet miał zajmować grunta leżące dotąd odłogiem a sąsiadujące z krawędzią lasów Montgérand. Miejscowość ta, gdzie młodzi przestępcy kopali ziemię pod fundamenta, wznosiła się po nad doliną Aube. Można było dostrzedz jakby w głębi wąwozu mały kościołek, dwie ulice wioski tulącéj się do otaczających ją w około lasów górzystych, dachy łupkowe starodawnego opactwa wznoszące się po nad gąszczem jodeł, daléj znów, rzekę Aube, pełną skrętów, srebrzącą się na słońcu, wśród łąk kwiecistych w kierunku Bay, gdzie nowy widnokrąg wzgórków i lasów pociągał oczy.

Światło igralo na łąkach w rozkwicie, w wodzie bystro płynącéj, na mieniących się w oddali listkach sinawych. Skowronki świegotaly gdzieś pod niebem, natura budziła się z uśpienia, pianie kogutów i głosiki dziecinne dolatywały ze wsi. Wesoły przedstawiała widok dolina kąpiąca się w promieniach słonecznych letniego poranku; ale młodzi kopacze na odłogu Montgérand nie cieszyli się tém wcale.

Pod argusowem okiem głównego dozorcy Seurrot, kopali wciąż ziemię, nie dawano im bowiem ani chwilki wytchnienia. Starsi posługiwali się motyką, młodsi zaś we dwóch popychali taczki. W ko-

szulach z grubego płótna, w kapeluszach słomianych, w nieustannym ruchu, na tym gruncie szarawym i kamienistym tworzyli jakby mrowisko plam białych. Kiedy chłopcy prostowali się aby otrzéć pot z czoła, świetlany pozór zieleniejącéj doliny, zamiast wywierać wpływ kojący, przynoszący ulgę, budził w tych piersiach dziecinnych głuchą niechęć. Ta zachęta do wesołości, rozlana w powietrzu, miała w sobie dla nich coś ironicznego i okrutnego. Chyży polot skowronków, krążenie jaskółek po nad powierzchnią wody, przypominały im gorzko przymusową pracę, łajania dozorców, zamki więzienne, wzbudzały w nich pragnienie buntu i włóczęgi.

Do najmniéj karnych i z trudnością znoszących jarzmo należał nasz znajomy Bigarreau. Wczoraj, wychodząc od nadleśnego, zdążył użyć połowę swych pieniędzy na zakupienie paczki papiérosów i pudełka zapałek. Ten nowy nabytek ukrył w kieszeniach spodni, i od rana macał je od czasu do czasu z ojcowską troskliwością, obiecując sobie „iż wyćmi jednego,“ jak tylko Seurrot odwróci się w przeciwną stronę.

Praca całodzienna była przerywaną wytchnieniem półgodzinném, i w owéj chwili dozorca odpoczywał po nieustannéj trwożliwéj czujności. Seurrot miał serce czułe, a iskrzące oczy oberżystki z pod Lwa-Złotego ciągnęły go mimowoli do ogrodu oberży, ciągnącego się u podnóża budynku. Bigarreau rachował na to. Zaledwie główny dozorca udał się drogą prowadzącą do sadu, numer dwudziesty-czwarty prześliznął się jak wąż pomiędzy jałowcami rosnącemi na stoku wzgórza, dotarł do lasku i upatrzywszy pomiędzy okolicznemi drzewami wysoką i rozłożystą jarzębinę, w dwóch susach jak wiewiórka znalazł się na wierzchołku gęsto liśćmi osłoniętym.

Siedząc okrakiem na najwyższéj gałęzi, ukryty gęstwiną liści, wyciągnął papieros, zapalił i napawał się powoli używaniem rozkoszy zakazanego owocu. Dobrze tam było, wysoko śród zieleni i chłodu. Można było dojrzéć ztamtąd dachy domów włościańskich, migotanie rzeczki pośród łąk, daléj, znów na dwóch stokach doliny falowanie pól porosłych żytem i owsem, upstrzonych gdzie niegdzie koniczyną czerwoną. Kosy poświstywały w zaroślach, piegże gwarzyły pośród wierzb nadbrzeżnych, a wiatr świeży kołysał cię jakbyś leżał w hamaku.

Było tam tak dobrze, iż Bigarreau zapomniał o wszystkiém. Kiedy Seurrot powrócił, trzymając w ustach różę i robiąc przegląd swego oddziału, postrzegł odrazu, iż jeden z więźniów nie stawił się do apelu.

— Gdzie jest numer dwudziesty-czwarty? zawołał.

Chłopaki porozumieli się ponurém wejrzeniem i ograniczyli się wzruszeniem ramion.

Główny dozorca sądząc, iż więzień uciekł, zbladł. Jego wzrok niespokojny przenikał gąszcze zarośli; w tém spostrzegł przy wierzchołku drzewa wydobywający się spiralnie dymek niebieskawy. To było nienaturalném, winowajca musiał schronić się tam wysoko. Seurrot zbiegł po pochyłości; w jedném mgnieniu oka był u stóp jarzębiny i bez trudu postrzegł zwieszone nogi Bigarreau.

— Ach ty łajdaku, wykrzyknął, stroisz miny a do tego palisz jeszcze!... to się sprzeciwia regulaminowi. Czy zejdziesz stamtąd hultaju?

Bigarreau był schwytany na gorącym uczynku, ale pojmując wyższość swéj pozycyi, spróbował z niéj skorzystać.

— Czemu nie, odpowiedział, ale przyrzecz mi pan wprzód, iż mię nie ukarzesz.

— Śmiesz stawiać mi warunki, jak się zdaje, odpowiedział Seurrot wściekły; zejdź dobrowolnie, lub źle z tobą będzie.

— To pozostanę! odrzekł uparty Bigarreau.

Jarzębina była cieniuchną i wyniosłą bardzo; główny dozorca nie posiadał zdolności wdzierania się na drzewo, napróżno więc wstrząsał niem gwałtownie, winowajca nie poruszył się wcale.

— Ach! opierasz się władzy, urwisie! Hola! chłopcy przynieście mi siekierę, a żwawo!

Na rozkaz ten wydany głosem grzmiącym dwaj więźniowie usłuchali. Seurrot pochwycił z wściekłością toporek, który mu podawano, i nie dbając o to iż popełnia szkodę w lesie, zaczął rąbać drzewo przy samych korzeniach. Przy pierwszych uderzeniach drzewo wstrząsło się od wierzchołka do podstawy, ale Bigarreau nie drgnął nawet. Uderzenia siekiery następowały jedne po drugich, kora i drzazgi latały w około a czoło dozorcy spływało potém. Dwaj więźniowie, których ten widok zajmował niepospolicie, śledzili z zajęciem powiększające się stopniowo nacięcie w pniu drzewa.

Dał się słyszéć nagły trzask; tym razem Bigarreau, myśląc iż z dwojga złego lepiéj uniknąć czegoś gorszego, zsunął się między gałęźmi i spadł na ziemię, szczęśliwym trafem w tém miejscu miękkim mchem porosłą.

— Plugawcze! nauczę ja cię kpić ze mnie? ryknął Seurrot, chwytając go za ramię. Był on dawniéj policyantem, więc palce jego ściskały jak kleszcze. Jednocześnie zaś drugą ręką wymierzał razy po plecach chłopca i popychał go ku miejscu, gdzie reszta pracowała.

— Ach, ty palisz potajemnie! mówił dalej dozorca, popierając każde słowo uderzeniem pięści. Przetrząsnął kieszenie więźnia i rozsypał papierosy na świeżo skopanéj ziemi.

— Gdzie skradłeś pieniądze na kupno tego?

— Dano mi je! oburzył się Bigarreau.

— Milczéć!—do motyki, ty przyszły galerniku!... Wyjaśnimy to jutro, przy sprawozdaniu, kiedy dyrektor przyjdzie... Zamknie cię, żebyś gnił w lochu... A tymczasem, dziś wieczór, na kolacyę dostaniesz tylko suchego chleba!

Południe zeszło smutnie biednemu chłopcu. Kiedy o godzinie dziewiątéj wieczorem, rozciągnął się w swym hamaku z żołądkiem próżnym i ze skaleczonemi palcami od bicia, począł gorzko rozmyślać nad nieszczęściami dzisiejszemi i o możebnych następstwach jutra. Boć jeszcze i na tém nie koniec. Dyrektor miał przybyć nad ranem a był on nielitościwszym od wszystkich dozorców. Bigarreau wiedział z doświadczenia, w jaki to straszny sposób ten służbista karał najmniejsze wykroczenie przeciwko karności...

Nie, myślał on kurcząc się na swém posłaniu, mam tego dosyć, nie będę czekał jego powrotu.

Myśli o ucieczce znowu krążyły mu po głowie. Sypialnia urządzona tymczasowo dla więźniów nie była szczelnie zamkniętą; dozorcy mieli sen twardy; o północy może będzie można się wymknąć, przesadzić mur i zdążyć do lasu!... W każdym razie, warto było spróbować!...

Noc zapadła; słyszał jak jeden ze stróży odbywszy swą wartę rozebrał się i padł ciężko na łóżko. Wkrótce wśród ciszy rozlegało się chrapanie. Zręczny jak kot, Bigarreau wyskoczył z hamaku, naciągnął spodnie i kurtkę, zawiesił na szyi parę trep związanych z sobą sznurkiem; potém, boso, wstrzymując oddech, prześliznął się do okna na pierwszém piętrze, które pozostawiono otwarte dla przewietrzenia sali. Wdrapawszy się na okno, urwis wychylił głowę na zewnątrz. Na dole przy blasku nocy czerwcowéj dostrzegł grzędy różnego warzywa. Ziemia, świeżo polana musiała być miękką. Bigarreau, trzymając się rękami za brzeg okna, rzucił się w dół i upadł na głowy kapusty, które złagodziły gwałtowność spadku. Podniósł się, pomacał, wytężył słuch;—ani szmeru, prócz dźwięcznego szelestu rzeki płynącéj przez ogród. Wówczas poszedł jéj brzegiem aż do miejsca, w którém tworząc łukowatą zatokę, wypływała z parku; potém wszedłszy odważnie w wodę sięgającą mu zaledwie do kolan, postępował jéj biegiem i idąc w ten sposób, znalazł się na otwartém polu.

III.

W owym czasie, pocztylion, wożący depesze do Châtillon-sur-Seine wyruszał z Auberive o trzeciéj nad ranem. W chwili kiedy ciężka bryka, zaprzężona w parę koni, zawracała koło dawnéj kuźni, wjeżdżając na drogę górzystą nieco, prowadzącą do Recey-sur-Ource, chłopiec niosący trepy, jednym susem w biegu wskoczył na brykę i czepiając się sznurów podtrzymujących bagaż, usiadł z tyłu, zwiesiwszy nogi. Turkot kół i odgłos kopyt końskich niedozwoliły woźnicy nawpół uśpionemu spostrzedz obecności tego nieoczekiwanego i podstępnego podróżnika. Bryczka toczyła się wciąż wśród tumanu kurzawy aż do wierzchołka wzgórza; minęli prędko małą wioskę Germaines jeszcze cichą i uśpioną, potém znów zaczęli zjeżdżać powoli po pochyłości wzdłuż lasów Colmiers.

Była już czwarta godzina, słońce wschodziło poza lasem Auberive na niebie usianém lekkiemi obłoczkami różowemi. Pierwsze skośne promienie słoneczne przedzierały się przez ciemną gąszcz leśną, rzucały światełko srebrzyste to na posłanie z bluszczu, to znów na grupę powojników; dołem droga wiła się wężykowato w półcieniu sinawym, pośród dwóch pochyłości usianych krzewami jeżyny, lśniącemi rosą i zielem świętojańskiém w pełnym rozkwicie. Ptaszęta nastrzępiały swe piórka i szczebiotały śród lasu. Pianie koguta zabrzmiało jak trąbka z odległego jakiegoś folwarku. Znajdowali się na szczycie płaskowzgórza. Trzymając się sznurów, Bigarreau (łatwo odgadnąć, że to on był) pomyślał, iż byłoby nierozważném znaleść się na otwartém polu, kiedy sąsiednie lasy mogły mu dać schronienie milsze i pewniejsze. W pewném miejscu, gdzie koła bryczki ocierały się o naparstnice, rosnące na pochyłości wzgórza, zeskoczył na trawę wilgotną, porzucając bryczkę ukradkiem, tak samo jak uprzednio dosiadł, a gdy ona tymczasem potoczyła się po równéj drodze, zniknął wkrótce w tumanach kurzu. Ścigając okiem kłęby pyłu rosnące i zmniejszające się stopniowo przy blasku purpurowym wschodzącego słońca, Bigarreau przesadził rów, włożył trepy i puścił się w las na los szczęścia.

Szedł prosto przed siebie. Upojony odzyskaną swobodą, rozkoszował się bez troski o jutro, przyjemnością wałęsania według własnéj woli, nie myśląc o tém dokąd idzie i jak żyć będzie. Najważniejszém teraz było zmylenie pogoni dozorców; wyprzedzil ich o parę godzin i wątpił żeby mogli odgadnąć w którym udał się kierunku. Przeszedł tak z dobrą milę wsród lasu, trzymając się gąszczy a unikając polanek. Po upływie godziny drogi, pochyłość grun-

tu stała się wyraźną, i szybko zszedłszy wzdłuż po ścieżce jaru Bigarreau znalazł się śród wąwozu, w głębi którego płynął strumyk.

Była to prawdziwa samotnia. Z dwóch stron lesiste stoki wąwozu podnosiły się prawie prostopadle i pogrążały w orzeźwiającym cieniu wąski pas łąki, w środku któréj przedzierał się strumyk, śród krwawnic, wierzbówek i spirei. Dwa lub trzy kosy, jedyni mieszkańcy tego ustronia, kąpały się w wodzie, kiedy Bigarreau ukazał się na brzegu. Niechętnie téż odleciały, a przyjemność, którą ta poranna kąpiel zdawała się im sprawiać, pobudziła młodego więźnia do pójścia za ich przykładem. Szybko zrzucił odzienie i zupełnie nagi pogrążył się z rozkoszą w przezroczystéj wodzie, nad którą unosił się zapach mięty i koziéj-bródki. Napluskawszy się dostatecznie, zaczął się suszyć, tarzając po murawie oblanéj promieniami światła, potém ubierał się zwolna. Gdy naciągał spodnie, świetna myśl błyskęła mu w głowie. Zamiast włożyć swą kurtkę wiezienną, zwinął ją i podsunął pod szeroki i płaski kamień, leżący pod krzakiem. Na téj kurtce był wypisany numer, zresztą posiadała ona krój regulaminowy, przypominający więzienie; mogła go więc zdradzić, kiedy w koszuli i w spodniach barchanowych w ostatecznym razie mógł uchodzić za wieśniaka. Przedsięwziąwszy te ostrożności, spojrzał w około wzrokiem zgłodniałego. Wczoraj źle wieczerzał a kąpiel jeszcze bardziéj zaostrzyła mu apetyt. Po kilku daremnych poszukiwaniach odkrył wreszcie dojrzałe poziomki od południa na stoku wzgórza i leśne maliny wśród gęstych krzaków, rosnące nad potokiem. Śniadanie było nie obfite lecz wyborne i wyzbierawszy starannie wszystkie jagody, jmci Bigarreau uczuł się troszkę pokrzepionym na siłach. Rozciągnął się na trawie głową w cieniu a nogami na słońcu i ukołysany szmerem strumyka, prędko usnął.

Ten słodki sen trwał z godzinę prawie, gdy został przerwany trzaskiem łamiących się gałęzi, a głównie świeżym głosikiem kobiecym, którego śpiew, jak się zbiegowi wydało, słyszał już we śnie. Zlekka odchylił powieki, ale z tą przezornością nabytą w domu poprawy i stanowiącą już drugą jego naturę, nie poruszył się aby módz widziéć jak najwięcéj, nie będąc samemu widzianym. Przezorność daremna, ponieważ sam służył od kilku chwil za przedmiot obserwacyi. Postrzegł o dziesięć kroków śpiewaczkę, któréj głos zbudził go ze snu. Była-to dziewczynka lat około piętnastu. Z koszykiem do połowy napełnionym poziomkami w jednym ręku, z kawałkiem chleba razowego w drugiéj, zatrzymała się nad brzegiem strumyka, zapominając o posiłku, przyglądała się temu śpiochowi nieznanemu. Bigarreau, zawsze nieruchomy, udawał że śpi, układając jak postąpi w tym wypadku i w czasie tych rozmyślań śledził przebiegle nowo-

przybyłą. — Była ona ubraną w koszulę z grubego płótna, ściągniętą u szyi sznurkiem, w spódniczkę wełnianą, dosyć krótką i poszarpaną, odsłaniającą aż do kolan nogi podrapane, w ciżemkach zanadto wielkich. Ręce nagie i chude, opalone od słońca, twarz ogorzała także, krórą jednak ruch i gorąco zarumieniły trochę. Włosy ciemne i bujne , bardzo źle podtrzymywane grzebieniem rogowym, spadały w kędzierzawych kosmykach na szyję, na czoło, sięgały do czarnych jéj ocząt, szeroko rozwartych, patrzących z wyrazem ciekawości i nieufności na chłopca rozciągniętego na murawie wśród wysokiéj trawy. Badanie to jednak nie zdawało się wypadać na jego niekorzyść. Eks-numer dwudziesty - czwarty wyglądał wcale nieźle w tém otoczeniu wysokich traw. Kąpiel, zdawało się, iż oczyściła go ze skaz nabytych w więzieniu, policzki i usta odzyskały dawną żywą barwę, któréj zawdzięczał swą nazwę Bigarreau, a spokojny układ śpiącego nadawał mu wyraz dziecinny, dobry. Dziewczynka trochę udobruchana, postąpiła parę kroków bliżéj ku chłopcu, który ze swéj strony uznał tę chwilę za stosowną aby przerwać sen udany.

Przeciągnął się jak człowiek budzący się ze snu, przetarł oczy i podparł na łokciu. Złośliwy uśmieszek przemknął po dość szerokich ustach młodéj dziewczyny.

— No! — wykrzyknęła — masz twardy sen!

— Cóż dziwnego — odrzekł Bigarreau z powagą — po zmęczeniu, no, wiesz.... (chciał już powiedzieć „kimać“, ale powodowany uczuciem niewytłómaczonéj dla niego wstydliwości, przełknął już na wpół wymówione te słowo ze złodziejskiego słownika) śpi się tak mocno jak bobak.... Sen za obiad stanie!

— Jednak nie pościłeś, jak widzę — odpowiedziała, rzucając ironiczne wejrzenie na krzaki malin z połamanemi gałązkami— było tu mnóstwo malin, a teraz ani jednéj jagódki nie zostało!

Mówiąc to, wybuchła śmiechem i ten objaw dobrego humoru pobudził chłopca do szczerości.

— To niepożywne!—westchnął, patrząc ukradkiem na kromkę czarnego chleba w ręku dziewczynki — nie czuć tego wcale w żołądku.

Ona zdawała się pojmować wymowę tych oczu chciwie patrzących.

— Jeżeli jesteś głodny —rzekła żywo—czemu tego nie powiesz... z chęcią odstąpię ci połowę mojego chleba.

— Nie odmawiam, ponieważ ostatni raz jadłem wczoraj wieczorem.

Złamała chleb na dwoje i podała go z uśmiechem swemu towarzyszowi wraz z koszykiem poziomek.

-- Nie wstydź się—dodała—wystarczy i dla mnie.

Nie kazał się prosić wcale i począł zajadać. Pożerał. Ona przysiadła na trawie i patrzyła na niego z uśmiechem zdumienia, jak połykał chleb i poziomki. Nareszcie zawstydził się swéj żarłoczności i zaczerpnąwszy dłonią wody napił się.

— Uf!—wyszeptał — teraz mi lepiéj... Dziękuję! A to w sam raz.... upadałem ze zmęczenia i głodu.

— Doprawdy?... Czyż nie jadasz nic w domu u siebie?

— Niezawsze — odrzekł krótko.

— Czy jesteś z Colmiers?

— Nie.

— A może z Val-Serveux?

Przyglądał się jéj z pomieszaniem; szczerość jasnych i śmiałych cząt dziewczynki usposabiała go do ufności.

— Jestem — powiedział — z okolicy sąsiadującéj z Auberive... Czy znasz te strony?

— Nigdy tam nie byłam, ale mój ojciec je zna.... Zdaje mi się, iż to w Auberive są więźniowie?

Na to nieprzewidziane pytanie pomieszanie chłopaka wzrosło.

— Tak.... zdaje się — wyjąkał wymijająco.

Pomieszanie jego nie uszło uwagi dzieweczki. Przyglądała mu się bacznie z pewnym niepokojem, a on czuł, iż się rumieni pod uporczywém wejrzeniem tych oczu badawczych. Aby zmienić przedmiot rozmowy, zapytał:

— Czem zajmuje się twój ojciec?

— Wyrabia trepy.... Robimy teraz na sprzedaż w Val-Serveux.... W przeszłym roku mieliśmy swój warsztat w lesie Gurgis.

— Czy was jest dużo w warsztacie?

— Nie; jest ojciec, ja i jeszcze Champenois, nasz czeladnik.

— A jak się nazywasz?

— Noryna... Noryna Vincart... A ty?

— Ja?... Bigarreau.

Dziewczyna wybuchła głośnym, dźwięcznym śmiechem.

— Ależ to nazwa wiśni, to nie jest chrześciańskie imię!

— To przezwisko — odrzekł krótko.

— A więc.... jakże się nazywał twój ojciec?

— Mój ojciec?... nie znałem go nigdy.

— A twoja matka?

— Umarła — odparł Bigarreau mrukliwie!

— Moja także — powiedziała rzewnie Noryna,— umarła, kiedy miałam lat dziesięć.

Nastała chwila milczenia. Bigarreau przeżuwał łodyżkę mięty, dziewczę zanurzało rękę w wodzie i bawiło się, przyglądając lśniącym kropelkom spływającym po jéj obnażonym ramieniu. Rzuciła przenikliwe spojrzenie na nieznajomego i potém rozpoczęła znów badanie.

— Czy służyłeś w Auberive? — zapytała.

— Tak.

— I uciekłeś od swoich państwa, nieprawdaż — co?

— Zgadłaś — odrzekł z żywością, sądząc, iż zakończy się nareszcie to badanie tak przykre; ale przerachował się, zapomniał o uporczywéj ciekawości téj dziewczynki.

— Jak się nazywali twoi państwo!— mówiła daléj.

Bigarreau, nieprzygotowany na to pytanie, chciał wymyśléć jakieś nazwisko, ale na razie nie mógł; potém zastanowił się, iż gdyby przypadkiem wymienił kogoś z Auberive, kłamstwo wyszłoby prędko na jaw, wyśledzone przez tego sędziego w spódnicy. Zniecierpliwił się i odrzekł podrażniony:

— Dalipan, nie pamiętam.

Noryna skrzywiła usta z wyrazem podejrzliwym.—Masz pamięć dziwnie krótką! — powiedziała sucho.

Zmarszczyła brwi, podniosła palce w górę i patrząc nieszczęśliwemu Bigarreau prosto w oczy: — Cóż to, opowiadasz mi jakieś banialuki... Mam przeczucie, iż jesteś więźniem z Auberive, skąd uciekłeś?

To mówiąc wstała z pośpiechem i cofnęła się parę kroków, a Bigarreau, pomieszany, zerwał się również.

— Och!—mówiła daléj, patrząc śmiało na więźnia, który odzyskał swą dziką zwykłą minę — nie patrz tak na mnie, jakbyś chciał mię połknąć!... Nie przerazisz mię tém, a zresztą mogę w jednéj chwili zawołać o pomoc.

— Nie krzycz! — błagał Bigarreau głuchym głosem — lepiéj wyznam ci prawdę.... Tak, uciekłem z więzienia, ale nie masz się czego obawiać.... Nie myślę wyrządzać przykrości nikomu, a tembardziéj tobie.... Błagam cię, nie wydaj mnie, nie zdradź!

I pośpiesznie opowiedział swe dzieje, nie pominąwszy i przygody wczorajszéj. Mówił o regulaminie więziennym, o złém obchodzeniu się dozorców i pokazał swe ręce pokaleczone od uderzeń i szturchańców.

Stopniowo Noryna zbliżała się; potém uklękła na trawie. Słuchała z coraz wzrastającém przejęciem opowiadania nieszczęść chłopaka; czarne jéj oczy czasem napełniały się łzami, to znów błyskały

iskrami gniewu. Ujęła nawet za rękę zbiega i patrzyła wzruszona ze współczuciem na sińce, świadczące o okrucieństwie dozorców.

— Nikczemni!—wykrzyknęła—bili cię?... Ależ to podle napadać w kilku, aby zbić małego chłopaka! — Ile masz lat?

— Zacząłem rok szesnasty.

— To jak ja.... I uciekłeś?... Miałeś zupełną słuszność; tak samo bym postąpiła na twojém miejscu!... A teraz co poczniesz?

Bigarreau odpowiedział, iż obawia się jedynie aby go nie ujęto, ponieważ wówczas kara byłaby straszną. Miał zamiar dniem ukrywać się w lesie, a wędrować w nocy dopóki nie oddali się dostatecznie od domu poprawy... Wówczas starał-by się o miejsce w jakiéj fabryce.

— Jestem silny—dodał wyciągając ramię—i zapracuję na chleb z łatwością.... I nie obawiam się roboty.

Noryna zamyśliła się. Rozciągnięta na murawie wśród trawek muskających jéj pierś szczupłą, wsparła się na łokciu, zatapiając palce w swych kędziorach; brwi mocno ściągnięte świadczyły, iż rozważała coś pracowicie.

— Słuchaj—powiedziała wreszcie po chwili—sądzę, iż coś wynalazłam stosownego dla ciebie.... Mój ojciec ma zamiar przyjąć ucznia.... Szczególniéj teraz jest mu potrzebny, ponieważ Champenois oddalił się na parę tygodni.... Czy nie chciałbyś czasem nauczyć się robić trepów?

— Czemu nie... tylu już próbowałem rzemiosł, iż to trudném mi nie będzie.

— Tutaj będziesz ukryty doskonale.... To wielki wypadek, kiedy się spotka innych ludzi oprócz drwali z Val-Serveux, chyba w jesieni, gdy rozpocznie się polowanie, ale wówczas już opuścimy te miejsca.... Z pewnością policya tu poszukiwać cię nie będzie.

— Tak, ale czy twój ojciec zgodzi się przyjąć zbiega z domu poprawy?

— To już do mnie należy! — odrzekła Noryna pewnym tonem i z wyrazem świadczącym o jéj władzy, komicznym bardzo... Chodź ze mną.

Ujęła go za rękę i szli obok siebie brzegiem strumyka aż do zakrętu, skąd widać było wyrąb lasu i koczowisko majstra trepów. Tutaj Noryna kazała usiąść swemu protegowanemu w kępie wierzb i siedzieć spokojnie, aż uzna za stosowne zawołać go.

— Muszę pomówić z ojcem Vincart— powiedziała — nie ruszaj się. Gdy się odezwę trzykrotnie, naśladując głos kukułki, to będzie oznaczało, iż sprawa dobrze się skończyła. Wówczas idź prosto do wyrębu a tam ja ciebie spotkam.

Przeszła przez strumyk, skacząc zręcznie po wielkich kamieniach i poszła pomiędzy stertami zrąbanego drzewa ułożonego w stosy aż do miejsca, gdzie był warsztat.

Siedziba trepiarzy składała się z szopy w kształcie ostrokręgu, pokrytéj mchem i z izdebki, z dachem chróścianym, w któréj leżały wykończone trepy na stosie wiórów. Właściwy warsztat był pod gołém niebem, i w chwili, kiedy Noryna nadeszła, ojciec Vincart siedział okrakiem na klocu, z gruba obrabiając siekierką parę trepów z drzewa bukowego. Z poza koszuli rozpiętéj można było dostrzedz pierś jego ogorzałą, porosłą włosem siwiejącym. Był-to człowiek małego wzrostu, lat około pięćdziesięciu, niezmiernie żywy, z nosem zadartym, z ustami żarłoka, z okiem wesołem i wilgotném.

Na odgłos kroków Noryny, podniósł głowę i powitał córkę figlarnym uśmiechem, który wywołał zmarszczki wokoło jego oczu.

— Ha!—powiedział—moja dzieweczko, nie przymawiając, strawiłaś dość czasu na dokończenie śniadania.

Dziewczynka zrobiła minkę poważną i odpowiedziała tonem rozpieszczonego dziecka:

— Nie radzę ci narzekać: byłam zajętą w twym interesie.

— Patrzcie ją! A to w jakim?

— Czyż nie powiedziałeś onegdaj, iż chciałbyś przyjąć ucznia?

— To prawda, iż brak Champenois daje mi się uczuć bardzo i przyjąłbym chętnie kogoś do pomocy.... Ale terminatorzy nie wyrastają w lesie jak grzyby po deszczu.

— A ja jednak znalazłam jednego w Fontenelle i umówiłam go.

— Oho!—zawołał trepiarz pomieszany—zdaje się, iż zanadto się pośpieszyłaś, moja miła, nie życzę sobie wcale przyjmować lada kogo.

— To nie jest lada kto — odpowiedziało ostro dziewczę — to dzielny chłopak i zdatny do roboty.

— A skąd on się zjawił?

Noryna opuściła głowę; po chwili podniosła i z wyrazem pewności dodała:

— Ten chłopiec służył u koszykarzy; bili go, więc ich porzucił.... Spotkałam go w Fontenelle; był głodny, więc podzieliłam się z nim śniadaniem.

Trepiarz potrząsnął głową, niekoniecznie zadowolony.

— Śliczna rekomendacya!—zamruczał — to bardzo podobne do ciebie, Noryno, iż dałaś się okpić jakiemuś ladaco!

— Nie tak łatwo mię okpić; przejrzałam go na wylot i zaręczam, że będziesz z niego kontent. A jak mi nie ufasz, możesz go

nie przyjąć!... Zrobisz głupstwo, ot i wszystko, z biedy chłopak umrze gdzieś z głodu przy drodze.

Ostatnie słowa wymówiła tonem gniewnym i z wyrazem złego humoru. Ten podstęp sprawiał zawsze wrażenie na dobrodusznym ojcu Vincart.

— Kto ci powiedział, że go nie przyjmę? — odrzekł prawie pokonany.—Nie odmawiam, tylko nie pragnę wcale brać kota w worku i chciałbym go wpierw oglądać.... Gdzież jest ten twój ulubieniec?

— Pokażę ci go zaraz... Zresztą nie poślubiasz go przecie, więc jak Champenois wróci, będziesz mógł oddalić Klaudyusza Pinson, jeżeli nie będziesz zadowolonym z jego roboty.

W czasie téj rozmowy, decydującéj o jego losie, Bigarreau siedząc w cieniu wierzb, oczekiwał z bijącém sercem. Oddawna nie doznał wzruszenia tak dojmującego, a zarazem miłego. Spotkanie Noryny, chętna pomoc jakiéj mu udzieliła, było to dla tego wyrostka, traktowanego dotąd gorzéj psa, wydarzeniem niezwykłem, cudownėm prawie. Obawiał się, aby to szczęście nieoczekiwane, nie pierzchło nagle, jak te szafirowe ważki, które widział migające przez chwilę drżącemi skrzydełkami po nad strumykiem, a potém ulatujące bez powrotu. Minuty dziwnie długiemi mu się wydawały i chociaż oczekiwał dopiero od kwadransu, już tracił nadzieję.

— No — myślał — pewnie nie chce mię przyjąć....

W téj chwili usłyszał od strony warsztatów nawoływanie dźwięczne, rozlegające się trzykrotnie:

— Ku...ku! ku...ku! ku...ku!

Zerwał się na równe nogi i wyszedłszy ze swéj kryjówki, skierował się w stronę wyrębu. Wkrótce, pomiędzy stosem pniów ujrzał Norynę biegnącą ku niemu.

— Chodź!—powiedziała zdyszana dobiegając — ojciec zgadza się przyjąć cię na próbę... Powiedziałam mu, iż się nazywasz Klaudyusz Pinson i że służyłeś u koszykarza, który cię bił bardzo... Zapamiętaj to wszystko dobrze, abyś się nie jąkał, gdy cię pytać będzie.

Zatrzymała się, aby zaczerpnąć tchu trochę i swe pogodne oczy utkwiła badawczo w niebieskich źrenicach chłopca.

— Byłam zmuszoną, powiedziała, skłamać przed ojcem, aby go udobruchać, i cięży mi to na sercu, żem go oszukała... Staraj się więc, abym nie pożałowała tego.

Pierwszy raz w swém życiu pojmował Bigarreau znaczenie dobroci i po raz pierwszy téż oczy jego napełniły się łzami, których nie wywołała ani boleść, ani gniew. Źródło czułości, tkwiące w głębi duszy każdéj istoty ludzkiéj, wytrysnęło nagle w jego sercu. W uniesieniu wdzięczności, uchwycił za rękę Noryny i ścisnął ją w swych grubych poranionych dłoniach.

Dziewczynka zatrzymała rękę więźnia w swojéj i udali się wprost do warsztatu pod gołem niebem, gdzie ojciec Vincart wykończał i ociosywał trepy.

— Oto jest Klaudyusz Pinson, powiedziała Noryna.

Trepiarz podniósł głowę, zmierzył od stóp do głów przybylca, który z wyrazem pomieszania tarł ręką o spodnie.

— To tęgi chłopak! mruknął Vincart z zadowoleniem, i jeżeli ma tak wielką chęć do pracy jak na to wygląda, będziemy mogli się porozumiéć:.. Mój chłopcze, Noryna mówiła mi o tobie, więc biorę cię na próbę; zobaczymy co umiesz... Tutaj, trzeba ciężko pracować, ale bić cię nikt nie będzie... Zgadzasz się na to?

— Dobrze, proszę pana.

— A więc! dzisiaj moja dziewczyna oznajomi cię z rzemiosłem, bo się zna na tem jak chłopiec, i nikt jéj nie dorówna we władaniu strugiem i nikt niepotrafi nadać trepom tak ładnego pozoru... Jutro dam ci do ręki narzędzia i zobaczymy do czegoś zdatny.

(*d. n.*)

OBRONA RYCERSTWA

w XIX wieku.

(La Chevalerie par Léon Gautier, str. 788, in 4⁰. Victor Palmé. Paris 1884).

Żadna epoka dziejów powszechnych niema tak gorących zwolenników ani przeciwników równie zaciekłych jak wieki średnie. Cały szereg uczonych badaczy, których zachwyca poznawanie losów starożytnego wschodu, którzy lata całe sumiennych i mozolnych studyów poświęcają odtworzeniu list panujących egipskich, odczytywaniu niezrozumiałych napisów, których napełnia wiadomość o odkryciu nieznanego papirusu lub nowego posągu radośném drżeniem; cały szereg znowu innych rozczytujących się w pamiętnikach z XVII i XVIII wieku, goniących za anegdotkami o kochankach królów i ministrów, śledzących z niezmordowaną wytrwałością za drobiazgami, dotyczącemi prywatnego życia swych bohaterów, ci wszyscy wyśmiewają się zgodnie z zapału, z jakim przystępuje badacz średnich wieków do komentowania małomównego rocznika, ze znaczenia jakie przywiązuje do odkrycia drobnych faktów i szczegółów, nazywając go mólem książkowym, zagrzebanym w rozsypujących się dawnych aktach i księgach.

Uprzedzenie do średnich wieków idzie u bardzo wielu w parze z pewném lekceważeniem i dla zajmujących się nimi historyków. Pracować w w. XII lub XIII to łatwo, wszak tak mało z téj epoki dochowało się źródeł, nie potrzeba na to ani wykształcenia politycznego, ani większego talentu—to niemal zabawka; dopiero od wieku XVI znajduje człowiek prawdziwemi obdarzony zdolnościami odpowiednie dla siebie pole i przedmiot pracy. Im bliżéj czasów obecnych, tém staje się zadanie trudniejszém, tém większa zasługa. W nowszych dopiero dziejowych okresach można mówić o przeznaczeniu państwa, o jego posłannictwie, o władzy monarszéj, o praw-

dziwéj polityce; w średnich wiekach napotkać tylko można drobne cele i małoznaczące zadania; brak wykształcenia, dzikość obyczajów — to główne i dominujące rysy téj epoki. Wprawdzie widać już w wieku XV zwrot ku lepszemu, ależ bo XV wiek możnaby właściwie zaliczyć do nowożytnéj historyi.

Zdania te dają się słyszéć bardzo często i w Niemczech i we Francyi, nie brak ich i u nas. W Niemczech jest to dość zrozumiałem. Historyk protestancki chętnie stara się napiętnować czasy, w których nie istniało jego wyznanie, jakiemś szczególném i wstrętném znamieniem. Gdy jest sumiennym badaczem i przyznać musi, że był Innocenty III lub IV przecież o wiele potężniejszą i bardziéj wpływową osobistością od cesarza Niemieckiego, że władza papieska, że hierarchia kościelna, że prawo kanoniczne, że filozofia scholastyczna nakoniec były głównemi czynnikami postępu w wiekach średnich, jedynemi środkami cywilizacyjnemi przez długie bardzo przynajmniéj czasy; wówczas mimowoli opanowuje go niechęć i nienawiść, i chciałby wyszukaniem stron ujemnych wspaniałego obrazu, który złośliwym jego oczom się przedstawia, osłabić doniosłość wniosków i spostrzeżeń, przez niego samego poczynionych.

We Francyi są przeciwnicy kościoła zarazem i przeciwnikami wieków średnich; dla wielu rozpoczynają się dzieje Francyi dopiero z rokiem 1789, przedtém panował tylko zastój i zacofanie.

Nie potrzebujemy dodawać, że prawdziwy historyk żadnéj epoki lekceważyć nie będzie. Zajmując się specyalnie jedną, zna ją oczywiście lepiéj od innych, dobre jéj strony stara się nieraz z pewną przesadą i stronnością uwidoczniać; ale w istocie rzeczy jest bezstronnym i gotów zawsze zgodzić się na umotywowane zdanie swych współzawodników.

Prawdziwie umiejętny historyk nie przywiązuje się nigdy zbytnio do roli adwokata i obrońcy, jaka mu z natury rzeczy przypada wobec opracowywanéj epoki lub roztrząsanego zagadnienia. Całkiem jest dlań obcą ta wyłączność, z jaką windukują niektórzy dla pewnych stron lub objawów życia ludzkiego i jego dziejów większą niż dla innych wagę.

Historyk musi się w pracy swéj ograniczyć, ale ograniczając się nie powinien nabierać przekonania, lub je w innych fałszywie wmawiać, że obrany przezeń przedmiot nad innemi góruje. Niema w całym możliwym zakresie badań historycznych ani jednego tak małoznaczącego podziału, któregoby nie zdołała prawdziwa nauka i ścisła metoda do pierwszorzędnego podnieść znaczenia. Jest to także niemałym przesądem, gdy mierzy się historyka doniosłością

wybranego przezeń zagadnienia. Raz, że nie mamy żadnéj stałéj normy, według któréj moglibyśmy tę doniosłość oceniać, a powtóre, że w sztuce, a jest nią prawdziwa umiejętność historyczna niezawodnie, byłoby mylném mierzyć wartość świadczenia jego zakresem lub przedmiotem, bo tylko samo wykonanie może dać podstawę do słusznéj oceny. Wybór przedmiotu zależy od indywidualności i nie mamy prawa winić kogo, że w takim umysł jego a nie innym rozwinął się kierunku.

Takim jest według nas ideał historyka. Zaraz jednak pospieszamy dodać, że główną przeszkodą, niedozwalającą na jego urzeczywistnienie, jest prąd polemiczny, który wpływa najpotężniéj na posunięcie do skrajności badaczy przeciwnych sobie obozów.

Wspomnieliśmy Francyą, gdzie w naszych czasach z właściwém zadaniem historyka bardzo długo się wymijano. Walka zasad na polu religijném odbiła się we wszystkich prawie gałęziach sztuki i wiedzy, najmocniéj oczywiście zarysowała się w polityce. Nazwiska Montalembert'a i Veuillot'a, znakomitego historyka i pierwszorzędnego dziennikarza, były długi czas najgłośniejsze, jakimi mogło wykazać się stronnictwo ultramontańskie.

W publicystyce każde pole, każdy przedmiot trzeba było poruszać, na każdym kroku musiała prasa katolicka bronić się coraz częstszym i zjadliwszym napaściom przeciwników. Nikt bardziéj nie nadawał się do podobnych zapasów jak Veuillot. Obdarzony ostrym, może za ostrym dowcipem, znakomicie władający mową ojczystą, potoczystym i pięknym stylem, pisał Veuillot artykuł za artykułem, broszur i obszerniejszych dzieł bez liku. Dzisiaj jeszcze czytając zbiór celniejszych jego artykułów pomieszczanych w *L'Univers*, którego był Veuillot naczelnym redaktorem, doznaje się wrażenia, jakby to przed kilkoma dniami wyszło z pod pióra autora,— taką świeżością i siłą każde jego słowo się odznacza.

Historyk tego stronnictwa miał przedmiot swych badań wprost wskazany: bronić papiestwo, bronić duchowieństwo, bronić zakony. Chcąc bronić, wypadało zwrócić się do téj epoki, w któréj papież był istotną głową nietylko kościoła, ale państw chrześciańskich, w któréj duchowieństwo pierwsze po panujących zajmowało miejsce, biskupi i opaci hrabiów i książąt miewali za lenników, w któréj gęsto po całéj Europie rozsiane klasztory były siedliskami umiejętności, wzorami gospodarstwa, a zamieszkujący je mnisi duchownymi kierownikami ludności.

Jakież zatém wybiera Montalembert przedmioty badań. Oto pisze żywot świętéj Elżbiety Turyngskiéj, córki Andrzeja II, przedstawia dzieje zachodnich zakonów, ich powstanie i rozszerzenie się.

Wiadomo, że dzieła Montalemberta wielki wywarły wpływ na szerokie grona czytelników i że wielu uczonym drogę badań utorowały.

W dwóch więc głównie kierunkach walczyli obrońcy katolicyzmu, na polu publicystyki i dziejopisarstwa; wybór był niezawodnie trafny, ale my, którzy zdala od religijnych i politycznych walk Francyi korzystamy z owoców, jakie przyniosły one na polu literatury, mamy prawo a raczéj obowiązek zapytać się, biorąc nowe dzieło historyczne, zwłaszcza dotykające przedmiotów spornych, do ręki: do jakiego zalicza się jego autor obozu, czy należy do szkoły Montalemberta, lub jego przeciwników, lub może zapomniawszy o stronnictwach i polityce, jest tylko historykiem, jednym z tych niewielu przygotowujących obecnie w literaturze historycznéj francuskiéj nową epokę, świetniejszą od wszystkich poprzednich.

Imię pana Leona Gautier zbyt jest znane, abyśmy mogli długo pozostać w wątpliwości; imię to człowieka, który stara się zastąpić w jednéj osobie Montalemberta i Veuillota, pracującego od lat kilkunastu równie wytrwale w publicystyce, jak w ścisłéj i prawdziwéj umiejętności. Niektóre organizacye tak pełne są życia, tyle mają energii, tyle potrzeby ruchu, że dla nich pozostać obojętnym widzem rozgrywającéj się walki, lub ograniczyć się na pewnéj sferze działalności zupełném jest niepodobieństwem.

O kierunku i myśli przewodniéj, jaka takim ludziom przez całe życie będzie przyświecać, stanowi jedna chwila. Skoro raz z całą gwałtownością namiętnéj natury dadzą się porwać prądowi, już niema obawy, aby zawrócili się lub ustali. Nie zawrócą się, bo gorączka, która ich pali, pierwotnego zapału nie wystudzi, nie dozwoli mu osłabnąć i umysł w ciągłém i jednostajném utrzymuje naprężeniu; nie ustaną—bo dla takich temperamentów walka jest konieczną do życia; może się usłyszy nieraz od nich skargę, że znużenie siły ich przygniata, ale kto skargom tym wierzy, ten zapomina, że najsilniejszego ducha człowiek ma chwilę słabości, w któréj pragnie wywołać współczucie lub uwielbienie u innych; gdy z zanadto podniesioną głową przebija się przez ciernie życia, gniewa go myśl, że może inni się nie domyślają, ile to trzeba hartu, ile stałości, by dumnego nie skłonić czoła,—wówczas się użala.

Stanowisko obrońców klerykalizmu we Francyi nie jest zazdrości godne i nie dzieląc wszystkich zboczeń, do których doprowadza zażarta z przeciwnikami walka, musimy podziwiać wytrwałość ludzi w niéj przodujących, tę pogodę umysłu, którą jak nikt inny odznacza się p. Gautier.

Powiedzieliśmy, że pragnie on zastąpić dwóch tak rozgłośnych ludzi jak Veuillot i Montalembert. Przypatrzmy się z jakim skut-

kiem. Obok dziennika *L'Univers* istnieje inny, poświęcony obronie interesów ultramontańskich—*le Monde.* W dzienniku tym pisuje najwybitniejsze artykuły sam jego radaktor.

Idąc w ślady Veuillota, stara się przy każdéj sposobności przemawiać na korzyść swego stronnictwa. Czy wyjdzie nowa książka, czy nowy pojawi się obraz lub rzeźba, czy wreszcie osobistość jaka z zasadniczą i oryginalną wystąpi myślą, zaraz w *Monde* znajdzie czytelnik artykuł, rozświecający ze stanowiska piszącego, o ile prawdziwy chrześcianin, prawdziwy katolik może się zgodzić z tendencyą wyrażoną w książce, z pomysłem artysty, lub planami politycznego męża. Znaną była dobrze gwałtowność Veuillota, jego cięte filipiki, w których przygniatał, ośmieszał, wydrwiwał przeciwników; Gautier pozbył się w części owéj ustawicznéj w piśmie „irrytacyi“ i spokojniéj wywiązuje się ze swego zadania. Lecz spokój ten to tylko pozór, wynik metody. Nie mniéj jasno nacechowuje swe stanowisko redaktor *Monde'a* jak Veuillot; zamiar i cel ten sam, w środkach jedynie zachodzi pewna różnica. Pozorne umiarkowanie p. Gautier nie przeszkodzi mu jednak nigdy zaczepić najgłośniejszych imion, największym wytknąć znakomitościom te braki i wady, które w nich rażą go jako chrześcianina i katolika; czy znakomitość ta nazywa się Victor Hugo, czy Doré, czy Taine, każdy musi głosu jego wysłuchać, a sądzę, że żaden nań nie będzie się gniewać, bo jeżeli Veuillot zdołał do żywego rozjątrzyć, to Gautier nietylko gromi ale równocześnie i łagodzi i stara się zawsze zachować pewne punkty styczne między sobą i omawianą osobistością, gdy burzliwy Veuillot wolał wzajemne stanowisko odrazu jak najostrzéj przeciwstawić.

Nie poprzestając na wyjawianiu swego zdania w formie artykułu dziennikarskiego, ogłasza p. Gautier znaczną ilość dzieł z wybitną cechą propagandy katolickiéj, nie wymieniam tytułów, bo są one zapewne powszechnie znane, jest nim przynajmniéj głośny „Voyage d'un catholique autour de sa chambre,“ któremu i szczególny tytuł niemało zjednał czytelników.

Lecz na tém nie koniec. Artykuły dziennikarskie, książki popularne służą tylko jako broń codzienna, mają wartość chwilową; pisarz katolicki winien zasłużyć się swemu stronnictwu, zdobywając i na polu nauki dla siebie i sprawy, którą broni, uznanie a przedewszystkiém, wdrażając własne przekonanie w młode umysły szukające nauki i prawdy. Jednéni z zadań kościoła jest *„auctoritas magisterii.“* Pan Gautier mniema, że nietylko kapłani, ale wszycy wierni powinni postępować w myśl téj zasady, zwłaszcza gdy mają do tego możebność i sposobność.

Bo zapomnieliśmy powiedzieć, że redaktor *Monde'a*, że autor „podróży katolika około swego pokoju,“ że literat i estetyk równie płynnie piszący o obrazach Rembrandta lub Pottera, jak o piękności liturgii chrześciańskiéj i wspaniałości „*libri Pontificalis*,“ jest z zawodu paleografem archiwistą, że wykształcenie pobierał w szkole specyalnéj, w *l'Ecole des Chartes*, że nigdy nie przestawał zajmować się średniemi wiekami zwłaszcza średniowieczném życiem religijném i domowém, że jest pierwszorzędnym znawcą dawnéj francuskiéj literatury rycerskiéj i feodalnéj, że lata spędzał na czytaniu w rękopismach biblioteki narodowéj niewydanych dotąd utworów, że stał się nareszcie z ucznia profesorem w *l'Ecole des Chartes* i to profesorem tak pierwszorzędnego przedmiotu jak paleografii.

Zapomnieliśmy jeszcze scharakteryzować człowieka, mówiąc dotąd tylko o pisarzu. Jeżeli podnieśliśmy umiarkowanie p. Gautier w porównaniu z Veuillotem, to nie omieszkaliśmy dodać, że jest to tylko wynikiem jego metody—z pewnością nie temperamentu. Średniego wzrostu, silnie zbudowany, z ogromną głową grzywiastą i brodatą, z wejrzeniem śmiałém, niespokojném, często ironiczném, częściéj piorunującém, z ruchami nieco przesadnemi—nie wyjawia się nam p. Gautier w zupełności, dopóki nie zabierze głosu. Są ludzie, którzy gdy mówią zdają się żałować, że istnieją granice w szybkości, dosadności i energii żywego słowa. Niecierpliwość ich ogarnia na wspomnienie, że mają mówić godzinę tylko, a w godzinie da się powiedzieć tak mało. Nadrabiają wówczas najczęściéj gestykulacyą, nie dokończają frazesów, a nie tylko że nie dokończają, ale wogóle unikają dłuższych zdań i w jednym czasem wyrazie, całą swą myśl zamykają. Tacy ludzie, aby być zrozumianymi, muszą mówić w gronie przywykłych do ich sposobu wyrażania się, muszą być dobrze przez słuchaczów widziani, bo wyraz oczu lub mimowolny kurcz na twarzy domówi popełnione przez usta opuszczenia. Zauważyłem nieraz, że słuchający na takiém postępowaniu prelegenta nie tracą, owszem zawisną niejako na jego ustach i z podwójném słuchają natężeniem. Pan Gautier rzadko tylko ma w swych lekcyach sposobność dłuższą mieć przemowę i nigdy prawie nie mówi dłużéj jednym ciągiem jak przez kilkanaście minut. Paleografia wymaga praktycznych ćwiczeń, a p. Gautier, trzeba mu to przyznać, jeżeli nie jest równie znakomitym paleografem i dyplomatykiem jak p. Delisle, to profesorem jest przewybornym. Nie da się po polsku wyrazić wszystkich docinków i uwag, którémi popędza p. Gautier jak ostrogą zadyszanych uczniów. Czytając z nimi romańskie dokumenty zahacza to o deklinacyą, to o konjugacyą jakiego wyrazu, ale wszystko z pośpiechem. Trzeba odpowiedzieć prędko,

bo inaczéj usłyszy się ironiczną apostrofę, która w niewielkiéj wykładowéj sali rozlega się jak bomba, bo głos ma pan Gautier tubalny i głosu swego, jeżeli nie nadużywa, to z pewnością nie żałuje.

Ten obrońca katolicyzmu, ten pokorny wyznawca nieomylności papieskiéj wygląda na katedrze bardzo wojowniczo a w zapale nie oszczędza i kilku księży, którzy pilnie uczęszczają na jego wykład. Nie oszczędza i starszych od siebie słuchaczów; jednego, pamiętam, 60-letniego łysego jegomościa pocieszał często p. Gautier uwagą, że wiek nie wchodzi w rachubę, *quand le coeur est jeune*. Ale docinki i uwagi, apostrofy i drwinki wygłasza profesor z taką dobrodusznością, że nikt się za nie nie gniewa, nikt nie przybiera „godnego“ wyrazu twarzy i nie daje obrażonym wzrokiem poznać p. Gautier, że się posunął za daleko.

Jeżeli uczniowie tak bardzo lubią swego profesora paleografii, to może główną przyczyną jest jego przystępność, dość niezwykła u uczonych francuskich. Przystępność p. Gautier jest nieco wyrachowaną, bo prócz wykładów paleografii miewa jeszcze inne, nieprzywiązane do stałego miejsca ani do oznaczonych godzin, wykłady zasad religijno-politycznych, którym zjednywa w łonie młodzieży coraz to nowych zwolenników.

Grono słuchaczów w *l'Ecole des Chartes* dzieli się na liberałów i konserwatystów, a nie zawsze są liberali w większości.

Nie trzeba wnosić z prozelityzmu p. Gautier, żeby tém samém kładł mniejszy nacisk na naukę i jéj prawdziwe zadania. Tego zarzutu nikt mu nie uczyni, tém bardziéj, że jedném z najmilszych marzeń p. Gautier jest dać wyraz uczuciom religijnym w ścisłéj i gruntownéj umiejętności. Zresztą stara się w tym względzie własnym zachęcić przykładem. Wielotomowe jego dzieło „Les Epopées Françaises“ ma postać i wartość pracy ściśle naukowéj i kilkarotnie przez Akademią Francuską bywało nagrodzoném. Od badania staro-francuskich poematów z XI i XII wieku jeden tylko krok oddzielał pana Gautier od poważniejszéj i rozleglejszéj pracy—nad rycerstwem. To też od lat już wielu wiedziano w gronie poufnych, w kółku kolegów, że Gautier przygotowuje z niezwykłą starannością i na podstawie wyczerpujących studyów obszerne dzieło, w którém nie miał poprzestać na stronie archeologicznéj, ale miał zarazem dostarczyć dowodów na mylność ogólnie o rycerstwie wyrażanych sądów.

Dzieło to mamy obecnie pod ręką. Z pewną trwogą rozpoczęliśmy jego czytanie: mimowoli nasuwała się obawa czy publicysta i propagator nie występują w niém zbyt wybitnie, czy charakter naukowy i wartość źródłowa książki na formie popularnéj nie straciła. Dodawało nam jednak z drugiéj strony otuchy przeświadczenie, że

autor nie podejmowałby kilkunastoletnich badań, aby je utopić w dziele chwilowéj tylko doniosłości, że będąc fachowym uczonym i stykając się codziennie z pierwszorzędnymi przedstawicielami nauki we Francyi, potrafi utrzymać się na stanowisku uczonego, i choć zamierzył pisać w sposób dla ogółu przystępny, będzie przestrzegał zasad odróżniających dzieła umiejętnych badaczy, od księgarskich wydawnictw przedsiębranych w celu spekulacyi, że nam da, jedném słowem, dokładne i wyczerpujące przedstawienie rycerstwa, którego brakło dotąd w literaturze historycznéj.

Wspomnieliśmy już, że p. Gautier znakomitym jest znawcą dawnéj francuskiéj literatury epicznéj czyli t. z. *chansons de geste*. Liczba i rozmiary tych utworów są bardzo znaczne, niektóre z nich liczą po 50000 wierszy; można więc sobie wyobrazić, że gdy należało kilkadziesiąt takich poematów przeczytać i zanalizować, praca musiała być ogromną, zwłaszcza że wiele ich spoczywa do téj pory w rękopisach. Przedmiotem tych „chansons de geste“ jest walka z niewiernymi, z Sarracenami i głównym bohaterem lub raczéj tą postacią, około któréj cała rozwija się akcya—Karol Wielki.

Obok niego występują jego siostrzeniec Roland, Olivier, Aiol de Saint-Gilles, Ogier, Guillaume d'Orange, Vivian i wielu innych wojowników wypróbowanego męstwa i straszliwéj siły. Poeci francuzcy z XI i XII w.—imiona ich nie są znane—używali do opisu czasów Karola Wielkiego barw z epoki, w któréj sami żyli; pozostawili więc niezmierny zasób wiadomości o stosunkach publicznego i prywatnego życia, których darmobyśmy szukali w rocznikach i kronikach. Przytém są oni w opisach swych tak szczegółowi i dokładni, że możemy o najmniejszych drobiazgach znaleść w ich utworach jak najwyraźniejsze objaśnienie. Ponieważ zaś są walki i wojownicy głównem tłem ich opowieści, więc właściwym przedmiotem ich opisów i przedstawień są rycerze i stosunki rycerskie przeważnie z w. XII, tj. z czasów, którym większość tych poematów powstanie swe zawdzięcza.

Niezwykłą obfitość wiadomości w utworach epicznych francuskich ocenił już Ducange, a po nim wszyscy znakomitsi uczeni jak Saint-Pelaye (z w. XVIII), Viollet le Duc, Quicherat, zajmujący się archeologią średniowieczną.

P. Gautier był uczniem Quicherat'a, byłego dyrektora w *Ecole des Chartes* i znakomitego archeologa, miał więc sposobność zostać wdrożonym w studya nad „chansons des geste“ przez wytrawnego i doświadczonego badacza.

Tego więc rodzaju jest główne źródło do pracy o rycerstwie. Zbytecznem byłoby zapewniać, że Gautier użył prócz niego i wszy-

stkich innych i w zupełności wyczerpnął ogłoszony do téj chwili materyał źródłowy. Mając wydać sąd o wielkiéj syntetycznéj pracy dokonanéj przez wypróbowanego i znakomitego badacza, można pominąć techniczną jéj stronę, bo bez wątpienia jest ona bez zarzutu. A jeżeli wspomnieliśmy nawiasowo o główněj podstawie wywodów pana Gautier, to tylko, aby dać obraz z jakiego rodzaju zabytków wypadało mu je wysnuwać. Z innéj strony należy spoglądać na podobne prace...

Drobne kwestye i pojedyńcze wypadki nie wymagają w przedstawieniu szczególniejszych wysileń metodycznych; przy małéj objętości materyału, i przy niewielkim zakresie chronologicznym przedmiotu nie napotyka fachowo wykształcony historyk na żadne prawie trudności. Inaczéj się rzecz ma, gdy wypada mu opanować ogrom wiadomości, kiedy mu chodzi nietylko o wydobycie faktów, ale o przedstawienie ich na tle właściwém, o nakreślenie nie grubych rysów ale odcieni, o ożywienie postaci, a nie o skonstatowanie tylko ich istnienia. Takie ma przedewszystkiém zadanie historyk piszący o rycerstwie, zwłaszcza gdy pojął swe zadanie w podobny sposób jak Gautier.

Wyświecanie wszystkich drobnych szczegółów codziennego życia, dotyczących odzieży, pożywienia, zabaw, zatrudnień w pewnym okresie należy właściwie do archeologii. W tym sensie rozumiemy przez archeologią średniowieczną, naukę odpowiadającą na wszystkie te pytania w obrębie wieków średnich. Starożytności irańskie lub indyjskie, greckie albo rzymskie odpowiednie mają zadanie względem innych czasów i narodów. Otóż, jak wiemy z doświadczenia, pojmują pracujący nad tą częścią dziejów pisarze w dwojaki sposób podjęte zadanie. Jedni dają nam w formie niejako encyklopedycznej cały szereg informacyj i konkretnych szczegółów w pewnym systematycznym ułożonych porządku, przyczém każde poszczególne omawiając pytanie, starają się wyczerpnąć je pod względem źródeł i czasu. Drudzy znowu sądzą, że bardziéj pouczającém jest przedstawienie społeczeństwa w ciaśniejszym chronologicznym okresie, niejako w przecięciu, przyczem wszelkich dokładają staranności, by zastosować tylko ściśle do tego okresu przypadające barwy i odcienie.

Oba sposoby pojmowania przedsięwzięcia mają wiele za sobą przemawiających względów, lecz trzeba przyznać, że wprowadzenie w życie drugiego o wiele jest trudniejszém. Tego właśnie chwycił się p. Gautier. Nie chce on się zajmować owém rycerstwem *à panaches*, jak go nazywa, które wyrodziło się przy końcu średnich wieków, i ogranicza nie poszukiwanie swe ale przedstawienie do osta-

tnich dziesiątków XII stulecia, tak że dzieło jego ma nam dać obraz rycerstwa za panowania Filipa-Augusta. Bo trzeba zaznaczyć, że p. Gautier zacieśnia swe przedsięwzięcie nietylko co do czasu ale i co do zakresu terytoryalnego. Rycerstwo, o którém ma mówić, jest rycerstwem francuskiém—nie idzie zatém, aby uczony profesor posuwał szowinizm narodowy do zaprzeczania germańskiego początku téj instytucyi, owszem zaraz na początku swego dzieła mówi: *La chevalerie, comme nous le montreront tout a l'heure, dérive d'un usage germain, qui a été idealisé par l'Eglise.*

Aby rozwiązać postawione sobie zadanie, musiał autor nie mało rozmyślać nad planem swéj pracy. Postaramy się wejść w jego sposób myślenia i wytłómaczyć ten, jaki w istocie zastosował. Aby sobie uzmysłowić wszystkie objawy życia pewnego stanu w danéj epoce, należy przedewszystkiém obrać konkretny podmiot. Życia bowiem korporacyi lub klasy ludności nie można scharakteryzować zadawalniająco, rzucając bez związku z sobą będące rysy, z najrozmaitszych zaczerpnięte opowieści; wybrany podmiot trzeba ożywić, trzeba postawić go we wszystkie możliwe położenia i zawikłania, jakie go mogły spotkać, i zastanowić się nad rozstrzygnięciem wszystkich wątpliwości ze względu na ściśle oznaczoną osobę. Mając więc przedstawić rycerstwo francuskie za czasów Filipa-Augusta, należało nakreślić sobie idealną postać i przeprowadzić ją od chwili urodzenia wśród wszystkich stopni i kolei, jakie najpierw aspirant na rycerza a następnie już rycerz przechodzić musi. Rycerz ten będzie punktem środkowym; około niego wystąpią postaci jego zwierzchników, towarzyszy i podwładnych; rodziców, małżonki i dzieci. Objaśni się daléj w jaki sposób żył na swym zamku, jakiego używał pożywienia, jak się bawił, jak walczył itd. To był plan pana Gautier, który w dziele swém z całą możliwą przeprowadził ścisłością.

W pierwszych rozdziałach daje nam opis dziejów rycerstwa, przedstawia 10 przykazań obowiązujących członków téj instytucyi, wszystko objaśniając licznemi przykładami i w ten sposób uprzystępniając jak najdosadniéj. Przedmiot następnych rozdziałów charakteryzują dostatecznie napisy, których przytaczamy kilka: Dziecięctwo barona, młodość barona, wstąpienie do stanu rycerskiego, małżeństwo, życie domowe, życie wojskowe, zgon rycerza.

Niektóre z tych rozdziałów dzielą się na kilka innych, bo np. życie domowe rycerza zbyt jest obszernym tematem, aby na kilku mogło być załatwioném stronach. Nie będziemy ich streszczać, co zresztą wymagałoby o wiele więcéj miejsca, niż go niniejszéj książce zamierzamy poświęcić. Powiemy tylko, że najsurowszy sędzia

przyzna p. Gautier, że z zadania swego wywiązał się znakomicie. Kto książkę jego przeczyta, a czyta się ona, mimo znacznéj objętości, przyjemnie i prędko, ten będzie miał wyobrażenie o rycerstwie, choćby nigdy przedtém o niém nie słyszał; to było głównym celem autora,—osiągnął go w zupełności.

Aby dać pewną miarę, jakie praca p. Gautier zajmuje pod względem naukowym miejsce w powszechnéj literaturze historycznéj, porównamy je z inném, o tym samym przedmiocie traktującém, dziele napisaném po niemiecku. Mamy na myśli „*Das Höffische Leben*“ przez Alwina Schultza.

Przed p. Schultzem, który na lat kilka wyprzedził p. Gautier, żadnéj—można powiedziéć—nie było o rycerstwie naukowéj książki. Wprawdzie wiele można się było dowiedziéć z Wrigth'a „*History of domestic manners and sentiments during the middle-ages*“ lub pokrewnych mu dzieł francuskich i niemieckich, ale w nich wszystkich tekst był dodatkiem, a jedynie ilustracye zasługiwały na uwagę.

Pożytecznemi więc były wszystkie te dzieła tylko dla uczonych, początkujący przypatrywał się z przyjemnością odtworzonym przedmiotom i miniaturom, rozglądał się w zbrojach i sprzętach średniowiecznych, nie mając żadnego pojęcia w jakim były one używane czasie, ani nawet bardzo często—do jakiego właściwie służyły użytku.

Pan Schultz bardzo się niewątpliwie zasłużył napisaniem dzieła ogromnéj erudycyi, niezmiernéj pracy i wielkiéj w praktyce dla innych badaczów doniosłości. Ale niedarmo jest p. Schultz Niemcem. Zrobiwszy wyciągi z kilkuset poematów lub kronik, bo uwzględniał nietylko niemieckie ale francuskie i włoskie źródła, nigdyby nie przeniósł na sobie, by jakiegokolwiek ekscerptu, najdrobniejszéj notatki nie zacytować i nie uwzględnić. Z tego wynika, że chwycił się p. Schultz metody encyklopedycznéj i wszystko, o czém się dowiedział, w systematycznym przedstawił czytelnikowi porządku. Nie ganimy go za to, owszem przyznajemy chętnie, że będzie jego książka na długie lata główną kopalnią wiedzy o rycerstwie, o zwyczajach i stosunkach domowych w XII i XIII wieku, ale mając opanować tak wielki materyał, mając uwzględnić tak obszerną epokę, nie mógł p. Schultz żadną miarą być ani wyczerpującym, ani nie zdołał nadać swéj pracy należytego zaokrąglenia i wykończenia. Jest-to cenne repertoryum, ale dziełem sztuki historycznéj nie jest.

To jeden zarzut, drugi jest ważniejszy. Pan Schultz, mimo iż zajmuje się przeważnie średniemi wiekami i ma do nich niewątpliwie nie małe zamiłowanie, nie uniknął owego pesymistycznego zapatrywania, które przebija się w każdym niemal pisarzu protestanckim.

Odnosi się to wszystko do rozdziałów omawiających moralność w téj epoce. Niewątpliwie ma p. Gautier słuszność, z wielką ostrożnością korzystając w tym względzie ze średniowiecznych romansów. Pan Schultz natomiast zanadto wielką przyznaje im wagę i zbyt dosadnie wciąga zaczerpnięte w nich szczegóły do własnego przedstawienia. O moralności przecież nie można sądzić z romansów i epicznych powieści, tak dobrze jak niewłaściwém by było wnioskować z operetek Offenbacha lub powieści Zoli o ogólnym stanie obyczajów w dzisiejszém społeczeństwie francuskiém. Przytém robi czasem p. Schultz, chcąc być dowcipnym, bardzo niesmaczne uwagi, jak naprzykład gdy mówiąc o zamiłowaniu ludności średniowiecznéj w czystości i częstéj kąpieli wspomina, że św. Elżbieta uważała to za zbytek i dodaje: „Ludzie jednak nie mający żadnych do świętości pretensyi, dbali o czystość swego ciała....“

Większej części ujemnych stron niemieckiego pisarza uniknął p. Gautier zwycięsko. Nie jest ani płaskim — nigdy prawdy nie zatajając, ani niesmacznie dowcipnym— nie przestając pisać z werwą i ożywieniem. Pod względem naukowym celuje Gautier opanowaniem i wyczerpnięciem przedmiotu, gdy p. Schultz tylko większą rozległością przejrzanego materyału źródłowego. Zwracamy - tém uwagę na niewidywaną u Niemców skromność francuskiego pisarza. Znając pracę p. Schultza i korzystając z niéj, zaznacza p. Gautier zawsze, ilekroć skorzystał z jego cytaty lub spostrzeżenia. W podobnych przypadkach nie zwykli Niemcy tak lojalnie postępować. Chcąc ostatecznie sformułować stosunek obu dzieł do siebie, możemy powiedzieć, że się nawzajem uzupełniają i równocześnie mogą być z korzyścią czytane. Praca pana Schultza obfituje w większą ilość faktów i szczegółów, książka p. Gautier odznacza się wiernèm i plastyczném odtworzeniem epoki, jest niejako niezmiernie starannie opracowaném malowidłem, podczas gdy dzieło niemieckiego pisarza porównać by tylko można do szeregu ilustracyj i szkiców bardzo wprawdzie detalicznych, ale zawsze malowidłu niedorównywających.

Kto wszakże chce nabyć o rycerstwie dokładnego wyobrażenia, ten musi oba odczytać dzieła, sądzę tylko, że jeżeli ma wyrobiony smak estetyczny, z większą odczyta przyjemnością pracę p. Gautier.

Tych kilka uwag przekona zapewne każdego, że „*la Chevalerie*“ jest dziełem pierwszorzędnéj wagi naukowéj, dodajemy, że nie brak w niém, mimo popularnéj formy, ani cytat, ani wyjątków ze spożytkowanych tekstów. Owszem, zabierają cytaty niemało miejsca, a niektóre z nich są małemi rozprawkami. Literatura uwzględ-

nioną jest w najszerszém tego słowa znaczeniu, a indeks bibliograficzny wylicza wydania ogłoszonych dotąd epicznych utworów francuskich. Jeżeli podniesiemy raz jeszcze bezstronność w kwestyach ściśle naukowych i chętne uznanie w początkach rycerstwa pierwiastku germańskiego, o ile się to tylko da w umiejętny wykazać sposób, to powiemy prawie wszystko, co można na korzyść niniejszéj książki przytoczyć.

Na tém jednak nie poprzestaniemy, a sam napis umieszczony na czele naszego sprawozdania wskazuje, że prócz pracy naukowéj czego innego jeszcze należy szukać w dziele p. Gautier.

Niedarmo jest się publicystą, niedarmo wykształciło się styl do codziennych polemicznych zapasów. W dzienniku przeznaczonym dla mas, pisać trzeba stylem obrazowym, energicznym, nie zawadzi nawet czasem pewna przesada i afektacya. Lecz w pracy naukowéj, choćby popularnéj nie zawsze jest podobny styl odpowiednim. Znuży on niejednokrotnie czytelnika bardziéj aniżeli suche i jednostajne przedstawienie. Nie chcemy twierdzić, aby się p. Gautier tak daleko posunął, ale każdy przyzna, że mógłby był rzecz swoję prościéj i zwięźléj napisać. Proszę zauważyć czytając, ile razy używa szanowny autor zwrotu „*que dis-je*“, prawie co kilka stron. Wogóle nie opuszcza żadnéj sposobności, aby albo w nawiasie, albo na końcu okresu nie wywołać urwanym zdaniem stylistycznego efektu, lub indywidualnéj nie dołączyć uwagi.

Tak mówiąc o zamążpójściu dziewicy z rycerskiego rodu, dodaje po zdaniu: „*Telle est l'influence de la jeune fille, mais voici, que l'heure du mariage sonne pour elle*“, patetyczny wykrzyknik „*Trop tôt quelques fois*“ (p. 382). Bardzo często robi porównania z teraźniejszym stanem rzeczy i nie zaniedba nigdy z ostrym wystąpić docinkiem.

Napuszony styl, przesadna dykcya zdradzają publicystę. Propagatora religijnego, obrońcę katolicyzmu zdradza tendencya książki, silnie zaznaczona na każdym nadającym się do wycieczki moralnéj miejscu, a przedewszystkiem dobitnie wyłożona we wstępach.

Wstępy pozostawiliśmy na sam ostatek naszego omówienia, bo są one niewątpliwie bardzo niezwykłe i wiernie malują w autorze podwójny charakter, jaki zaznaczyliśmy w nim poprzednio.

Pierwszy z nich figuruje jako „*Dédicace.*“ Nikt pewno nie domyśli się komu dedykował Gautier swoje dzieło. Zdawałoby się, że najprędzéj hrabiemu Montalembert, lub innéj wybitnéj osobistości z ultramontańskiego obozu. Nie zadziwiłbym się gdyby poświęcił je był pamięci Piusa IX. Nie — p. Gautier wybrał postać o wiele różną od Montalemberta i Piusa IX, postać niewątpliwie bardzo

wielką, ale którój na tém miejscu najmniéj byśmy oczekiwali. Wybrał Cerwantesa.

Cerwantes był sam rycerzem. Dzielnie walczący pod Lepante wojownik, obrońca chrześciaństwa, mąż szlachetnych i podniosłych uczuć, czemże był inném jeśli nie jednym z ostatnich rycerzy. A przecież jego to śmiech i żarty ugodziły rycerstwo w samo serce, zadały mu cios śmiertelny. Gdybyś, o Cerwantesie, znał wszystkie piękności pieśni Rolanda, lub czytał groźne i wspaniałe sceny odtworzone w poemacie „Aliscans“, nie byłoby genialne twe pióro tak wzniosłéj napiętnowało instytucyi, nie byłbyś nigdy, mimo własnéj zresztą woli, podnosił tak wysoko mieszczańskich cnót swego Sancho, byłbyś pojął, że niedostatki i śmieszności rycerstwa z w. XVI nie istniały w chwili rozkwitu téj instytucyi, byłbyś prawdziwego nabrał o niéj wyobrażenia i uznałbyś jéj wspaniałość.

Pan Gautier nie może przebaczyć Cerwantesowi wpływu i rozgłosu Don Quichota i nie miałby nic przeciw temu, gdyby literatura europejska nigdy nie ozdobiła się utworem hiszpańskiego poety.

Krótszą od dedykacyi przedmowę kończy Gautier następującemi słowy: „Książkę niniejszą, owoc długoletnich poszukiwań, opracowywał autor z wielką starannością. Przedewszystkiém chciał być bezstronnym i za *niegodziwego* (*le dernier des hommes*) uważałby się człowieka, gdyby z samowiedzą barwy swe uświetniał lub upiększał wzory. Celem jego było wsławić dawną Francyą, zmusić do ukochania jéj, zmuszając do jéj poznania, i wrazić ją wreszcie, według słów Guizota, w umysły i pamięć młodych generacyj.

„Lecz inny jeszcze powzięliśmy zamiar, nieco śmiały. Pragnęlibyśmy uszlachetnić dusze, wyrwać je z pod wpływu merkantylizmu, który je upadla i egoizmu, co je zabija, chcieliśmy obudzić w nich zapał do piękna, które jest zagrożone, i do prawdy nie znajdującéj prawie zupełnie uznania.

„Nie jeden jest tylko rodzaj rycerstwa i nie na wywijaniu kopii jedynie zależy. W braku miecza chwyta ręka za pióro, gdy pióro z ręki wypadnie, pozostaje żywe słowo, gdy głos umilknie, zastawić się możemy honorem.

„Autor dzieła o rycerstwie uważałby się za szczęśliwego, gdyby stworzył rycerzy.“

I dedykacya i wstęp piękne i wzniosłe — ale czy potrzebne.

Cerwantes nie zabił rycerstwa, bo przed nim legło już ono w grobie. Sam p. Gautier wie o tém najlepiéj, kładąc świetną epokę téj instytucyi w w. XII. Nie będziemy nawet pod tym względem polemizować. bo przekonani jesteśmy, że wywołał p. Gautier Cerwantesa z grobu jedynie w celu reklamy. Może to powiedziano

nieco za ostro, ale mniemam, że prawdziwie. Francuzi lubią szumne wyrażenia i efekty niespodziewane. Refutacya Don Quichota bardzo się niewątpliwie spodoba publiczności paryskiéj, jako nowy i śmiały paradoks.

Wstęp ma poważniejszy charakter i w ostatnich wierszach zawarte oświadczenia uprzedzają czytelnika, czego mu należy w książce o rycerstwie szukać prócz przedstawienia rycerstwa. Jednak wyznam, że według mego zdania i ów końcowy ustęp przedmowy potrzebnym nie był, bo co wyraził w nim p. Gautier w kilku słowach, to tak często i dobitnie podnosi w dalszym ciągu w samym tekście, że tendencyi jego nie zauważyć niepodobna.

Zapewne wolno korzystać pisarzowi ze wszelkich sposobności, by dać przekonaniom swym wyraz, by zjednywać dla nich stronników; wolno mu wyzyskiwać własną naukę, łatwość pisania, nabyty rozgłos i sławę. Nie mamy prawa go krępować. Ale mamy prawo zastanowić się i ocenić o ile szkodzi stanowisko autora téj stronie przedsięwzięcia, na któréj nam najbardziéj zależy, o ile w obecnym wypadku uwłacza naukowemu charakterowi dzieła o rycerstwie.

Uważamy to za szczęśliwy przypadek i cieszymy się bardzo, że dzieło p. Gautier nie wiele tylko ucierpiało na jego tendencyi. Znać w niém wprawdzie publicystę i krzewiciela zasad religijnych, ale uczony ma niemniéj twardy kark i niemniéj nieugięte zasady od publicysty i propagatora. Tak śmiało mogę twierdzić, że w książce p. Gautier ma—szczęśliwie dla umiejętności,— pierwsze i rozstrzygające słowo zawsze uczony, dwaj jego towarzysze komentują jego wnioski i naukowe zdobycze, ale wiedzą dobrze, że nie wolno im zbytnio podnosić głosu.

Jest to szczęśliwie dla umiejętności, powiedziałem, bo każda tendencya, choćby z dobréj wypływała wiary piszącego, psuje wartość jego dzieła, obudza nieufność i czyni nawet zabiegi autora całkiem bezużytecznemi. Nie sądzę, żeby p. Gautier doznał w tym kierunku większego od innych powodzenia.

Bronić rycerstwo z dwóch jest przyczyn anachronizmem i niewłaściwością. Raz, że rycerstwo obrony nie potrzebuje, o ile będziemy na instytucyą tę spoglądać jako na utwór średnich wieków, a powtóre ponieważ jest Don Quichotowskiém przedsięwzięciem chcieć w dzisiejsze pokolenia wdrażać rycerskie przekonania i myśli. To co było w rycerstwie szlachetném i wzniosłém nie można uważać jako istotne, a zwłaszcza jako rycerstwa wyłączne cechy, bo nigdy nie odstępowali od tego ideału szlachetni i wzniośli ludzie. Pewne formy, pewne dążenia, pewne zobowiązania mogą doprowa-

dzić niektóre strony charakteru ludzkiego do niezwykłéj doskonałości, mogą im nadać w obliczu uprzedzonych wszystkie prawie objawy wcielonego ideału, ale jest to niezachwianym pewnikiem, że jednostronne doskonałości ciężko przychodzi okupywać jednostce i społeczeństwu i mylnym jest prorokiem, kto w tym duchu propagandę rozwija.

Rycerstwo było stanem wyjątkowym, stworzyło lub wyrodziło raczéj ciaśniejsze społeczeństwo, w społeczeństwie ogólném. W średnich wiekach i w tych krajach, gdzie się ono objawiło, dadzą się odszukać przyczyny, a więc i usprawiedliwienie wyjątkowych tych stosunków. Ale gdy cały dzisiejszy postęp walczy z przywilejem i stanem wyjątkowym, a ideał widzi w państwie wszystkim swym obywatelom równe dającém prawa, czy należy uczyć ludzi, że wyjątkowe uzdolnienia mogą wymagać i odrębnych wyszczególnień społecznych. Czy mniema p. Gautier, iż mieliby rycerze z XII wieku wszystkie zalety, które w nich upatruje, gdyby nie było przywiązane do stanu rycerskiego i odrębne stanowisko społeczne i mnogie uprzyjemniania życia, których inne stany były pozbawione. Jeżeli chce p. Gautier występować przeciw egoizmowi, to mniemam, że zły podał przykład przytaczając rycerstwo. Tam gdzie indywidualność jest wszystkiem, widzę najdoskonalsze uosobienie egoizmu; nie wielka to zasługa poświęcać się, gdy poświęcenie jest wynikiem wybujałéj fantazyi, wypielęgnowanego od dzieciństwa rozmarzenia, gdy zwłaszcza tak często bywa nagradzaném, a zawsze opiewaném i sławioném. Lepiejby zrobił p. Gautier nie pogardzając drobnemi cnotami, bo choć w Sanchu są one śmieszne i budzą może lekceważenie, to całe możemy wyliczyć legiony ludzi, w których są one nie mniéj podniosłe, podnioślejsze nawet, od wszystkich rycerskich czynów.

Rycerstwo — to wyidealizowanie zwierzęcéj strony ludzkości. W średnich wiekach inaczéj być nie mogło, i wielką to bardzo stanowi zasługę kościoła, że natura ta dała się wogóle za jego wpływem ujarzmić i wyidealizować; ale czy przeto zmieniła się jéj istota.

Zapewne, że namiętne umysły, „rycerskie“ usposobienia z niepokojem patrzą na tę bezwzględną niwelacyą, któréj postępy w społeczeństwie codziennie dają się spostrzedz. Może to nieraz ciężko dotknąć pyszne umysły, może przygnieść niemiłym ciężarem porywy gwałtownego usposobienia, gdy wypada liczyć się z tym potworem, który nazywamy masami; a przecież w tém niewątpliwie jedyny tkwi postęp, że coraz niższe warstwy budzą się dla życia społecznego, coraz liczniejsze zastępy z samowiedzą i poczuciem wartości i godności osobistéj powiększają szeregi potomków rycerzy, że zni-

kać zaczynają, a niedługo znikną przesądy i różnice kastowe, że coraz więcéj dziś jeszcze uwielbianych instytucyj i odróżnień powiększy zasób archeologicznych zabytków i ciekawości i nie będzie więcéj stanowić w życiu nieprzełamanéj a często wstrętnéj zapory.

Jeżeli się zamierza wdrażać szlachetne uczucia w młodzież i ludzi dojrzałych widmo rycerstwa jest niepotrzebném, niepotrzebném zwłaszcza dla naszego społeczeństwa, które nie miało w swém łonie rycerzy takich, jakich rozumie p. Gautier, a przecież szlachetnych i znakomitych postaci pozbawionèm nie było. Wierzymy mocno, że redaktor *Monde*'u i uczony profesor w najlepszéj objawił wierze tendencyą swą i uprzedzenia, i nie nazwiemy go z pewnością nigdy „człowiekiem niegodziwym“ za to, że mimowoli minął się z bezstronnością.

Niech każdy, co czytać będzie „La Chevalerie“, zapomni o tendencyi autora, a chwyta tylko skwapliwie prawdziwie umiejętne jego wywody i spostrzeżenia, a odłoży przeczytaną książkę niewątpliwie z zadowoleniem i — żalem.

O zewnętrznéj formie niniejszéj publikacyi, która jest prawdziwie wspaniała, nie mówilibyśmy wcale, gdyby nie ostatnia ilustracya dokonana przez Andriollego.

Wydawca Victor Palmé uczynił wszystko, aby dzieło p. Gautier w świetnéj i oryginalnéj ukazało się szacie. Nie małą ozdobę stanowią piękne drzeworyty, do których dostarczyli rysunków najznakomitsi paryscy artyści, liczący obecnie do swego grona i Andriollego. Rysunek jego przedstawia śmierć rycerza i pełen jest siły i piękności. Nie ustępują mu ilustracye innych mistrzów i wogóle możemy sumiennie zalecić książkę p. Gautier tak ludziom naukowym, jak szerszéj publiczności, jak nareszcie miłośnikom ozdobnych i artystycznych wydawnictw.

B.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Historya języka polskiego przez Antoniego Kalinę.—Tom I. Formy gramatyczne języka polskiego do końca XVIII wieku. (Praca konkursowa uwieńczona nagrodą przez Redakcyą „Bibliot. Warszawe") Lwów 1883 str. XXVII. 492.

Literatura nasza gramatyczna nie wiele dotąd posiada dzieł tak obszernych, a zarazem tak potrzebnych, jak najnowsza praca p. Kaliny. Zawiera ona jeden z najważniejszych działów gramatyki polskiéj, bo naukę o historycznym rozwoju deklinacyi i konjugacyi języka polskiego, opartą na języku pisanym wieków przeszłych. Autor uwzględnia tu całą niemal literaturę polską aż do końca wieku XVIII. Sam spis „źródeł" literackich, na których się opiera ta praca, obejmuje 27 stronic druku, poprzedzających wstęp (I—XXVII). We „wstępie" (str. 1—25) streszcza p. K. ogólne wiadomości o mowie ludzkiéj, o nauce zwanéj głosownią, o pierwiastkach, tematach i wyrazach, o częściach gramatyki tém się zajmujących, daléj o rodzinie języków indoeuropejskich i należących do téj rodziny językach słowiańskich, wreszcie o języku polskim i jego pisowni. Następuje szczegółowe opracowanie deklinacyi, i to imionowéj (str. 27—245), zaimkowéj i złożonéj (str. 246—339). Resztę dzieła zajmuje konjugacya, a mianowicie: tematy trybu bezokolicznego i utworzone z nich formy (str. 342—388), tematy czasu teraźniejszego (str. 389—461), i wreszcie czasy złożone (str. 462—490). Wszystko to ilustrują dość bogate przykłady, wyjęte z zabytków języka staropolskiego i z dzieł naszych pisarzów aż do końca wieku XVIII.

Historya języka polskiego rozpoczyna się już właściwie w tych czasach, kiedy nasz język oddzieliwszy się od innych gwar słowiańskich począł żyć i rozwijać się samodzielnie. Kiedy się to stało, nie wiadomo; to jednak pewna, że od owéj chwili przynajmniéj kilka

jeszcze upłynęło wieków, nim ślady naszego języka poczęły się pojawiać w *piśmie*. Od tych zaś dopiero czasów śledzić można losy naszych form językowych. By jednak poznać początek ich i przyczynę, trzeba się niekiedy cofnąć znacznie wstecz, do doby przedhistorycznéj języka polskiego, prasłowiańskiéj lub nawet indoeuropejskiéj.

Dobą *prasłowiańską* zowiemy owe czasy przedhistoryczne, kiedy jeszcze wszyscy Słowianie, więc Polacy, Czesi, Serbowie, Bułgarzy, Rusini itd. jeden stanowili naród i jednym mówili językiem; *indoeuropejską* zaś dobę stanowią owe zamierzchłe wieki, kiedy to wszystkie narody indoeuropejskie, tj. Słowianie Litwini i Germanowie; Italowie, Grecy i Keltowie; Armeńczycy, Persowie i Indowie stanowiąc jeden naród zamieszkiwali niewielką przestrzeń ziemi i jednym mówili językiem. Języka tego nie znamy, bo nie było jeszcze w téj indoeurop. kolebce takiéj kultury, któraby ślady ówczesnego języka zostawiła nam w piśmie; przez porównanie jednak tych języków, jakie się z niego późniéj wytworzyły, a więc słowiańskich, litewskich, germanów, indyjskich itp. możemy się bodaj domyśléć, jak brzmiała gwara naszych indoeurop. praojców. Podobnie nie znamy owego języka, którym mówili Słowianie, kiedy jako jedna rodzina oddzielili się od innych narodów bratnich; bo i oni nie byli jeszcze na tym stopniu kultury, by nam mogli zostawić pisane ślady swéj mowy. Możemy jednak w wyobraźni odtworzyć sobie ową prasłowiańską gwarę przez porównanie tych języków, które z niéj powstały, a więc polskiego, czeskiego, bułgarskiego, serbskiego, ruskich, itp. W ten więc sposób można sobie odtworzyć jakiś przedhistoryczny, idealny język prasłow. lub nawet praindoeuropejski, który nam tłómaczy niejedno zjawisko, spotykane w językach historycznych, dziś istniejących, lub takich, które już wprawdzie zmarły, lecz ślady swego istnienia zostawiły nam w piśmie. Dlatego to przy objaśnieniu zjawisk języka *polskiego* potrzeba się często uciekać do jego ojca, owego idealnego języka prasłowiańskiego, lub nawet niekiedy do dziadka, którym jest również idealny, jakkolwiek na podstawie faktów odtwarzany język praindoeuropejski. Że i stryjowie jego, taki język pralitewski, pragermański, praindyjski, itp. idealne podobnie jak tamte języki, mogą się przyczynić do wyjaśnienia niejednego faktu, zdaje się nie ulegać kwestyi.

Wszelkie jednak manewrowanie abstrakcyami, jakiemi są język prasłowiański, pralitew., praindoeurop. itp. nie bardzo pewną jest rzeczą, dlatego postarano się je zastąpić więcéj zmysłowemi pojęciami. I tak w miejsce idealnego języka prasłow. używa się w porównaniach zmarłego języka *starosłowiańskiego*, który zachował się

nam w piśmie i jest do owego pierwotnego języka Słowian bezwątpienia więcéj zbliżony, niż którykolwiek z innych języków słowiańskich. Tak samo w miejsce idealnego języka pralitewskiego uciekamy się do dziś żyjącego języka *litewskiego*, lub niekiedy do zmarłego staropruskiego, którego jednak ślady piśmienne są nader szczupłe i bardzo niepewne. Wreszcie miejsce idealnego języka praindoeurop. choć w części zastępuje nam zmarły, lecz zachowany w literaturze język *staroindyjski*, a względnie *sanskryt*, który bogactwem swych form językowych najbardziéj się zbliża do owéj pierwotnéj gwary narodów indoeuropejskich.

Otóż i p. Kalina ucieka się często do porównań z językiem starosłow. litews. i staroindyjskim, by wytłómaczyć pochodzenie form deklinacyjnych i konjugacyjnych języka polskiego. Porównania te jednak, zwłaszcza z językiem litews. i sanskrytem, są najczęściéj zbyteczne, témbardziéj że oparte na nich tłómaczenia form słowiańskich są wielce zastarzałe i błędne. Po co np. polską formę zaimkową *tem* (miejscownik l. p.) odnosić aż do staroind. *tasmin*, jeżeli stosunek formy starosłow. *tomь* od owéj staroind. nie jest tak nadto przejrzysty. Łatwo to powiedziéć, że z formy *tasmin* „po wypadnięciu dźwięku *s* z suffiksu *sm* i zamianie *a* na *o* powstało starosłow. *tomь*, pols. *tem*“ (str. 271), ale trudniejsza rzecz udowodnić. Czyż to *s* może sobie wypadać, kiedy mu się podoba, lub czy jest jakie prawo fonetyczne w tym względzie, cechujące języki słowiańskie? Dlaczegoż w starosłow. *jesmь* (stind. *asmi*) dźwięk *s* nie wypadł? Gdyby więc było jakieś prawo głosowe słowiańskie, powinnoby ono działać i w tym wypadku. Tak jednak nie jest, więc i słow. *tomь* inaczéj objaśnić należy. Forma słow. bez *s* powstała niezawodnie z téj saméj formy pierwotnéj, co ind. *tasmin*, lecz pod wpływem takich form zaimkowych, które nigdy *s* nie miały, jak narzędnik l. p. *tѣmь* (*toi-mi), l. mn. *tѣmi* (*toi-mî), celownik l. mn. *tѣmъ*, l. podw. *tѣma*. Tak samo objaśnić należy celownik l. p. *tomu* (pols. temu) w stosunku do staroind. *tasmâi* (str. 264). Stało się to zaś już może w dobie wspólności litewsko-słow., jeżeli i w języku litews. mamy miejscownik l. p. *tamin*, tamì, tamè, tàm; a celownik *támui*, tám (stprus. jednak s-tesmu).

Co się zaś tyczy owéj „zamiany *a* na *o*“ (str. 271), to chybaby dziś trzeba rozumiéć, że stind. *tasmin* zmieniło się w słow. *tomь*; co jest wprost niemożliwe. Formy bowiem słow. nie powstały z indyjskich, lecz tak samo jak indyjskie wyłoniły się z pierwotnego języka indoeuropejskiego. Że zaś ten język praindoeurop. nie da się identyfikować ze staroindyjskim, o tém już dziś nikt nie wątpi. Co więcéj, podług nowszych teoryj gramat. jest on pod względem

fonetycznym bardziéj nawet zbliżony do niektórych języków europ. niż do sanskrytu. To téż dźwięk *o* w słow. *tomь* jest niezawodnie starszy, niż *a* w sanskr. *tasmin*, bo sięga jeszcze owéj doby, kiedy wszystkie narody indoeurop. jednym mówiły językiem. I to już dziś nie nowiną; pan K. jednak zna język indoeuropejski tylko w dyalekcie Schleichera, a z książki jego drukowanéj w r. 1883 możnaby myśléć, że nauka od czasów Schleichera ani na krok nie postąpiła. Dlatego przewracając kartkę za kartką téj pracy, potrzebaby sobie dopiero przekładać objaśnienia Schleichera, Miklosicha itp., świeżo reprodukowane przez p. Kalinę, na dzisiejszą teoryą wokalizmu, a więc: mianownik l. p. *nie* „kończył się pierwotnie na *-as*, jak to jeszcze np. w litew. języku się pokazuje" (str. 29), lecz na *-os*; dopełniacz (a względnie ablativus) nie „na *-ad*" (str. 37), lecz na *-od*; biernik nie „na *-am*" (str. 51), lecz na *-om*; miejscownik nie „na *-ai*" (str. 55), lecz na *-oi*; wołacz nie „na *-a*" (str. 65), lecz na *-e*; mianownik l. mn. nie „na *-as*" (str. 71), lecz na *-es*, itd. itd.

Nadto należy już dziś genezę niejednéj formy słow. zupełnie inaczéj tłómaczyć; np. stsłow. zakończenie -ъ powstaje według pana K. raz z pierwotn. *am* (biernik l. p., str. 51), drugi raz z pierw. *-a+-am* (dopełniacz l. mn., str. 78); obie te formy pierwotne przechodzą w prajęzyku słow. zdaniem pana K. w „dźwięk nosowy samogłoskowy" (*ą*), który następnie „traci nosowy oddźwięk," raz „wskutek krótkości samogłoski *a* na końcu wyrazów," drugi raz „wskutek słabszéj ekspiracyi," tak że pozostały dźwięk czysty występuje jako starosł. ъ. Tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczéj. Zakończenie starosłow. -ъ powstało w obu tych wypadkach z pierwotnego *-om*, które przez *-*on*, **ъn* przeszło w starosł. ъ. Każdy krok tego procesu polega na prawach fonetycz. słowiańskich. Najpierw bowiem każde indoeurop. końcowe *-m* przechodzi w prasłow. w *-n* (podobnie jak w greckim), następnie z *on* nie może powstać samogłoska nosowa, bo nie tworzy ono zgłoski długiéj (ani natura, ani positione) (1), więc następuje przesuwka w *-ъn* (porówn. *sъ njimь*, gdzie *sъn* powstało z *son), a następnie podług powszechnego prawidła głosow. słowiańskiego końcowe *-n* odpada, i zostaje -ъ. Ten sam zupełnie proces zachodzi przy zakończeniu 1 osoby l. p. *aorystu* sygmatycznego (np. *bychъ*), gdzie *-chъ* powstało również z *-*som*, *-*chon*, *-*chъn*, a nie w ten sposób, jak czytamy u pana K. na str. 358. Że pierwotną końcówką dopełniacza l. mn. nie jest *-ām*, lecz *-a²m* (a względnie *-om*), znakomicie dowodzi Osthoff (2) jeszcze w r. 1878. Nic więc

(1) Por. *Leskien*, Die Declination im Slav. Lit. u. German. str. 15—16.

(2) Por. *Osthoff-Brugman*, Morpholog. Untersuchungen I. 207 i nast.

dziwnego, że dopełniacz l. mn. *kamenъ* powstał tak samo z *kamen-*omъ*, jak biernik l. p. *bogъ* z *bogo-*m*. Dopełniacz l. mn. *bogъ* (*bog-om) jest już utworzony pod wpływem tematów spółgłoskowych jak *kamenъ*; właściwie bowiem powinnoby być **bogôm* (z *bogo-om), jak mamy grec. ἵππων, stind. aśv*âm*. Podobnie rzecz się ma z dopełniaczem l. mn. tematów nijakich (str. 129) i żeńskich (str. 182). Że więc nawet od czasów znakomitéj pracy Leskiena o deklinacyi (r. 1876) nauka już znacznie naprzód się posunęła, widać to na każdym kroku,—lecz nie w pracy pana K., który zdaje się uważać teorye Leskiena z r. 1876 za ostatni wyraz nauki, a mimo to nie wszędzie je należycie uwzględnia. Dziś już sam prof. Leskien wiele a wiele rzeczy całkiem inaczéj uczy, bo literatura naukowa z każdym dniem się mnoży, a lekceważyć jéj nie można.

Słowiańskie zakończenie -ě powstaje u tematów żeńskich na -*â*, zdaniem pana K. (str. 170), raz z -*â*+*i* (miejscownik l. p.), drugi raz z -*â*+*ai* (celownik l. p.). Tymczasem dzisiejsza nauka również na takie tłómaczenie nie pozwala. Otóż miejscownik *rącě* nie odpowiada pierwotnemu **rąkâi*, lecz **rąkăi* (porówn. χαμαί na ziemi, καταί ὑπαί itp.). W ten bowiem tylko sposób da się wytłómaczyć miejscownik u *jâ*-tematów. Z formy **voljăi* powstaje *volj*oi* (bo każde indoeurop. *ă* krótkie występuje w słow. jako *o*), następnie *volj*ei* podług słow. prawideł głosowych, a wreszcie *volji*. Z formy zaś *volj*âi* nigdy *volji* powstaćby nie mogło. Miejscownik *rące* (*rąkăi) przyjął zarazem funkcyą celownika l. p. (*rąkâ-î), i stąd to się na pozór wydaje, że dwa pierwotnie różne zakończenia spłynęły się w jedno słowiańskie -ě. A więc i w miejscowniku l. p. tematów męskich i nijakich końcówka starosł. -ě (bodzě) nie jest wzięta od *a*-tematów żeńskich (str. 55), lecz jest prawidłowym miejscownikiem -*o*-tematów (*bogo-i), jak grec. οἴκοι, Ἰσθμοῖ, itp. Kiedy indoeurop. *oi* występuje w słow. jako ě, kiedy zaś jako *i*, trudno dotychczas stanowczo powiedziéć, podobnie jak trudno jeszcze określić prawidło, kiedy w słow. *i*, a kiedy ě występuje jako refleks indoeuropejskiéj dwugłoski *ei*.

W wyrazie stsłow. *mati* „sufiks -*ars* został zastąpiony przez *i*,“ twierdzi p. K. (str. 232), lecz całkiem fałszywie. Indoeurop. suffiks tego wyrazu jest -*ter*-, które w mianowniku występuje w mocniejszéj formie -*têr* (μήτηρ). Słow. *mati*, litews. *motė*, stind. *mâtâ* każą się domyślać, że już w dobie indoeurop. nietylko *s*, lecz i *r* końcowe tego wyrazu zginęło; w greckim zaś zjawiło się znowu pod wpływem innych przypadków, w których *r* zginąć nie mogło.

Imiesłów II czynny czasu przeszłego tworzy się za pomocą przyrostka -*lъ*, „który odpowiada staroind. *ra* według Schleichera,

a według Miklosicha *tra*“ (str. 378). I bez tego dodatku mogłaby się „Historya języka polskiego“ wybornie obejść, zwłaszcza że p. K. nic swego o téj kwestyi nie dodaje. Tymczasem, jeśli już ta uwaga koniecznie potrzebna, należałoby dodać, że prawdopodobnie ani Schleicher, ani Miklosich nie mieli w tym względzie racyi. Najpierw bowiem przyrostek, odpowiadający stind. *-ra-*, zostaje w słow. jako *rъ*, np. *pъs-t-rъ*, grec. πικ-ρό-ς; powtóre zaś indyjskiemu *-tra-* odpowiada słow. *-dło-*, które w językach zachodnio-słow. nigdy swego *d* nie traci, np. pols. *my-dło*. W obec tego formy: *my-lъ*, *zna-lъ* (pols. mył, znał, nie *mydł, *znadł) itp. są prawdopodobnie tworami imiennymi z przyrostkiem *-lo-*, występującym téż w litew. i germańs. językach.

Że zakończenie 1 osoby l. p. czasu teraźn. starosł. *-ą* (pols.-ę) powstało z *-om* (str. 390), także już dziś nikt nie uwierzy; bo z końcowego *om*, jak to już wyżéj wykazałem, może w starosł. powstać tylko-ъ. Stsłow.-*ą* powstało w tym wypadku z pierwotnego *-âm*, jest więc zapewne formą coniunctivu z końcówką osobową czasów historycznych (-m). Tak przynajmniéj uczą nowsze badania.

Formy 3 osoby l. mn. *jadętь*, *vědętь*, *dadętь* nie są utworzone „za pomocą spójki *e* : věd-e-ntь“ itp. (str. 425), gdyż słow. *ę* zastępuje w tym, jak i w wielu innych wypadkach, indoeuropejską „nasalis sonans“ *n* (samogłoskowe), więc *jadętь*, łać. *edunt*, itp. powstały z pierwotnego **ĕd-nti*. Tak samo powinno być **sętь* (*s-nti) zamiast formy *sątь*, która powstała pod wpływem form konjugacyi spójkowéj, jak *nesątь*, itp. Objaśnienie: „Od tematu *jes* odpada nagłosowe *je*, a samo *s* łączy się z zakończeniem *ą*“ (str. 425), jest zdaniem mém bardzo niedostateczne, bo mógłby ktoś z powodu „zakończenia *ą*“ pomyśléć, że wszystko to się stało już na gruncie języka polskiego. Tymczasem *je* (a względzie *e*) odpadło już w dobie indoeurop. od całéj formy **es-nti* z tego powodu, że w liczbie mn. akcent przechodził z pierwiastku na końcówkę osobową (porówn. stind. ásmi, ási, ásti, lecz smás, sthá, sánti).

Forma *dażdь* nie całkiem odpowiada „stind. formie optativu z przyrostkiem *jâ*“ (str. 433), bo w takim razie oczekiwalibyśmy **dażda*. Mamy jednak indoeurop. końcówkę trybu rozkazującego *-dhi* (grec.-θι), która wraz z reduplikowanym pierwiastkiem *dad-* tworzy formę **dad-dhi*, którejby odpowiadało w starosłow. **dazdь*. Otóż prawdziwy ten tryb rozkazujący **dazdь* został zapewne pod wpływem pierwotnego optativu **dażda* zmieniony w *dażdь*.

Dałoby się tu jeszcze mnóstwo innych rzeczy zupełnie inaczéj objaśnić podług dzisiejszych teoryi gramatycznych Brugmanna, Leskiena, Joh. Schmidta, itp., lecz nie chcę tego artykułu za nadto

obciążać tak specyalną treścią. Przytoczyłem tylko kilka przykładów na dowód, że najlepiejby było kwestyi tych wcale nie tykać, zwłaszcza że „Historya języka polskiego“ wcale by na tém nic nie ucierpiała; gdy tymczasem uwzględnienie ich wymaga dokładnego zapoznania się z literaturą naukową ostatnich lat siedmiu.

Przypatrzmyż się teraz właściwéj „historyi form gramat. języka polskiego.“ Trzeba przyznać, że p. K. nie mało sobie zadał trudu przy zebraniu i ugrupowaniu przykładów, zwłaszcza że nie mamy jeszcze słownika staropolskiego, któryby taką pracę ułatwił. Da się tu jednak jeszcze niejedno uzupełnić lub poprawić, przynajmniéj przy formach rzadszych; np. na str. 228 możnaby dodać przykład: *domu* twego Flor. 92, zwłaszcza że z psałterza floryańskiego ani jednéj formy autor nie przytacza, podobnież: *synu* twemu Puł. 173 b.; na str. 226 *plecoma* z psałterza Flor. 90 i z Puł. 184b itp. Na str. 157 uważa p. K. mylnie formę *studnicy* Flor. 24 a. za dopełniacz l. p., jest to bowiem celownik, jak to widać jasno z całego zwrotu: żądała jest dusza moja ku bogu, studnicy żywéj. Prawdopodobnie więc ani jednego przykładu tego rodzaju dopełniacza u jâ-tematów w psałterzu Flor. nie znajdziemy, jeżeli i formę *zmieszy* (smesy Flor. 74., zmeszy Puł. 150 a) uważać będziemy z Prof. Nehringiem (1) za temat na *-ĭ* (smieś), przyjęty z czeskiego. Zresztą spodziewać się można, że się jeszcze nie mało znajdzie tekstów staropolskich, co wpłynie również na niejednę zmianę. Nieco więcéj dałoby się powiedziéć o objaśnieniach, do jakich się nieraz p. K. ucieka, lecz muszę się trochę ograniczyć, zwłaszcza że tyle już miejsca zabrały nam poprzednie uwagi. Weźmy więc np. cokolwiek z samego początku.

Na str. 29 utrzymuje p. K., że „z pierwotnego *-as*“ w mianowniku l. p. tematów męs. powstało *o*, „które w polskim języku zostało,“ a jako przykłady przytacza: Falko, Mieczko, Dobko, Walko, Franko, Sułko, Jaśko, itp. Mnie tymczasem rzecz ta nieco inaczéj się przedstawia. Imiona własne, jak *Jan*, *Piotr*, itp. tworzą u nas już od najdawniejszych czasów (2) dwojakie formy zdrobniałe zapomocą suffuksu *-ъko-*, mianowicie *męskie* na *-ъkъ*, np. *Janek* (rok 1237), *Piotrek* (r. 1209), *Pasek* (r. 1237), i *nijakie* na *-ъko*, np. *Janko* (r. 1243), *Piotrko* (r. 1250), *Pasko* (r. 1278). Na utworzenie tych form nijakich wpływały zapewne i rzeczowniki rodzaju nijakiego, pokrewne znaczeniem i podobnie utworzone, jak np. *dziecko*. Po-

---

(1) Psalterii florianensis partem polonicam ad fidem codicis recensuit etc. str. 228. (Posnaniae 1883).

(2) Por. Baudouin de Courtenay, O drevnně-polskom jazykě (słownik).

nieważ jednak tworzono je tylko z imion męskich, zachowały one swe znaczenie męskie i używały się, podobnie jak dziś, już to naprzemian z formami męskiemi (więc Janko, Piotrko obok Janek, Piotrek), jużto wypierając pomału formy męskie brały nad nimi przewagę. Więc i formy *Fałko* (nie Falko), *Sułko*, itp. są również imionami zdrobniałemi od *Fał* (Chwał?), *Suł*, (por. Ffal 1277, Sul 1136) itp. w formie rodzaju nijakiego. W najstarszéj naszéj literaturze, łacińskim pisanéj językiem, nie bez wpływu zapewne było i to, że wszystkie niemal imiona odmieniano po łacinie: Falonis (r. 1257), Gvalonis (r. 1236), Potrcone (r. 1247), Pyothrcone, Jankonem (r. 1243), Jaszkonis, Jascone, itp. Że w mianowniku używano obok tego form męskich *Piotrek*, *Janek*, itp. widzimy najpierw po wyżéj już przytoczonych przykładach, a następnie i po tém, że mamy nawet formy jak *Potreconis* (r. 1228), urobione widocznie pod wpływem mianownika Piotrek. Z drugiéj znowu strony formy jak: Falonis, Piotrkonis, Jankonem itp. odmieniające się na wzór Ciceronis, Ciceronem, itd. mogły łatwo wpłynąć na to, że i w mianowniku powstały na wzór *Cicero* formy: *Phalo* (r. 1289), *Piotrko*, *Janko*, *Pasko*. Ciekawa téż, że w źródłach naszych formy na *-ko* często późniéj występują niż formy na *-ek*. Widać to już na kilku wyżéj przytoczonych przykładach, do których dodać jeszcze mógłbym: Bolec (r. 1136) -Bolco (r. 1238), Marec (r. 1228)—Marco (r. 1247). Przykładów takich jeszcze więcéj się znajdzie zebranych w książce Baudouina, któréj p. K. niestety nie uwzględnił, jak należało, jakkolwiek w spisie „źródeł“ znajdujemy ją wymienioną. Wszak wymienione przykłady i inne jak Bożko (r. 1267), Gozko (r. 1291), Błażko (r. 1261), Fulco (r. 1233), Jasco (r. 1295), itp. sięgają znacznie dawniejszych wieków, niż przytoczone przez pana K. przykłady z Rot przysiąg krakowskich, ze Świętosława z Wocieszyna, lub wreszcie z Bielskiego, Chwalczewskiego i Paprockiego. Dlaczegoż mamy zaczynać historyą swego języka z wiekiem XV, lub końcem XIV, gdy ją możemy prowadzić od wieku XII!

Wogóle trzeba powiedzieć, że „historya“ form gramatycznych nie jest tu tak bardzo przejrzysta, jakby sobie tego życzyć można. Widzimy to np. również już z samego początku przy dopełniaczu l. p. (str. 37—45), gdzie rozszerzenie się końcówki *-u* do tego stanu, jaki jest przy końcu w. XVIII, historycznie przeprowadzone nie jest. Mamy tu tylko nadmieniony stosunek téj końcówki do zakończenia *-a* w „najstarszych zabytkach polskich“ (str. 40—41), ilustrowany dość licznemi przykładami, przy których dodatkowo tylko umieszczono nieco przykładów z późniejszéj literatury, i to przeważnie imion własnych.

Na str. 70 czytamy: „tematy zakończone na *-anin*, *-in* odrzucają sufiks *-in* przed końcówką mianownika *-i*.“ Fałszywie to mogą zrazumiéć ci, którzy dopiero z téj książki będą się uczyć całéj genezy form słowiańskich; a że na takich p. K. widocznie liczył, widać z owych ogólnych uwag, poprzedzających historyą każdego przypadku w języku polskim. Najpierw bowiem będą sądzić, że i te tematy „odziedziczyły z epoki prasłow.“ (str. 69) zakończenie *-i* w mianowniku l. mn.,—gdy tymczasem pewną jest rzeczą, że w epoce prasłow. kończył się ten przypadek u nich na *-e*, t. j. podług deklinacyi spółgłoskowéj. Gdy się zaś dowiedzą, że końcówka *-i* rozszerzyła się w tych tematach już na gruncie polskim, mogą łatwo popaść w drugi błąd, sądząc że rzeczowniki te „odrzucają sufiks *-in*“ — „przed końcówką mianownika *-i*“, więc również na gruncie polskim. Wiadomo tymczasem, że proces ten odbył się jeszcze w dobie prasłow., lecz przed końcówką *-e*.

Wielkie pytanie, czy formę dwu *dziesiątu* (str. 111) należy uważać za taką, która „przeszła do *a*-tematów.“ Wiadomo bowiem, że liczebnik ten odmienia się już w starosł. podług dwu deklinacyj, mianowicie jako temat na *-i*, i temat spółgłoskowy. Podług deklinacyi spółgłoskowéj mamy miejscownik l. p. (jedinъ na *desęte*) i niektóre przypadki l. mn., jak mianownik *desęte*, dopełniacz *desętъ*. Podług téj saméj deklinacyi jest forma *dziesiątu* (*desętu), prawidłowy dopełniacz l. podw. Forma tematów spółgłoskowych została już w dobie prasłow. przeniesiona téż na *-o*-temata, tak że podług: dwu *kamen-u*, dwu *desęt-u* i t. p. powstało téż dwu *bogu* zamiast **bogo-j-u*. Wobec tego i objaśnienie ogólne (str. 110) zostanie nieco zmodyfikowane.

Najtrudniejszy jest przegląd form gramat. w „konjugacyi,“ a to z powodu zastarzałego podziału, jakiego się p. K. trzyma w swéj pracy. Wszak czas teraźniejszy nie ma z tematem wyrazu bezokolicznego nic a nic do czynienia! Inaczéj jednak wydaje się to p. K., jeżeli znajdujemy takie objaśnienia, jak np. że słowo *kłóć* „wzmacnia w czasie teraźn. nie tylko dźwięk *l* za pomocą *o* (*kol*), ale przyjmuje jeszcze przyrostek *i*: *kolją*“ (str. 399). A więc czas teraźn. tworzy się według téj teoryi „od tematu trybu bezokolicznego“ przez „odrzucenie przyrostka *a*,“ samogłoska zaś *o* jest tylko elementem, dodanym w czasie teraźn. „dla wzmocnienia dźwięku *l*“! Tymczasem najelementarniejsza gramatyka uczy, że w trybie bezokolicznym to *o* znajduje się również; formy bowiem starosłw. *kla-ti*, pols. *kłóć* powstały z pierwotnego **kol-ti* podług prawidła w językach słow. powszechnie obowiązującego. W czasie teraźn. nie ulega pierwiastek *kol-* żadnéj zmianie (kol-ją), bo nie następuje po nim

spółgłoska, jak w wyrazie bezokol. A kiedy już jesteśmy przy tém słowie, przypatrzmy się, jak się nam przedstawia historya jego form gramat. w pracy p. Kaliny. Bo przecież ciekawy być musi stosunek form polskich *kolę-kłóć*, do *kłuje-kłuć*. Niestety jednak, gruboby się omylił specyalista, któryby chciał o takich rzeczach dowiedzićć się z książki pana K. Mnie przynajmniéj po długim a mozolnym szukaniu udało się znaleść tylko dwie formy czasu teraźn., mianowicie: *przekolę* (str. 399) i *wykłują* (str. 427). Nadto znalazłem na str. 347 kilka przykładów wyrazu bezokolicznego (kłóć, kłoć) z dość niewyraźną uwagą, że istnieje podwójna forma wyrazu bezokol. i że „czas teraźniejszy używa się w obydwu formach: kłuję i kolę pruję i porzę.“ Wszak przyzna mi każdy specyalista, że od „Historyi języka polskiego“ więcéj nieco wymagać należy. Coś bliższego o stosunku tych dwu form nikt się z tego nie dowie. Czas teraźn. *kolę* i wyraz bezokol. *kłóć* są bezwątpienia najstarsze formy, bo kryją się zupełnie ze starosł. *kolją-klati*. Ponieważ jednak *kłóć* kończy się w wymowie zupełnie tak samo jak *czuć*, *suć*, *snuć*, *truć* i t. p., które mają w czasie teraźn. formy: *czu-ję*, *su-ję*, *snu-ję* i t. d. przeto téż pod wpływem tych form powstało *kłó-ję*. A ponieważ formy *kłóć-kłóję* w zakończeniach swych nie różnią się w wymawianiu od *czuć-czuję* i t. p., przeto téż poczęto i pisać *kłuć-kłuję*. Otóż historya wyparcia form *kolę*, *kolesz*, *kole* i t. d. przez *kłóję*, *kłójesz*, *kłóje* (kłuję, kłujesz, kłuje) i t. d. należy niewątpliwie do „Historyi języka polskiego.“ Tak samo rzecz się ma z formami: *porzę*, *porzesz* i t. d. w stosunku do *próję*, *prójesz* (pruję, prujesz) i t. d. Zupełnie podobny przykład mamy w starosłow., gdzie formy pierwotne czasu teraźn. *plovą*, *snovą* i t. p. poczęły ustępować miejsca analogicznym *plu-ją*, *snują* (pols. snu-ję), utworzonym na wzór *czu-ją*, dlatego że pierwotna forma wyrazu bezokol. *pluti*, *snuti* kończyła się tak samo jak *czuti*.

Wogóle zauważyć należy, że p. K. nie sili się bardzo na tłómaczenie nowotworów języka polskiego. Do wyżéj przytoczonego przykładu dodam jeszcze jeden str. 356, gdzie czytamy, że „zamiast sufiksu *awa* używa się *ywa*, które w obecnym stanie języka prawie wyłączną stanowi formę słów téj kategoryi“, np. zachowywać, wstrzymywać i t. p. Można tu było dodać, że forma ta powstała pod wpływem słów takich, jak: *bywać*, *pożywać* i t. p., w których *ywa* „nie stoi zamiast *awa*.“ I tubyśmy słusznie od „historyi języka pols.“ wymagali, by nam podała stosunek form na *-ywa-* do form na *-awa-* i *-owa-*, jaki był aż do końca wieku XVIII. Kilka przykładów, wyjętych z najrozmaitszych dzieł naszéj staréj literatury stosunku tego pewnie nam nie wyjaśni.

Słowo *wnidę* objaśnia p. K. tak: „Po przyimku *w* przedsuwa się dźwięk *n* przed *i* w nagłosie“ (str. 394); a daléj, że „podobnie powstała forma *uńdę*“ (u Kochanowskiego). Wygląda to tak, jak gdyby to wszystko działo się na gruncie polskim, tymczasem tylko *uńdę* jest *polskim* nowotworem, który powstał z *ujdę* pod wpływem takiego *wnidę*. Słowo zaś *wnidę* już w dobie prasłow. nie potrzebowało „przedsuwać dźwięku *n*,“ bo należał on do przyimka *vъ*, którego pełna forma jest *vъn*.

I o transkrypcyi wyrazów staropolskiéj, jakiéj p. K. używa, dałoby się niejednę zrobić uwagę, lecz odłóżmy to do innéj jakiéj stosownéj chwili. Wszystko zaś to, co się dotąd powiedziało, da się streścić mniéj więcéj w ten sposób: Materyał, zawarty w dziele p. K., jest bardzo cenny, lecz nie wszędzie jest on należycie rozłożony ani w sposób przejrzysty; dla profanów jest go nawet za wiele, dla specyalistów jednak za mało, zwłaszcza przy niektórych kwestyach ciekawszych. Odwrotnie ma się rzecz z objaśnieniami gramatycznemi. Tych jest za wiele dla gramatyków, za mało zaś dla niespecyalistów, zwłaszcza w rzeczach, dotyczących historyi języka „polskiego.“ Nadto są one często jużto niedokładne, jużto zastarzałe i błędne. Mimo to jednak niesprawiedliwą byłoby rzeczą nie uznać ogromnéj pracy i pilności autora, tak wielce już dotąd zasłużonego około gramatyki polskiéj. Cenny materyał, zebrany w najnowszém jego dziele, może w ręku dzielnego jakiego lingwisty wielce się przyczynić do umiejętnego opracowania prawdziwie „historycznéj“ gramatyki polskiéj.

Jan Hanusz.

— **Historya literatury powszechnéj** Scherra, któréj polski przekład niedawno wyszedł z pod prasy nakładem księgarni Gebetnera i Wolfa (2 tomy, str. 559 i 709), nie jest w piśmiennictwie naszém nowością zupełną: jeszcze w roku 1865 przełożył ją na polski i wydał Michał Gliszczyński. Wobec ówczesnéj posuchy na prace, traktujące o dziejach literatury obcéj, książka Scherra, pomimo licznych braków, chętnego doznała przyjęcia i rozeszła się szybko, tak, że dziś wypadkiem tylko można się z nią spotkać w handlu księgarskim. Nowy przekład, dokonany przez B. Zawadzkiego, jest więc jakoby drugiém jéj polskiém wydaniem, znacznie powiększoném i uzupełnioném. Na to powiększenie złożył się i sam autor, który od owego czasu puścił w świat już szóste wydanie swéj pracy, i tłómacz, który nietylko przełożył ją z ostatniego wydania, ale jeszcze

własnemi uzupełnił przypiskami, a dział o Słowiańszczyznie, jak zwykle przez Niemców traktowany pobieżnie, rozszerzył według zasad i metody autora. Wszystko to jednak razem wzięte niewiele przysporzyło wartości książce. Autor, rozszerzając stopniowo pierwotną objętość swéj pracy, nietylko ogólny jéj zarys zatrzymał, ale nawet w szczegółach małe tylko tu i owdzie poczynił zmiany. Jedynie literatura starożytnego Wschodu uległa znacznym przeróbkom, co było poniekąd nieodzowną koniecznością ze względu na ważne zdobycze, poczynione ostatniemi czasy przez oryentalistów; znalazły się nawet nowe rozdziały, poświęcone Egipcyanom i Asyro-Babilończykom. W innych miejscach zmiany polegają głównie na sprostowaniu ważniejszych błędów faktycznych, co jednak nie wszędzie zostało przeprowadzone. Książka Scherra rozrosła się najwięcéj przez to, że autor uwzględniając wciąż piśmiennictwo współczesne, doprowadził opowieść o dziejach literatury powszechnéj aż do chwili obecnéj, oraz przez to, że w licznych przypiskach podał obszerną bibliografią, zaznaczając nietylko ważniejsze wydania, ale przekłady niemieckie, celniejsze opracowania i monografie. Wszystko to ma swoje znaczenie informacyjne, ale na podniesienie wewnętrznéj wartości książki wpłynęło bardzo mało. Pozostała ona tém, czém była, to jest zbiorem dat, nazwisk, tytułów i faktów biograficznych, poprzeplatanych charakterystycznemi anegdotami, poglądami na historyą i sądami literackiemi. Jest-to zapewne wiele i każda wiadomość, wzięta zosobna, jest wiadomością pozytywną, o ile nie jest mylną, bo i to się zdarza; ale czy owe wiadomości, odnoszące się przeważnie do zewnętrznéj strony przedmiotu, nauczą czytelnika dziejów literatury, czy wprowadzą go w istotę rzeczy, o tém można wątpić. Dadzą mu one wprawdzie niejakie pojęcia o działalności pisarzów, a zwłaszcza o ich mnogości, obznajmią go dokładnie z życiorysem wybitniejszych, uprzedzą go dobrze lub źle do ich utworów, a w najlepszym razie nasuną mu gdzie niegdzie jakieś mgliste, nieuchwytne domysły, że jest w nich coś... godnego uwagi, że są w nich przebłyski myśli ludzkiéj i ducha narodowego, ale jakie?... Czy na takich rezultatach ogranicza się zadanie historyi literatury? Czy w ten sposób odsłoni ona przed czytelnikiem istotę owego ducha, o którą chodzi nowszym historykom literatury? Czy przynajmniéj pozwoli mu wyrobić sobie dokładne pojęcie o charakterze tych utworów, o których czyta? Zapewne że nie, bo wszystkie sądy i wywody autora są albo gołosłowne, albo wyprowadzone z tak ogólnych przesłanek, iż rzadko kiedy nie przypominają orzeczeń katechizmu. Scherr ślizga się po wierzchu przedmiotu, jak gdyby mu chodziło tylko o podanie czytelnikom informacyjnego

przewodnika (1); a chociaż sądy jego świadczą, że w wielu razach zagłębiał się w istotę materyału i dopatrzył w nim żywych uderzeń pulsu narodowego, nie uważa przecież za potrzebne okazać, jak do tego doszedł, nie chce poczynionych spostrzeżeń przed czytelnikiem rozwinąć i uzasadnić. Tu i owdzie przytoczone wyjątki lub streszczenia, zazwyczaj w dopiskach, rzadko kiedy mogą służyć jako żywe i umyślnie dobrane ilustracye orzeczeń, w tekście wygłoszonych. Wobec tego wszystkiego nasuwa się pytanie, czy opłaciło się pracę Scherra ponownie tłómaczyć i naszéj literaturze przyswajać? Odpowiedź na to pytanie musi wypaść przecząco, pomimo zupełnie odmiennego zdania tłómacza, który w przedmowie utrzymuje, że książka w najnowszém wydaniu „zrównała się pod każdym względem z rozwojem ogólnéj metody umiejętnego tworzenia.“ Właśnie jeżeli co, to przestarzały sposób traktowania przedmiotu i słabe uwzględnienie tych żywiołów, których wymaga dzisiejsze stanowisko nauki, jest przyczyną, że praca Scherra traci wiele na istotnéj wartości naukowéj. Wprawdzie można zgodzić się z tłómaczem, że jest ona ułożona „w sposób jasny, przystępny, istotnie popularny, a zatém dla przeciętnéj inteligencyi ogółu zrozumiały,“ bo i cóż może być nieprzystępnego i niezrozumiałego np. w mnóstwie imion i nazwisk lub dat chronologicznych? Czy jednak sądy i poglądy artystyczno-literackie są również zrozumiałe „dla przeciętnéj inteligencyi ogółu“? Nie na wiele w tym względzie przydadzą się i dopiski tłómacza zawierające dłuższe lub krótsze wyjątki z niektórych utworów poetyckich w polskim przekładzie. Łudziłby się, ktoby sądził, że czytelnik z tych przytoczeń czegoś się nauczy. Mogłoby to być tylko w takim razie, gdyby zostawały one w ścisłym związku z tém, co się mówi w tekście i gdyby były zaopatrzone w odpowiednie uwagi; bez tego przeciętna inteligencya czytelnika, nie zaprawiona do samodzielnych obserwacyj, nic nie zauważy. Tymczasem coś podobnego w owych przytoczeniach zdarza się tylko wyjątkowo i czytelnik jeżeli zechce je odczytać dla ugruntowania swoich wiadomości, nie wyrozumie ich zadania. Czego mają one dowodzić? Są to zapewne przykłady, ale czego? Pytać się o to, byłoby rzeczą daremną. Prawda, tego rodzaju przytoczenia, ni stąd ni zowąd wyrwane, praktykują się jeszcze w książkach układanych według oddawna utartéj rutyny; ale poważniejsze dzieła, nawet popularne, pragnące szerszy ogół zapoznać z istotną historyą literatury, radzą

---

(1) Takie było rzeczywiście pierwotne przeznaczenie jego książki; miała ona jako osobny artykuł wejść do encyklopedyi, którą Scherr zamierzał wydawać; publikacya jednak została zaraz w początkach zaniechana.

już sobie inaczéj. Możnaby nawet domyślać się, że sam tłómacz, chociaż niekiedy bardzo długie przytaczał wyjątki, niezbyt wielką przywiązywał do nich wagę, skoro gdzieniegdzie zostawił przytoczenia autora w oryginale, gdy tymczasem postarał się o przełożenie większéj ich części; wprawdzie urywki francuskie wielu czytelników zrozumie, ale z włoskiemi, angielskiemi lub hiszpańskiemi będzie mu trudno dać radę. Jest w tém pewna niekonsekwencya, a jeszcze większa może w tém, że książki Scherra nie zastosował do potrzeb czytelnika polskiego, pod każdym względem. Informacyjny jéj charakter tego wymagał: jeżeli czytelnik niemiecki dowiaduje się z przypisków nietylko o wydaniach wszelkiego rodzaju utworów poetyckich, ale o monografiach, opracowaniach i przekładach na język ojczysty do których najprędzéj zajrzy, gdy zechce bliżéj zapoznać się z jakim poetą, to dla czego czytelnik polski nie ma mieć téj saméj wygody? Dla czego nie ma wiedziéć, że i we własném piśmiennictwie posiada jakieś źródła do bliższego poznania się z przedmiotem, gdy tego zapragnie? Skrupuł tłómacza o zachowanie całości oryginału był pod tym względem zbyteczny; jeżeli uzupełniając bibliografią przedmiotu, przytacza od siebie np. tłómaczenia francuskie, to tém bardziéj powinien był postarać się o wyczerpującą bibliografią polską. Uwzględnia ją wprawdzie, ale dorywczo, jakby odniechcenia. Jeżeli chodziło o brak miejsca, to można było śmiało przerzedzić bibliografią niemiecką, a miejsce by się znalazło témbardziéj, że materyal nie jest zgoła bogaty.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Marca 1884 r.

---

1. **Biblioteki Matematyczno-fizycznej** wydawanej pod redakcyą *M. A. Baranieckiego* z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego; wyszły tomy następujące:
   a) Seryi pierwszej. Tom I. Początki arytmetyki M. Berkmana str. X i 266 z drzeworytami w tekście. Cena kop. 65.
   b) Seryi trzeciej Tom I. Arytmetyka kurs teoretyczny M. A. Baranieckiego z przypiskami dr. Żbikowski i J. N. Fronkego. Str. 375 i LVIII z drzeworytami w tekście. Cena 1 rs. 70 k.
   c) Serya czwarta. Tom IV. Geometrya analityczna W. Zajączkowskiego str. 511 i XL, drzeworytów 85. Cena rs. 3.
2. **Zgubiono!** Powieść z życia społecznego przez *St. Sobieskiego*. Raciąż, u J. Mayznera. 1884.
3. **Eliza Orzeszkowa. Z Życia realisty**—obrazek. Warszawa u S. Lewentala. 1884.
4. **Rośliny skrytokwiatowe** (cryptogamae) opisanie ich budowy etc. przez *dra Kazimierza Filipowicza*. Warszawa, (odbitka z Wszechświata) 1884., str. 233 i XXXVIII fig. 77.
5. **Maryan Sokołowski. Wystawa zabytków z czasów Jana III** w Sukiennicach krakowskich w r. 1883. Kraków, 1884. str. 76.
6. **Dr. Zgliński. U wspólnego stołu**. Komedya w trzech aktach. Warszawa, 1883. str. 112.
7. **Dzieła poetyczne i dramatyczne Szylera** illustrowane przez znakomitych artystów. Lwów u F. H. Richtera. Zeszyty IX i X.
8. **Herbert Spencer. Fizjologja śmiechu**—przełożył *Jakób Goldszmit*. Warszawa u Centnerszwera. 1884. (16-ka str. 32), cena kop. 20.
9. **Jan Andrzej Morsztyn. Poezye oryginalne i tłomaczone.** Pierwsze wydawnictwo opatrzone słowniczkiem archaizmów i imion własnych. Warszawa, u S. Lewentala 1883, (str. XXVIII i 465).
10. **Miejskie biura statystyczne**; napisał *Józef Kleczyński*. Kraków 1884. (8-o str. 20).
11. **Dziesięcioletnia działalność** zakładu rękodzielniczego dla kobiet (1874—1874). Warszawa 1884. (8-o str. 92).
12. **Zamietki o słowie o połku Igorewie**. *O. Gąsiorowskaho*. St.-Petersburg, 1884 r. (str. 40).
13. **J. Szastecki. Gramatyka czeska** wydana nakładem K. Kaszarskiego z zapomogi Kasy Pomocy Naukowej. Warszawa 1884, str. VIII. 295.
14. **Wacław Szymanowski. Poezye i Dramata**. Tomów 5. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1884, str. 322, 340. 304, 389, 392.
15. **Andrzej hr. Zamoyski**. Napisał *Stanisław Skrzyński*. Wydanie II-gie rozszerzone. Kraków, 1884. str. 358. (Dochód z rozprzedaży przeznacza się na pomnik Andrzeja Zamojskiego).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1884 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie 3. (tylko w Warszawie).

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Марта 1884 г.